

Martwy trop

Koryta Michael



calibre 0.9.43

Martwy Trop

Lincoln Perry [3]

Michael Koryta

Wydawnictwo Amber (2008)

MICHAEL KORYTA

MARTWY TROP

CZEŚĆ I

SPRAWY RODZINNE

Rozdział 1

Trochę po północy, w bezksiężycową październikową noc smaganą wiatrem i deszczem, na polu na południe od Bedford zamordowano człowieka, którego szczerze nie znosiłem. Początkowo śledczy sądzili, że zwłoki porzucono na polu. Że Aleksa Jeffersona zabito gdzie indziej i że już nie żył, kiedy ktoś zaczął go okaleczać.

Mylili się.

Ciało znaleziono następnego dnia po południu. Na polu pojawiło się szybko dziesięć pojazdów – radiowozy, furgonetki kryminologów, karetka, już tu niepotrzebna, ale z jakiegoś powodu wezwana. Nie było mnie tam, ale mogłem sobie wyobrazić tę scenę – widziałem już takich wiele.

Ale może nie. Może nie. To, co zobaczyli wtedy policjanci, to, co opowiadali mi potem z dystansem, na jaki stać tylko zahartowanych zawodowców... z czymś takim nie miałem do czynienia zbyt często.

Jeffersona przywieziono z miasta z nogami i rękoma związanymi liną, z ustami zaklejonymi taśmą. Wyrzucono go na pustym polu z samochodu – ślady opon na drodze wskazywały na furgonetkę – a potem poddano systematycznym torturom, które doprowadziły do śmierci. I najwyraźniej nie nastąpiła ona szybko. Z sekcji zwłok i rekonstrukcji zdarzeń dokonanej przez kryminologów i ekspertów medycyny sądowej wynikało, że przez piętnaście minut Jefferson wciąż oddychał i był przytomny.

Piętnaście minut to dużo i mało. Mija w mgnieniu oka, kiedy żegnasz się na lotnisku z ukochaną osobą. Ciągnie się jak wieczność, kiedy przebijasz się przez korek, spóźniony na rozmowę o pracę. A gdy masz związane ręce i nogi i ktoś powoli od stóp do głów przypala cię butanowym palnikiem albo tnie zwykłą brzytwą? Wtedy piętnaście minut to nie wieczność – o wieczność się wówczas modlisz. Żeby wysłano cię tam, gdzie pozostaniesz już na zawsze.

Przez większą część pierwszego dnia policjanci przeprowadzali rutynowe czynności: badali miejsce zbrodni, angażowali specjalistów od kryminologii z Biura Dochodzeń Kryminalistycznych w Ohio, identyfikowali zwłoki, powiadamiali krewnych i próbowali odtworzyć ostatnie godziny Jeffersona. Przesłuchiwali miejscowych, prze-czesywali pole i okoliczne lasy w poszukiwaniu dowodów.

Niestety, nie pojawiły się żadne tropy. Rozszerzono więc zakres śledztwa. Detektywi zaczęli szukać podejrzanych – ludzi, którzy mieli jakiś zatarg z Jeffersonem. Na szczycie tej listy znalazłem się ja.

Przyjechali po mnie dziesięć po dziewiątej następnego dnia po znalezieniu zwłok Aleksa Jeffersona. Nie zdążyłem jeszcze dotrzeć do swojego biura, choć mieszkam niedaleko, przy tej samej ulicy. W moim domu mieści się stara siłownia, której jestem właścicielem. Czasami przynosi mi nawet jakiś zysk. Prowadzi ją zatrudniona przeze mnie Grace, ale tego ranka akurat miała jakieś problemy z samochodem. O

wpół do ósmej zadzwoniła i poinformowała, że mąż spróbuje odpalić go na pych, a jeśli się nie uda,

może się spóźnić. Odpowiedziałem, żeby się nie martwiła – mnie się nie spieszy, więc spokojnie otworzę siłownię i poczekam na nią.

Zszedłem na dół z kubkiem kawy w rękę. Drzwi do głównej sali działają na karty, dzięki czemu członkowie klubu mogą wchodzić i wychodzić przez całą dobę, ale moja kierowniczka pracuje od dziewiątej do piątej w kantorku i przy lodówce. Większość zysku przynosi nam nie abonament klubowiczów, lecz sprzedaż napojów energetycznych, koktajli proteinowych, batoników z ziarnami i witamin.

Kiedy otworzyłem kantorek, na bieżniach chodziły dwie kobiety, jakiś mężczyzna ćwiczył ze sztangą. Dzień jak co dzień. W mojej siłowni nigdy nie trzeba czekać, aż zwolni się sprzęt. Dla klubowiczów to dobrze, dla mnie gorzej.

Sprawdziłem, czy w szatni leżą świeże ręczniki – tak, Grace zadbała o to poprzedniego wieczoru. Wracałem właśnie przez salę, kiedy w kantorku dostrzegłem dwóch gliniarzy. Obaj po cywilnemu, ale przy pasku tego wyższego mignęła mi odznaka. Błysk świetlówki na srebrnej powierzchni sprawił, że zmarszczyłem brwi i przyspieszyłem kroku.

– W czym mogę pomóc? – zapytałem, podchodząc do nich. Nie znałem żadnego z nich, lecz przecież nie mogę znać wszystkich na komendzie, zwłaszcza że nie pracuję tam już od kilku lat.

– Lincoln Perry?

– Tak.

Ten bez odznaki – siwy, krótko ostrzyżony, z kurzymi łapkami wokół oczu – wyjął z kieszeni portfel i go otworzył. Miał w nim odznakę i legitymację. „Harold Targent, detektyw, komenda policji w Cleveland“. Zerknąłem na legitymację, potem na niego i kiwnąłem głową.

– W porządku. W czym mogę panu pomóc, detektywie?

– Proszę mi mówić Hal.

Stojący obok wyższy, może o dziesięć lat młodszy, policjant uniósł rękę w geście powitania:

– Kevin Daly.

Targent spojrział na siłownię, potem znów na mnie.

– Możemy zamknąć drzwi? Żebyśmy mieli trochę prywatności?

– Moja kierowniczka się spóźni. Nie chciałbym zamykać kantorka, dopóki nie przyjedzie.

Targent pokręcił głową.

– Potrzebujemy prywatności, panie Perry.

– To aż tak poważna sprawa? – zapytałem i poczułem ukłucie strachu: czyżby nie chodziło o zaszłości, ale o coś osobistego?

– Owszem, poważna. Kiedy giną ludzie, panie Perry, sprawa robi się poważna.

Zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

– Proszę na górę.

Na plus mogłem zapisać im to, że nie tracili czasu na owijanie w bawełnę. Żadnych pytań, co robiłem poprzedniej nocy, żadnych łamigłówek. Kiedy tylko usiedliśmy w salonie, wyłożyli karty na stół.

– Dwa dni temu zamordowano kogoś, kogo pan znał – powiedział Targent. –

Słyszał pan o tym?

Nie byłem na bieżąco, bo nie zdążyłem jeszcze przeczytać porannej prasy. Co do telewizji, o wiele wiarygodniejsze są dla mnie opowieści pijaczka, który wysiaduje na pobliskim przystanku autobusowym. Pokręciłem powoli głową. Targent przyglądał

mi się z uprzejmym sceptycyzmem.

– Powiecie mi, kogo?

– Aleksa Jeffersona.

W takich chwilach żałuję, że nie palę, bo miałbym przynajmniej co zrobić z rę-

koma, mógłbym choć na moment się czymś zająć, zamiast tak siedzieć i gapić się przed siebie.

– Pamięta go pan? – dopytywał się Dały.

Popatrzyłem na niego i parsknąłem śmiechem.

– Tak. Pamiętam.

Milczenie. W końcu odezwał się Targent:

– Chyba byliście w niezbyt przyjaznych stosunkach?

Spojrzałem mu w oczy.

– Sypiał z moją narzeczoną, detektywie. Przez dwie godziny wypilem dwana-

ście piw i w klubie obilem mordę Jeffersonowi. Potem zatrzymano mnie w czasie jazdy po pijanemu i oskarżono o napaść. Przyznałem się, napaść potraktowano jako wy-kroczenie, mimo to i tak

wyleciałem z policji. To już pewnie wiecie. Ale zgoda, można powiedzieć, że pozostawaliśmy w niezbyt przyjaznych stosunkach.

Targent obserwował mnie, a Daly udawał, że to robi, choć błędził wzrokiem po mieszkaniu, jakby spodziewał się, że gdzieś pod ścianą zobaczy łyżkę do opon albo łom z zaschniętą krwią i przyklejoną kępką włosów.

– W porządku – powiedział Targent. Kiedy siedział, wyglądał, jakby ważył pięć-

dziesiąt parę kilo. Budził jednak szacunek, a jego głos brzmiał zdecydowanie. – Proszę nie odbierać tego osobiście, panie Perry. Nikt nie uważa pana za podejrzanego. Gdybym mógł tylko zapytać...

– Był pan przy tym, jak ją powiadomiono? – przerwałem mu.

– Słucham?

– Karen. Jego żonę. Był pan przy tym, jak ją powiadomiono?

Pokręcił głową.

– Nie, nie byłem. Nad tą sprawą pracuje mnóstwo ludzi...

– Wyobrażam sobie. Jefferson był nie byle kim.

Targent wypuścił powietrze i spojrzał na Daly'ego, który wciąż przeczesywał

wzrokiem moje mieszkanie, jakby szukał pretekstu, by krzyknąć: „to może być narzędzie zbrodni“, i zacząć wywracać wszystko do góry nogami.

– Sobotni wieczór spędziłem ze znajomą w śródmieściu... mniej więcej do jedenastej. Zjedliśmy kolację, wypiliśmy kilka drinków – poinformowałem. – Chyba nawet mam jeszcze gdzieś rachunki. Wróciłem tu, czytałem z godzinę i położyłem się spać. Na to, niestety, rachunku nie mam.

Targent lekko się uśmiechnął.

– W porządku. Ale trochę za bardzo pan wybiega do przodu.

– Tak jak mówił kolega, nikt nie uważa pana za podejrzanego – dorzucił Daly.

– Jasne.

– Po prostu sprawdzamy wszystkie tropy – wyjaśnił Targent. – Sam pan wie, nie tak dawno pracował pan przecież w firmie.

– Jasne.

Oparł się wygodniej i założył stopę na kolano.

– Przyznaje pan więc, że pańskie stosunki z Jeffersonem układały się nie najlepiej.

– Trzy lata temu.

– A czy...

– Czy od tamtego czasu się z nim spotkałem? Nie. Ostatni raz go widziałem, jak leżał na plecach na parkingu i mocno krwawił, a ja próbowałem dotrzeć do własnego samochodu.

Prawda wyglądała inaczej. Od tamtego zajścia spotkałem go dwukrotnie, tyle że on mnie nie widział. Raz było to w restauracji: stał przy barze z jakimiś facetami w drogich garniturach. Śmiali się. Wszedłem, dostrzegłem go i obróciłem się na pięcie.

Drugi raz widziałem go w dniu, kiedy wzięli ślub z Karen. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i siedząc w samochodzie, patrzyłem, jak schodzą po schodach; ludzie bili im brawo i gwizdali. Pomyślałem wtedy, że cała ta ceremonia ślubna to dziecinada i że kiedy publicznie robi to ktoś taki jak Jefferson – prawie pięćdziesięciolatek, który żeni się już po raz trzeci – wygląda to naprawdę smutno. Wręcz żałośnie.

Niemal tak smutno i żałośnie jak to, że w trzydziestostopniowym upale ktoś siedzi w samochodzie z zamkniętymi oknami i patrzy, jak inny facet bierze ślub z jego dziewczyną.

Ale wtedy byłem w dołku. Właśnie wyrzucono mnie z pracy, wałęsałem się wściekły bez celu. Lecz czas płynął i wiele rzeczy się zmieniło. Nigdy wprawdzie nie zapomniałem o Aleksie Jeffersonie, nie zatruwał mi już jednak myśli.

– Traciecie czas, panowie – powiedziałem. – Rozumiem, że musicie odbębnić tę robotę, ale to ślepy zaułek. Od tamtego czasu nie widziałem się ani z nim, ani z nią. I nie zabiłem go. Czy cieszę się, że nie żyje? Nie. Czy smucę? Nieszczególnie. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. I tyle. Nie obchodził mnie ani on sam, ani jego życie. Już nie.

Targent pochylił się, przeczesał włosy dłonią i wbił wzrok w podłogę.

– Nieźle nad nim popracowali.

– Słucham?

Spojrzał na mnie.

– Ci, którzy go zabili, panie Perry. Ci, którzy go zabili, naprawdę się do tego przyłożyli. Umierał powoli i w cierpieniach. Naliczyliśmy czterdzieści siedem oparzeń i ponad pięćdziesiąt ran szarpanych. Przypalali go papierosami i zapalniczką, cięli brzytwą. Albo głęboko, jak nożem, albo zaledwie oskrobywali skórę, jakby zdrapywali starą farbę. Usta zakleili mu taśmą. Jefferson przegryzł sobie język, może próbował krzyczeć, a może zrobił to w konwulsjach z bólu.

Odwróciłem się i patrzyłem przez okno.

– Detektywie, proszę oszczędzić mi tych szczegółów. Po prostu odfajkujcie mnie z listy i dalej róbcie swoje.

Siedzieli u mnie jeszcze dziesięć minut i w końcu poszli sobie. Teraz będą sprawdzać historię moich kontaktów z Jeffersonem, żeby przekonać się, czy naprawdę przestaliśmy się spotykać, jak twierdziłem. Pewnie będą też sprawdzać, co robiłem w noc, kiedy został zamordowany. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, a przecież powinno, dadzą mi spokój.

Zostawiłem kantorek w siłowni zamknięty na klucz, wyszedłem na ulicę i kupi-

łem dziennik. Usiadłem na ławce przed cukiernią z pączkami. Chłodna bryza szeleściła kartkami czytanej przeze mnie gazety. Sprawa Jeffersona trafiła oczywiście na pierwszą stronę, ale wspomniano o niej krótko: ot, oświadczenie policji i wzmianka, że nie udało się uzyskać komentarza żony prawnika, Karen. Przeciek o zabójstwie dostali późno – klasyczny policyjny chwyt PR. W końcu i tak musimy puścić informację do mediów, ale zawsze pilnujemy, żeby było to jak najpóźniej.

Nie znałem nazwiska dziennikarza podpisanego pod tekstem. Mogłem zadzwonić do znajomej z redakcji, Amy Ambrose, i spytać, czy nie wie czegoś więcej, ale po diabła? Co mnie to tak naprawdę obchodziło? Wyrzuciłem gazetę i ruszyłem do biura.

Na rogu przeszedłem na drugą stronę ulicy, wspiąłem się po schodach i otworzyłem drzwi. W środku powitała mnie cisza. Mojego partnera Joego Pritcharda nie było – nie było go już od dwóch miesięcy. Chodził na rehabilitację trzy razy w tygodniu, próbując odzyskać jak największą sprawność w lewej ręce. Niedawno został po-strzelony w bark i choć kula przeszła na wylot, skutki okazały się poważne. Teraz przy sąsiednim biurku stało tylko puste krzesło.

Włączyłem komputer i usiadłem przy swoim biurku, wyglądając przez okno.

Może powinienem zadzwonić do Joego, powiedzieć mu, co się stało? Ale po co, przecież najprawdopodobniej już wie. Joe zawsze wszystko wiedział. Dziwne jednak, że nie zadzwonił do mnie. Pewnie jak zwykle okazał się znacznie bardziej inteligentny i znów wyprzedził mnie o krok – stwierdził po prostu, że policja musi wykonać rutynowe czynności, a mnie z tym morderstwem nic nie wiąże.

– To było dawno temu – powiedziałem do pustych ścian.

Przyciągnąłem do siebie stertę teczek z dokumentami różnych spraw i otworzyłem pierwszą z brzegu. Trzeba się wziąć do pracy, bo nikt mnie w tym nie wyręczy.

Karen zadzwoniła o dziesiątej rano dzień po pogrzebie męża. Siedziałem w biurze, znów sam, i pisałem raport na temat pewnej sprawy dotyczącej prawa do opieki nad dziećmi. Wynajął mnie ojciec dzieci, który chciał dowodów, że nowy facet jego byłej żony jest handlarzem narkotyków. Myślał, że pomoże mu to w sądzie w walce o dzieci. Poświęciłem tej sprawie dwa tygodnie i ustaliłem, że była żona nie ma żadnego faceta, a mój klient to palant. Miał czas, żeby wydzwaniać do mnie sześć razy dziennie i narzekać, że pewnie nie przykładam się do pracy, bo „ta suka“ na bank ma jakiegoś faceta, i to handlarza prochami, ale jakoś zapomniał o siódmym urodzinach własnego syna.

Przypomniał sobie dopiero trzy dni po fakcie i oczywiście obwinił za to swoją eks.

Telefon zadzwonił, kiedy siedziałem przed komputerem; przez chwilę zastanawiałem się, w jaki sposób powiedzieć klientowi, że jest idiotą, nie tracąc zarazem reszty honorarium. Wcisnąłem przycisk urządzenia głośnomówiącego – tego zwyczaju nabrałem pod nieobecność Joego – i rzuciłem:

– Halo.

– Lincoln? – głos w głośnomówiącym telefonie zawsze brzmiał jak z oddali, ale tym razem wrażenie było zupełnie inne. Dochodził z bardzo daleka, z miejsca, o któ-

rym próbowałem zapomnieć.

– Karen.

Przez chwilę żałowałem, że wypowiedziałem jej imię, że nie udałem, iż nie poznaję jej głosu już po jednym słowie. W końcu uznałem, że byłoby to bez sensu. Rozpoznałbym, że to ona, gdyby tylko kichnęła do słuchawki, i doskonale o tym wiedzia-

ła.

– Jak się masz? – zapytała.

– Dobrze. Zapewne o niebo lepiej, niż ty musisz się teraz czuć.

– Znalazłbyś chwilkę?

– Pracuję. Czemu pytasz?

– Bo... Bo myślałam, że będziesz mógł wpaść. Chciałam cię po prostu przeprosić. Właśnie dowiedziałam się, co zrobiła policja. Idioci. Nie mogę uwierzyć, że cię wypytywali. Nie było najmniejszego powodu.

– Owszem, był. Musieli zrobić, co do nich należało. A ja nie poczułem się urażony.

– Ale i tak mi przykro. Chcę tylko, żebyś wiedział... żebyś wiedział, że to nie ja ich na ciebie nasłałam. Nie żądałam, żeby cię w to wciągali.

Głos Karen brzmiał surrealistycznie. Znałem go tak dobrze, tembr, intonację, a mimo to miałem wrażenie, że słucham śpiewaczki, której twarzy nigdy nie widziałem.

Dźwięczał niezwykle znajomo, a zarazem teraz już jak głos kogoś obcego.

– Rozumiem – odparłem.

Cisza. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i czekałem.

– Lincoln?

– Tak.

– Myślałam, że się rozłączyłeś.

– Jestem.

Znowu cisza i w końcu:

– Mimo wszystko miałam nadzieję, że wpadniesz, jeśli znajdziesz kilka minut.

– Żebyś mogła mnie przeprosić?

– No tak.

– Właśnie to zrobiłaś. Dziękuję, ale przeprosiny nie były konieczne.

– Dobrze. No tak. Cóż... cześć, Lincoln.

– Cześć, Karen. Powodzenia.

Odłożyła słuchawkę, ale wyłączyłem głośnik dopiero po chwili, kiedy już zaczął buczeć.

Dziesięć minut później telefon zadzwonił ponownie. Karen.

– Lincoln, naprawdę muszę się z tobą zobaczyć. Jestem wykończona i zestresowana, rozłączyłam się, bo... mówiłeś z takim dystansem. I rozumiem cię. Naprawdę.

Ale muszę cię zobaczyć. Osobiście.

– Tylko po to, żeby przeprosić?

– Lincoln... – Płakała.

Cholera jasna. Opadłem na oparcie fotela, wbiłem oczy w sufit i pokręciłem głową. O co tu u diabła chodzi?

– Bądź za dwadzieścia minut – powiedziała cicho, ostrożnie wymawiając każde słowo, jakby tłumiała emocje. – To ważna sprawa.

– Gdzie?

– W domu.

W domu. Jakby to była siedziba prezydenta czy inny punkt charakterystyczny.

– Nie wiem, gdzie jest ten dom, Karen.

– W Pepper Pike. Jedziesz od placu Shaker, to niedaleko klubu country.

– Niedaleko klubu – powtórzyłem. – Jasne. – Tam właśnie doszło do mojego ostatniego spotkania z Jeffersonem, ale Karen zapewne nie byłaby mi wdzięczna za to nostalgiczne wspomnienie, więc zatrzymałem je dla siebie.

– Przyjedziesz?

– Chyba mi zupełnie odbiło.

– Słucham?

– Nic, nic. Będę niedługo.

– Dziękuję, Lincoln.

Znów się rozłączyliśmy. Po kilku minutach bluzgania na samego siebie wstałem i wyszedłem z biura.

Rozdział 2

Dom robił wrażenie. Podjazd – chyba co roku wymieniano na nim kostkę – wił

się między wysokimi, wspaniałymi drzewami, które ocieniały trawnik wyglądem przypominający pole golfowe. W końcu za zakrętem ukazała się rezydencja w stylu południowym z domieszką architektury kolonialnej i współczesnej. I o dziwo, wszystko to jakoś do siebie pasowało. Dom oszalał bielą ścian, elementami szklanymi oraz długą frontową werandą pod balkonami. Kamienny mur otaczał basen i patio. Basen był zadaszony, a w patio zbudowano kominek.

Obok domu stał stylizowany na wozownię garaż na cztery samochody. Zatrzymałem się przed nim i czekałem, aż przyjdzie ktoś, kto podczas mojej wizyty da mojej ciężarówce owsa i wody. Nikt taki jednak się nie pojawił, więc wyłączyłem silnik i wysiadłem. Na przestronnym dziedzińcu było spokojnie i cicho, jak zresztą wszędzie.

Brukowaną ścieżką dotarłem do werandy. Stałem przed drzwiami wejściowymi, chwyciłem mosiężną kołatkę i kilka razy nią zapukałem. Minęła minuta, może dwie.

Pod drzwiami ktoś zostawił kwiaty. Podniosłem je i spojrzałem na wizytówkę. „Od Te-da i Nancy, z wyrazami najgłębszego współczucia“. Trzymając bukiet w ręku, znów za-kołatałem. Rozległ się głośny, głuchy dźwięk i drzwi wreszcie się otworzyły.

Jej widok mną wstrząsnął. Oczywiście była cudowna, ale nie w tym rzecz – była taka, jaką ją zapamiętałem, taka, jaką chciałem zapomnieć. Może tu i ówdzie na twarzy pojawiła się nowa zmarszczka, miękkie blond włosy pielegnował droższy fryzjer, przybyło jej ze dwa kilogramy, choć

przy takiej figurze nikt by nie zauważył, gdyby przytyła nawet pięć – ale do cholery, to wciąż była ta sama Karen, której oświadczy-

łem się w deszczu pewnej ciepłej kwietniowej nocy. Nie chciałem, żeby taka pozostała.

Stała przede mną bosa, w luźnych białych spodniach i koszulce bez rękawów.

Nie włożyła żadnej biżuterii. Ciało miała jędrne i gibkie. Kiedy na nią patrzyłem, nagle stanęły mi przed oczami sceny, które ominęły mnie w ostatnich kilku latach: wieczor-ne przyjęcia, a na nich bogaci otyli kumple Jeffersona podziwiają jego wybrankę i przeklinają po cichu z zazdrości; wyobraziłem sobie uśmiech triumfu na twarzy Jeffersona, kiedy z Karen u boku spotykał podstarzałe były żony.

– Miło cię zobaczyć, Karen.

– Naprawdę miło – odparła i podeszła bliżej, żeby mnie objąć.

Pamiętałem dokładnie, jak jej ciało doskonale pasowało do mojego, jej ramiona chowały się tuż pod moimi pachami, podbródek przylegał idealnie do mojego karku. Ale włosy pachniały inaczej. Zamiast jabłkowego taniego szamponu poczułem jakieś drogie perfumy.

Odsunęła się, ale nadal trzymała mnie za ramiona.

– Dziękuję, że przyjechałeś. Rozumiem... bardzo dobrze rozumiem, że nie masz na to ochoty. Ale powinnam z tobą o czymś porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać.

– W porządku.

– Wejdz. – Dostrzegła kwiaty, które wciąż trzymałem w ręku. – Och, Lincoln, dziękuję. Nie musiałeś...

– To nie ode mnie. Leżały pod drzwiami.

– Aha. – Puściła mnie, wzięła bukiet i zaprosiła do środka.

Przez frontowe drzwi wchodziło się do szerokiego korytarza, z którego świetnie widać było cały dolny poziom budynku – jasne drewno, białe wykończenia, więcej okien niż kiedykolwiek widziałem w jednym domu. Idąc za nią, po lewej stronie miną-

łem pokój wypełniony książkami – choć nikt ich nie czytał – a po prawej pokój z biurkiem i kominkiem. Mógłby służyć za gabinet komuś pracującemu w domu, ale bardziej przypominał ekspozycję ze sklepu meblowego. Ba, właściwie cała rezydencja tak wyglądała. Kiedy mijaliśmy kuchnię, zauważyłem, że na blacie kuchennym i stole nie stała nawet szklanka z sokiem czy solniczka. Wszystko wydawało się sterylne, jakby całe wnętrze zaaranżowano tylko do sesji fotograficznej. Kwiatów i kart z kondolen-cjami przesyłano na kilogramy, ale wszystkie zostały gustownie

ustawione wokół for-terpianu tylko w jednym pokoju, kolejnym po prawej.

Karen weszła do salonu na tyłach domu i usiadła w skórzanym fotelu koloru orzechowego, plecami do rzędu okien wychodzących na dziedziniec. Ja zająłem miejsce na kanapie naprzeciw fotela i zapadłem się w to cholerstwo na dobre trzydzieści centymetrów.

– Wygodna – mruknąłem, zastanawiając się, czy ktokolwiek przede mną na niej siedział.

Nic nie powiedziała, po prostu siedziała i patrzyła na mnie. Chyba nie widzia-

łem jej nigdy aż tak zmęczonej, wyglądała na wyjątkowo wykończoną jak na kobietę w jej wieku i ojej energii. Owszem, była piękna, ale wewnątrz głęboko wyczerpana.

Miała się jednak lepiej niż mąż.

– Zrobić ci drinka? – zapytała.

– Nie. – Nie wytknąłem jej, że nie ma jeszcze nawet jedenastej, a ona zdążyła już napić się wina z kieliszka na stoliku obok.

– Nerwy mam w strzępach – wyjaśniła, śledząc moje spojrzenie. – To mnie uspokaja.

– Jasne.

Upiła łyk. Poczulem, że muszę odwrócić wzrok, jakby to była jakaś niezwykle intymna czynność.

– Jesteś tu sama? – zagadnąłem.

– Moja rodzina właśnie wyjechała. Matka nie czuje się najlepiej.

– Przykro mi.

– Jeśli chodzi o policję...

Przerwałem jej:

– Już mnie przeprosiłaś, choć bez potrzeby. Po prostu robią to, co do nich należy, i to najlepiej jak potrafią, Karen. Byłbym bardziej zaskoczony, gdyby nie przyszli do mnie po zabójstwie twojego męża.

Skrzywiła się. Podniosła kieliszek do ust. Trzymała go w dłoni, kiedy rozległ się długi świdrujący dzwonek telefonu. Wzdrygnęła się, i to tak gwałtownie, że kieliszek wypadł jej z rąk i rozbił się na jasnej drewnianej podłodze. Wino rozlało się kałużą po czym rowkami między deskami zaczęło płynąć w stronę kamiennego podestu wokół

kominka.

Telefon stał na stoliku obok mnie. Podniosłem słuchawkę i pochyliłem się, żeby ją podać Karen. Wbiła się mocniej w fotel, otworzyła szeroko oczy i wyciągnęła rękę, jakby się broniła.

– Nie. Nie teraz, proszę.

Spojrzałem na nią przeciągle, wciąż ze słuchawką w ręku, w końcu odłożyłem ją na miejsce. Dzwonek zabrzączał jeszcze raz i ucichł. Dopiero wtedy Karen podniosła podstawkę zbitego kieliszka i położyła ją na stoliku do kawy. Stała na nim srebrna ramka z fotografią: Jefferson i Karen całujący się na tarasie. Zdjęcie zrobiono pewnie w Paryżu albo w podobnym miejscu. Wbiłem wzrok w plamę rozlanego wina. Wsiąka-

ło w dywanik pod stolikiem, wart pewnie więcej niż cała moja siłownia.

– Przynieść papierowe ręczniki?

– Nic się nie stało.

– W porządku.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. Pod koszulką piersi Karen unosiły się i opadały. Znów przeniósłem wzrok na potłuczone szkło i rozlane wino na podłodze.

– Karen, co się do cholery dzieje?

Wzięła głęboki oddech, poprawiła włosy i pokręciła głową.

– Mój mąż został zamordowany, Lincoln. To się dzieje. Mój mąż został brutalnie...

– Jest coś jeszcze.

– Nie.

– Karen.

Spojrzała w bok, a kiedy znów się odezwała, jej głos brzmiał tak, jakby za chwilę miała się rozchorować.

– Czy ty sobie w ogóle wyobrażasz, co mu zrobili? Oni go torturowali. Pocięli go...

– Słyszałem. I przykro mi. To, przez co teraz przechodzisz... Nie bardzo wiem, co powiedzieć, bo słowa w takiej sytuacji nic nie znaczą. Zwłaszcza moje słowa, jak sądzę.

Zapadła długa cisza.

– Czego więc chcesz? – odezwałem się.

Patrzyła na mnie przez kilka sekund.

– Dobrze ci zapłacę.

Rozłożyłem ręce.

– Za co?

Wielki dom tchnął pustką, jaką można odczuć w ogromnych pomieszczeniach.

Ze swojego miejsca widziałem schody prowadzące na piętro. Korytarz na górze przebiegał nad salonem i kuchnią. Na jego ścianach wisiały obrazy. Poszedłbym o każdy zakład, że żadnego z nich nie wybrała ani Karen, ani Alex Jefferson. We wszystkim wi-dać było rękę dekoratora wnętrz.

– Potrzebuję pomocy. – Pochyliła się do przodu i chwyciła poręcze fotela tak mocno, że paznokciami wbiła się w skórzane obicie. Wzrok utkwiała we mnie.

– W jakiej sprawie?

– Syna Aleksa.

– Nie mam najlepszego podejścia do dzieciaków.

– Muszę odnaleźć syna Aleksa.

Zmarszczyłem czoło i przechyliłem głowę.

– Nie wie, że ojciec nie żyje?

– Nie.

– I nie wiesz, jak się z nim skontaktować? Nie znasz żadnego telefonu, adresu?

– Nie.

– Powiedz glinom, żeby go znaleźli.

– Nie chcę w to mieszać policji... To dziwna sytuacja.

– Czemu?

– Alex nie rozmawiał z nim od kilku lat. Z własnym synem. Zerwali ze sobą kontakt.

– Policja może go odszukać.

– Musi go odszukać ktoś inny. – Powiedziała to przez zaciśnięte zęby, twardo.

– Karen, tu pracują setki prywatnych detektywów. Każdy z nich może to zrobić.

– Potrzebny mi ktoś, komu mogę zaufać.

– A mnie możesz zaufać?

– Tak – odparła bez chwili wahania, zdecydowanie.

Zamiast poczuć się mile połączony, zezłościłem się. Tyle się między nami wydarzyło, a ona wciąż była pewna, że w potrzebie przyjdę jej z pomocą. Że zrobię to, co ona chce, i tak, jak ona chce.

Pokręciłem głową.

– Nie nadaję się do tej roboty, Karen. Przykro mi.

Już miałem wstać i ruszyć do drzwi, kiedy powiedziała:

– On ma dostać w spadku osiem milionów dolarów i o tym nie wie.

– Zerwali ze sobą kontakt, a mimo to dzieciak dostaje osiem milionów?

– Tak. I nawet nie wie, że Alex nie żyje. Potrzebuję kogoś, kto go odnajdzie, żebyśmy mogła o wszystkim go poinformować. I...

– Co?

Spuściła wzrok.

– I nie powinno się to dostać do prasy czy telewizji, Lincoln.

– Co się nie powinno dostać? – przerwałem na chwilę. – To, że Alex Jefferson zerwał kontakty z synem?

Kiwnęła głową, nie patrząc na mnie.

– Aha. Kwestia wizerunku – mruknąłem. – Rozumiem.

Spojrzała na mnie ostro.

– Nie o to chodzi.

Nie odezwałem się. Puściła poręczę fotela, by pochylić się jeszcze bardziej do przodu. Zauważyłem, że ręce jej się trzęsą. Ścisnęła je i wsunęła między kolana.

– Lincoln, wiesz, ile to jest jeden procent od ośmiu milionów dolarów?

– Osiemdziesiąt kawałków.

– To twoje honorarium. Tyle dostaniesz, nawet jeśli będzie to najłatwiejsza sprawa w twoim życiu. Obiecuję. Kiedy go odnajdziesz, księgowy jeszcze tego samego dnia wypisze ci czek.

Joe pewnie już skończył rehabilitację. Dwugodzinna sesja kosztowała go kilka stówek, a

ubezpieczenie nie pokrywało całości takich wydatków. Joe chodził na rehabilitację trzy razy w tygodniu. Już od wielu tygodni. Opłaty za te sesje stanowiły tylko część kosztów leczenia, niektóre rachunki były naprawdę niebotyczne. A w minionym tygodniu nasza agencja zajmowała się tylko tą durną sprawą faceta, co to chciał odzyskać opiekę nad dziećmi i który pewnie nie zapłaci pełnego rachunku.

– Ja i ty nie sprawdzilibyśmy się w relacji detektyw-jego klient – powiedziałem.

– Mogę ci polecić kogoś innego. Kogoś, kto lepiej będzie się do tego nadawał.

– Nie – odparła stanowczo. – Lincoln, proszę... odszukaj go. Ile czasu ci to może zająć?

Z każdą minutą tej rozmowy dom wydawał się coraz większy i coraz bardziej pusty, a Karen sprawiała wrażenie coraz bardziej zmęczonej. Przypomniałem sobie, jak wyglądała w pewną czerwcową sobotę, kiedy wynajęliśmy żaglówkę na wyspach Bass. Mokre włosy przyklejały się jej do twarzy i szyi, śmiała się tak cholernie szczerze.

Z jakiegoś powodu najczęściej wracałem myślami właśnie do tamtej chwili. To wspomnienie dopadało mnie w kuchni, w samochodzie, w trakcie ćwiczeń na siłowni.

Pstryk i nagle widziałem ją na łodzi, jej uśmiech, słońce na skórze i w mokrych włosach – i coś we mnie pękało. Potem myślałem o niej i Jeffersonie i resztę wspomnień wypierał jego triumfujący uśmiech.

– Można kogoś znaleźć w pół godziny, a można też szukać tygodniami. Musiałbym poznać szczegóły.

– Minęło pięć lat.

– Tak dawno zaginął?

– Właściwie to nie zaginął. To znaczy zaginął dla Aleksa.

– Ale więc nie w takim sensie, by trzeba było zgłosić to na policję.

– Właśnie.

Podniosłem rękę i przeczesalem palcami włosy. Spojrzałem na podłogę.

– Gdzie jest jego matka? Z nią też zerwał kontakt?

– Nie. Zmarła jakieś dwa lata po rozwodzie. Matthew miał wtedy chyba około czternastu lat. Przeprowadziła się do Michigan. On wrócił do Aleksa i mieszkał u niego, dopóki nie poszedł na studia. Zerwali kontakt, kiedy Matthew zaczął studiować prawo.

– Nazywa się Matthew Jefferson?

– Tak.

– Bardziej popularną kombinację trudno sobie wyobrazić. Tylko w naszym hrabstwie mieszka pewnie kilkuset Matthew Jeffersonów. Potrzebuję więcej szczegó-

łów. Data urodzenia, numer ubezpieczenia, wszystko, co masz.

– Dostaniesz je po południu.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią.

– Honorarium, o jakim mówiłaś, jest absurdalne. Prawdopodobnie zajmie mi to dzień, góra dwa. Tak czy inaczej policzę ci normalną stawkę.

– Dostaniesz tyle, ile obiecałam.

Osiemdziesiąt kawałków za rutynowe poszukiwania. Zdarzało mi się robić takie rzeczy za dwieście dolców. Jak znam życie, koszty nie powinny przekroczyć tej sumy.

– Przypomniało mi się, że kiedyś pożyczyłaś ode mnie stówę na ratę za samochód – powiedziałem.

Starła się patrzeć na mnie bez emocji, ale jej się nie udało. Po chwili odwróciła wzrok.

– Zadzwoń do mnie i podaj mi te szczegóły. Odszukam go dla ciebie i będziemy kwita. Dobrze?

Nie odpowiedziała, ale kiwnęła głową. Wstałem i zawahałem się: podejść do niej, przytulić ją, położyć rękę na ramieniu, coś zrobić? Nie. Wyszedłem z domu.

Rozdział 3

Joe leżał na plecach na podłodze w salonie i ścisnął w rękach kij od szczotki.

Oparłem się o framugę i patrzyłem, jak unosi go od pasa łukiem do góry. Zdrowy człowiek potrafiłby unieść kij za głowę. Joe dochodził mniej więcej do poziomu brody i zaczynał się krzywić. Na twarzy występował mu pot i kiedy przypominał sobie o od-dychaniu, dyszał ciężko. Zmrużył oczy i widziałem, jak napina mięśnie szczęki, zaciskając zęby. Kij drgnął, ale przesunął się tylko nieznacznie. Joe trzymał go tak przez chwilę, znów wziął oddech i znów spróbował podnieść go jeszcze centymetr. Nie udało się. Wypuścił powietrze i położył kij z powrotem na wysokości pasa.

– Nie miałaś rano rehabilitacji? – zapytałem.

– Miałem. – Zmienił lekko pozycję na podłodze i znowu zaczął ćwiczyć.

– Wracasz z terapii i od razu zaczynasz wszystko od nowa? W ogóle nie odpoczywasz?

– Czeka mnie ciężka praca.

Pokręciłem głową, odsunąłem się od framugi i wszedłem do salonu. Wkładał w to mnóstwo wysiłku – pewnie więcej, niż chcieliby prowadzący go lekarze i rehabilitanci – ale to był cały Joe. Za

dobrze go znałem, żeby się dziwić, i na pewno za dobrze, żeby próbować go zniechęcać.

Wziął kolejny krótki haust powietrza. Odwróciłem wzrok – minęły już prawie trzy miesiące, a ja wciąż nie mogłem na to patrzeć. Tak to jest, kiedy ktoś dostaje kulkę zamiast ciebie.

– Słyszałeś o Aleksie Jeffersonie? – zapytałem, siadając na kanapie.

Opuścił kij i odłożył go na bok. Potem usiadł, sapiąc, wierzchem dłoni otarł pot z twarzy i spojrzał na mnie.

– Tak, słyszałem. Chyba nie przyszedłeś, żeby się wypowiedzieć?

– Nie.

Uśmiechnął się.

– Musiałem się upewnić. Co o tym sądzisz?

– Przypuszczam, że był palantem pod każdym względem, więc nietrudno sobie wyobrazić, że ktoś chciał go kropnąć. – Przerwałem. – Byli u mnie gliniarze.

– W sprawie Jeffersona? – Joe zaczął wstawać. Kosztowało go to trochę czasu i wysiłku.

Na początku lata biegaliśmy kilka razy w tygodniu. Joe oddychał bez trudu nawet podczas sprintu pod górę i śmiał się ze mnie mimo sześćdziesiątki na karku. Teraz męczył go nawet dłuższy spacer.

– Aha.

Wyszedł z salonu do kuchni. Siedziałem przez chwilę sam, po czym wstałem i dołączyłem do niego. Nalał sobie szklankę wody i opierając się o zlew, upił z niej łyk.

Kilka kropel pociekło mu po szyi. Miał na sobie szare spodnie od dresu i koszulkę drużyny Cleveland Browns. Jeszcze przed kilkoma miesiącami na palcach jednej ręki mogłem policzyć przypadki, kiedy w dzień powszedni widziałem Joego bez krawata.

Gdy dopijał wodę i nalewał sobie kolejną szklankę, wyglądałem przez okno i patrzy-

łem, jak wiatr niesie liście po chodnikach i zdmuchuje je na Chatfield Avenue.

– Mocno cię przycisnęli? – zapytał.

– Gliniarze? Skąd. – Odwróciłem się. – Dzwoniła też Karen.

Opuścił szklankę i przez chwilę płukał usta wodą, by w końcu ją połknąć, jakby poczuł nieprzyjemny smak.

– Karen – powtórzył. – Poważnie?

– Tak. Mówiła, że nie ona nasłała na mnie policję. I że chce poprosić o przysługę.

Joe odstawił szklankę na blat i westchnął, jakby spodziewał się tej ostatniej wiadomości. Opowiedziałem mu, w czym rzecz, a on wysłuchał wszystkiego bez słowa.

– Zgodziłeś się?

– Joe, to osiemdziesiąt kawałków. Za zwykle odszukanie człowieka. Potrzebna nam kasa.

– LP, osiemdziesiąt kawałków to jakaś absurdalna suma.

– Wiem. Tyle że czego jak czego, ale pieniędzy jej nie brakuje. Wystarczyło rozejrzeć się po tym domu.

– I naprawdę przyjmiesz te pieniądze? Osiemdziesiąt tysięcy dolarów za sprawę, którą normalnie wziąłbyś za mniej niż tysiąc?

Popatrzyłem mu w oczy.

– Mówiłem jej, że to za dużo. Ale jeśli wypisze ten czek, zrealizuję go, możesz mi wierzyć.

– Tyle jest ci winna, co?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Przydałyby się nam pieniądze, a ona nie będzie za nimi tęsknić. Koniec, kropka.

– W porządku. W końcu ty jesteś szefem.

– Przynajmniej do twojego powrotu.

Nie skomentowałem, tylko wylałem resztę wody do zlewu i wróciłem do salonu. Stałem i obserwowałem go. Wprawdzie z barkiem nadal było kiepsko – Joe miał ograniczoną swobodę ruchu i czuł wyraźny ból – ale jego stan znacznie się poprawił. Mógł prowadzić samochód, mógł siedzieć przy biurku i odbierać telefony albo pracować przy komputerze. Mimo to siedział w domu, ćwiczył, czytał książki i oglądał kanał sportowy ESPN Classic. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, kiedy wróci, lecz zawsze byłem pewien, że ten powrót nastąpi. Jednak od kilku tygodni poważnie w to wątpiłem.

Poszedłem za nim do salonu. Usiadł w starym fotelu w kącie i położył nogi na ławie. Klapnąłem na kanapę i patrzyłem na niego. Chciałem go zapytać prosto z mostu, kiedy zamierza wrócić, ale nie zapytałem. Może dlatego, że próbowałem zachować cierpliwość, a może bałem się usłyszeć odpowiedź.

– Właściwie nie wiem, od czego zacząć poszukiwania młodego Jeffersona –

powiedziałem. – Trochę to wszystko dziwne. Zniknął pięć lat temu, jeszcze zanim Karen weszła do rodziny, więc ona niewiele o nim wie. Mówi, że od tamtego czasu nie było z nim kontaktu i że dostarczy jakieś dane urzędowe, ale to trochę mało.

– Kiedy dostaniesz te dane, możesz zacząć od komputerowych baz danych.

– No tak. Zobaczmy tylko, co mi to da. – Przechyliłem głowę, patrząc na niego. – Nie będziesz mnie namawiał, żebym sobie dał spokój z tą sprawą?

– I tak już zdecydowałeś się ją wziąć. Zresztą wygląda to na prostą robotę. –

Podniósł książkę ze stolika i położył sobie na kolanach. Spodziewałem się pytań o moją reakcję emocjonalną na Karen, ostrzeżeń o ryzyku... ale najwyraźniej nasza rozmowa dobiegła końca.

– Chyba muszę już iść – powiedziałem.

– W porządku. – Otworzył książkę. – Miło, że wpadłeś.

– Uhm.

Idąc przez kuchnię, usłyszałem jakiś ruch. Obróciłem się i zobaczyłem, że Joe naciąga koc na nogi i mości się z książką. Na chwilę zamarłem. Owinięty kocem pochylił siwą głowę i zaczął czytać. Pod koszulką rysowały się ramiona.

Joe Pritchard wyglądał staro.

Podniósł głowę i zorientował się, że go obserwuję. Odwróciłem się szybko, jakby przyłapano mnie na czymś wstydlwym, i ruszyłem do drzwi wejściowych. Wyszedłem z domu. Do pracy. Sam.

Termin „osoba zaginiona“ niesie ze sobą skojarzenia z porwaniem, przemocą, tajemnicą i koszmarem. Każdego miesiąca zajmuję się dziesięcioma sprawami zagi-nionych osób, ale większość z nich nie ma nic wspólnego z tymi konotacjami. Z moich doświadczeń wynika, że ludzie giną zwykle dla niewielkiej części swojego świata. Po-dróżują, żenią się lub wychodzą za mąż, rozwodzą i wstępują w kolejne związki. Dostają i tracą pracę. Wtedy tracą kontakt z pewnymi obszarami życia. Moim zadaniem jest określić obszar, z jakim kontaktu nie stracili, i za pomocą odpowiednich narzędzi wysledzić zaginionego lub zaginioną. A oni czasami chcą, żeby trudno było ich odnaleźć. Tak jest z tymi, którzy zostawiają za sobą problemy – kłopoty z prawem, niespłacone długi czy niechciane obowiązki rodzinne. Bywa też, że ludzie po prostu znikają z pola widzenia, bo nikt nie interesuje się, dokąd wyjeżdżają.

Nie wiedziałem, do której kategorii zalicza się Matthew Jefferson, ale czułem, że mam spore szanse znaleźć go szybko i łatwo. Pochodził z szacownej i majątnej rodziny, miał czynne konta bankowe, samochody zarejestrowane na swoje nazwisko, może i kredyt hipoteczny. Najtrudniej jest odnaleźć ludzi, których życie jest w ciągłej rozsypce. Takich, którym zawieszono prawo jazdy, którzy nie posiadają majątku, kredytu, znajdują dach nad głową u rodziny, przyjaciół czy u kogoś, kogo mogą

nacią-

gnąć na miesiąc mieszkania bez czynszu. Nie sądziłem, by syn jednego z najbardziej renomowanych adwokatów w Cleveland należał do tej kategorii.

Myliłem się. Myliłem się przynajmniej co do tego, że będzie łatwo go znaleźć.

Karen nagrała się na automatyczną sekretarkę: podała mi datę urodzenia, numer ubezpieczenia i prawa jazdy Matthew Jeffersona. Nie wiem, jak je zdobyła, ale i tak te informacje niezbyt mi pomogły. Prawo jazdy straciło ważność przed trzema laty, kiedy Jefferson miał dwadzieścia sześć lat. Teraz miał dwadzieścia dziewięć i według naj-

świeższej wzmianki w komputerowych bazach danych, do jakiej dotarłem, mieszkał w Bloomington w stanie Indiana. Znalazłem kilka jego adresów w tym mieście, same apartamenty. W Bloomington mieści się Uniwersytet Stanowy Indiany. Może Matthew Jefferson tam studiował?

Amy Ambrose podała mi kiedyś adres świetnej strony z odnośnikami do inter-netowych wydań gazet z całych Stanów. Wszedłem na tę stronę i znalazłem jakieś studenckie czasopismo wydawane na Uniwersytecie Indiany. Wpisałem w wyszuki-warkę: Matthew Jefferson, i otrzymałem w wyniku kilka stron. Znalazłem jakiegoś Matta Jeffersona, gwiazdę lekkiej atletyki, a potem wzmiankę sprzed kilku lat o jakimś Matthew Jeffersonie, który zdobył kilka wyróżnień na studiach prawniczych. Wymie-niono w niej miasto, z którego pochodził: Pepper Pike, stan Ohio.

– Mam cię, Matt.

Sprawdziłem palestry w Indianie i Ohio oraz dwie ogólnokrajowe bazy prawnicze, ale nie znalazłem żadnego śladu, by poszukiwany przeze mnie Matt Jefferson za-czął w ogóle praktykę prawną.

Następnie wpisałem jego numer ubezpieczenia społecznego do bazy wydziału komunikacyjnego stanu Ohio, znalazłem jednak tylko numer nieważnego już prawa jazdy. Zaskoczony, lecz nie zmartwiony spróbowałem przeszukać bazę danych kredytowych. Wbrew powszechnemu przekonaniu prywatni detektywi nie mają dostępu do szczegółowych danych o kredytobiorcach i kredytach, ale mamy dostęp do „nagłów-ków“, czyli tej części wniosków kredytowych, w których podaje się adres i datę złożenia. Jeśli ktoś ubiega się o kartę kredytową, pożyczkę czy coś w tym rodzaju, co najmniej jedno z dużych biur informacji kredytowych odnotowuje datę złożenia wniosku i adres, jakim posługuje się wnioskodawca. Numer ubezpieczenia społecznego Matthew Jeffersona pozwolił mi odnaleźć adres w Indianie, w Nashville. Pojawiał się on sześć razy w ciągu ostatnich kilku lat.

Wyjąłem atlas drogowy i poszukałem mapy Indiany. Nashville jest niewielkim miasteczkiem w hrabstwie Brown, jakieś pięć, sześć godzin samochodem od Cleveland.

– Chyba wybiorę się w podróż – powiedziałem. – W budżecie na pewno nie za-braknie na to pieniędzy.

Roześmiałem się, ale nikt mi nie zawtórował. Coraz częściej mówiłem sam do siebie, zwłaszcza w biurze. Czasami było prawie tak jak wtedy, gdy pracowaliśmy razem z Joem – gdy sam śmiałem się z

własnych dowcipów i nikt poza mną.

Zadzwonił telefon, odebrałem na głośnomówiącym.

– Wyłącz to cholerstwo, słycać cię, jakbyś mówił z jaskini – powitała mnie Amy Ambrose.

– Włączam je tylko przy niektórych telefonach. Kiedy wiem, że dzwoni ktoś, kto potrafi gadać godzinami i mógłbym dostać skurczu szyi, trzymając słuchawkę przy uchu.

– Przeszabawne. Joe już wrócił?

– Nie – odpowiedziałem i odechciało mi się żartować. – Nie wrócił i nawet nie wspomina, kiedy mogłoby to nastąpić. Szczerze mówiąc, miałem go dzisiaj zapytać, czy w ogóle wróci. Sam już nie jestem tego pewien.

– Powinieneś być zapytać.

– Pewnie tak. – Na chwilę zapadła cisza, po czym zmieniłem temat. – Słuchaj, co robisz przez dwa najbliższe dni?

– Piszę świetne artykuły, jak zwykle.

Poznałem Amy, kiedy pracowała nad tekstem do gazety o zamordowanym li-cealiście, który chodził do mojej siłowni. Po trudnym wstępie zostaliśmy przyjaciółmi, a teraz wraz z Joem Amy tworzyła maleńki krąg ludzi, którym ufałem całkowicie.

– To coś ważnego? – zapytałem.

– Nieszczególnie. A czemu pytasz?

– Bo może wybrałabyś się ze mną na wycieczkę. Piękne krajobrazy południowej Indii.

– Hm.

– No nie daj się prosić, kukurydza o tej porze roku wygląda bajecznie. Kobiety zwykle mdleją na jej widok.

– Rozumiem. To znaczy, że zrobiłeś drobny postęp i zamiast sztubackich dowcipów na temat mojego tyłka, zaczynasz teraz proponować romantyczne wycieczki?

– Myślałem, żeby połączyć dwa w jednym.

Zawahała się.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Mam klienta, który obsypuje mnie dziesiątkami tysięcy dolarów, żebym odnalazł

pewnego dziedzica fortuny. Wiesz co, mógłbym chyba nawet wystawić na ciebie rachunek jako na podwykonawcę, gdybyś się jakoś włączyła, na przykład pottrzymała mi gnata.

– Sam sobie trzymaj gnata, żołnierzu.

– W takim razie nie zarobisz. Ale mówię poważnie. Nie przejechałabyś się na wycieczkę? Dwa dni w tę i z powrotem.

– Może. Rano muszę udzielić wywiadu, ale pewnie wyrobiłabym się do dziesiątej.

– Super – powiedziałem i choć pomysł był spontaniczny, cieszyłem się, że Amy się zgodziła. Miałem już dość pracy w pojedynkę.

– Co to za klient? – zapytała.

– Karen Jefferson.

Cisza.

– Pracujesz dla kobiety, z którą byłeś kiedyś zaręczony. Dla kobiety, której dopiero co zamordowano męża. Tego, dla którego cię zostawiła.

– Właśnie dla niej.

– Odwaliło ci? Dlaczego się w to ładujesz?

– To łatwy zarobek. Bez podtekstów.

– Lincoln, daj spokój. Wysil się na lepszą wymówkę.

– Nie będę się silił, bo to prawda. Gliniarze wypytywali mnie o Jeffersona. Dowiedziała się o tym i zadzwoniła, żeby mnie przeprosić. Potem poprosiła, żebym odszukał syna Jeffersona. Ma dostać w spadku kilka milionów i o tym nie wie. Nie wie też, że ojciec nie żyje.

Amy milczała.

– Możesz sobie powątpiewać, ile chcesz, Amy, ale robię to wyłącznie dla pieniędzy. Obiecała mi ich naprawdę sporo, a agencji przyda się kasa, zwłaszcza że Joe nie pracuje, tylko zbiera kolejne rachunki od lekarzy.

– W porządku – odparła krótko.

– Muszę trochę popracować. To co, widzimy się rano? Jeśli chcesz, przez całą drogę możesz mi truć, że nie powinienem brać tej sprawy.

– Do jutra – pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Westchnąłem i też się rozłączyłem. Nie liczyłem, że Amy będzie zachwycona tym, co zrobiłem, ale miałem nadzieję, że nie weźmie sobie do serca mojej sugestii i nie będzie mi suszyć głowy przez całą drogę.

Przez kilka godzin kończyłem jedyny raport, jaki został mi do napisania. Kiedy nie ma innych pilnych spraw, można sobie pozwolić na dopieszczanie szczegółów. Ale na taki luksus większość drobnych przedsiębiorców zwykle nie może sobie pozwolić.

Kiedy raport był gotowy, zamknąłem biuro i wróciłem do domu. Przebrałem się i postanowiłem poćwiczyć w siłowni. Z godzinę wyciskałem sztangę, po czym wyszedłem pobiegać. Kiedy wracałem, w powietrzu czuło się mrozek, słońce zaczęło zachodzić, a budynek krył się już w cieniu. Stałem na chodniku i porozciągałem się. Patrzyłem na dwa piętra kamienicy, która stała się moim domem po tym, gdy pobiłem się z Alekssem Jeffersonem, co zakończyło moją karierę w policji. Pomyślałem o Karen w ekstrawaganckim domu w pobliżu klubu country, o tym, jak pusty wydawał się ten dom rano. Zastanawiałem się, czy o zachodzie słońca jest jeszcze bardziej pusty.

Rozdział 4

Amy przyjechała do mnie zgodnie z planem o dziesiątej rano. Wjechała acurą-

na wolne miejsce obok mojej ciężarówki i zatrzymała się gwałtownie, kiedy przednimi kołami uderzyła w blokadę. Wrzuciła wsteczny i cofnęła kawałek.

– Orzeł wylądował ~ powiedziałem.

Stałem w drzwiach do kantorka w siłowni i rozmawiałem z Grace. Poprosiła mnie o zdalną diagnozę samochodu, który zaczyna od „prychającego prychania“, a przy szybkości autostradowej dochodzi do „klekoczącego klekotania“. Zaleciłem jej wizytę u zawodowego mechanika, a kiedy obruszyła się, zaproponowałem, by jeździła w słuchawkach na uszach.

– Hej – powitała mnie Amy.

Ubrana była w dżinsy i cienką kurtkę narzuconą na białą bawełnianą koszulę.

We włosach miała zatknięte okulary przeciwsłoneczne. Mniej więcej przed dwoma miesiącami wyprostowała swoje ciemnoblonde loki, a ja jeszcze do tego nie przywykłem. Wyglądały świetnie, ale brakowało mi tej beztroski, jaką miały jej naturalne kę-

dziorki.

– Wybierasz się bez bagażu? – zapytałem, wychodząc z nią na parking. Na ramieniu niosła tylko małą torebkę i nic więcej.

– Nie. – Oparła się o maskę swojego auta, wyciągając nogi. – Chyba nie pojedę z tobą na tę wycieczkę.

Zmarszczyłem brwi.

– Masz robotę czy z jakiegoś powodu zmieniłaś zdanie?

Patrzyła mi przez chwilę w oczy, w końcu odwróciła wzrok.

– Wycofujesz się tylko dlatego, że pracuję dla Karen? – drażyłem.

– Nie.

– W porządku. Nie o to chodzi, nie chodzi też o robotę. Jeszcze wczoraj byłaś gotowa wybrać się ze mną, a dziś zmieniłaś zdanie. Co się stało?

Westchnęła, zdjęła okulary i przeczesła włosy dłonią.

– Dlaczego chcesz, żebym z tobą pojechała?

Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na nią zdziwiony.

– Pomyślałem, że będzie mi przyjemniej i że tobie też może się spodobać taka wycieczka.

– Dlaczego?

– Dlaczego miałyby ci się spodobać?

– A tobie? Dlaczego podobałaby się bardziej, gdybym pojechała?

Jako dziecko byłem kiedyś na obozie. Tam, gdzie po stawie pływały małe drewniane wysepki. Część z nich mogła utrzymać człowieka, inne natychmiast tonęły pod jego ciężarem. Próbowaliśmy pokonywać staw, skacząc z jednej wysepki na drugą. Po każdym skoku można było się skąpać w wodzie, ale nikt nie wiedział, po któ-

rym to się stanie. Dyskutując teraz z Amy, czułem dokładnie to samo, co wtedy, kiedy skakałem przez staw.

– Dlaczego podobałaby mi się bardziej? – powtórzyłem jak echo. Ilekroć w rozmowie z kobietą mężczyzna zaczyna powtarzać pytania, jest ugotowany.

– Tak.

– Pomyślałem, że byłoby mi różniej w tej długiej drodze. Zaczyna mnie męczyć praca w pojedynkę.

– Więc chcesz, żebym zastąpiła ci Joego?

– Co? Nie. – Pokręciłem głową i odsunąłem się o krok. – Uznałem, że będziemy się dobrze bawić, tak jak zwykle. Że pośmiejemy się, poprzekomarzamy, a wtedy dłu-ga nudna podróż może okazać się całkiem fajna.

– A więc przydaję się do przekomarzania.

– Amy. – Popatrzyłem na nią ostro. – O co do cholery chodzi? Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu, a ty dziwisz się, że zaproponowałem ci ten wyjazd?

– Nie mam zamiaru bawić się z tobą w Sundance'a Kida i Butcha Cassidy'ego.

Nie tylko teraz, nie tylko podczas tej wycieczki. Ale w ogóle.

Parsknąłem śmiechem i rozłożyłem ramiona.

– Co cię nagle ugryzło? Jesteśmy przyjaciółmi od prawie dwóch lat. Dopadł cię nagle kryzys tożsamości?

– Ile trwałych związków miałeś w ciągu ostatnich dwóch lat, Lincoln?

Opuściłem rękę.

– Tak mniej więcej? Zero.

Nie uśmiechnęła się.

– A ja?

– Umawiałaś się z paroma kretynami.

– Mówię o trwałych związkach.

– Zero.

– Właśnie. – Splotła dłonie na piersiach. – Uważasz, że to tylko przypadek? A może się mylę?

– Pewnie nie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Sam widzisz. Tak, znam twoją śpiewkę: nie jesteś dobry w związkach, a przyjaźń jest zbyt ważna, żeby ją zniszczyć. Ale tak wygląda sytuacja.

– Więc nie zgadzasz się z...

– Nie mówię, że się z czymś nie zgadzam, mówię tylko, że muszę przemyśleć sobie parę rzeczy i może inaczej pokierować swoim życiem.

– I tak cię to naszło zniecka akurat dzisiaj rano.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Jeśli wydaje ci się, że mnie to naszło znieścacka, to znaczy, że waszej agencji naprawdę brakuje dobrych detektywów.

Ktoś zaparkował obok nas. Jeden ze stałych bywalców siłowni. Wysiadł z samochodu i uznał, że to świetna okazja, żeby pogawędzić pięć minut o sporcie i pogodzie. Uśmiechałem się i przytakiwałem przez cały czas. Amy włożyła okulary i się wyprostowała.

– Pogadamy w środku – powiedziałem mojemu klientowi i uniosłem rękę, żeby przerwać mu słowotok. – Okej?

Wszedł do budynku, a ja odwróciłem się do Amy. Już otwierała drzwi do auta.

– Amy...

– Mam trochę roboty, a ty musisz jechać do Indiany czy gdzieś tam. Porozmawiamy, kiedy wrócisz, dobrze?

Nie odpowiedziałem. Wsiadła do auta i odjechała, a ja zakląłem głośno i usiadłem na blokadzie parkingowej. Po chwili otworzyły się drzwi i Grace wystawiła przez nie głowę.

– Wszystko w porządku, szefie?

Spojrzałem na nią.

– Wiesz może, co się dzieje, kiedy przyjaźń zaczyna prychnąć, a potem stopniowo klekocząco klekotać?

– Jasne, że wiem – odparła. – To znaczy, że coś pan spieprzył.

– Ahaaa. A jak to naprawić?

– Trzeba przestać się bać – wyjaśniła i wróciła do kantorka.

– Zwalniam cię – powiedziałem do zamkniętych drzwi. Wstałem i wsiadłem do ciężarówki.

Kiedy trzeci raz poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła podczas ostrego zjazdu, pomyślałem, że ta część Indiany zupełnie nie przystaje do moich wyobra-

żeń. Mniej więcej po pięciu godzinach drogi od Cleveland minąłem Bloomington i skręciłem na wschód, w kierunku Nashville. Między tymi dwiema miejscowościami jak wąz wiła się przez góry zwykła dwupasmówka, dowód makabrycznego poczucia humoru jej projektanta. Najpierw dusiłem gaz do dechy, każąc ciężarówce ostro się wspinać z wyciem silnika, a za chwilę równie mocno dusiłem w podłogę pedał hamulca, bo nie chciałem na stromym zjeździe przerazić kierowcy jadącego przede mną.

Droga była tak kręta, że nie mogłem oderwać wzroku od asfaltu, ale w tych rzadkich chwilach, kiedy mi się to udawało, rzeczywiście miałem co podziwiać. Jak okiem się-

gnąć ciągnęły się piękne góry, a dalej gęste lasy o kolorach tak żywych, że nawet najlepszy aparat nie oddałby ich głębi.

Po mniej więcej półgodzinie jazdy dwupasmówką, którą musieli chyba zaprojektować protoplaści projektantów kolejek górskich, trafiłem na korek tak długi, że uznałem, iż albo zdarzył się wypadek, albo rozpoczęły się roboty drogowe po sezonie.

Naczekałem się więc na wjazd do Nashville. Dopiero po dziesięciu minutach udało mi się wjechać na główną ulicę, która przecinała miasteczko, ale jak na ironię nazywała się Van Buren, podczas gdy Główną nazwano jakąś odchodzącą od niej małą drogę boczną.

W miasteczku najwyraźniej obowiązywały specyficzne przepisy budowlane; należało budować domy z bali, starych desek, kryte gontem. Nashville wyglądało jak wioska w Nowej Anglii z przełomu wieków. Gdyby ktoś jednak tego nie zauważył, na wszelki wypadek wszystkie sklepiki i punkty usługowe miały w nazwie słowo „tradycyjny“ okraszony różnymi archaizmami: Tradycyjna Karczma z Jadłem Regionalnym.

Nie ma to jak właściwa atmosfera.

Po chodnikach kręciły się tłumy ludzi z torbami pełnymi zakupów. Na małych publicznych parkingach trzeba było stać w kolejce aut. Widziałem samochody z rejestracjami z Karoliny Północnej, Florydy, Arizony i Ontario. Nie przyszło mi do głowy, żeby zarezerwować hotel, bo pomyślałem, że w takim jak to miasteczku coś się zawsze znajdzie. Teraz jednak zrozumiałem, że chyba popełniłem błąd. Zatrzymałem się przy pierwszym napotkanym hotelu, mniej więcej w połowie drogi pod górkę przez Nashville. Na parkingu oczywiście był tłok, więc podjechałem pod wejście, włączyłem światła awaryjne i wszedłem, żeby zapytać o pokój. Recepcjonistka uśmiechnęła się, kiedy usłyszała to pytanie.

– Nie zrobił pan rezerwacji?

– Nie.

– Mamy październik.

– Nie da się ukryć.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Pan nie stąd, prawda?

– Nie stąd.

– Jeśli chce pan w październiku zatrzymać się w Nashville, musi pan zrobić rezerwację.

Rozejrzałem się, pomyślałem o ulicy, którą jechałem, i zacząłem się zastanawiać, jakież to wielkiej atrakcji tej miejsciny nie zauważyłem.

– Bez obrazu. Ale dlaczego są tu takie tłumy?

– Z powodu liści.

– Liści?

– Liści, takich na drzewach – wyjaśniła.

– Ludzie zjeżdżają tu z całego kraju, żeby oglądać liście?

– Niech pan się trochę pokręci, rozejrzy się. Sam pan się przekona. No i można porobić zakupy.

– A jakże. – Spojrzałem na moją ciężarówkę. – Może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę najbliższy hotel z jakimś wolnym pokojem?

– Pewnie w Bloomington. Jakies trzydzieści minut drogi stąd. Dziś wieczorem niczego bliżej pan nie znajdzie. Przykro mi.

Skoro znalezienie noclegu w okolicy jest misją niewykonalną, to może uda mi się załatwić to wszystko błyskawicznie i jeszcze dziś wrócić do domu, pomyślałem. W

końcu muszę tylko odszukać syna Jeffersona i przekazać mu wieści. Nie jechało się tak źle, a na pewno lepsze to, niż tułać się od hotelu do hotelu i żebrać o wolny pokój.

– Przyjechałem, żeby przekazać komuś wiadomość – powiedziałem. – Człowiek mieszka przy autostradzie nr 135. To gdzieś w pobliżu?

Kiwnęła głową

– Niech pan jedzie dalej pod górę. Van Buren dochodzi do tej autostrady.

Podziękowałem jej i wróciłem do ciężarówki. Podjechałem do wyjazdu z parkingu; okazało się, że będę musiał poczekać z pięć minut, żeby w ogóle włączyć się do ruchu.

– I to wszystko z powodu liści – mruknąłem, rozglądając się wokół.

Ale, do licha, liście rzeczywiście wyglądały zjawiskowo. Karmazynowe, pomarańczowe i bordowe – widać je było wszędzie, rozlewały się plamami po otaczających miasteczko wzgórzach. Pachniało nimi rześkie powietrze. Czuć było też zapach deszczu i dymu z palonego drewna. Nie pochodzę ze wsi i nawet w betonie potrafię dostrzec piękno, jakie inni ludzie znajdują głęboko w lesie, muszę jednak przyznać, że akurat jesień w mieście jest zupełnie do bani.

Matthew Jefferson mieszkał mniej więcej kilometr dalej, w jednej z czterech chat z bali przy zataczającej koło żwirowce. Skrzynki pocztowe wszystkich chat stały razem na końcu podjazdu, a na domkach nie widziałem żadnych numerów. Wysiadłem z ciężarówki i rozglądałem się, szukając jakiegokolwiek śladu numeracji, kiedy otworzyły się drzwi największego domku. Wyszła z niego siwowłosa kobieta i skierowała się do zaparkowanej w pobliżu hondy.

– Przepraszam – zaczepiłem ją. – Czy pani tu mieszka?

Spojrzała na mnie z rezerwą.

– Tak, wynajmuję ten domek. Ale nie jestem właścicielką.

– Szukam jednego z pani sąsiadów.

– Aha. – Uśmiechnęła się i przełożyła na drugie ramię torbę, która musiała chyba ważyć ze trzydzieści kilo. – Dużo ludzi o tej porze roku pyta, czy nie można tu gdzieś kupić domu. To nic, że nie ma tabliczki „Na sprzedaż“, i tak się zatrzymują. My tu tylko wynajmujemy chatki, a i tak co roku mamy z dziesięć ofert kupna.

– Ja nie szukam domu. Szukam jednego chłopaka, Matta Jeffersona. Zna go pani może?

– Matta? Jasne. Mieszkał długo pod dwójką. – Wskazała na domek za moimi plecami.

– Ale już nie mieszka?

Pokręciła głową, a ja sam chciałem zrobić to samo, kiedy uświadomiłem sobie, że tłułem się tu sześć godzin, by trafić pod nieaktualny adres.

– Nie wie pani przypadkiem, dokąd się wyprowadził?

– Wiem. Do małego mieszkanka w miejscu pracy.

– A czym się zajmuje?

– Zbiera jabłka.

Uniosłem brwi.

– Poważnie?

Przytaknęła.

– Kawalek dalej, pod Morgantown. Jest tam wielki sad. Matt zarządza tam... no jak to się nazywa... zbiorami.

– Zbiorami – powtórzyłem. – Zarządza zbiorami jabłek.

– Aha.

Kiedy Matthew Jefferson dał ostatnio znak życia, studiował prawo, był synem znanego i bogatego adwokata, gwiazdy mu sprzyjały. A teraz kieruje zbieraniem jabłek w małym miasteczku w Indianie? Naprawdę intrygująca odmiana.

– Może mi pani powiedzieć, jak trafić do tego sadu?

Zaczęła mi objaśniać, ale kiedy po raz szósty powiedziała „i wtedy znowu skręci pan w lewo“, uznałem, że lepiej pójść do ciężarówki po kawałek papieru i długopis.

Choć zapisałem sobie wskazówki, prawie godzinę szukałem sadu. Skrzyżowania rozmieszczono równo, co osiem kilometrów, więc kiedy człowiek przegapił skręt, mógł się o tym przekonać dopiero po dłuższej chwili. Mało tego, wielu dróg nie oznakowano, toteż przegapić skręt było bardzo łatwo. Nie wybudowano też w okolicy stacji benzynowych i pocieszałem się myślą, że jeśli szybko nie trafię do celu, będę musiał dalej iść pieszo. Sytuacje ekstremalne to mój żywioł.

W końcu jednak wyjechałem zza zakrętu i zobaczyłem malowany ręcznie szyld z napisem: „Imperium jabłek – pięć kilometrów i w lewo“. Ktoś inteligentnie dał sobie spokój z podaniem nazwy ulicy, wiedząc zapewne, że tabliczki i tak na pewno nie ma.

Przejechałem pięć kilometrów, skręciłem w lewo i znalazłem wreszcie sad.

Głównym budynkiem była długa czerwona szopa wśród wysokich drzew; stały w niej rzędy beczek i skrzynki pełne jabłek. Przed otwartymi drzwiami piętrzyła się gó-

ra dyń. Na niebie zbierały się chmury. Słońce, które wcześniej mocno świeciło, teraz schowało się za cienkim woalem szarości. Podszedłem do szopy i zajrzałem do niej. W

środku kobiety podnosiły jabłka do światła i marszcząc czoło, sprawdzały, czy nie ma na nich choćby najmniejszej skazy. Za kasami z przodu szopy stały dwie nastolatki, ale ciągnęły się do nich długie kolejki. Z pewnością musiał tu być jakiś kierownik czy nad-zorca. Przeszedłem przez szopę, a potem wyszedłem na zewnątrz, kierując się strzałką z napisem „Tłocznia win“.

Wzdłuż kamiennej ścieżki prowadzącej do altany nad wielkim stawem rosły rzędy późnych kwiatów. Po drugiej stronie stawu wznosiły się zalesione zbocza gór.

Kolory drzew wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe przy zachmurzonym niebie. Nigdzie żywego ducha. Cicho i prywatnie. Popatrzyłem na altanę i pomyślałem, że nieźle byłoby spędzić tu popołudnie przy butelce szampana. Dobrze, że Amy nie zdecydowała się na podróż, bo wtedy kusiłoby mnie, by zrealizować ten pomysł.

Obszedłem szopę od tyłu, szukając tłoczni win, i tuż za rogiem zobaczyłem wysoką metalową maszynę, z której dochodziło ciche bulgotanie. Jakaś rudowłosa kobieta z tacą małych papierowych kubków wypełnionych płynem orzechowego koloru odwróciła się do mnie.

– Proszę skosztować.

– Właściwie to szukam...

– Proszę skosztować – powtórzyła.

Widząc jej spojrzenie, pomyślałem, że jeśli odmówię, czeka mnie coś niedo-brego, na przykład przymusowa kąpiel w karmelu i wytarzenie w orzechach.

Chwyciłem papierowy kubek i upiłem łyk.

– Dobrze, prawda? – powiedziała, obserwując mnie.

– Prawie się nogi pode mną ugięły.

– Dopiero co wyciśnięte – zachwalała. – W czym mogę panu pomóc?

– Szukam kierownika albo właściciela.

– Jestem i kierownikiem, i właścicielem. Kara Ross. – Trzymała tacę, więc nie mogła uścisnąć mi ręki, ale skinęła lekko głową. – W czym możemy panu pomóc?

– Muszę porozmawiać z jednym z pani pracowników. Nazywa się Matt Jefferson.

– Naprawdę?

– Nie pracuje tu?

– Owszem, pracuje. Tylko że nikt go nigdy nie odwiedza. Matt to cichy, spokojny chłopak. Zarządza u nas zbiorami.

– Tak słyszałem.

– Teraz właśnie jest w terenie. Musieliśmy poszerzyć działalność o kolejny sad kilka kilometrów stąd. Wie pan, prawa podaży i popytu.

– Czy znajdę tam Matta?

– Lepiej będzie, jak pan poczeka z godzinę czy dwie. Chyba że to coś bardzo pilnego.

Pokręciłem głową.

– To ważna sprawa, ale nie pali się. Matt tu przyjedzie?

– Tak, mieszka tutaj. Proszę za mną. – Minęła tłocznię win i weszła do słabo oświetlonego korytarza. Na środku spał stary pies. Kara Ross przeszła nad nim, jakby w ogóle nie istniał. Zrobiłem to samo. W głównym pomieszczeniu szopy kobieta odstawiła tacę na blat i odwróciła się do mnie.

– Zostawię mu kartkę na drzwiach, jeśli pan chce – zaproponowała. – Kiedy wróci, mnie już tu nie będzie.

– O której może wrócić?

– Pracuje do zachodu słońca. Niech pan przyjedzie około... powiedzmy, siódmej. Wtedy już powinien tu być.

Znalazła bloczek kartek w kształcie jabłka i wzięła długopis.

– Co mam napisać?

Niezręcznie byłoby, żeby Jefferson dowiedział się o śmierci ojca z kartki w kształcie jabłka przyklepionej na drzwiach. Jeśli już, można by w ten sposób powiadomić go, że został milionerem, ale postanowiłem tego nie zdradzać i poinformować go o tym osobiście.

– Niech pani napisze, że przyjechał ktoś z Cleveland, kto chce się z nim zobaczyć.

– Bez nazwiska?

– Nazwisko i tak by mu nic nie powiedziało. Chodzi o sprawy rodzinne, ale nie należę do rodziny.

Napisała:

„Matt, Ktoś z Cleveland chce się z tobą zobaczyć. Przyjedzie wieczorem. Sprawy rodzinne“.

– Tak może być?

Kiwnąłem głową.

– Doskonale.

– Przyczepię mu to do drzwi. Kiedy pan wróci, ta część budynku będzie zamknięta. Pokażę panu, gdzie mieszka Matt.

– Świetnie. Dziękuję za pomoc.

– Drobiazg. – Uśmiechnęła się do mnie. – Wie pan, może pan kupić ten ja-błecznik, który tak panu smakował.

– To poproszę pięćdziesiąt litrów i długą słomkę.

Kupiłem litr jabłecznika i torbę świeżych słodkich jabłek. Dobry ruch taktyczny

– bądź miły dla tubylców. Potem Kara Ross zabrała mnie znów na drugą stronę szopy, by przyklepić kartkę na drzwiach mieszkania Jeffersona. Mieszkał na przerobionym stryszku z widokiem na staw i lasy za wodą. Nieźle.

– Ktoś z Cleveland.... sprawy rodzinne – odczytała na głos i wybuchnęła śmiechem. – Założę się, że będzie zaintrygowany.

Wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jest ciekawa szczegółów, ale nie zamierzałem ujawniać ich nikomu poza młodym Jeffersonem. Nic się nie stanie, jeśli przez pół godziny do mojego przyjazdu pozżera go ciekawość.

– Jest pani pewna, że kartka nie spadnie?

Kara Ross starannie okleiła taśmą karteluszek w kształcie jabłka, tak by wiatr nie wyszarpał jego brzegu. Potem odsunęła się i popatrzyła z satysfakcją.

– Nie ma mowy, żeby tego nie zauważył.

– Świetnie – pochwaliłem.

Wiatr zaczął się wzmagać, suche liście wirowały wokół naszych kostek. Cieszy-

łem się, że kartka nie poleci gdzieś na środek stawu. Chciałem, żeby syn Jeffersona na pewno dowiedział się, że przyjadę.

Rozdział 5

Jechałem do Morgantown drogą, która dla mieszczucha stanowiła esencję jesieni, jak z obrazka czy pocztówki. Karmazynowe i rudawe drzewa okalały pola suchej i połamanej kukurydzy, a nad nimi wisiało blade szare niebo. Chmury pokryły je całe w czasie mojej krótkiej wizyty w sadzie. Nie było co liczyć na piękny zachód słońca.

Wiał chłodny wiatr, ale nie padało.

Morgantown wyglądało mniej więcej jak Nashville, choć bez tego ostentacyjnego sznytu turystycznego. Kiedy stałem na światłach na jednym z dwóch skrzyżowań, czekając na zielone, pomyślałem, że gdyby zrobić czarnobiałe zdjęcie ulicy, którą miałem przed sobą, z kolorowymi markizami i wystawami z grubego szkła, to jedynie współczesne auta zdradzałyby, że nie jest to fotografia z lat pięćdziesiątych. Jeden z szyldów dumnie reklamował robione ręcznie meble, inny – syrop z orzesznika. W takich miejscach człowiek cieszy się, że na chwilę zjechał z utartych szlaków i znalazł się z dala od zjazdów z autostrady z siedmioma barami popularnych sieci i dwoma warsztatami dla ciężarówek.

Dla zabicia czasu pochodziłem trochę po miasteczku – zaglądałem do sklepów i kłaniałem się przechodniom. Potem w jakiejś knajpie przez czterdzieści minut jadłem kolację. Kiedy wracałem do sadu, zapadł już zmierzch. Żywe kolory drzew zaczęły przechodzić w zgaszone brązy. Na drodze kładły się długie cienie. Jechałem z otwartymi oknami, ale powietrze wpadające do kabiny ciężarówki było bardzo chłodne i zacząłem żałować, że nie zabrałem ze sobą kubka gorącej kawy.

W wielkiej szopie w sadzie było ciemno. Drzwi zamknięto, a na parkingu stało tylko kilka maszyn rolniczych. Lampy jarzeniowe w pobliżu wjazdu na parking oświetlały wystawkę z wysuszonych łodyg kukurydzy, siana i dyni. Obok szopy chwiały się strach na wróble. Zaparkowałem ciężarówkę i zamknąłem okna. Kiedy temperatura w środku się podniosła, przednia szyba natychmiast zaparowała.

Było tak cicho, że aż przystanąłem obok samochodu. Mieszkam przy ulicy, gdzie ruch nie słabnie także w nocy, dudnią samochodowe głośniki, wyją syreny. Cicha noc to taka, kiedy nie słychać ożywionych rozmów pańienek w kabrioletach albo głośnego śmiechu facetów wychodzących z baru. Tu słyszałem tylko wiatr. Nie gwizdał ani nie wył, po prostu stale szumiał w liściach i w trawie.

Podszedłem do werandy przy wejściu do szopy, stukając butami po deskach.

Potem obszedłem budynek tak jak wcześniej z Karą Ross. Tylko księżyc w trzeciej kwadrze oświetlał tę stronę szopy. Miał taki miedziany kolor, jakiego nabiera wyłącznie jesienią.

Znalazłem drzwi do mieszkania na stryszku. Kartka zniknęła, starannie odklejo-no każdy kawałek taśmy. Zastukałem w szorstkie drewno i czekałem. Nikt nie zszedł, żeby otworzyć, nie słyszałem też, żeby ktoś się kręcił na górze. Zastukałem jeszcze raz

– i znów to samo. Drzwi nie miały gałki, tylko zamek z zakrzywioną klamką. Nacisną-łem ją, jednak się nie otworzyły. Syn Jeffersona dostał kartkę, ale nie czekał na mnie.

Może nie był aż tak zaintrygowany, jak przewidywała Kara Ross.

Odwróciłem się, wcisnąłem ręce w kieszenie i skuliłem się z zimna. Przed sobą miałem czarną tafłę stawu; marszczyła się od wiatru. Przyglądałem się wodzie, aż nagle zauważyłem jakąś postać w altanie.

Nie padało na nią światło, ale sylwetkę człowieka widać było wyraźnie. Siedział

na ławce za fantazyjnym treliarzem, taką niby-ścianą. Nie ruszał się. Kiedy go zobaczyłem, trochę się spiąłem. Obecność człowieka w tym opuszczonym miejscu, w nocy wydała mi się zagrożeniem. Stwierdziłem, że to musi być syn Jeffersona. Gdybym tu mieszkał, wieczory też spędzałbym nad wodą. Altanę i staw dzieliło od szopy nie wię-

cej niż trzydzieści metrów. Zdziwiłem się, że nie słyszał, jak nadchodzę czy jak stukam do drzwi, ale może wiatr stłumił te odgłosy. Ruszyłem kamienną ścieżką do altany, stawiając w ciemności ostrożne kroki.

Kiedy byłem w połowie drogi, dostrzegłem, że siedzi plecami do stawu, twarzą w moją stronę. Musiał mnie widzieć, kiedy stałem przy drzwiach, a mimo to nie odezwał się słowem, tylko siedział i patrzył. Zamierzałem się przywitać, zanim dojdę do altany, ale zachowywał się tak dziwnie, że przerwanie tej ciszy byłoby chyba nie na miejscu, więc milczałem.

Kiedy dotarłem do altany, wszedłem po trzech schodkach na podest i zatrzymałem się zaledwie o dwa kroki od niego. Teraz wyraźnie go widziałem. Miał na sobie dzinsy i grubą flanelową koszulę. Gęste ciemne włosy opadały mu na ramiona i czoło.

Kilka kosmyków zakrywało oczy. Opuścił głowę, ale oczy patrzyły w górę, prosto na mnie. Na poręczu obok stała butelka. Jakaś whiskey, której niewiele zostało. Już otwierałem usta, żeby się przywitać, kiedy zobaczyłem broń.

Leżała na ławce obok niego, ale trzymał na niej rękę. Wprawdzie oczy jeszcze nie przywykły mi do ciemności, widziałem jednak, że palec chłopaka spoczywa na spuście. Lufa celowała w moją stronę. Przystanąłem i przeniósłem wzrok z pistoletu na zapadnięte ciemne oczy, które obserwowały mnie bez zainteresowania czy emocji.

– Mój ojciec nie żyje, prawda? – Głos miał równie obojętny jak oczy.

Usiłowałem patrzeć mu w twarz, a nie na broń.

– Tak – odparłem. – Nie żyje. Przyjechałem, żeby ci o tym powiedzieć.

Ręka na rewolwerze poruszyła się i broń została wycelowana dokładnie w moją pierś. Od lufy dzieliły mnie niecałe dwa metry. Przy takiej odległości umiejętności strzelającego nie mają żadnego znaczenia. Nie chybiłby, nawet gdyby wypił całą tę butelkę whiskey, która stała na poręczu. Wystarczyło, żeby pociągnął za spust.

Starałem się nawet nie poruszyć. Zaszło mi w ustach i czułem się tak, jakbym miał w nich mini-Saharę po burzy piaskowej. Serce waliło mi coraz mocniej, krew pulsowała szaleńczo w skroniach i nadgarstkach. Drżały mi mięśnie nóg, jak po długim biegu.

– Posłuchaj – zacząłem, ale natychmiast mi przerwał.

– Mógłbym cię zabić – powiedział. – Mogłem to zrobić, kiedy tylko wyszedłeś zza rogu.

Nie próbowałem już nic mówić. Kilkakrotnie celowano do mnie z broni i udało mi się nawet przekonać tamtych facetów, żeby nie strzelali, ale czułem, że tym razem zupełnie nie mam wyboru. W zachowaniu Jeffersona nie widziałem nawet śladu wahania, żadnych buzujących emocji, jakie zwykle targają kimś, kto chwyta za broń. Mówi-

ł i siedział jak aktor, który próbuje grać sam do końca, choć wszyscy już wyszli i wy-

łączono światła na scenie. Znał swoją rolę i zdecydowany był ją odegrać za wszelką cenę.

– Ale zabicie ciebie nic by mi nie dało, prawda? – ciągnął. – Przecież nie przyjechałeś sam.

Czułem, że teraz muszę coś powiedzieć, choć nie bardzo wiedziałem co. A mając przed sobą wycelowaną we mnie broń, nie chciałem użyć niewłaściwych słów.

Przełknąłem ślinę, żeby się uspokoić i odezwać spokojnym głosem. Nie mogłem przecież zwiększać napięcia jeszcze bardziej.

– On przynajmniej miał jakiś powód – powiedział młody Jefferson. – Ty robisz to tylko z chciwości.

Broń znów się poruszyła, błysnęła w ciemności. Nie byłem pewien, co chłopak robi, widziałem tylko, że rewolwer się poruszył i instynkt kazał mi zareagować. Kiedy usłyszałem trzask odciąganego kurka, rzuciłem się niezdarnie w prawo, choć nic by to nie dało, gdyby syn Aleksa Jeffersona strzelił do mnie, a nie włożył sobie lufy w usta i nie pociągnął za spust.

Kula wyleciała z broni z hukiem tak głośnym, że na chwilę zagłuszył wszystkie inne odgłosy, po czym przebiła czaszkę Matthew Jeffersona i rozbryzgała jego mózg po wodzie stawu. Chłopakiem rzuciło na poręcz altany. Ciało odbiło się od niej i zsunęło z ławki. Matthew leżał twarzą do ziemi, tuż u moich stóp. Z tyłu głowy miał pulsujący krater.

Chyba próbowałem krzyczeć i niewykluczone, że nawet mi się udało. Nie wiedziałem. Słyszałem tylko wystrzał, wciąż brzmiał mi w uszach, z każdą chwilą głośniejsz.

Spojrzałem na syna Jeffersona, z którego roztrzaskanej czaszki buchała krew, i zacząłem się cofać. Gramoliłem się przez poręcz, nie spuszczać oczu ze zwłok. Spadłem z drugiej strony, w krzaki. Wyplątałem się z nich i z trudem wdrapałem na wzniesienie.

Kiedy dotarłem do szopy, osunąłem się na ziemię, oparłem plecami o zniszczone deski i gapiłem na altanę.

Nie zastrzelił mnie. Celował do mnie, stałem zaledwie półtora metra od niego, kiedy padł strzał. Nie strzelił jednak do mnie. Nie zostałem ranny.

– Nie postrzelił cię – powiedziałem na głos. – Nie postrzelił cię.

Liczyłem na to, że się uspokoję, słysząc własny głos, ale nie, zacząłem drzeć.

Dreszcze wstrząsnęły najpierw moimi rękoma, potem całym ciałem. Zmusiłem się, że-by wstać, i przeszedłem przez sad do kamiennej ścieżki. Stałem tam, oddychając głę-

boko, dopóki dreszcze nie ustąpiły. Wtedy sięgnąłem do kieszeni po komórkę. Kiedy pierwszy raz próbowałem ją otworzyć, ręce wciąż mi się trzęsły i telefon upadł w trawę. Dopiero za drugim razem zdołałem wcisnąć trzy ważne cyfry.

Powiedziałem, co trzeba było powiedzieć. Dyżurny chciał ze mną rozmawiać, dopóki nie przyjedzie radiowóz, ale się rozłączyłem. Powoli wróciłem do altany; musiałem spojrzeć jeszcze raz na ciało – może, by upewnić się, że to na pewno nie ja.

Krew rozlała się szeroką kałużą wokół zwłok. Broń wypadła Matthew z ręki, kiedy osuwał się na ziemię, i leżała obok. Nawet na dworze, gdzie wiała lekka bryza, czuć było ostry zapach krwi.

– Jesteś milionerem – odezwałem się do trupa. – To właśnie miałem ci powiedzieć. Nie wiem, za kogo do cholery mnie wzięłeś, ale właśnie to ci miałem powiedzieć.

Ciężko było mi dłużej na niego patrzeć, więc odwróciłem wzrok i spojrzałem na wodę, która pochłonęła jego mózg. Księżyc odbijał się w butelce po whiskey. Stała tam, gdzie siedział chłopak. Pod nią na poręczy leżał kawałek papieru. Podszedłem bliżej i rozpoznałem kartkę w kształcie jabłka, na której Kara Ross napisała notkę ode mnie.

„Matt, Ktoś z Cleveland chce się z tobą zobaczyć. Przyjedzie wieczorem. Sprawy rodzinne“.

Rozdział 6

Pierwszy radiowóz wysłał szeryf. Przyjechał nim funkcjonariusz o wyglądzie czternastolatka. Nerwowo kręcił się po parkingu, rozmawiając przez krótkofalówkę, a kiedy zawołałem do niego, podskoczył, jakbym strzelił do jego wozu.

– Tam są zwłoki – powiedziałem, wychodząc z cienia na parking. – I kałuża krwi.

Zajmował się pan już zabójstwami?

Pokręcił głową i niepewnie cofnął się o krok. Ten cholerny dzieciak się mnie bał.

– Przyjedzie ktoś jeszcze?

Przełknął ślinę i kiwnął głową. A potem wydusił:

– Tak, proszę pana. Policja stanowa.

– Może lepiej, żebyśmy na nich poczekali? – powiedziałem łagodnie.

– Jasne, dlaczego nie. – i nagle dotarło do niego, jak to będzie wyglądać w oczach policji stanowej: ot, stoi sobie ze mną na parkingu, a nawet nie zobaczył

zwłok. – A może powinienem... no wie pan, zabezpieczyć teren.

– No tak. Proszę za mną.

Przeszliśmy mniej więcej połowę drogi nad staw; chłopak potykał się w ciemności. Uratował go dźwięk kolejnego samochodu zajeżdżającego na żwirowy parking.

Obaj odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, że to nieoznakowany wóz. Taurus, taki, jakim jeździ Joe.

– Policja stanowa?

– Tak. – W głosie chłopaka słuchać było ulgę. Ruszył z powrotem na parking.

Z samochodu wysiadł policjant ubrany po cywilnemu i zaczął schodzić z górki.

Spotkał się z nami na rogu szopy, pod zapaloną jedną z zewnętrznych lamp.

– Mamy tu samobójstwo – odezwał się miejscowy funkcjonariusz, prężąc klatkę piersiową, by dodać sobie animuszu.

– Aha – odparł policjant w cywilu. – Domyśliłem się, bo dyżurny wezwał mnie, żebym rzucił okiem właśnie na samobójstwo.

Młodziak się przygarbił.

– A pan to kto? – zapytał mnie cywil. Absolutnie niczym się nie wyróżniał: średni wzrost i budowa ciała, ani przystojny, ani brzydki, po prostu jeden z tysięcy facetów, jakich mija się na ulicy, nawet ich nie zauważając.

– Nazywam się Lincoln Perry. To ja wezwałem policję.

– Znalazł pan zwłoki?

– Widziałem, jak to zrobił.

– Aha. – Kiwnął głową i wyjął z kieszeni mały dyktafon. – Lincoln Perry. Świetne nazwisko. Jestem Roger Brewer, policja stanowa.

Włączył dyktafon i podał do mikrofonu swoje nazwisko, godzinę, datę i miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Potem przekazał to, o czym funkcjonariusz szeryfa i ja go poinformowaliśmy. Kiedy skończył, oparł dyktafon o udo i spojrzał na mnie.

– Proszę iść przodem.

Szli za mną wzdłuż szopy, a kiedy zagłębiliśmy się w mrok, policjant stanowy wyjął latarkę. Zaprowadziłem ich do altany.

– Tu leży. Chce pan pewnie, żebym jeszcze chwilę tu został.

– Uhm.

Brewer spokojnie zbliżył się do altany, a młody funkcjonariusz podążał za nim cały w nerwach. Kiedy zobaczyli zwłoki, Brewer wypuścił powietrze z długim świstem i pokręcił głową.

– Niezła jatka, co?

Milczałem. Młody funkcjonariusz zbladł jak ściana. Stał na drugim końcu altany, zaciskając dłonie na poręczy i odwracając wzrok. Chłodny wiatr się wzmógł.

Marszczył powierzchnię stawu i przeszywał mnie na wskroś. Z drzew spadło kilka liści, jeden delikatnie wylądował na plecach Matthew Jeffersona. Brewer strącił go palcem wskazującym.

Drzewa i staw rozbłysły w blasku migających świateł, kiedy pod szopę podjechał kolejny samochód, tym razem oznakowany radiowóz policji stanowej. Wysiedli z niego dwaj policjanci w pełnym umundurowaniu, w wysokich czarnych oficerkach i kapeluszach z szerokim rondem.

– Proszę tu poczekać, dobrze? – powiedział Brewer.

– Oczywiście.

Stałem nad brzegiem stawu z młodym funkcjonariuszem, a Brewer poszedł

przywitać się z dwoma policjantami. Słyszałem, jak mówi im, żeby wezwali karetkę po ciało i żeby nie zapomnieli włożyć rękawiczek. Potem zawołał, żebym do nich przyszedł. W milczeniu minąłem mundurowych, którzy obrzucali mnie twardymi, podejrzliwymi spojrzeniami, i dołączyłem do Brewera, stojącego na werandzie przed szopą.

Mówił cicho do dyktafonu.

– No cóż, panie Perry, muszę pana przesłuchać jako świadka. To bardzo ważne, bo przecież jest pan jedyną osobą, która cokolwiek widziała.

– Jasne.

– Był pan kiedyś przesłuchiwany? – Pytanie niby formalne, ale sprytne: w ten sposób mógł się dowiedzieć, czy otarłem się kiedyś o dochodzenie kryminalne.

– Owszem, parę razy. Ale znacznie częściej sam przesłuchiwałem.

– O? – Uniósł brwi.

– Przez kilka lat byłem gliniarzem w Cleveland, w Ohio. Doszedłem do stopnia detektywa.

– Proszę, proszę. – Powoli pokiwał głową. – A teraz?

– Jestem prywatnym detektywem.

– Prywatnym detektywem – powtórzył jak echo. – I co, napięcie rośnie? Odwiedził pan naszą miłą okolicę służbowo czy dla przyjemności, detektywie?

– Służbowo.

– Rozumiem. – Dyktafon wciąż był włączony. Brewer trzymał go luźno w dłoni.

– No cóż, panie Perry, nie ma wyjścia. Musi mi pan wszystko opowiedzieć, a jeśli będzie trzeba, jeszcze potem pana dopytam.

– W porządku.

Machnął ręką, żebym zaczynał. Zrelacjonowałem mu wszystko najlepiej i najbardziej szczerze, jak umiałem. Nie wspomniałem tylko o moim osobistym związku z Karen, bez znaczenia dla tego, co się wydarzyło, ale wydawało mi się, że Brewer mógłby to sobie jakoś dopasowywać do sytuacji, a i tak miałem już dość kłopotów.

Zasypałem go więc szczegółami i przedstawiłem Karen jako zwykłą klientkę. Przecież teraz była tylko moją klientką. Kiedy kończyłem, podjechała karetka, ale Brewer odesłał mundurowych, żeby zajęli się wszystkim, i cały czas mnie słuchał.

– No dobrze – odezwał się, kiedy umilkłem. – Cała sprawa wygląda bardzo dziwnie. Facet wraca z pracy, dostaje kartkę, że przyjechał pan do niego z Cleveland, po czym siada nad stawem z butelką whiskey i bronią. Ale nie zabija się w samotności, tylko czeka na pana. Pan przyjeżdża, a on już wie, po co tłukł się pan tu sześć godzin samochodem, co chce mu pan przekazać. Mówi panu to, a potem się zabija.

Nic nie powiedziałem, a Brewer mlasnął cicho językiem i pokręcił głową.

– Cała sprawa wygląda bardzo dziwnie – powtórzył. – Ma pan jakąś teorię, panie Perry?

– Wydaje mi się dość oczywiste, że wziął mnie za kogoś innego.

– Kogoś, kto znał jego ojca.

– Tak.

– Kogoś, kto nie był sam, sądząc po tym, co panu powiedział.

– Właśnie. Najwyraźniej uważał, że przyjechał ze mną ktoś jeszcze.

– I chyba, cóż, bał się tego kogoś?

Zastanowiłem się i kiwnąłem głową.

– Tak, chyba się bał. A raczej mógłby się bać.

– Mógłby?

– Gdyby nie zdecydował się włożyć sobie lufy w usta. To nie była decyzja spontaniczna. Dobrze wiedział, co robi.

– Ale czekał z tym, aż się pan pojawi.

– Tak.

– I nie czekał, aż pojawi się ten drugi.

– Najwyraźniej nie.

– Nie znał pana.

– Ale wydawało mu się, że mnie zna. Wydawało mu się, że wie, kim jestem albo przynajmniej z kim jestem.

Brewer stał i patrzył na mnie. Obserwowałem jego minę, jego oczy i domyśli-

łem się, że nie podoba mu się moja relacja. Jeszcze nie mógł mi powiedzieć, że mi nie wierzy, zdecydowanie jednak mu się to nie spodobało.

– Zagadkowe to wszystko.

– Też tak myślę.

– Mówię poważnie. Jutro sporządzimy portret psychologiczny tego faceta i może dowiemy się czegoś więcej, ale na razie wygląda to na dość niezwykle samobójstwo.

– Zgadzam się.

Brewer wyszedł z kręgu światła.

– Oczywiście zakładając, że to było samobójstwo.

– Było.

– Tak mówi dżentelmen z Ohio – powiedział Brewer drwiąco. – Tyle że, niestety, ten dżentelmen z Ohio jest jedynym świadkiem. A więc możemy założyć, choćby tylko teoretycznie, że kłamie... I w tym cały kłopot. Bo jeśli rzeczywiście by kłamał, to mamy do czynienia z zabójstwem.

– Nie macie.

– Denat nie trzymał broni w ręku.

– Wypadła mu, kiedy upadał. Prowadził pan już sprawy o samobójstwo? – Kiedy przytaknął, oświadczyłem: – W takim razie wie pan, że samobójcom broń często wypada z ręki. Natychmiastowy rigor mortis czasem się zdarza, ale nie zawsze.

Nic na to nie odpowiedział, po prostu stał i patrzył na mnie.

– Sprawdźcie jego kciuk.

– Słucham?

– Sprawdźcie, czy nie ma na kciuku odcisku kurka. To był rewolwer, tuż przed strzałem Jefferson odciągnął kurek. Wiem, bo to słyszałem. A potem natychmiast zmarł. Nie umierał powoli. Na jego kciuku wciąż może być odcisk kurka. Tak się dzieje, kiedy nagle ustaje krążenie krwi.

– Niezły pomysł. – Brewer odchrząknął i splunął w krzaki. – Dopilnuję, żeby sprawdzono jego kciuki, panie Perry.

– Świetnie.

– Dziwna sprawa – powiedział już po raz trzeci tego wieczoru. – A teraz, panie Perry, musi pan podpisać protokół z tego przesłuchania.

– Uff.

– Kiedy zamierzał pan wrócić do Ohio?

– Szczerze mówiąc, jeszcze dziś w nocy.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– No nie, obawiam się, że nic z tego.

– Powiedziałem już wszystko, co wiem, podpiszę protokół. Dam panu numer telefonu, na wszelki wypadek, gdyby mnie pan jeszcze do czegoś potrzebował.

Skrzywił się, jakby miał mi przekazać jakąś złą wiadomość, a nie chciał tego robić. Ale to był tylko żart – doskonale się bawił.

– Znalazłem się w sytuacji, która może się okazać dla mnie bardzo kłopotliwa –

oświadczył. – Rzecz jasna, pan twierdzi, że to było samobójstwo. Na razie jednak, dopóki nie przeprowadzę jeszcze kilku czynności, to wszystko, co mam. A co będzie, jeśli puszcę pana wolno, a moi śledczy powiedzą mi potem, że ich zdaniem to pan go za-bił? Wtedy będę musiał pana odszukać, a paru gliniarzy z Ohio będzie kręcić z niedowierzaniem głową i szeptać po kątach o kretynie z Indiany, co to wypuścił zabójcę, którego miał już w rękach.

Popatrzył na mnie chłodno.

– A ja nie znoszę, kiedy ludzie szepcą o mnie po kątach.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Ma pan moje zeznanie. Wracam do domu, chyba że zamierza mnie pan aresztować.

Dom, jak to miło zabrzmiało.

– W ostateczności – powiedział Brewer.

– No właśnie.

– Chyba jednak będę musiał pana jeszcze tu zatrzymać. Przynajmniej na kilka godzin, dopóki wszystkiego nie ogarniemy.

– Aresztuje mnie pan za morderstwo?

Pokręcił głową.

– Panie Perry, na razie to dla mnie śledztwo w sprawie śmierci człowieka. Nie wykluczam ani samobójstwa, ani morderstwa. Jak i przypadkowego postrzału. Mniej więcej tyle mamy możliwości, prawda? Muszę popatrzeć na to z różnych perspektyw, żeby wiedzieć na pewno...

– Rozumiem. Ale jeśli chce mnie pan przetrzymać przez całą noc, musi mnie pan za coś aresztować. A nie sądzę, by wystarczyło pańskie podejrzenie, że zabiłem tego chłopaka, prawda, Brewer?

Uśmiechnął się smutno i kiwnął głową, jakbym zapędził go w kozi róg.

– A ta pańska licencja prywatnego detektywa to jest z jakiego stanu? – zapytał.

Jasna cholera. Wiedziałem, do czego zmierza, i się zachnąłem.

– No więc?

– Z Ohio.

– O kurczę. Niedobrze. Bo jesteśmy w Indianie. A ten trup na dole? Też jest z Indiany. I co, przyjeżdża pan sobie do Indiany prowadzić śledztwo bez licencji z tego stanu? A niech mnie. Przykro mi to mówić, panie Perry, wygląda mi to jednak na przestępstwo.

– Ale nie takie, za które idzie się do więzienia.

Tym razem błysnął zębami w uśmiechu.

– Na tę jedną noc wystarczy.

Rozdział 7

Areszt hrabstwa Brown jest całkiem nowy. Powiedział mi to młody funkcjonariusz po tym, jak Brewer kazał mu odwieźć mnie za kratki. Kiedy chłopak o tym usłyszał, zbladł jak ściana; niewątpliwie pomyślał, że wsadzili mnie za rozwalenie tego go-

ścia z altany. Pewnie przypomniał sobie, że nim przyjechał Brewer, spędził ze mną kilka minut sam na sam. Kiedy wsiedliśmy do radiowozu, wciąż obserwował mnie nerwowo w lusterku wstecznym, jakby się bał, że taki as zbrodni jak ja sobie tylko znany sposobem przeniknie przez szybę ochronną na przednie siedzenie i udusi go kajdankami. Jakies pięć minut i pięćdziesiąt niespokojnych spojrzeń później postanowił się do mnie odezwać. Może uznał, że jeśli będzie dla mnie przyjazny, to go nie za-tłukę, a tylko walnę w głowę jego własnym pistoletem i ukradnę radiowóz. Tak wła-

śnie postępują arcyzbrodniarze, kiedy nie są wkurzeni.

– Jest naprawdę fajny. O wiele przyjemniejszy niż ten stary. Mamy teraz elek-troniczne zamki, więcej miejsca; pełna technika – opowiadał mi o areszcie.

– I pomyśleć, że martwiłem się, gdzie by tu przenocować.

– To naprawdę miłe miejsce. Jak na areszt.

– I pewnie najtańsze w mieście.

Przez całą drogę nerwowo paplał, a ja siedziałem z tyłu i patrzyłem na ciemny krajobraz za oknem. Zastanawiałem się, kiedy będę mógł wrócić do Cleveland. Brewer wyglądał na twardziela, takiego, który łatwo mnie nie puści, ale jeśli nie okaże się zu-pełnym idiotą i nie oskarży mnie o morderstwo, to rano będzie musiał mnie zwolnić.

Karen dowie się o wszystkim, zanim wrócę. Na pewno jeszcze dziś do niej zadzwonią, bo przecież okazałem się tak miły, że poinformowałem Brewera, kim są krewni denata. Tak czy inaczej, zatrudniono mnie, żebym przekazał Matthew Jeffersonowi wiadomość o tym, że jego ojciec został zamordowany, a on już o tym wiedział. Głupio tak brać pieniądze za nic.

Oparłem się wygodnie i nie zwracałem uwagi na młodego funkcjonariusza, który opowiadał mi coś o strefie bezpieczeństwa w nowym areszcie, delikatnie próbując odwieść mnie od planowania ucieczki stamtąd. Miałem nadzieję, że kiedy Brewer porozmawia z Karen, trochę zmięknie. Karen potwierdzi to, co mu opowiedziałem.

Słowa Karen i brak fizycznych dowodów świadczących o zabójstwie sprawiają, że rano będzie musiał mnie wypuścić. Sukinsyn pewnie jeszcze wlepi mi mandat za prowadzenie w Indianie śledztwa bez licencji. O wszystkim na pewno dowie się komisja nadzoru w Ohio i też przysoli mi karę. Pięknie.

Formalności związane z aresztowaniem zajęły aż pół godziny. Pozwolili mi zostać w ubraniu, ale musiałem oddać pasek, żebym nie mógł się na nim powiesić. Po-prowadzili mnie do wnętrza budynku przez kilka ciężkich stalowych drzwi, które za-trzaskiwały się z głośnym, głuchym szcękaniem. Drzwi w aresztach zawsze przypominają mi luki w okrętach podwodnych – kiedy się zatrząskują człowiek ma wrażenie ostateczności.

Byłem w celi sam, a to wielki plus, ale w celi naprzeciwko siedział podchmielony włóczęga, który chciał rozmawiać o moich przestępstwach, żeby dowiedzieć się, za co mnie wsadzono.

– Za pędzenie bimbru – odparłem i obróciłem się na pryczy plecami do niego.

Nie mogłem zasnąć przez parę godzin. Przemknęła mi myśl, że Amy ominęła niezła wycieczka.

Brewer przyjechał do mnie wczesnym rankiem. Pewnie w ogóle nie spał, jak każdy dobry gliniarz. A on wyglądał mi na dobrego gliniarza, tyle że chwilowo tkwią-

cego w błędzie.

– Smacznie się spało? – zapytał, kiedy dyżurny wypuścił mnie z celi i prowadzili mnie przez serię drzwi do małej sali konferencyjnej. Wprawdzie do ścian przymocowane były tu kajdany, ale mimo wszystko była to sala konferencyjna.

– Skończył pan już z tymi idiotyzmami? – odburknąłem. – Bo naprawdę chciał-

bym jeszcze przed południem ruszyć z powrotem na północ.

– Nie się pan tak nie spieszy.

Dyżurny wyszedł, zostaliśmy z Brewerem sami. Przebrał się. Miał teraz na sobie dżinsy i bluzę, jak większość gliniarzy. Ale jego twarz pokrywał jednodniowy zarost, więc pewnie wpadł do domu tylko na chwilę, przed kolejnym spotkaniem ze mną.

– Popytałem tu i ówdzie – zaczął. – Był pan chyba niezłym gliniarzem. Jako detektyw też miał pan parę głośnych spraw. To dobrze. Pańskie zeznania w charakterze świadka stają się nieco bardziej wiarygodne.

– Nie żałuje pan teraz, że nie był trochę miłszy?

Postukał ołówkiem w blat stołu.

– Jest jednak coś, co mnie zaciekało. Dlaczego taki inteligentny detektyw zapomniał w czasie zeznań nadmieniść o kilku istotnych rzeczach. Na przykład o tym, że aresztowano pana za napaść na ojca zmarłego. Czy o związku, jaki łączył pana z ma-cochą denata.

– Zbyt wiele nieistotnych szczegółów tylko zaciemnia zeznania.

– Panu się zdaje, że to jakaś gra, który z nas zostanie mistrzem ciętej riposty?

– Do tego to chyba zmierza.

– Już nie. – Pochylił się. – Panie Perry, zapomniał pan wspomnieć wczoraj o naprawdę ważnych szczegółach. Mówił pan, że przyjechał tu, by powiadomić Jeffersona o śmierci jego ojca.

– Owszem.

– Ale nie wspomniał pan, że miał mu pan też przekazać, że odziedziczył wiele milionów.

– To sprawy rodzinne. Brewer, nie mam zamiaru rozpowiadać na prawo i lewo o czyichś finansach.

– Oczywiście, że nie. Przypomnijmy sobie, co mówił mi pan wczoraj, dobrze? –

Wyjął z kieszeni mały notes i zajrzał do niego. – Powiedział mi pan, i powtórzył to kilka razy, że Matthew Jefferson wiedział już, że jego ojciec nie żyje. Że to były wręcz je-go pierwsze słowa podczas waszego spotkania.

– Zgadza się.

Brewer zamknął głośno notes.

– Skoro więc wiedział, że ojciec nie żyje, można logicznie założyć, że przypuszczał, iż odziedziczył majątek. Dziwna motywacja do samobójstwa, nieprawdaż?

– Zerwał kontakty z ojcem. Mógł nie wiedzieć, że dostał jakiegokolwiek pieniądze.

Może to był jeden z powodów jego problemów emocjonalnych. Stracił nie tylko ojca, ale też fortunę.

– Skoro zerwał kontakty z ojcem, co podkreślał pan wczoraj wieczorem, jak to możliwe, że w ciągu ostatnich kilku tygodni odebrał od niego trzy telefony?

Opadłem na oparcie krzesła i popatrzyłem na Brewera. Widać było, że nie ble-fuje. Jeśli zadzwonił z domu do sędziego i dostał nakaz udostępnienia billingów telefonicznych, bez trudu mógł je otrzymać do rana.

– Interesujące, prawda? – powiedział Brewer, przyglądając mi się.

– Chyba tak. – Mówiłem neutralnym głosem. To było bardziej niż interesujące, ale nie chciałem, żeby Brewer pomyślał, że się tym przejąłem. Do diabła, czy naprawdę chciałem się przejąć? Teraz zależało mi tylko na tym, by przejść przez trzy kolejne śluzy i dalej na parking.

– A pieniądze? – dążył Brewer. – Te miliony, które miały trafić do syna? Skoro syn nie żyje, przypadną wdowie. Kobiecie, z którą kiedyś był pan zaręczony.

Rozłożył ręce i odepchnął się od stołu.

– Wie pan co, Perry, gdybym był paranoikiem, poważnie bym się zastanawiał, czy powinienem wierzyć pańskiemu opisowi wczorajszych wydarzeń.

– Brewer, nie spotykam się z Karen Jefferson od lat. Zadzwoń pan na policję w Cleveland i sam zapytaj. Przekona się pan, że sprawdzili nasze stosunki dość dokładnie po tym jak zamordowano jej męża.

– Rzeczywiście, będę dzwonił do Cleveland. Ale na razie muszę porozmawiać z panem. Niech mi pan powie, dlaczego do diabła w ogóle wziął pan tę robotę. Albo, i to jest naprawdę interesujące pytanie, dlaczego w ogóle poproszono pana o zajęcie się tą sprawą. Zrywa pan zaręczyny z tą kobietą, daje w mordę jej przyszłemu mężowi i przez parę lat nie odzywacie się do siebie. Potem mąż ginie i nagle staje się pan przyjacielem rodziny?

– Nie jestem przyjacielem rodziny. Po prostu wykonuję swoją robotę.

– Ta robota to powiadomienie o śmierci ojca?

– I odnalezienie chłopaka. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

– Poza ojcem.

Wzruszyłem ramionami.

– No tak. Ojciec wiedział, gdzie mieszka syn, bo się z nim kontaktował – cią-

gnął Brewer. – Albo ktoś inny z domu w Pepper Pike. A jeśli to ojciec rozmawiał z synem, to do jasnej cholery, nie wydaje się panu dziwne, że nie wspomniał o tym żonie?

„Hej, kochanie, pamiętasz mojego syna, z którym straciłem kontakt parę lat temu?

Wyobraź sobie, że chłopak mieszka teraz w Indianie, pracuje w sadzie jabłkowym...”

Siedzieliśmy w ciszy i przez kilka minut mierzyliśmy się wzrokiem. Brewer znów zaczął stukać ołówkiem w blat.

– Wczoraj powiedział pan, że denat zerwał kontakty z ojcem, co okazało się nieprawdą. Dziś mówi mi pan, że zerwał pan kontakty z wdową, która wkrótce się wzbogaci. Zastanawiam się, czy to prawda. Po prostu głośno myślę.

– Niezwykle mi pan pochlebia, dzieląc się ze mną swoim głośnym myśleniem, ale bardzo chciałbym wreszcie ruszyć w drogę.

– Już mówiłem, niech się pan tak nie spieszy.

Wstałem.

– Brewer, albo mnie pan puszcza, albo stawia zarzuty. Tylko proszę się postarać o coś poważniejszego niż brak licencji na działalność w Indianie. Albo niech mi pan da adwokata i telefon, abym zaczął wydzwaniać do mediów i opowiadać, że mnie pan przetrzymuje bez żadnych zarzutów.

Siedział i patrzył na mnie, ani przyjaźnie, ani wrogo, po prostu zamyślony.

– Wydaje się panu, że jesteśmy tu bandą buraków, co? Że jestem jakimś wiejskim głupim policjantem, któremu znudziło się już tropienie warsztatów z amfą po stodołach?

– Wcale tak nie myślę, Brewer. Co więcej, myślę, a raczej myślałem do tej pory, że jest pan pewnie niezłym gliną. Łebskim facetem. Ale nie znoszę patrzeć, jak dobry gliniarz i łebski facet marnuje czas.

Wstał i otworzył mi drzwi. Prawie już wyszedłem, kiedy złapał mnie za rękę.

Zrobił to powoli, niemal delikatnie, ale chwyt miał silny jak imadło. Szczupłymi palcami przytrzymał mnie za łokieć. Kciukiem znalazł punkt uciskowy i mocno go przy-gniótł. Przechylił głowę na bok i patrzył na mnie.

– Wczoraj wieczorem zasugerował pan, żebym sprawdził odcisk kurka na kciuku denata.

– Sprawdził pan?

– Aha. I rzeczywiście był. Znalazłem ten odcisk i pomyślałem, a niech to, ależ inteligentna bestia siedzi w naszym areszcie. Coś mi w tym nie pasowało. Zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko nie jest zbyt inteligentne. Odcisk kurka na kciuku. Kto by o czymś takim pomyślał godzinę po takim traumatycznym wydarzeniu.

– Brewer, jestem detektywem. Mam to we krwi.

– Patolog mówi, że odcisk kurka mógłby powstać także wtedy, gdyby ktoś włożył denatowi broń do ręki i odciągnął kurek jego kciukiem. Trzeba by to zrobić bardzo szybko, natychmiast po wystrzale, ale można by zostawić taki odcisk, który zastygłby po ustaniu krążenia krwi.

Zacisnąłem palce na jego nadgarstku, by puścić mój łokieć, i odepchnąłem go ramieniem. Zrobiłem to takim samym ruchem jak on – agresywnym, choć pozornie delikatnym i powolnym. Nie spuszczał ze mnie wzroku i nie stawiał oporu. Odwróci-

łem się i poszedłem wąskim korytarzem do następnych zaryglowanych drzwi. Popatrzyłem na niego wyczekująco. Po chwili wahania podszedł i odblokował je.

– Co za spotkanie, Brewer. Szkoda, że już więcej się nie zobaczymy.

– Ależ na pewno się zobaczymy. Zamierzam przyjść na pański proces o morderstwo.

Patrzył na mnie tak jak to on – po jego oczach nie widać było, czy żartuje, czy mówi prawdę.

Rozdział 8

Kiedy dotarłem do Cleveland, słońce było już tylko małą czerwoną kulką w lusterku wstecznym. Zatrzymałem się raptem raz, na obiad, ominęło mnie przecież wy-borne śniadanie w areszcie, a poza tym pędziłem cały czas na złamanie karku, bo tak naprawdę miałem gdzieś,

czy zatrzyma mnie drogówka. Czy można się przejmować mandatem, kiedy jest się podejrzanym o morderstwo? Lincoln Perry, buntownik autostrad. Brakowało mi jeszcze tylko broni maszynowej, żeby w razie czego zginąć pod gradem kul.

Wjechałem do miasta autostradą 1-71, kierując się na zachód, w stronę domu.

Ale kiedy dotarłem do Brookpark, skręciłem na 1-480 i podążyłem na wschód. Mia-

łem na sobie ubranie z poprzedniego dnia, nie ogoliłem się, byłem zmęczony, cały zeszywniałem, nie zamierzałem jednak jeszcze wracać do domu. Widok faceta, któ-

rego mózg rozbryzguje się po stawie, noc w areszcie i gliniarz, co chwyta mnie za rę-

kę i nazywa mordercą – to wszystko sprawiło, że sam zacząłem zadawać sobie pytania, jeszcze tego wieczoru musiałem wpaść do Pepper Pike.

Kiedy wjechałem na podjazd, dom i wszystkie okna błyszczały od słońca. Kar-mazynowy blask bił prosto w oczy. Wsiadłem z ciężarówki i położyłem rękę na masce. Poczułem żar silnika – mocno pracował przez długą drogę. Im więcej człowiek spędza czasu z jakąś maszyną, tym bardziej staje się ona ludzka. Przypomniałem sobie starego Steve'a McQueena w filmie, w którym grał inżyniera na okręcie marynarki.

To chyba były Ziarnka piasku. Świetny film. Facet kochał ten okrętowy silnik. Ale McQueen pod koniec umiera. Jeśli dobrze pamiętam, próbując ocalić kobietę. Lepiej by zrobił, gdyby się nie ruszał z maszynowni.

Podążyłem ścieżką do domu i z opuszczoną głową wszedłem na werandę, rozmyślając o McQueenie i silnikach. Kiedy stanąłem przed drzwiami, zobaczyłem, że są już otwarte i stoi w nich Karen. Patrzyła na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Usłyszałam, jak podjechałeś.

– Tak?

Wszedłem, nie czekając na zaproszenie. Minałem ją i skierowałem się prosto do salonu. Opadłem na

tę samą kanapę, na której siedziałem niedawno, i czekałem, aż Karen do mnie dołączy.

Pojawiła się minutę później, musiała zamknąć dokładnie drzwi wejściowe. Słyszałem, jak to robi – jak przesuwa rygiel, szczęka łańcuchem. Wyobraziłem sobie, jak podbiega do drzwi na dźwięk silnika mojego wozu, przypomniało mi się, jak poprzednio rozlała wino na dźwięk dzwonka telefonu. Strzępek nerwów.

– Powiedzieli mi, co się stało – odezwała się. Miała na sobie džinsy i bluzę, ale takie džinsy i bluzę, co kosztują trzy stówki i kupuje się je w sklepie, którego ekspe-dientki co tydzień robią sobie paznokcie i nigdy w życiu nie kupiły albumu rockowe-go.

– Kto ci powiedział?

– Policja z Indiany. Dzwonili do mnie wczoraj wieczorem.

– Powiedzieli ci, że zamknęli mnie w areszcie?

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie. Co takiego? Nie. Powiedzieli tylko... ten detektyw powiedział, że musi spisać twoje zeznanie i potwierdzić u mnie, że mówisz prawdę.

Uśmiechnąłem się.

– Sporo czasu zajęło im to potwierdzanie. Tak długo się nad tym głowili, że pozwolili mi odpocząć na wygodnej pryczy za kratkami.

Obciągnęła rękawy swojej eleganckiej bluzy aż za nadgarstki.

– Lincoln, bardzo mi przykro. Do głowy mi nie przyszło, że do tego dojdzie.

Nawet mnie nie poinformowałaś, że jedziesz do Indiany.

– Pomyślałem, że za takie pieniądze, jakie płacisz, powinienem przekazać wiadomość chłopakowi osobiście.

– Rozumiem. Po prostu nie mogę uwierzyć w to, co się stało. – Dłonie zniknęły już pod rękawami. Skrzyżowała ręce i wcisnęła je pod piersi. Spoglądała na mnie tylko przelotnie, a dłużej wzrok zatrzymywała na przedmiotach w salonie, zwłaszcza na podstawie lampy.

– Było to trochę zaskakujące – zgodziłem się, obserwując ją bacznie. – Ten walnięty szczeniak włożył sobie lufę w usta i rozwalił kawał czaszki. A kiedy to zrobił, sta-

łem bliżej niego niż teraz od ciebie.

Spojrzała na mnie, poruszona.

– Ależ to okropne.

– Wszystko to bardzo dziwne – powiedziałem i dotarło do mnie, że powtarzam prawie słowo w słowo to, co mówił dzień wcześniej Brewer. Teraz ja wszedłem w jego rolę. Zobaczmy, czy bardziej mi się poszczęści.

Karen nic nie odpowiedziała, po prostu siedziała ze wzrokiem wbitym w podstawę lampy.

– Wyobrażasz sobie popełnić samobójstwo tuż przed odziedziczeniem paru milionów? No jasna cholera, jak to? Dobrze, przyjmijmy, że nie najlepiej zgraliśmy się w czasie. Ale wiesz, co jest najdziwniejsze, Karen? On wiedział, że ojciec nie żyje. Powiedział mi to, kiedy tylko go zobaczyłem. Siedział z bronią w ręku i z butelką whiskey obok.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie zdumiona.

– Co?!

– Nie wiedziałaś o tym?

– Oczywiście, że nie. Skąd miałabym wiedzieć?

Wpatrywałem się w nią przez dłuższą chwilę. Patrzyła mi prosto w oczy, ale nie przychodziło jej to łatwo.

– Karen, musisz być naprawdę idiotką, jeśli sądzisz, że nie wiem, kiedy kłamiesz

– odezwałem się w końcu. – Co jak co, ale to pamiętam dokładnie. Na dobre wryło mi się w pamięci.

Wzdrygnęła się, wtuliła bardziej w kanapę i przestała się tak ścisnąć rękoma.

– Słucham?

– Nie kłam – mówiłem lodowatym głosem. – Widziałem na własne oczy, jak umiera ktoś, kto mógł mnie zabić, i może nawet się nad tym zastanawiał. Potem spędziłem noc w areszcie, a teraz jakiś gliniarz z Indiany chce mnie wsadzić za kratki na bardzo długo. Karen, jestem już naprawdę mocno wkurzony. Więc nie waż się mnie znowu okłamywać.

Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.

Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.

– Lincoln, ja nie...

– Wiedziałaś, że Alex i jego syn utrzymywali kontakty. Kiedy powiedziałem ci, że chłopak wiedział o śmierci ojca, udawałaś zaskoczenie. To było głupie. Po pierwsze dlatego, że wiem, kiedy kłamiesz, a po drugie, policjant, który do ciebie dzwonił, i tak cię już o tym poinformował. To dobry gliniarz i na pewno bardzo go zainteresował

właśnie ten szczegół. Założę się, że cię o to pytał. Pytał, skąd chłopak mógł się o tym dowiedzieć. Więc dlaczego kłamiesz? Bo wiedziałaś, że się kontaktowali. A mimo to z jakiegoś powodu wysłałaś mnie na poszukiwania syna Aleksa i pech chciał, że nie wróciłem z tej wyprawy jako denat.

Pod koniec mówiłem już mocno podniesionym głosem, a Karen szlochała. Da-

łem jej się wyplakać. Do diabła z nią. Siedziałem tam, zamykałem oczy i znów widzia-

łem altanę, widziałem broń poruszającą się w cieniu, słyszałem odgłos odciąganego kurka, czułem wręcz, że kula leci w moją stronę, zupełnie jak na ułamek sekundy przed tym, nim Matthew Jefferson wysłał się w zaświaty. I to jej zachciało się płakać?

Cholera jasna.

Oddychałem szybko, nakręcony zastrzykiem adrenaliny. Patrzyłem, jak Karen płacze. W końcu głęboko odetchnąłem i odezwałem się:

– Karen, powiedz mi coś, co nie jest kłamstwem.

Otarła łzy.

– To wszystko prawda.

– Bzdury.

– Nie! Zerwali ze sobą kontakt. Na lata. Nie miałam pojęcia, gdzie mieszka Matthew. Zielonego pojęcia. Nie znałam ani jego numeru telefonu, ani adresu.

– Wiedziałaś, że ostatnio się kontaktowali. Dlaczego nie sprawdziłaś billingów telefonicznych?

– Wiedziałam tylko, że to on dzwonił do Aleksa. A rozmowy przychodzące nie są zapisane w billingach, wyłącznie te połączenia, za które się płaci.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. W salonie robiło się coraz ciemniej, ale jasne deski na podłodze wciąż lśniły czerwonym odbłaskiem. Zegar na ścianie tykał, lekki wiatr rozrzucał liście na tarasie; właściwie panowała cisza.

– Teraz, kiedy mąż i jego jedyny spadkobierca nie żyją jesteś bogatą kobietą – powiedziałem.

Strach i niepokój zniknęły z jej oczu, zapalił się w nich gniew.

– Co takiego? Lincoln, chyba nie sugerujesz, że...

– Nie. Ale inni ludzie mogą mówić różne rzeczy, Karen. Takie, jakie mówi się, kiedy kobieta wzbogaca się wskutek dwóch tajemniczych zgonów. I gdybym wierzył, że te zgony były zupełnie

przypadkowe i nie miały ze sobą nic wspólnego, a ty nic nie wiedziałaś, to powiedziałbym ci, żebyś nie zwracała uwagi na to, co ludzie gadają i ży-

ła sobie dalej.

– Ale w to nie wierzysz.

Pokręciłem głową.

– Nie wierzę, bo to nieprawda.

– Lincoln, sama nie wiem, co jest prawdą. Absolutnie nie wiem.

– Wiesz więcej ode mnie.

– I chcesz tego słuchać?

– Karen, gliniarze próbują oskarżyć mnie o morderstwo. Tak, do jasnej cholery, bardzo chcę posłuchać.

Wstała z kanapy i poszła do kuchni. Zostałem w swoim fotelu i patrzyłem, jak bierze butelkę wina ze stojaka. Podniosła ją, zawahała się, po czym odstawiła. Wróciła z butelką wody mineralnej. Czekałem, aż się napije. Wpatrywała się w podłogę.

– Z tą rodziną jest coś nie tak – zaczęła.

Omam nie wybuchnąłem śmiechem. No co ty, Karen? Z tą rodziną jest coś nie tak? Kiedy w tygodniu morderstwa z torturami i dziwnego samobójstwa przyszedł ci do głowy taki pomysł?

– Aleksa poznałam w pracy...

– Wiem – przerwałem jej ostro. Niestety, doskonale wiedziałem, jak poznała Aleksa Jeffersona, i nie chciałem, żeby mi o tym przypominała. Pracowała w archiwum w biurze prokuratora okręgowego, po czym przeszła do sektora prywatnego i zaczęła zarabiać znacznie więcej jako asystentka w najbardziej prestiżowej kancelarii prawnej w Cleveland. Świetnie to pamiętałem. Tego wieczoru, kiedy zaczęła tę pracę, szarpną-

łem się na szampana. Z policyjnej pensji kupiłem butelkę dom perignon i wzniosłem toast za jej sukces u Aleksa Jeffersona.

Popatrzyła na mnie smutno.

– Jeśli chcesz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia, będziesz musiał posłuchać, jak mówię o Aleksie. Nie mogę tu siedzieć i sypać z rękawa faktami, bo ich nie znam. Mogę ci tylko opowiedzieć o zmianach, jakie zauważyłam u męża.

Nie zdawałem sobie sprawy, że zaciskam zęby. Poczulem to dopiero, kiedy rozwarłem je, żeby

odpowiedzieć:

– Dobrze, opowiadaj.

Upiła kolejny łyk wody, zakręciła butelkę i odstawiła na stolik obok.

– Poznałam Aleksa, kiedy zaczęłam pracować w jego kancelarii. Był miły i zwracał na mnie uwagę. W pierwszym tygodniu pracy zabrał mnie na obiad, a potem robił

to stale. Pamiętam, że był bardzo zajęty, i dziwiłam się, że wciąż znajduje dla mnie czas. Dużo pytał o ciebie. Początkowo myślałam, że w ten sposób chce utwierdzić mnie w przekonaniu, że ze mną nie romansuje. Ale potem zaczęło do mnie docierać, że jest dokładnie odwrotnie, że próbuje wyczuć, jak poważny jest nasz związek.

Jak poważny jest nasz związek. Najwyraźniej słowo „zaręczyny“ nie miało wielkiego znaczenia dla Jeffersona. Może w jego świecie zaręczyny – a nawet małżeństwo

– w ogóle nie świadczą o tym, czy związek jest poważny.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać, więc oszczędzę ci szczegółów. Lincoln, nadal czuję się podle. Pewnie mi nie wierzysz i nigdy nie uwierzysz. Ale mówię ci to tylko dlatego, żeby wyjaśnić, co się stało z moim mężem.

Pochyliłem się do przodu. Oparłem łokcie na kolanach i wpatrzyłem się w pod-

łogę. Przeczesałem palcami włosy. Ciągnąłem je aż do bólu.

– Ty i nasi znajomi pewnie snuliście najrozmaitsze teorie, co mnie pociągało w Aleksie. Założę się, że wszyscy mówili o pieniądzach, choć przykro mi myśleć, że naprawdę wierzyli, że jestem taka płytką. Ale powiem ci, co mnie w nim najbardziej po-ciągnęło: on mnie potrzebował. Był wręcz zdesperowany. Żartował, że bardzo podoba mu się moja młodość i niewinność, jednak po jakimś czasie zorientowałam się, że to nie żarty. Że mam w sobie coś, czego bardzo potrzebował. Powiedział mi kiedyś, że go uzdrawiam, i powiedział to poważnie. Tak poważnie jak nikt nigdy wcześniej. I był

atrakcyjny. Na swój sposób urzekający. Miał prawie wszystko, a mimo to wydawało mu się, że nie może się obyć bez dwudziestopięciolatki, która pracuje w jego kancelarii i chce skończyć studia prawnicze.

Umilkła. Nie chciałem podnieść głowy i patrzeć na nią, ale w końcu to zrobi-

łem. Siedziałem z łokciami na kolanach i z zaciśniętymi dłońmi.

– Wiem, że mnie kochałeś, Lincoln. Ale nigdy nie czułam, że mnie potrzebujesz.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza, mącona tykaniem zegara. Karen wyglądała na zmieszaną. Ja chyba też byłem skrępowany.

– Jesteś bardzo silnym człowiekiem – mówiła. – Potrafisz wykorzystywać swoje zdolności, jesteś tak... pewny siebie. To chyba właściwe określenie. Pewny siebie. I niezależny jak mało kto. To wspaniałe cechy, Lincoln, słowo daję, ale... może przez to wydajesz się taki daleki. Wiedziałam, że jestem dla ciebie ważna, że mnie kochasz, nigdy jednak nie czułam się niezbędna. Nigdy...

– Miałaś chyba opowiadać o mężu.

Zamarła z otwartymi ustami, jakby chciała jeszcze coś dodać, i lekko skinęła głową.

– Jasne. No tak. Przepraszam. – Oparła się wygodniej na kanapie i podwinęła nogi. – U Aleksa pod powierzchnią zawsze się coś działo. Coś, co wzmacniało jego uczucia do mnie, ale też coś, czego do końca nie rozumiałam. Sądziłam, że ma to związek z rodziną, z synem. Powiedział mi tylko, że on i Matthew oddalili się od siebie. Alex nie lubił o tym rozmawiać, a ja nie naciskałam. Wróciłam do tego, dopiero kiedy zaczęliśmy przygotowania do ślubu. Powiedziałam mu, że zależy mi, by jego syn był na uroczystości, że to dla mnie ważne. Stwierdził, że Matthew na pewno nie przyjedzie, i nie chciał się nad tym dłużej rozwodzić. Nigdy mocniej go nie przyciskałam w tej kwestii, a i tym razem zupełnie mi się nie powiodło. Po ślubie temat właściwie nigdy już nie wrócił. Wiedziałam, że jest drażliwy dla Aleksa, i przyznam zupełnie szczerze, że nigdy nie myślałam o jego synu. No bo po co? Nigdy go nie spotkałam i nie miał żadnego znaczenia dla mojego związku z Alekssem. Od czasu do czasu coś mi o nim przypominało i zastanawiałam się nad tą sprawą, i tylko tyle. Byłam, byliśmy szczęśliwi i Aleks wydawał się zadowolony z życia, spokojny.

– Aż do niedawna?

Kiwnęła głową.

– Kilka tygodni temu coś się stało. Alex zmienił się nagle, i to bardzo. Lincoln, on był przestraszony i nie chciał mi powiedzieć, czego się boi. Nie mógł spać. Czasami o drugiej w nocy widziałam, jak siedzi przy biurku albo na tarasie. Przeważnie patrzył

gdzieś daleko przed siebie. Stał się tajemniczy i ostrożny. Wiem, że chciałbyś więcej szczegółów, ale ich nie znam. Widziałam tylko tę zmianę w osobowości. Widziałam tylko strach.

– Coś odpowiadał, kiedy go o to pytałaś?

– Na początku zaprzeczał. Powiedział, że chyba mi odbiło, że wszystko z nim w porządku, po prostu jest zapracowany. Tak było przez jakiś czas. Dopóki nie zadzwonił Matthew.

– Kiedy zadzwonił?

Zmarszczyła brwi i się zastanawiała.

– Pierwszy raz zadzwonił prawie dokładnie dwa tygodnie temu. Bardzo późno, prawie o północy. Alex był na dole, ja na piętrze. Zeszłam, żeby dowiedzieć się, kto dzwoni, a on odpowiedział, że jego syn. Lincoln, jeszcze w życiu nie widziałam, żeby ktoś był tak przerażony jak on wtedy. Zapytałam, co się dzieje, ale tylko pokręcił głową. Stwierdził, że nie mam z tym nic wspólnego i bardzo zależy mu na tym, żeby tak zostało. Oczywiście wściekłam się, bo naprawdę mnie wystraszył

i nie miałam pojęcia, o co chodzi. Zaczęłam na niego krzyczeć, domagałam się wyjaśnień, a on wstał i wyszedł z domu. Ale nie rozzłoszczony. Wyszedł jak robot. W milczeniu.

Patrzyła na drzwi wejściowe, jakby czekała, aż Jefferson znów przez nie wyjdzie.

– Nie było go przez kilka godzin. Wrócił dopiero około czwartej nad ranem.

Nie spałam. Położył się do łóżka obok mnie, nie odzywałam się, ale wiedział, że nie śpię. Leżał tak parę minut obok, a w końcu przeprosił, że mnie zdenerwował, chodziło mu jednak wyłącznie o moje dobro. Powiedział, że ktoś chce go pociągnąć do odpowiedzialności za coś, co zrobił dawno temu. „Za dawny grzech“, tak to dokładnie ujął.

– I żadnych szczegółów? Żadnej choćby niezrozumiałej wówczas wzmianki?

Kręciła głową, zastanawiając się.

– Nie całkiem. Powiedział coś w rodzaju: „Kiedy o drugiej nad ranem dzwoni telefon, to albo jest to pomyłka, albo głupi dowcip, albo coś, co za chwilę zmieni twoje życie. W moim przypadku chodzi o tę ostatnią możliwość“.

– Co do tego miał rację.

– I w tym właśnie problem: nie mógł mówić o telefonie od Matthew, bo on zadzwonił o północy. Byłam w domu, słyszałam dzwonek.

– Może się pomylił? Kiedy rozmawialiście, była która, chyba czwarta?

– Tak.

– Pewnie wydawało mu się, że zadzwonił później. Ale przecież nie mamy nic do stracenia i możemy sprawdzić w billingach telefonicznych, czy nie przeoczyłaś tamtego wieczoru jakiejś rozmowy.

– Już to sprawdzałam, policja też. Nie było innych telefonów o tak późnej porze. Ani na numer domowy, ani na komórkę, ani do biura.

– Alex rozmawiał wtedy z synem po raz pierwszy od ilu lat?

– Od pięciu. Powiedział to tej nocy, kiedy zadzwonił telefon. Skończyliśmy już rozmawiać, oboje próbowaliśmy zasnąć i wtedy on powiedział jakby do siebie: „Po raz pierwszy od pięciu lat usłyszałem jego głos“.

– A mówił może coś konkretnego o tym dawnym grzechu?

– Nie. Tylko że sobie z tym poradzi.

– I sobie nie poradził – stwierdziłem, przypominając sobie, jak Targent opisywał

mi skaleczenia brzytwą i oparzenia.

– No nie – szepnęła Karen. – Zdecydowanie sobie nie poradził.

– Mówiłaś policji o tym wszystkim?

– O wszystkim poza telefonem od Matthew.

Zmarszczyłem brwi.

– Dlaczego to przemilczałaś? On chyba coś wiedział, Karen. Coś ważnego.

– Wiem. Dlatego chciałam, żebyś to ty najpierw z nim porozmawiał. Zanim zaczniesz go wypytywać policja.

Patrzyłem na nią zaskoczony, aż w końcu zrozumiałem. Bała się tego, co zrobił

jej mąż. Obawiała się pewnie o jego wizerunek. I swój.

– Chciałaś zapanować nad sytuacją, nim do sprawy dobiorą się gliniarze i media. Chciałaś, żeby rodzinne tajemnice nie wyszły na jaw.

Zamrugła.

– Nic podobnego. Chciałam po prostu zrozumieć, co się stało. Najpierw z nim porozmawiać.

Pokręciłem głową.

– Wiesz, Karen, tak czy inaczej to był cholernie zły pomysł. Bo teraz Matt Jefferson nic już nikomu nie powie. Gdybyś załatwiła to jak należy i zrelacjonowała wszystko szczerze gliniarzom, pojechaliby tam i nie pozwolili, żeby rozwalił sobie łeb. Pora-dziliby sobie lepiej ode mnie. Oczywiście ja też zachowałbym się inaczej, gdybyś i ze mną była szczerą.

– Myślisz, że tego nie żałuję? Że nie czuję się winna?

Milczałem. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. I się nie rozpląkała.

– Lincoln, chcę wiedzieć, co się wydarzyło w tej rodzinie. Muszę wiedzieć, co się w niej wydarzyło – oświadczyła jakąś minutę później.

– Nie umiem ci pomóc. Od samego początku nie potrafiłem. Cholera jasna, dlaczego w ogóle do mnie zadzwoniłaś?

– Policjanci powiedzieli mi, że z tobą rozmawiali i... – Jej słowa wybrzmiały w ciszy. Karen wpatrywała się zamyślona w pustkę. Potem znów spojrzała na mnie. – Pa-miętasz te cechy, o których ci opowiadałam? Pewność siebie, niezależność i...

– Te, które cię ode mnie odepchnęły.

Skrzywiła się lekko, ale przytaknęła.

– Tak. Owszem, może wydawałeś się przez to niedostępny, dzięki nim jednak wierzyłam w ciebie, Lincoln. Ufałam ci. Przepraszam, ale to mi zostało. – Popatrzyła na mnie ze smutkiem. – Czy to, co mówię, w ogóle ma sens?

– Nie mniejszy niż inne twoje opowieści.

– Rozumiesz teraz, że muszę się dowiedzieć, co się stało w tej rodzinie?

– Tak. I życzę ci powodzenia. Ale ja ci nie pomogę. Nie potrafię. W ogóle nie powinienem się w to angażować. Niemal przez całą drogę powrotną przeklinałem samego siebie, że popełniłem ten błąd.

Milczała dłuższą chwilę. W końcu odezwała się:

– Przykro mi, że tak się czujesz. Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.

Wstałem.

– Musisz zadzwonić na policję i wszystko szczerze opowiedzieć.

Odprowadziła mnie do drzwi.

– Wyślę ci czek. Na sumę, którą uzgodniliśmy.

Pokręciłem głową.

– Dostaniesz rachunek według normalnej stawki. Zapłacisz i będziemy kwita.

Stała w korytarzu, patrząc, jak otwieram ciężkie drzwi i wychodzę na dwór.

Słońce już zaszło i powitał mnie chłodny mrok. Odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach oświetloną od tyłu ciemną sylwetkę.

– Powodzenia, Karen – powiedziałem.

Poszedłem do ciężarówki i odjechałem.

Rozdział 9

Dotarłem jednak tylko do końca krętego podjazdu, bo nagle przede mną rozbłysły reflektory, oślepiając mnie ostrymi snopami światła. Skrzywiłem się i zwolniłem, osłaniając oczy ręką. Kiedy zahamowałem, światła zgasły i ktoś zastukał w moją szybę.

Musiałem kilka razy mrugnąć, wciąż oślepiony. Opuściłem szybę, znów zamrugałem i zobaczyłem twarz Hala Targenta.

– Panie Perry, jak samopoczucie?

– Jestem zmęczony i jadę do domu. Mógłby pan usunąć te samochody z drogi?

– Nie, przeciwnie, chciałbym, żeby pan wysiadł z ciężarówki.

Spojrzałem w bok i opadłem na oparcie fotela. Narastała we mnie frustracja, za chwilę mogła znaleźć ujście. Zbliżałem się do granic wytrzymałości. Nie byłem gotowy do rozmowy z kolejnym gliniarzem, który będzie przesłuchiwał mnie w sprawie, z któ-

– rą nie mam nic wspólnego. Nie dzisiaj.

– Proszę wysiąść z wozu, panie Perry.

– Nie.

– Słucham? – Pochylił się bliżej i poczułem w jego oddechu smród papierosów.

– Nie widzę powodu, żeby wysiadać z auta, Targent. O co ci, u diabła chodzi?

– Chcę tylko pogadać. Będzie nam łatwiej, jak pan wysiądzie.

– Jadę do domu.

Zawisł na drzwiczkach, tułowiem przez opuszczoną szybę. Wtargnął w moją przestrzeń. Czułem, jak dłonie zaciskają mi się na kierownicy, ale patrzyłem prosto przed siebie, w mrok. Oswoiłem się z ciemnością na tyle, by dostrzec, że blokują mi drogę dwa radiowozy zaparkowane obok siebie. Nie mogli mnie śledzić, bo przecież wracałem prosto z Indiany. A to oznaczało, że albo obserwowali dom Karen, albo po prostu tu wpadli, a że zobaczyli na podjeździe moją ciężarówkę, postanowili zastawić na mnie pułapkę.

– Słyszałem, że siedział pan w areszcie w Indianie – powiedział Targent. – Wró-

cił pan i co, od razu do wdówki?

– Pracowałem na jej zlecenie.

– Obiło mi się o uszy. Owszem. Zabawne, że pracuje pan dla niej, a ledwie kilka dni temu mówił pan nam, jaka to jędza i że nie spotykał się pan z nią od lat.

– Bo się nie spotykałem. I wcale nie nazwałem jej jędzą.

Zamyślony, kiwnął głową.

– Jasne, jasne. Długo dziś rozmawiałem przez telefon z pewnym detektywem z Indiany, niejakim Brewerem. Mówił, że bardzo miło wam się gadało.

– Uroczy człowiek.

– Też odniosłem takie wrażenie. I ma kilka ciekawych teorii. – Targent niemal dotykał nosem mojego policzka oświetlonego zielonym blaskiem zegarów na tablicy rozdzielczej.

– Owszem, ma – odparłem.

Ciężarówka stała na jałowym biegu, ale silnik wciąż pracował. Patrzyłem na dźwignię zmiany biegów i zastanawiałem się, czy nie wrzucić biegu i nie wcisnąć gazu do dechy, by sprawdzić, czy Targent zdąży odskoczyć i czy nie przytnę mu paluchów.

– Przedstawił teorię, która wydała mi się zupełnie odjazdowa – ciągnął. – To wygląda jak scenariusz jakiegoś telewizyjnego romansidła. Grają w nim dwie gwiazdy, para dawnych kochanków, którzy potajemnie się schodzą. Stara miłość odżywa i oboje wpadają na szalony pomysł, żeby zabić męża bohaterki. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że stoi im na drodze. Ale jest coś jeszcze, ten drań jest obrzydliwie bogaty.

Główny bohater, policjant z Indiany – w tej roli obsadziłby pana, od dłuższego czasu ma na pieńku z mężem kobiety. Raz nawet rzucił się na niego z pięściami. A więc ko-chankowie postanawiają wyeliminować męża. Nieźle, co? Tyle że w ten sposób mogą zdobyć tylko połowę forsy. Drugą część zapisał synalkowi, który gdzieś się zapodział.

Niedobrze, co? A gdyby dzieciak nagle odnalazł się martwy? To by dopiero im odpowiadało. Ale tu moim zdaniem scenariusz zaczyna się rozłazić. Z niezłego dreszczow-ca kinowego robi się telewizyjna szmira. Kochankowie próbują upozorować samobójstwo synalka. Samobójstwo, choć przecież dzieciak nie ma do niego wyraźnego motywu, przecież odziedziczy miliony. A na dodatek, i tu każdy reżyser z Hollywood wkurzyłby się naprawdę, bo cała ta historia zupełnie już przestaje być wiarygodna, jedynym świadkiem samobójstwa jest właśnie facet podejrzany o morderstwo męża!

Zachichotał i pokręcił głową.

– No niech pan sam powie, czy to nie idiotyczne? Podejrzany o morderstwo, dawna miłość bogatej wdowy, nagle staje się jedynym świadkiem samobójstwa dzieciaka? Trochę to naciągane, nie sądzi pan?

– Odsuń się od wozu, do cholery – warknąłem i wrzuciłem bieg.

– Spokojnie, Perry. Opowiadałem tylko teorię tego faceta z Indiany. Nie własną.

– Odsuń się.

– Nie ma się co spieszyć. Zresztą podjazd i tak jest zablokowany.

Zdjąłem nogę z hamulca i zacząłem powoli jechać. Targent szedł obok, wciąż trzymając rękę na drzwiach. Lekko nacisnąłem pedał gazu i Targent odskoczył, zanim zacząłem ciągnąć go za samochodem. Radiowozy stały jakieś dziesięć metrów przede mną. Odbiłem w lewo i zjechałem z podjazdu na trawnik w ozdobne krzewy. Przejechałem przez nie – to nie przypadek, że jeżdżę

silverado, a nie toyotą prius, przydaje się właśnie w takich chwilach – odbiłem z powrotem w prawo i docisnąłem gaz. Opony młóciły mokrą trawę. Ominąłem radiowozy, rozjechałem kolejne krzaki i wróciłem na podjazd.

– Ma pieniądze i ogrodników – usprawiedliwiłem się – co tam trochę zniszczony trawnik.

W końcu wyjechałem z podjazdu na ulicę. Gdzieś za mną ryknął silnik, ale nie widziałem włączonego koguta. To chyba dobrze, do cholery – jedna noc w areszcie tygodniowo wystarczy.

– Lincoln, co ci mówiłem na temat kompostu? – gderał Joe. – Nie możesz go tak rzucać w kupki i tylko trochę rozgarniać. Trzeba go rozprowadzić delikatnie i równo. Jak koc.

Popatrzyłem na niego. Klęczałem, podpierając się rękoma, pot zalewał mi twarz i ledwo się powstrzymałem, żeby nie przyłożyć mu grabkami. Siedział na krześle ogrodowym jakieś trzy metry ode mnie, w za dużej kurtce, którą należałoby wyjąć z szafy dopiero za jakieś dwa miesiące. Popijał kawę i zde gustowany przyglądał się moim wyczynom.

– Posłuchaj. I tak już wystarczająco wykorzystałeś moją cierpliwość, zmuszając mnie do przekopania tego cholernego ogrodu. Joe, takie rzeczy robi się wiosną, nie jesienią.

– Gdybyś znał się na przygotowaniu ogrodu do zimy, wiedziałbyś, że to nieprawda. Robi się to i jesienią, i ponownie wiosną. To wielka różnica.

Wielka różnica, sraty-taty. Odwróciłem się od niego, pokręciłem głową i jeszcze raz podniosłem grabki, żeby rozprowadzić kolejną warstwę kompostu. Żona Joego, Ruth, miała najpiękniejszy ogród kwiatowy w okolicy. Kiedy jej zabrakło, ogrodem zajął się Joe, choć wcześniej na kwiaty nawet nie spojrzał. Jak można się było spodziewać, bardzo przykładał się do uprawy ogrodu. Teraz, kiedy kontuzja ramienia i barku uniemożliwiła mu pracę, zatrudnił mnie do przygotowań zimowych. Nie przeszkadza-

ło mi to, dopóki nie przyciągnął sobie ogrodowego krzeselka i nie dał mi do zrozumienia, że będzie robił za ekonoma.

– Słuchałeś mnie w ogóle? – zapytałem.

– Tak. Ale o wiele łatwiej jest słuchać, kiedy ktoś dobrze wykonuje pracę.

Robiłem więc dalej swoje i opowiadałem mu o moich przygodach w Indianie i spotkaniu z Targentem poprzedniego wieczoru. Sądząc po jego oczach, znacznie bardziej interesowało go to, jak rozprowadzam nawóz, ale od czasu do czasu coś mruknął, dając znak, że nadaża za opowieścią.

– A więc teraz gliniarze z Indiany i miejscowi chcą mnie wsadzić już nie za jedno, ale za dwa zabójstwa – podsumowałem.

– Niezłe osiągnięcie, nawet jak na ciebie. Jednego zabójstwa mógłbym się spodziewać. Ale dwa to naprawdę wyczyn.

– Mam wrażenie, że gliniarzom też zaimponowałem.

– A Karen?

– Czy jej zaimponowałem?

– Nie, jak się trzyma?

– Kiepsko. A właściwie na tyle dobrze, na ile to możliwe, zważywszy na to, za kogo wyszła.

– Mówisz to z taką satysfakcją.

– Naprawdę?

– Aha. Przykro mi, ale mam dla ciebie kolejną złą wiadomość... Wiesz, chyba za płytko zakopałeś te kłacza.

– Jaką złą wiadomość?

– Tłumaczyłem ci, LP, co najmniej piętnaście centymetrów. Musisz je zakopać głębiej, żeby mogły przetrwać zimę. Jesienią trzeba kopać głęboko.

– Wykopałem piętnaście centymetrów.

– Moim zdaniem...

Westchnąłem i odwróciłem się.

– Joe? Co to za zła wiadomość?

Skrzywił się, patrząc na rabaty, i znów spojrział na mnie.

– Właściwie to nie dotyczy bezpośrednio ciebie, ale dla Karen to niezbyt po-myślne wieści.

– O co chodzi?

– Kiedy wyjechałeś do Indiany, zadzwonił do mnie Cal Richards. Zdaje się, że Targent wypytywał go o ciebie, chciał poznać jego zdanie, czy mógłbyś pociąć kogoś brzytwą.

Cal Richards był detektywem z wydziału zabójstw w Cleveland. Pracowaliśmy z nim latem.

– Niech zgadnę... Cal powiedział, żeby od razu mnie zakuli w kajdanki?

– Nie, chyba dopiero wrócił z wakacji czy coś takiego, był w dobrym nastroju, bo oświadczył im, że marnują czas. Zapewnili go, że nie biorą cię poważnie pod uwagę. Może sytuacja zmieniła się po tym samobójstwie w Indianie, ale Richardsowi tak właśnie powiedzieli.

– Super.

– Richards poinformował mnie... oczywiście strasząc, co mi zrobi, jeśli się wy-gadam... że Targent i jego ekipa interesują się pewnymi rozmowami, jakie Jefferson przeprowadził ze swoim maklerem, doradcą inwestycyjnym czy jak się tam nazywa je-go finansowy guru.

– Poważnie?

Wiatr wzmógł się i zdmuchnął Joemu siwe włosy z czoła. Zdmuchnął też parę znad kubka z kawą i poniósł ją prosto w zachmurzone niebo. Joe mówił niby ot tak sobie, lekko, ale twarz mu się zmieniła, rysy stężały i spochmurniał.

– Według tego faceta Jefferson chciał się dowiedzieć, ile gotówki mógłby zebrać i jak szybko. Nie mówił po co, a kiedy doradca zapytał, Jefferson kazał mu pilnować własnego nosa. Ale chciał upłynnić jak najszybciej jak najwięcej papierów.

Zmarszczyłem brwi.

– Jego kancelaria obsługiwała rozmaite firmy. Może pomógł w jakiejś transakcji, która mogła się odbić na nim, i myślał, że jego aktywa zostaną zamrożone na czas śledztwa.

Joe mruknął, i nie była to oznaka aprobaty. Znałem go na tyle dobrze, że wiedziałem, jak interpretować jego pomruki.

– Gdyby rzeczywiście przejmował się jakimś dochodzeniem, to nie sądzisz, że do tej pory coś by już wyszło na jaw? Ktoś by przecież się odezwał i powiedział, że w tej konkretnej sprawie trwa dochodzenie. A jakoś nie przypominam sobie, żeby białe kołnierzyki załatwiały między sobą porachunki za pomocą brzytwy i przypalania zapalniczką, a ty?

– Połowa tego, co robi teraz mafia, to przestępstwa białych kołnierzyków. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć. W takim razie, co o tym wszystkim myślisz?

Wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

– LP, można chcieć upłynnić papiery wartościowe z kilku powodów. Ty zasugerowałeś jeden z nich. Inny może być taki, że facet zamierzał zniknąć, uciec przed czymś. Nie mamy jednak na to dowodów. Co nam więc zostaje? Co byś zrobił z taką forszą?

Kołysałem się na piętach, pochylony nad rabatką jak bejsbolista strzegący bazy.

Patrzyłem na niego i nagle coś mi zaświtało.

– Okup – powiedziałem. – Myślisz, że ktoś go szantażował?

Znów wzruszył ramionami.

– To mógłby być powód rozmów z doradcą finansowym. A jeśli tak, to może się okazać, że dług wcale nie zniknął wraz z Jeffersonem. Dlatego właśnie wspomnia-

łem o Karen.

Zamyśliłem się, przypomniałem sobie jej widoczny strach, nerwy jak postronki, to, jak podskakiwała, słysząc choćby szum wiatru. Chodziło o pieniądze? Ktoś chciał

od niej pieniędzy?

– Nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków – ostrzegł Joe. – Po prostu tak jakoś mi się to wyrwało. Richards nie powiedział nic więcej godnego uwagi.

Strzepnąłem kompost z rękawic i je zdjąłem. Joe wstał i złożył ogrodowe krzesło, opierając je o udo i przyciskając zdrową ręką.

– Lepiej by było, gdybyś się od tego trzymał z daleka, LP.

– Trochę za późno na dobre rady, ale taki mam właśnie plan.

Skrzywił się, spoglądając ostatni raz na rabaty, i pokręcił głową. Nie powaliłem go jakością swojej pracy, uznał jednak, że ogród musi w takim stanie doczekać wiosny.

– Masz rehabilitację dziś po południu?

– Nie, dopiero jutro.

– Aha. W takim razie ja jadę do biura. Podzwonię do naszych ulubionych adwokatów i zobaczę, czy nie podrzucą nam czegoś nowego. Czasami trzeba ich uszczypnąć, żeby się nie ociągali.

Mógłby pomóc, zaangażować się. Czekałem, aż chwyci przynętę.

– Mam nadzieję, że nie będziesz wydzwaniał w sprawie Jeffersona? – powiedział.

– Nie, nie będę.

Kiwnął głową i ruszył w stronę domu.

– Dzięki za pomoc w ogrodzie. I powodzenia, Lincoln.

Pozegnałem się z nim, wyszedłem na ulicę, otworzyłem drzwi ciężarówki, wsiadłem i włączyłem silnik. Powodzenia. To samo powiedziałem Karen poprzedniego wieczoru. A potem zabrałem się i zostawiłem ją samą z jej problemami. Zbieg okoliczności? Pewnie, że tak. Pewnie.

Rozdział 10

Dzień mijał powoli. Mieliśmy trochę pracy, ale nic takiego, co wymagałoby szczególnego wysiłku umysłowego. Ot stukanie w klawiaturę komputera – poszukiwanie śladów, szperanie w księgach wieczystych. Skończyłem o piątej i wróciłem do domu. Przebrałem się i zszedłem do siłowni.

Po godzinie wyciskania zrobiłem przebieżkę. Październik to jeden z lepszych miesięcy do biegania. Powietrze jest na tyle chłodne, że dodaje energii, ale jeszcze nie na tyle mroźne, żeby zapierało dech. Biegałem około pół godziny – najpierw wzdłuż Rocky River Drive, potem w dół do parku i dalej w górę na most. Klepnałem jeden z żelaznych łuków na nim, tak jak zwykle, kiedy tędy przebiegałem, na wspomnienie mojego partnera, który omal nie zginął w rzece. W ten sposób dziękuję opatrności, że wciąż żyje. Wracałem do siłowni nieźle spocony, oddychałem ciężko. Kiedy wybiegłem zza rogu, zobaczyłem, że na parkingu przed moim domem stoi samochód Amy.

Zwolniłem i zacząłem iść. Serce waliło mi mocno, dyszałem. Ucieszyłem się na jej widok, ale wzbudziła też we mnie niepokój. Kiedy widziałem ją ostatnio, była wściekła – a co najmniej rozgoryczona – i od tamtego czasu nie rozmawialiśmy.

Chyba obserwowała mnie w lusterku, bo otworzyła drzwi i wysiadła, zanim doszedłem do samochodu. Miała na sobie džinsy i biały top, a na nim koszulkę na guziki. Była drobna i szczupła, jak zwykle. I jak zwykle wyglądała świetnie.

– Hej – odezwałem się. Nie ma to jak talent do gładkich powitań.

– Cześć. – W rękę trzymała kartkę i patrzyła na mnie, marszcząc brwi. – Chyba miałam rację, nie godząc się na tę wycieczkę do Indiany, co?

– Rozmawiałaś z Joem?

– Nie.

– W takim razie co słyszałaś?

– To. – Podała mi kartkę, wydruk sygnowany przez Associated Press. Miejsce nadania depechy: Morgantown, Indiana. Nie było tytułu, ale już pierwsze zdanie sugerowało, co będzie dalej.

„Jedynym świadkiem brutalnego samobójstwa, do którego doszło w czwartek wieczorem w pobliżu Morgantown, był prywatny detektyw z Ohio, który miał porachunki z zamordowanym niedawno ojcem ofiary“.

Popatrzyłem na nią i jak ona zmarszczyłem brwi.

– Skąd to masz?

– To depesza agencyjna, Lincoln. Jutro drukujemy ten tekst.

– Co?

– Tak. Wiedziałaś, że się zdenerwujesz, ale nie da rady, żebyś wyperswadowa-

ła to wydawcy. Przecież o morderstwie Jeffersona mówią wszyscy. Ta reporterka z Indiany musi mieć dobre kontakty w tamtejszej policji, bo zdobyła sporo informacji.

Kurczę, samobójstwa rzadko trafiają do mediów, chyba że chodzi o jakąś gwiazdę czy polityka. To jedna z niewielu sfer, w której my, media, zachowujemy szacunek dla prywatności.

Jęknąłem i kiedy tak staliśmy na parkingu, doczytałem depezę do końca. Rzeczywiście, reporterka z Indiany była w dobrych stosunkach z gliniarzami – żadnych cytatów, tylko sporo ogólników w rodzaju „policja twierdzi“, wiedziałem jednak, że źró-

dłem musi być Brewer. W tekście zostałem wymieniony z nazwiska, z adnotacją, że zatrzymano mnie na noc w areszcie. Wspomniano też, że pracowałem w Indianie bez licencji prywatnego detektywa, ale to mógł powiedzieć każdy z tamtejszych policjantów. Natomiast szczegóły na temat mojego związku z Karen i napaści na jej męża na odległość śmierdziały mi Brewerem.

– Pewnie specjalnie prosił tę reporterkę, żeby AP to puściła. – Zmiałem kartkę.

– Chce, żebym poczuł jego oddech na plecach. Ten dupek naprawdę myśli, że mam z tym coś wspólnego.

– Jaki dupek?

Westchnąłem i przetarłem oczy.

– No tak, muszę ci chyba wszystko opowiedzieć. Chodźmy na górę.

Weszliśmy do mojego mieszkania i popijając wodę z butelki, opowiedziałem jej, co się stało. Stałem oparty o ścianę, a Amy siedziała na kanapie. Słuchała uważnie, ale była dziwnie milcząca, nie przerywała mi pytaniami, jak zwykle, i nie musiałem jej uciszać, żeby móc dokończyć relację.

– Pozwolisz, że wezmę błyskawiczny prysznic? – spytałem, kiedy już przedstawiłem całą sprawę. Ubranie miałem przesiąknięte potem po przebieżce, więc chcia-

łem się szybko umyć i przebrać w świeże ciuchy.

– Leć.

Poleciałem. Kiedy wróciłem, Amy wciąż siedziała na kanapie. Wciąż grał telewizor z wyłączonym dźwiękiem, ale ona patrzyła nie na ekran, lecz na ścianę.

Podszedłem do kanapy, ale otaczała ją dziwna aura, jakieś pulsujące pole obronne. Stwierdziłem, że lepiej nie siadać obok Amy. Usiadłem więc na podłodze, oparłem się plecami o kanapę i przekrzywiłem głowę, żeby widzieć twarz Amy.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Ale chyba jestem ci winna przeprosiny. Musiałam wtedy wyrzucić z siebie parę rzeczy, ale nie wiem, czy zrobiłam to w odpowiedni sposób.

– Nic się nie stało, Amy.

Wzruszyła ramionami, bez słowa.

– Kiedy coś cię gryzie, musisz mówić, co ci leży na wątrobie – powiedziałem. –

Inaczej nie da się żyć.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego ty nigdy nie mówisz, co cię gryzie?

– Bo jestem płytkim głupim facetem. Nic mnie nie gryzie.

Roześmiała się.

– No, to jest jakiś argument.

Zapadła cisza. Zastanawiałem się, czy Amy liczyła, że to ja przejmę inicjatywę i pokieruję rozmową tak, że będziemy kontynuować temat, który przerwaliśmy na parkingu tego ranka, kiedy wyjechałem do Indiany. Ale milczałem. Nie jestem specjalnie dobry w utrzymywaniu związków, ale jeszcze gorszy w dyskusjach o związkach. Ot facet, który nie chce rozmawiać o naprawdę ważnych sprawach. Kim więc jestem? Płytkim głupim facetem? Oho, może wcale nie zakpiłem z siebie.

– Miałeś ciężkie dwa dni – powiedziała Amy, chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę.

– No tak. – Siedziałem ze spuszczoną głową; wziąłem głęboki oddech. Rzeczywiście, ciężkie dwa dni.

Wyciągnęła rękę w moją stronę, musnęła mój kark chłodnymi palcami i zaczęła masować miejsce, w którym mięśnie pleców łączą się z mięśniami szyi. Westchnąłem z wdzięcznością i odchyliłem głowę do tyłu i w bok, czując, jak ustępuje napięcie. Dłonie miała małe i delikatne, ale silne. Moje ciało jakby się rozpływało, istniało tylko tych kilka centymetrów kwadratowych nad barkiem. Ten lekki dotyk przypominał mi – nie po raz pierwszy ani nawet nie pięćsetny – jak bardzo jej pragnę.

„Wiesz może, co się dzieje, kiedy przyjaźń zaczyna prychnąć, a potem stopniowo klekocząco klekotać? Jasne, że wiem. To znaczy, że coś pan spieprzył. A jak to naprawić? Trzeba przestać się bać“.

Masowała mi kark jeszcze przez kilka minut, potem przestała, musnęła mnie delikatnie po karku paznokciami i zabrała rękę. Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na nią.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Chyba było ci to potrzebne.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Oparłem się dłońmi o podłogę, podniosłem i usiadłem na kanapie obok niej.

Skuliła się i położyła rękę na poręczu. Patrzyła na mnie. Ja też na nią patrzyłem i pró-

bowalem sobie przypomniec, dlaczego tak unikallem jakiegokolwiek zblizenia z nia, na co czekalem. Początkowo moja zelazna logika wydawala sie sensowna: moje do-

swiadczenie w utrzymywaniu związków emocjonalnych bylo co najmniej mizerne, a Amy byla zbyt dobrym przyjacielem, by ja stracic. Ale moze Grace miała rację. Moze powinienem przestac sie martwic, co pójdzie nie tak, a zastanowic sie, co pójdzie dobrze. Moze czas przejść do czynów.

Juz prawie zaczalem sie pochylac ku niej, kiedy sie odezwala:

– Muszę przestac traktowac cię jak faceta, z którym mogłabym sie umawiac.

Zastygłem bez ruchu, a potem odsunalem sie i uniosłem brwi.

– Słucham?

– Przecież nic by z tego nie wyszło, prawda? Skakalibyśmy sobie do gardeł. I tak to robimy co chwila, a jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jesteśmy do siebie zbyt podobni. Podjęliśmy właściwą decyzję, a raczej to ty ją podjąłeś za nas oboje. A ja muszę ci za to podziękowac. Przepraszam. Dobry przyjaciel to prawdziwy skarb, Lincoln.

Utrata kogoś takiego bardzo boli. Nie chcę, żeby nas to spotkało.

Nie pocałowałem jej przecież, ale czułem się, jakbym to zrobił, i teraz próbowałem jakoś dopasowac to do nagłego zwrotu w rozmowie.

– Nie masz za co przeproszac – wymamrotałem.

– Poniosło mnie wtedy, i tyle. Pytanie o to, ile związków udało mi się utrzymac od czasu, kiedy cię poznałam, powinnam zadac sobie, a nie tobie.

– Tak naprawdę wydawalo mi się...

– Cholera! – Spojrzała na zegarek.

– Co?

– Dwadzieścia minut temu miałam się spotkac z przyjaciółką na kawie. Zaszłam się. A chciałam ci tylko podrzucic tę depezę i przeprosic.

Wstała z kanapy i wzięła torebkę.

– Nie przerywajmy tak tej rozmowy i nie zapominajmy o niej – poprosilem, odprowadzając ją do drzwi.

Kiwnęła głową.

– Jasne, wrócimy do tego, ale teraz muszę naprawdę pędzić. Przepraszam, Lincoln. Wkrótce

pogadamy.

– Mam nadzieję – powiedziałem do zatrzaśniętych drzwi.

Minutę później zszedłem na parking, jakbym chciał ją dogonić, choć słyszałem, jak odjeżdża. Był pusty, dziś żaden z nocnych Marków nie miał chyba ochoty ćwiczyć w siłowni. Stałem z rękoma w kieszeniach i kulilem się pod podmuchami październikowego wiatru. Chwilę wpatrywałem się w pustkę. Zmarzłem, ale nie chciałem wracać do domu. Zamknąłem drzwi na klucz, poszedłem do rogu budynku i skręciłem w ulicę Lorain, na zachód.

Znałem Amy od półtora roku, z każdym miesiącem spędzałem z nią coraz wię-

cej czasu i nigdy nie zrobiłem nic, co wykraczałoby poza przyjaźń. I nagle dziś, kiedy Amy mówi mi, że pogodziła się z tym, że tak będzie już zawsze, ja jestem gotów wykonać pierwszy ruch. Doskonale. Oto mistrz wycucia czasu.

Skręciłem w lewo nad Rocky River i doszedłem do Chatfield, a potem znów skręciłem, na wschód. Starałem się zatoczyć koło, co nie jest łatwe w mieście, gdzie wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym. Obok mnie śmignął samochód i zaparkował przy krawężniku przed domem z wielką nadmuchiwaną wiedźmą na mio-tle, której twarz pod spiczastym czarnym kapeluszem jarzyła się zielonym elektrycznym blaskiem. No tak, za tydzień Halloween. Szedłem w stronę domu Joego, ale bez-wiednie. Pewnie jeszcze nie spał i oglądał jakiś stary mecz w ESPN Classic. Nie wiedziałem jednak, czy chcę wpaść do niego i opowiedzieć mu, co się dzieje. Może nie chciałem go niepokoić o tak późnej porze, a może przez te wszystkie tygodnie zaczął

stawać się dla mnie już nie partnerem, lecz facetem, z którym kiedyś pracowałem.

Kilka innych domów przy Chatfield również udekorowano świątecznie. W

oknach stały szczerzące zęby podświetlane dynie, a z drzewek zwisały błyszczące szkielety. Święta to w ogóle dziwactwa, kiedy pomyśli się o tym, skąd się wzięły i czym się stały, ale Halloween jest chyba najdziwniejsze.

Z ust wydobywała mi się para. Szedłem szybko, wciąż nie wyciągając rąk z kieszeni i trzymając je blisko ciała, żeby się jak najlepiej ogrzać. Chłód wdzierał mi się w mokre włosy, zacząłem drzeć z zimna. Aż się prosiłem o przeziębienie. Zresztą, może nie byłoby to takie złe? Mógłbym poleżeć w łóżku, odciąć się od świata i jego puła-pek.

Napastnik biegł po trawniku, a nie po chodniku, więc jego kroki usłyszałem dopiero w ostatniej chwili. Słyszałem trzask otwieranych i zamykanych drzwi samochodu, ale uznałem, że wysiedli z niego ludzie, którzy zatrzymali się przed domem przystrojonym wiedźmą, i nawet się nie obejrzałem. Już miałem się obrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje, kiedy uderzył mnie tak, że zatoczyłem się, uderzyłem barkiem o drzewo i upadłem na ziemię.

Wylądowałem na plecach, a więc w najlepszej pozycji, by bronić się przed kolejnym atakiem. Mężczyznę widziałem tylko jako ciemny kształt. Twarz ocieniał mu daszek bejsbolówki nasuniętej

głęboko na oczy. Poderwałem się, kiedy się na mnie zamachnął, uchyliłem i, unikając ciosu, rzuciłem się na niego. Po świcie powietrza, ja-ki wydała jego ręka przelatująca obok mojego ucha, domyśliłem się, że trzyma w niej broń albo coś ciężkiego. Widząc, że atakuję, szybko i zwinnie odskoczył, ale zamiast znów się zamachnąć, po prostu się odwrócił i wykorzystał moment obrotowy, by wałnąć mnie prawą ręką w głowę. Tym razem zrobił to gładkim płynnym bekhendem jak tenisista, tak szybko i tak mocno, że zanim straciłem przytomność, wydawało mi się, że czuję w ustach krew.

Rozdział 11

Kiedy odzyskałem przytomność, sparaliżowała mnie myśl: oślepiłem. Dochodzi-

łem do siebie powoli, kręciło mi się w głowie, ale w końcu otrząsnąłem się na dobre i rejestrowałem wszystko. Mrugałem i próbowałem skupić na czymś wzrok, daremnie jednak. Widziałem tylko czerń i przez kilka koszmarnych sekund czułem strach, jakiego dotąd jeszcze nie przeżyłem. Bałem się, że naprawdę straciłem wzrok. Potem wyczułem płótno na twarzy i uświadomiłem sobie, że założono mi na głowę jakąś torbę i zawiązano ją mocno wokół szyi.

Ktoś dźgnął mnie w żebra.

– Ocknąłeś się?

Zacząłem się orientować w sytuacji – leżałem na ziemi, na wilgotnej trawie. Rę-

ce miałem skrupowane na plecach, nie kajdankami, ale taką cienką niezwykle mocną plastikową opaską jakiej policjanci też czasem używają. Bardzo gruba płócienna torba na mojej głowie nie przepuszczała żadnego światła. Obliziałem suche usta i skrzywi-

łem się, kiedy dotknąłem językiem głębokiej rany o miedzianym smaku. Za prawym uchem czułem narastający ból.

– Odezwij się. – Znów dźgnięcie w żebra, pewnie noskiem buta.

– Ściągnij mi z głowy tę torbę, dupku.

Śmiech.

– Oho, obudziłeś się.

– Ściągnij torbę. Duszę się. – Kiedy tylko to powiedziałem, naprawdę zacząłem się czuć, jakbym nie miał czym oddychać. Musiałem się uspokoić, by nie zacząć w pa-nice łapczywie chwytać ustami powietrza.

– Nie każ mi jej zdejmować. Ta torba to przyjemna alternatywa, Lincolnie Perry.

To szansa na rozmowę. Inaczej umrzesz. Więc nie sądzę, żebyś chciał pozbyć się tej torby.

Ktoś chwycił za torbę i kępkę moich włosów, a potem szarpnął mnie do góry.

Kiedy ukląknęłam, puścił mnie.

– Wyprostuj się.

Siedząc na kolanach ze skrepowanymi rękoma, z głową obwiązaną torbą, czu-

łem się tak, jakbym czekał na egzekucję. Próbowałem wstać, ale mi się nie udało, bo mocno przycisnął mi but do pleców.

– Nie ruszaj się. Siedź spokojnie i mów, a jeszcze dziś wrócisz do domu.

Znów oblizałem usta i poczułem smak krwi.

– Kim jesteś?

– Człowiekiem, który ma z tobą wiele wspólnego – odparł. – To jeden z powodów, dla których wolę, żebyś mówił, niż umierał. Tak, są między nami pewne podobieństwa.

Umilkłem i czekałem, co się stanie.

– Nie musisz nic o mnie wiedzieć, Lincolnie Perry. Znam cię i tylko to się liczy.

Wiem, kim jesteś, co zrobiłeś ze swoim życiem i na kim ci zależy. Wiem, że wczoraj byłeś u Karen Jefferson, że dziś rano pracowałeś w ogródku u swojego partnera, że spędziłeś wieczorem trochę czasu z tą ładną dziennikarką. Kiedy wyszła od ciebie, wyglądała na zdenerwowaną. Czym tak popsuleś jej humor?

– Powiedziałem, że chcę się z nią dziwacznie zabawić, z rękoma związanymi na plecach i torbą na głowie.

Roześmiał się.

– A to dobre, Lincoln. Naprawdę dobre, widzę, że wracasz do formy, zagłuszasz strach. Brawo. Ale nie przesadzaj.

Rozległ się złowieszczy szcęk kuli wprowadzanej do komory i napastnik przycisnął mi lufę do głowy.

– Bój się, Lincoln. Powinieneś się mnie bać, mimo że usłyszałeś ode mnie, że chciałbym, abyś dzisiaj jeszcze żył. Nie zapominaj o tym.

Zabrał pistolet, a ja uświadomiłem sobie, że przygryzam skaleczoną wargę i krew znów zaczyna z niej płynąć.

– Stwarzasz problemy – mruknął i stanął za mną a potem przeszedł na lewą stronę. Słyszałem tylko lekki szum wiatru i jego głos. Nie wiedziałem, gdzie byliśmy, ale na pewno na jakimś odludziu. Niewesoło. – Moim zdaniem nieumyślnie – ciągnął.

– Masz po prostu pecha. Ale teraz muszę rozwiązać te problemy.

– W porządku – powiedziałem i znów otarłem się ustami o grubą torbę.

– Co się stało w Indianie? Po co tam pojechałeś i co się wydarzyło?

Chwilę milczałem, ale dotarło do mnie, jak bardzo to bezsensowne. Jeśli do-browolnie nie będę mówił, on mnie do tego zmusi. Moje milczenie byłoby uzasadnione, gdybym chciał chronić coś cennego, a nie miałem czego chronić. Nie wiedzia-

łem jednak nic ponadto, co i tak mógł przeczytać w gazetach.

– Pojechałem, żeby odszukać syna Jeffersona; powiadomić go o śmierci ojca i odziedziczonym majątku. Kiedy go odnalazłem, zabił się na moich oczach.

– Jak długo z nim byłeś?

– Góra dwie minuty.

– Coś ci powiedział?

– Tak.

– Co? – Tym razem w jego głosie wyczułem napięcie.

Zawahałem się.

– Co powiedział?

– Powiedział mi, jak się nazywasz i co zamierzasz – odparłem. – Siedzi już nad tym z dziesięciu gliniarzy.

Chwila ciszy i nagle mnie uderzył. Zadał szybki, potężny cios w nerki. Polecia-

łem do przodu i wylądowałem na twarzy, bo nie mogłem się podeprzeć rękoma.

Przez jakieś pół sekundy czułem zapach wilgotnej ziemi, ale zaraz znów chwycił za torbę i moje włosy i szarpnął mnie do tyłu.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego to mówisz? Dlaczego kłamiesz bez powodu?

– Bo mam już dość tego, co ze mną robisz, kretynie.

Znów przyłożył mi do głowy twardą i zimną lufę pistoletu.

– Zapytam cię jeszcze raz... co powiedział ci syn tego faceta?

Czułem, jak krew spływa mi po brodzie. Pomilczałem trochę, zanim się odezwałem:

– Powiedział mi, że ty masz jakiś powód, a ja jestem tylko chciwy. Myślał, że cię znam, że gram z tobą. A potem wpackował sobie broń w usta i pociągnął za spust.

– Kłamiesz.

– To samo mówiłeś wcześniej. Zdecyduj się na coś.

Zacisnął rękę na torbie, szarpiąc mnie boleśnie za włosy.

– Obracamy się w tych samych kręgach. Wiem, co zrobiłeś Jeffersonowi, i wiem, co on zrobił tobie. Podziwiam cię i współczuję ci. Ale twoje zadawnione urazy?

Twoja krzywda? Lincoln, to mnie zupełnie nie rusza. Ty trafiłeś na jego najlepszy dzień, ja na najgorszy. I wróciłem, żeby wyrównać rachunki.

– Zabiłeś go.

– Tak. I zabiłbym też jego syna. Ale wszedłeś mi w drogę. Nie podoba mi się to.

– A co syn ma z tym wspólnego?

– Wszystko. Ten mały gnojek pewnej nocy zadzwonił po pomoc do tatusia, a ja za to zapłaciłem, płaciłem przez pięć lat. Ale to ciebie nie dotyczy. Zresztą w tej sprawie nic cię nie dotyczy i przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, ale kiedy pojechałeś do Indiany i zostawiłeś za sobą trupa, stworzyłeś poważne problemy.

Tym jednym ruchem zmieniłeś całą grę, choć sam tego nie rozumiesz. Będziemy musieli teraz skupić się na czymś innym, a ty masz się od tego trzymać z daleka.

– Skupić się na czymś innym?

– Lincoln, słuchasz mnie?

Zacząłem drzeć. Przenikał mnie zimny wiatr. Klęczałem tylko w cienkiej koszulce, bez kurtki. Z ust ciekła mi krew, nic nie widziałem.

– Zostaw w spokoju Karen – wydyszałem. – Nie wiem, co ci zrobił Jefferson, ale na pewno nie była to wina Karen.

Odezwał się głosem sfrustrowanego belfra:

– Nic a nic z tego nie rozumiesz. Możesz mi to powiedzieć? Możesz mi powiedzieć, że nie rozumiesz?

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie. I to bardzo, bardzo dobrze dla ciebie. Bo zamierzam odwieźć cię do domu. Do

domu, Lincoln! I lepiej tam zostać. Wiesz, co obiecałem Jeffersonowi? Obiecałem mu, że kiedy z nim skończę, będzie marzył o śmierci, błagał o nią.

Powiedziałem mu, że własny grób wyda mu się upragnionym miejscem, Lincoln. Chyba mi nie wierzył. Przynajmniej na początku. Sądził, że jakoś powstrzyma bieg wydarzeń. Ale pod koniec? Pod koniec mi uwierzył.

Ukląkł przy mnie i popukał mnie w skroń pistoletem.

– Nie zawracaj sobie głowy tą głupią dziwką. Jestem rozczarowany, że w ogóle z nią rozmawiasz, tego chyba jednak należało się spodziewać. Ale dość tego. Dość.

Jeszcze raz wybierzesz się do tego domu, a ściągniesz na siebie problemy, których nie będę w stanie rozwiązać.

Zapadła długa cisza. Wreszcie wstał. Słyszałem, jak chodzi w tę i z powrotem za moimi plecami. Zaczęło padać, a wiatr nie ustawał, przeciwnie, wiał coraz mocniej. Nie mogłem opanować dreszczy.

– Co ci powiedział syn Jeffersona? – zapytał ponownie.

Przesunąłem się do przodu na kolanach. Zdrętwiałem już w jednej pozycji.

– Nic. Nic ponad to, co ci powtórzyłem.

– Wiedział, co go czeka. Dlatego to zrobił. On też uwierzył, że własny grób wyda mu się upragnionym miejscem, ale nie było w nim ani arogancji, ani głupoty ojca.

Wiedział, że nie powstrzyma biegu wydarzeń – przerwał, a po chwili dodał, zamyślo-ny: – I dobrze. I dobrze.

Okej, ten wariat jest zadowolony i zaraz mnie wypuści, zdążyłem jeszcze pomy-

śleć, zanim uderzył mnie jeszcze raz, bardzo mocno. Poczułem się tak, jakby głowa oderwała mi się od reszty ciała, i znów zapadłem w nicość.

Ocknąłem się na pace mojej własnej ciężarówki, która stała na parkingu za mo-ją kamienicą. Jęknąłem, bo ból głowy zdawał się promieniować wszędzie, przeszywać każdą cząstkę ciała. Próbowałem usiąść. Niebo i ziemia zawirowały wokół mnie w sza-lonym tańcu. Położyłem się, oblizałem zakrwawione usta i czekałem.

Dopiero za trzecim razem udało mi się zejść z ciężarówki. Ściana paki wydawa-

ła się nieprawdopodobnie wysoka, a chodnik – niewiarygodnie daleki. Kiedy dotkną-

łem go stopami, nogi się pode mną ugięły i gdybym nie chwycił się samochodu, upadłbym. Oddychałem szybko, spazmatycznie. Starąłem się zagłuszyć orkiestrę dzwonek, która huczała w

mojej głowie.

Zesztywniałymi palcami wyjąłem klucze z kieszeni, otworzyłem drzwi i zaczą-

łem wspinać się na górę, schodek po schodku, przytrzymując się ściany. Potem musiałem otworzyć drzwi do mieszkania – nie lada wysiłek. Kiedy wreszcie przekroczyłem chwiejnie próg, czułem się, jakbym zakończył ostatni etap triathlonu. A właściwie jakbym pokonał ten etap na głowie. Poszedłem do łazienki, włączyłem światło i spojrza-

łem w lustro.

– Jasna cholera – zakląłem.

Twarz i szyję miałem we krwi, byłem blady jak śmierć. Puściłem zimną wodę i obmyłem twarz; ocierając ją, zakrwawiłem na czerwono biały ręcznik. Nie wyglądałem teraz tak źle. Krew z rozciętej wargi leciała mi jak cholera, ale rana nie była bardzo poważna, po prostu jedno głębokie skaleczenie od wewnątrz. Należałoby je zszyć i sprawdzić, czy nie mam wstrząśnienia mózgu. Nie wiedziałem, czym mnie uderzył.

Może pałką, a może mosiężnym kastetem? Ale czułem się tak, jakbym dostał kijem bejsbolowym od samego Mantle'a.

Dotknąłem palcami tyłu głowy – po prawej stronie dwa wielkie guzy. Wygrzebałem z szafki pojemniczek ibuprofenu, zdjąłem zakrętkę i wrzuciłem sobie kilka tabletek do gardła, popijając wodą. Przełknąłem je – i poczułem, że zbiera mi się na wymioty. Osunąłem się na kolana i zwymiotowałem do sedesu. Skuliłem się na pod-

łodze i dysząc, oparłem głowę o wannę. Chłód przyniósł mi ulgę. Po kilku minutach znów spróbowałem łyknąć ibuprofen – tym razem go nie zwróciłem. Poszedłem do kuchni i napełniłem foliową torebkę kostkami lodu. Położyłem ją na poduszce i ułoży-

łem się tak, by mieć lód pod głową.

– Jasna cholera – powtórzyłem.

Parę razy bolała mnie już głowa. Na przykład wtedy, kiedy walnąłem łbem w budynek z cegły. Ale to było co innego. Wstrząśnienie mózgu to groźna rzecz, a pęknięcia czaszki jeszcze groźniejsze. Jeśli bym teraz zasnął, mógłbym się nigdy nie obudzić.

Dwie minuty później odleciałem.

Obudziłem się po drugiej. Po karku spływały mi strużki zimnej wody z roztopionego lodu. Poruszyłem się, sprawdzając koordynację. Wszystko chyba działało po-prawnie. Owszem, bolała mnie głowa, ale już nie tak bardzo jak wcześniej. Widziałem też wszystko wyraźnie.

– Szpital odpada – postanowiłem.

Zresztą w szpitalu czekałaby mnie co najmniej godzina na krześle pod izbą przyjęć. Mogłem chodzić i mówić, nie krwawiłem obficie, zatem w szpitalu w Cleveland nie spieszyliby się z przyjęciem mnie.

Przełknąłem więc jeszcze kilka ibuprofenów, żeby zmniejszyć opuchliznę, i położyłem się do łóżka.

Powiedział, że da mi spokój, jeśli będę się od tej sprawy trzymał z daleka. Ale ten dupek nie rozumiał, że naprawdę miałem zamiar trzymać się od tego z daleka. Do chwili, kiedy wcisnął mi torbę na głowę.

CZEŚĆ II

DAWNE GRZECHY

Rozdział 12

Fotografię znalazłem rano. Zwykłą odbitkę na lichym papierze, wsuniętą do tylnej kieszeni dzinsów. Nie zauważyłem jej poprzedniego wieczoru, ale przecież by-

łem wtedy ledwo przytomny. Zresztą łatwo taki kawałek papieru przeoczyć. Dopóki się na niego nie spojrzę.

Kadr wypełniała głowa i tors Aleksa Jeffersona. Był bez koszuli, a przez pierś biegły mu dwa ukośne skaleczenia, przecinające się u dołu zdjęcia, więc najprawdopodobniej była to górna część litery X. Krew wyglądała raczej na czarną niż czerwoną a rany musiały być świeże, bo zaczęła dopiero wylewać się na skórę i porastające ją siwe włosy.

Twarz miał zaklejoną taśmą; zakrywała mu usta i podbródek. Oczy wybałuszone były z bólu i przerażenia. Siwe włosy opadły bezładnie na czoło, a na skórze lśniła warstewka potu. W tygodniu, w którym zginął Jefferson, temperatura bardzo spadła.

Noce i poranki były zimne, tak jak tego dnia, kiedy Targent i Daly zjawili się w mojej siłowni. Przypomniałem to sobie i zacząłem się zastanawiać, jaki ból trzeba zadać, że-by człowiek tak się spocił w zimną noc.

Długo wpatrywałem się w jego oczy. Wtedy na parkingu przed klubem zamachnąłem się, by zadać mu cios właśnie między te oczy. Trafiłem chyba w nos, Jeffersonowi pękła kość i ugięły się pod nim nogi. Celowałem w oczy, bo chciałem mu z nich wybić to samozadowolenie, arogancję, pewność, że trzyma cały świat w garści, że nad wszystkim panuje. Ale mi się nie udało. W czasowej perspektywie to on mnie pokonał. Kiedy zobaczyłem go ponownie, świat znów należał do niego i widać było triumf w jego oczach.

Ale to już przeszłość. Spojrzałem na zdjęcie i zobaczyłem, że z twarzy Jeffersona zniknęło wszystko, czego tak nienawidziłem. Nie panował już nad światem, który stał się okrutny, zły i pełen przemocy. Potężny niegdyś człowiek był teraz całkowicie bezbronny. Tak to już na tej ziemi bywa.

Stałem tak sam z fotografią w ręku przez dobrych kilka minut. Powinna mieć ją policja – to dowód bezpośrednio związany z miejscem zbrodni.

Dowód.

To słowo pulsowało mi w głowie przez całą zawodową karierę. Na nim się skupiałem, za nim goniłem, jego potrzebowałem. A teraz właśnie dowodu się obawiałem.

Każdego innego dnia, trzymając w ręku zdjęcie z miejsca zbrodni, od razu sięgnąłbym po słuchawkę, żeby zadzwonić na policję. Ale dziś się zawahałem.

Dowód.

Przypomniałem sobie, jak Targent wcisnął głowę do mojego samochodu i z oświetloną blaskiem tablicy rozdzielczej twarzą opowiadał o hipotezach, jakie rozwa-

żał z Brewerem. Te hipotezy mogły mnie zaprowadzić do więzienia. Były absurdalne, ale w tej chwili trzymałem w ręku fotografię zamordowanego człowieka. Owszem, byłby to dowód, tyle że przeciw komu? Z góry wiedziałem, że nie ma na niej żadnych odcisków palców, że to papier najzwyklejszy pod słońcem, jaki można kupić w całym kraju, i że nic nie wskaże tożsamości mordercy. O wszystko to ktoś zadbał na długo, zanim starannie złożył zdjęcie i wsunął mi je do kieszeni. Zabójca Jeffersona to zawodowiec.

Jest jeszcze moja twarz, siniaki i rany zadane mi przez napastnika. Ale czy to wystarczy jako dowód? Czy Targent i Brewer mi uwierzą, skoro chcą mnie przyskrzynić w dwóch różnych śledztwach prowadzonych w odległych od siebie o setki kilometrów stanach?

Nie zamierzałem im dawać tego zdjęcia. Nawet kiedy sobie to uświadomiłem, nie mogłem się nadziwić śmiałości i głupocie tej decyzji. Ukrywanie dowodów to przestępstwo. Beształem się w myślach, przytykając płonąca zapalniczkę do brzegu fotografii, i potem, kiedy splukiwałem wodą popiół w zlewie, opieprzałem się do chwili, aż wyszedłem z domu i ruszyłem ciężarówką do Karen. Liczyłem, że ta samo-krytyka w końcu mnie przestraszy, przekona, że popełniłem błąd. Ale prawdziwy strach poczułem wtedy, kiedy dotarło do mnie, że postąpiłem słusznie.

– Lincoln... twoja twarz!

Nie było to najmiłsze w życiu powitanie, lecz należało się tego spodziewać.

Próbowałem uśmiechnąć się do stojącej w drzwiach Karen, ale nie przyłożyłem się do tego za bardzo. Nie chciałem, żeby rana na wardze znów się otworzyła, bo zalałbym krwią meble.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Mogę wejść?

Odsunęła się i wpuściła mnie, wyraz przerażenia nie zniknął jednak z jej twarzy.

Tym razem nie zabrała mnie do salonu, staliśmy przy wejściu.

– Co się stało?

Za jej plecami wisiało lustro, wielkie, w ramie z błyszczącego mosiądzu. Ważyło pewnie ze czterdzieści kilo. Zobaczyłem się w nim i starałem ze wszystkich sił nie skrzywić na ten widok.

– Jeden z dawnych przyjaciół twojego męża postanowił mnie odnaleźć – wyja-

śniłem. – Chciał pogadać. Miałem do wyboru albo rozmowę, albo śmierć, tak powiedział.

Zasłoniła usta dłonią po czym opuściła ją powoli.

– Kto...

– Pech chciał, że się nie przedstawił.

– A co mówił? Co mówił o Aleksie?

– Że go zabił.

Szarpnęła się, wzdrygnęła. Zamrugła i zapanowała nad nerwami.

– Widziałeś jego zabójcę.

– Nie. Widziałem tylko wnętrze torby, którą zawiązał mi na głowie. Wcześniej pobił mnie do nieprzytomności i zaciągnął w jakieś chaszczce. Przystawił mi pistolet do skroni i kazał odpowiadać na pytania.

Wyglądała jakby postarzała się o dwadzieścia lat, a ja sam nie czułem się jakoś szczególnie młodo. Miała podkrążone oczy, była blada i wyczerpana, jak ktoś kto za-gubił się dawno temu i przestał wierzyć, że uda mu się cokolwiek wyczytać z mapy.

– Nie widziałeś go.

– Nie.

– Jak brzmiał jego głos? – zapytała trochę szorstko.

Pytanie mnie zaskoczyło, ale odpowiedziałem bez wahania.

– Jak głos wrednego sukinsyna, Karen.

Bez słowa odwróciła się i powoli ruszyła w stronę salonu, jakby w ogóle mnie w jej domu nie było. Po chwili poszedłem za nią. Obserwowała, jak siadam, ale jakimś nieobecny wzrokiem. Patrzyła tak cały czas, kiedy słuchała, jak opowiadam jej całą historię, starając się niczego nie pominąć. Udało mi się przekazać wszystko dość wier-nie. Takich zdarzeń nie zapomina się z dnia na dzień.

Kiedy skończyłem, nadal milczała. Nie przerwała mi ani razu, nie zareagowała w żaden widoczny sposób. To nie była Karen, jaką znałem. Nigdy nie umiała dobrze skrywać emocji i kiedy tworzyliśmy parę, nieraz myślałem, że kiepski byłby z niej gliniarz – nie potrafiła się zdystansować ani blefować.

– Czy ktoś próbował wyłudzić od ciebie pieniądze? Masz jakieś niespłacone długi?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Nikt się do ciebie nie zgłosił w związku z morderstwem?

– Zgłosiło się, jak to ująłeś, jedynie dwóch policjantów: zapukali do drzwi i poinformowali mnie, że

Alex nie żyje.

– Przed śmiercią twój mąż próbował upłynnić swoje aktywa. Chciał szybko zdobyć dużą gotówkę. Dlaczego?

– Policja ci o tym powiedziała?

– Nie wprost. Ale sądzę, że pieniądze odgrywają tu istotną rolę. Upłynnianie aktywów tuż przed śmiercią sugeruje, że mogło chodzić o szantaż.

– Wiem. I część pieniędzy rzeczywiście zniknęła.

– Co?

– Według policji. Nie miałam o tym pojęcia. Ale policjanci wszystko sprawdzili i twierdzą, że zniknęło pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– I nic więcej ci nie powiedzieli?

– Nie.

Zniknęło pięćdziesiąt patyków. Jefferson próbował uwolnić jeszcze więcej gotówki. Przypomniał o sobie jakiś stary wrzód, wróciły dawne grzechy. Cokolwiek zrobił

Jefferson, musiało to być coś poważnego. Pięćdziesiąt patyków najwyraźniej nie wystarczyło, by spłacić dług. I ocalić życie.

– Zaczniemy od telefonu – zaproponowałem.

– Do kogo chcesz dzwonić?

– Do nikogo. Ale wszystko zaczęło się od rozmowy telefonicznej, więc musimy się dowiedzieć, kiedy się odbyła. Mówiłaś mi, że któregoś wieczoru mąż wyznał ci, co się dzieje, że wspominał o rozmowie o drugiej nad ranem.

Przytaknęła.

– Powiedział, że kiedy telefon dzwoni o drugiej w nocy to albo pomyłka, albo coś, co zmienia człowiekowi życie.

– Właśnie. I wczoraj ten sukinsyn, który na mnie napadł, mówił coś podobnego.

Powiedział, że Matt Jefferson zadzwonił do twojego męża po pomoc, a on, ten, który mnie napadł, zapłacił za to, że płacił przez pięć lat.

– Nie mam pojęcia, co to może znaczyć.

– Nie liczyłem na to. Ale na pewno możesz poprosić o billingi telefoniczne. W

końcu żonie chyba powinni je udostępnić. Jeśli zdobędziemy te billingi, jeśli odzyskamy w nich tę rozmowę w środku nocy sprzed pięciu lat, która zmieniła życie twojego męża, to będziemy mieli jakiś punkt zaczepienia. W najgorszym przypadku konkretny dzień w kalendarzu.

– Nie będziemy musieli prosić o billingi.

– Nie?

– Alex prawie nigdy nie korzystał z telefonu domowego, tylko z komórki. Miał na tym punkcie jakąś obsesję.

Zwykłe linie telefoniczne łatwiej wyśledzić i podsłuchiwać. Jeśli ktoś ma obsesję na tym punkcie, to prawie na pewno jest skorumpowany do szpiku kości. Zaintrygowało mnie to, powstrzymałem się jednak od komentarza.

– Ale i tak będą nam potrzebne spisy rozmów.

– Na rachunkach za komórkę są dokładne billingi. Alex nie wyrzucał tych rachunków.

– Masz nawet te sprzed pięciu lat?

– Zdziwiłabym się, gdyby ich nie było. Sprawdzę.

– Zrób to, proszę. To jakiś punkt zaczepienia. Bez niego poruszamy się po omacku.

– Dwa dni temu zupełnie cię to nie interesowało. Chciałeś od tego uciec jak najdalej.

– Aha. A potem zmieniłem zdanie. Ale podziękowania należą się temu facetowi, który zabił twojego męża.

Patrzyła na mnie obojętnie, jak nigdy dotąd.

– Mam nadzieję, że podziękujesz mu jak należy.

– Owszem – odparłem. – Taki mam plan.

Rozdział 13

Po godzinie ustaliłem kilka możliwych dat. Alex Jefferson nieczęsto odbierał telefony nad ranem, ale kilka razy się to zdarzyło. Karen miała rację: billingi były szczegółowe i sięgały aż ośmiu lat wstecz. Na rachunkach z poprzedniego miesiąca znalazłem trzy nocne rozmowy i zapisałem sobie numery, z których dzwoniło. Jeden miał

kierunkowy 812 – to numer z południowej Indiany. Pierwsza od lat rozmowa z synem.

Pozostałe dwie rozmowy były lokalne. Szukałem dalej.

Przejrzałem rachunki z pięciu lat i w końcu coś znalazłem. Piątego lipca o pierwszej trzydzieści sześć w nocy Alex Jefferson odebrał rozmowę na komórkę, znów z numeru kierunkowego 812. Trwała jedenaście minut. Kolejny odnotowany telefon –

tym razem od niego – o pierwszej pięćdziesiąt dwie. Alex dzwonił na numer kierunkowy z północnowschodniego Ohio, między Cleveland a Pensylwanią, w okolicach Ashtabula.

Przejrzałem resztę rachunków tylko dlatego, że miałem je w ręku. Znalazłem jeszcze pięć rozmów około pierwszej lub drugiej nad ranem. Zapisałem numery, choć nie wiedziałem, czy się do czegoś przydadzą. Interesujące było jednak to, że wśród rozmów przeważały te z numerem 812.

– Masz tu gdzieś książkę telefoniczną albo listę numerów? – zapytałem Karen.

– Coś ze starymi numerami?

– Notatnik adresowy w gabinecie.

Zapisałem numer z kierunkowym 812 i podałem jej kartkę.

– Poszukaj tam tego numeru. Wydaje mi się, że mógł kiedyś należeć do syna Jeffersona.

Po pięciu minutach wróciła i potwierdziła tę hipotezę.

– Tak, to komórka Matta. Zadzwoiłam na nią, ale odebrała jakaś kobieta, która nie miała pojęcia, o jakiego Matta chodzi.

– Założę się, że przestał z niej korzystać kilka lat temu. Ostatni numer, z jakiego dzwonił, jest inny. Potrzebowałem tylko potwierdzenia, że kiedyś był to jego telefon.

– A więc coś ci świta?

– Nie wiem, ale mam listę numerów i godziny rozmów, które mogę sprawdzić.

To już coś. I będę mógł wkrótce zająć się też czymś innym – przerwałem i dodałem: –

Ufam, że nie sam.

Joe wychodził z domu, kiedy zajechałem na jego podjazd. Miał na sobie dzinsy i znów tę wielką kurtkę. W ręku trzymał kluczyki. Kiedy opuściłem szybę, zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Źle trafiłeś, LP. Właśnie wybieram się na rehabilitację.

– Olej to.

Pochylił się i zajrzał do samochodu, przyglądając mi się ze zdziwieniem.

– Co takiego?

Odwrociłem się do niego tak, by dobrze widział moje podbite oko i rozciętą wargę. Wyłączyłem silnik.

– Joe, muszę z tobą pogadać. Znajdziesz chwilę?

– Jasne. Chodźmy do środka.

Weszliśmy do domu i usiedliśmy w kuchni. Właściwie to ja usiadłem. Przy małym kuchennym stoliku. Joe nalał sobie szklankę wody, wypił trochę i oparł się o blat.

– No więc, co się dzieje? – spytał.

Opowiedziałem mu wszystko. Nie przerywał. Po prostu stał i pił wodę, a nawet raz sobie dolał. Jego kuchnia była bardzo czysta, panował w niej idealny porządek...

Taki czysty i uporządkowany był właśnie Joe. Kiedy skończyłem relację, popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Joe, zaczynam się w tym gubić. Czuję, że to nie na moje siły. Może powinienem odpuścić. Być opanowany, spokojny i zebrany w sobie, bo ty na pewno byś taki był na moim miejscu. Ale jasna cholera, przyzwyczaiałem się do pracy z partnerem. Do pracy z tobą. A teraz wszystko wali mi się na łeb, gliny chcą mi postawić zarzut morderstwa, jacyś faceci wciskają mi torby na głowę i przystawiają pistolet do skroni. Szukam twojej pomocy, ale ciebie nie ma. – Oparłem się wygodniej i dodałem ciszej: –

Przynajmniej ja cię nie widzę.

Patrzył na mnie bez emocji. Dopił wodę i odstawił szklankę na blat. Pokręcił głową.

– Przykro mi, że tak mówisz. Ale musisz przyznać, że w tej sprawie o wielu rzeczach jeszcze pięć minut temu nic nie wiedziałem.

– Właśnie – odparłem. – Bo cię nie ma. Nie zrozum mnie źle... najważniejsze jest to, żebyś wyzdrowiał. Ale czy musiałeś odejść tak daleko, żeby wyzdrowieć?

– Jestem tu cały czas.

– Czy musiałeś odejść tak daleko, żeby wyzdrowieć? – powtórzyłem.

Joe wreszcie zrozumiał i kiwnął głową.

– W porządku – odparł. – Przynajmniej jesteś szczery.

– O nic cię nie obwiniam – powiedziałem po chwili. – Cholera jasna, Joe, przecież to ja miałem dostać tę kulkę. To przeze mnie. Jeślibym się na ciebie teraz wkurzał, to by znaczyło, że jestem totalnym egoistą. Mówię tylko, że...

– Że co?

– Że przydałbyś mi się. Potrzebuję pomocy. Rozumiesz? Potrzebuję pomocy.

Przeczesał dłonią siwe włosy.

– No to ci pomogę. Oczywiście, że pomogę. Cholera, LP, powinieneś o tym wiedzieć.

– I wiem, bardzo dobrze wiem. Ale ostatnio zachowujesz taki dystans. To moja wina, że cię nie ma...

– Nie, nie twoja.

– Akurat. To tylko i wyłącznie moja wina i doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Ale czy myślisz, że jest mi łatwo stanąć przed tobą i zapytać, kiedy zamierzasz wrócić?

Wtedy zmienił mu się wzrok. Ktoś obcy albo daleki znajomy by tego nie wychwytał, ale ja po tylu latach bliskiej współpracy nie mogłem tego nie zauważyć.

– Zamierzasz wrócić, Joe?

Podniósł pustą szklankę i wypłukał ją. Wypłukał wodę wodą, po czym odstawił

szklankę, jakby dokonał wyczynu.

– Posłuchaj – odezwał się. – Najważniejsze jest to, co się dzieje z Karen. Prawda?

– Prawda.

– Dobrze. W takim razie skupmy się na tym, LP. Jeśli wsadzą cię do więzienia, nie będziesz musiał się martwić, czy masz partnera. – Przerwał i lekko się uśmiechnął.

– Ale też, jeśli cię wsadzą, będziesz musiał się martwić o to, żeby nie mieć partnera.

Ryknąłem śmiechem, on też, i poczułem się świetnie. Cholera, kiedy to ostatnio razem się śmialiśmy? Nie mogłem sobie przypomnieć. Teraz śmialiśmy się na myśl o tym, że mogą trafić do więzienia. A to dobre. Joe przysunął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu, opierając chorą rękę na krawędzi.

– Co już masz? Poza obitym pyskiem, rzecz jasna?

– Jakieś mętne zdanie o dawnym grzechu i liście nocnych telefonów. No i zniknęło pięćdziesiąt patyków. To chyba tyle. Miałem zdjęcie ofiary morderstwa, ale je spaliłem.

Zmarszczył brwi.

– Fatalnie. Nie podoba mi się to, co zrobiłeś ze zdjęciem. I na pewno spodziewałeś się takiej mojej reakcji, LP, to przecież dowód.

– Dokładnie to samo myślałem, kiedy je paliłem w zlewie.

Westchnął i zabębnił palcami po stole.

– No cóż, za wiele nie zdziałamy, siedząc w kuchni, co? Chodźmy lepiej do biura.

Spojrzałem na zegarek.

– Ile trwa rehabilitacja?

– Godzinę.

– Pozwolą ci zacząć trochę później, jeśli powiesz im, że zatrzymało cię coś ważnego?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– W takim razie idź na tę rehabilitację. – Próbował się spierać, ale podniosłem rękę. – Joe, zbieraj się. Mówiłem przecież, że najważniejsze jest to, żebyś wyzdrowiał.

Bardzo mi na tym zależy. Ale po rehabilitacji wpadnij do biura. Wpadnij i pomóż mi.

Zawahał się i kiwnął głową. Wyszliśmy przed dom. Zatrzymałem się przy drzwiach mojej ciężarówki. Joe zwolnił i spojrzał na mnie.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Przepraszam – usłyszałem w tej samej chwili.

I obaj uśmiechnęliśmy się do siebie. Wsiadłem do ciężarówki, włączyłem silnik i pojechałem do biura. Od dawna nie czułem się tak dobrze. Na tyle dobrze, że prawie zapomniałem o pytaniu, na które Joe nie odpowiedział.

Byłem może kwadrans w biurze, kiedy zjawili się Targent i Daly. Zdążyłem tylko uruchomić komputer i otworzyć okna, żeby wpuścić do pokoju trochę babiego lata.

Usłyszałem kroki na schodach, gdy siedziałem już w fotelu. Przez chwilę myślałem, że to Joe postanowił jednak odpuścić sobie rehabilitację, by szybko zacząć pracę nad tą sprawą. Ale usłyszałem pukanie do drzwi i miałem złe przeczucie, że wiem, kto puka.

Otworzyłem drzwi. Targent powitał mnie radosnym uśmiechem.

– Dzień dobry, panie Perry.

I weszli. Daly niósł wielką czarną skórzaną torbę. Minał mnie i usiadł na jednym ze starych stadionowych krzesełek stojących pośrodku biura. To pamiątka po starym stadionie miejskim w Cleveland. Targent nie usiadł.

– Co was sprowadza? – zapytałem.

– Odjechał pan wtedy w takim pośpiechu, że nie mieliśmy okazji dokończyć naszej pogawędki.

– Ta pogawędka została zakończona, Targent. Jestem zajęty, więc lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego. Jeśli wpadliście tylko na plotki, to za chwilę was wyproszę.

Kiwnął głową i popatrzył na mnie dziwnie.

– A propos wpadania... nie wpadł pan przypadkiem ostatnio na coś?

– Nie.

– Bo mam wrażenie – dotknął własnej twarzy, oka i wargi – że pan na coś wpadł.

– A, o to chodzi. To prezent od faceta, którego powinien pan aresztować.

Wiedziałem, dokąd zmierzamy, i wcale mi się to nie podobało. Napaść należy zgłosić. Zwlekałem z tym, bo nie porozmawiałem jeszcze z Karen, a większą szansę na szczerą odpowiedź a propos szantażu miałem, idąc do niej w pojedynkę. A teraz wyglądało na to, że to się na mnie zemści.

– Faceta, którego powinienem aresztować? – Targent uniósł brwi, zdziwiony.

– Wczoraj w nocy zostałem przez kogoś przesłuchany. Dość ostro. Facet wcisnął mi torbę na głowę i pytał, co się stało w Indianie z synem Jeffersona.

Targent odwrócił się i spojrzał na Daly'ego. Potem znów popatrzył na mnie, tym razem wyraźnie zły.

– Został pan przesłuchany w sprawie syna Jeffersona.

– Tak.

– No cóż, więc ktoś będzie miał kłopoty – oświadczył. – Ten, kto nie dostarczył

mi raportu policyjnego w tej sprawie, który przecież ma bezpośredni wpływ na prowadzone przeze mnie śledztwo. Chyba pracuje u nas jakiś niekompetentny dupek. Bo jestem raczej pewien, że zgłosił pan to wszystko na policji, tyle że raport nie dotarł na moje biurko.

Patrzyłem mu prosto w oczy i kręciłem głową.

- Nie zrobił pan tego – syknął Targent i ten szept zdradzał ogrom narastającej w nim wściekłości. – Podszedł do pana... nie, zaatakował pana ktoś, kto, jak można przypuszczać, brał udział w zabójstwie, a pan nie czuł potrzeby poinformowania o tym policji? Tak mam to rozumieć?
- Chciałem porozmawiać z Karen.
- Czy ona przypadkiem prowadzi śledztwo?
- Nie.
- A może pan?
- Nie. – Przerwałem, ale odezwałem się ponownie, nim zdążył wpaść mi w słowo. – Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wciskałeś mi niezły kit, detektywie. Zablokowałeś mi drogę i uraczyłeś tą przezabawną mówką o scenariuszach filmowych. Zmarnowa-
- łem tylko czas przez ciebie. I myślisz, że tak mi się spieszyło na kolejną pogawędkę?
- Myślę, że powinno się panu spieszyć, żeby rozwiązać tę sprawę. A ukrywanie takich informacji wcale nam nie pomaga, Perry. To przestępstwo. Był pan gliniarzem, więc dobrze pan o tym wie.
- Posłuchaj, Targent, gdybym się zgłosił do was wczoraj wieczorem i tak w niczym by to nie pomogło. Facet zniknął, a na jaki trop wpadlibyście po rozmowie ze mną? Na żaden. Z tego spotkania zostały mi tylko jakieś mętne wypowiedzi i cała kolekcja siniaków.
- Ukrywał pan informacje istotne dla śledztwa w sprawie zabójstwa...
- Właśnie ci je przekazuję, detektywie. Uważasz, że rozwiązałbyś tę sprawę, gdybym zadzwonił o drugiej nad ranem? Daj pan spokój. Przekazuję te informacje teraz i dość już tego. Długo jeszcze możemy się o to sprzeczać, ale jeśli tak bardzo zależy wam na zamknięciu tej sprawy, to chyba masz tyle oleju w głowie, żeby zrozumieć, że to w niczym nie pomoże. Jeśli bardziej zależy ci na udowodnieniu, kto tu jest większym macho, to proszę bardzo, nie krępuj się. Możemy tracić czas do woli.
- W porządku. Nie będę się o to kłócił, ale jeszcze nie wychodzę. Jest pewna sprawa, o której chyba powinien pan z nami porozmawiać.
- Nie wiem, czy w ogóle powinienem z wami gadać.
- Czyżby? – Zmienił się wyraz jego oczu. Zamiast gniewu pojawił się w nich błysk pokerzysty, który ma w ręku karty, jakich nie spodziewa się żaden z graczy przy stole.
- Owszem.
- Nawet o niejakim Thorze, Rosjaninie?

Patrzyłem na niego długo, starając się nadać swojej twarzy nieprzenikniony wyraz, z nadzieją, że nikt nie słyszy, jak coraz szybciej wali mi serce.

– Nie zna pan Rosjanina o imieniu Thor? Mógłbym podać jego nazwisko, ale nie potrafię prawidłowo go wymówić. Za dużo spółgłosek. A może samogłosek.

– Co on ma do tego wszystkiego?

– A więc zna go pan jednak?

– Tego nie powiedziałem. Zastanawiam się tylko, dlaczego o niego pytasz. Albo mi pan powiesz, albo wynocha.

Targent uśmiechnął się, napawając się napięciem w moim głosie.

– Kiedy odnaleźliśmy zwłoki Jeffersona, przeszukaliśmy jego samochód i trafili-

śmy na odciski palców. Należały do kilku osób, ale tylko jedna z nich była odnotowana w naszej bazie danych. Odciski dwóch palców prawej dłoni należały do rosyjskiego gangstera o imieniu Thor. Dżentelmena oskarżonego o cztery przestępstwa, przesłuchiwano w sprawie około trzydziestu innych i nieskazanego za żadne. Krążą pogłoski, że to płatny zabójca. Najlepszy ochroniarz Dainiusa Belova, jestem pewien, że wie pan, kto to taki.

Słowa Targenta dźwięczały mi w uszach. Nie mogłem się skupić na niczym innym, myślałem tylko o Rosjaninie o najbardziej jasnoniebieskich oczach, jakie w życiu widziałem, oczach jak z pradawnego lodowca. Czy znałem Thora? Dowód tej znajomości Targent miał teraz przed sobą. Thor ocalił mi kiedyś życie. Ocalił je, zabijając kilku ludzi, ale kiedy wychodzisz cało z takich opresji, przeważnie nie przejmujesz się tak bardzo drugą stroną równania.

– Od samego początku ten człowiek nas zaintrygował – ciągnął Targent.

Mrugałem i patrzyłem na niego, próbując skupić się na tym, co mówi, starając się zachować spokój i nie dać po sobie poznać, że czuję się, jakbym dostał kopa w brzuch.

– Naprawdę?

– No co pan, facet o takiej reputacji miałby nas nie intrygować? Idealnie nadawał się na sprawcę. Sęk w tym, że brakowało motywu, Perry. Z Jeffersonem łączyły go tylko te dwa odciski palców w samochodzie. Nic więcej. Ani jednej rozmowy telefonicznej, żadnych wspólnych znajomych, kompletnie nic. I wtedy dowiedzieliśmy się czegoś bardzo interesującego o panu.

Dał znak Daly'emu, który sięgnął do torby i wyjął plik kartek. Targent patrzył w nie, przerzucał je dłuższą chwilę, po czym odezwał się znowu:

– Znamy się z detektywem z wydziału zabójstw, Swandersem. Mówi panu coś to nazwisko?

Kiwnąłem głową

– Dobrze. Okazuje się, że jakiś rok temu obaj pracowaliście nad tą samą sprawą. Ktoś rozwalił niejakiego Wayne'a Westona. Trop prowadził do rosyjskiej mafii, chłopaków Belova. Odegrał pan sporą rolę w tej sprawie i w tym, że skończyła się tak, a nie inaczej. Niebezpieczna gra, tak to potem opisali w gazetach. Najbardziej interesujące w tych artykułach były luki. Nie znoszę pytań bez odpowiedzi, wie pan? Zada-

łem więc kilka z tych pytań Swandersowi. Z tego, co on pamięta, mniej więcej wtedy, kiedy trwała sprawa Westona, Rosjanie mieli jakieś porachunki we własnym gronie.

Usiadłem w fotelu za biurkiem, oparłem się wygodnie i popatrzyłem na nich najbardziej obojętnym i znudzonym wzrokiem, na jaki mogłem się zdobyć. Średnio mi wyszło.

– Popytaliśmy trochę o te porachunki. W naszym wydziale i w FBI są ludzie, którzy uważnie przyglądają się Rosjanom. Pamiętają tę sprawę. Wygląda na to, że trzech Rosjan pracujących dla Belova nagle zapadło się pod ziemię. – Pstryknął palcami. – Ot tak. Jednego dnia urządzają krwawą rzeź w mieście, a następnego znikają.

No i jeszcze pan. Z tego, co się mówi, powinien być pan dla Rosjan jak drzazga w dupie, a mimo to... pan żyje. Wie pan, co myślą niektórzy gliniarze rozpracowujący tych gangsterów? Że to zupełnie nie trzyma się kupy.

– Skoro macie odciski tego Thora i tyle o nim wiecie, to chyba z nim powinniście porozmawiać, a nie ze mną.

– Rozmawialiśmy z nim – odparł Targent. – Przynajmniej próbowaliśmy. Natychmiast zasłonił się armią prawników. Zastanawiam się, czy nie zadaliśmy mu jakiegoś niewłaściwego pytania.

– Nie zdziwiłbym się. Żadne z waszych pytań nie wydaje mi się zbyt inteligentne.

– Pan miał motyw. Thor nie, a przynajmniej na razie o niczym takim nie wiemy.

A jeśli dowiedzimy, że coś pana łączy z Thorem, Perry? Moim zdaniem wtedy całe to bagno znacznie robić się naprawdę interesujące.

Oparłem się wygodniej i uśmiechnąłem.

– Targent?

– Tak?

– Wynoś się z mojego biura. I to błyskiem. Już wcześniej mocno przesadzałeś, ale dzisiaj maksymalnie przegiąłeś pałę. Nie zamierzam tolerować twojej głupoty.

Wstałem, podeszedłem do drzwi i je otworzyłem. Patrzyłem na nich wyczekująco.

– Uważa pan, że nie uda nam się dowieść, że coś was łączy? – spytał Targent.

– Dość tego. Wynocha.

– Coś mi się zdaje, że jednak się uda. – Podeszedł do drzwi. – Coś mi się zdaje, że sporo was łączy.

Minęli mnie, a ja z hukiem zamknąłem za nimi drzwi. Kiedy usłyszałem, jak zapalają samochód na parkingu, spojrzałem na zegarek. Kiedy Joe wróci z rehabilitacji?

Miałem nadzieję, że poradzi mi, co zrobić z duchem o rosyjskim akcencie i przejrzyś-tych błękitnych oczach.

Rozdział 14

Naturalny wyraz twarzy Joego jest ni to ponury, ni zacięty. Kiedy Joe naprawdę się niepokoi, wygląda jak żołnierz w okopie, któremu kończy się amunicja, a widzi przed sobą cały batalion wroga. Chodzi mi o to, że ten widok nie dodaje otuchy.

– Thor – mruknął, pochylony nad biurkiem. W rękach wyginał cienką metalową linijkę, jakby sprawdzał jej wytrzymałość, na wypadek gdyby potrzebował jej jako broni.

– Właśnie.

– Jasna cholera.

– Właśnie.

– Nie zapłaciłeś mu chyba, żeby stuknął Jeffersona?

– No nie.

– Jasna cholera – powtórzył i nagiął jeszcze bardziej linijkę, testując elastyczność metalu. Patrzył na mnie tym swoim wzrokiem wieszczącym zagładę.

– W tym punkcie chyba jesteśmy zgodni – powiedziałem.

Rzucił linijkę na blat.

– LP, ta sprawa zaczyna się niebezpiecznie gmatwać. To nie jest mała miejscina.

Szanse, że Thor znalazł się w tym wszystkim zupełnie przypadkowo, są naprawdę ni-kłe.

– Może to blef?

– Sądzisz, że Targent szuka sposobu, żeby cię przycisnąć, i postanowił zastosować taki chwyt?

– Niewykluczone.

– No to ma nosa do wyszukiwania czułych strun. Jeśli dobrze poszpera, może się przekonać, że ten teoretyczny związek między tobą i Thorem nie jest wcale taki teoretyczny. A wtedy wpadniemy w niezłe tarapaty.

– Jeśli to nie blef, to co, u diabła, Thor robił w samochodzie Jeffersona?

Po tym pytaniu Joe sposepniał jeszcze bardziej i znów złapał linijkę, żeby ją powyginać.

– Czy to możliwe, żeby ten facet, który napadł cię wczoraj na Chatfield, był Ro-sjaninem?

Pokręciłem głową.

– Mówił najczystszy akcentem ze Środkowego Zachodu.

– A jeśli wyjaśnienie jest proste? Jefferson mógł bronić Thora w sądzie czy coś takiego.

– Targent powiedział, że nie mogli się doszukać żadnego związku między Thorem i Jeffersonem, dopóki nie trafili na mnie. Jeżeli Jefferson rzeczywiście pracował

dla ekipy Belova, na pewno wypłynęłoby to od razu.

Joe tego nie skomentował. Siedziałem z nogami na biurku i patrzyłem przez okno. Ktoś zaparkował na dole. Rap z samochodowego wzmacniacza stereo dudnił

tak głośno, że szyby w naszych oknach zaczęły lekko drżeć.

– Chyba mógłbym poszukać Thora.

Joe patrzył na mnie, jakbym pchał z całych sił drzwi, na których napisano „ciągnąć“.

– Brawo, LP. Gliny czyhają tylko na pretekst, jak by cię tu przyskrzynić za morderstwo na podstawie związków z tym ruskim zbirem, choć przecież im zaprzeczyłeś, a ty teraz chcesz go poszukać?

Wzruszyłem ramionami.

– Może mógłby odpowiedzieć na niektóre pytania.

– Albo poderżnąć ci gardło.

Kiedy ostatnio widziałem Thora, wbił nóż myśliwski w udo jednego faceta.

Uwaga Joego nie była chyba całkiem od rzeczy.

– A więc brniemy dalej, zupełnie nie przejmując się takimi detalami?

Joe jęknął.

– Mnie też się to nie podoba, ale moim zdaniem teraz jest to najrozsądniejsze wyjście. Musisz pamiętać, LP, że jesteś podejrzany. Z tego powodu powinieneś zmienić trochę sposób pracy.

Siedzieliśmy kilka minut w milczeniu. Rap na parkingu wciąż dudnił, a Joe nie przestawał wyginać metalowej linijki.

– Gdybym tylko odszukał Thora, wystarczyłoby mi pięć minut i kilka pytań – za-cząłem, ale mi przerwał:

– Możemy zrobić parę innych rzeczy. Nie sprawdziliśmy jeszcze tych telefonów.

– Joe, daj spokój. Jeśli Thor jest w to zamieszany, to nie mamy się co przejmować billingami.

– Dlaczego? Jeszcze godzinę temu upierałeś się, że te rozmowy są ważne. A teraz tylko dlatego, że ktoś wspomniał o Thorze, chcesz łapać za spluwę i ganiać za nim? Wykaż się trochę jako detektyw, a pewnie uzyskasz odpowiedzi. Zrobiłeś cokolwiek, kiedy byłem na rehabilitacji? Cokolwiek poza odgryzaniem się Targentowi?

– Czekałem, aż spłynie na mnie twoja wielka mądrość.

– To dobrze, bo gotów jestem się nią z tobą podzielić. Po pierwsze, uważam, że powinieneś trzymać się z daleka od tych Ruskich. Z bardzo daleka. Jeśli tylko zaczniesz wśród nich węszyć, Targent natychmiast się o tym dowie. Po drugie, wydaje mi się, że te rozmowy w środku nocy są ważne. Nie rezygnuj z tropu tylko dlatego, że Targent rzucił ci jakąś przynętę.

Przytaknąłem i wyciągnąłem listę numerów. Było ich siedem – rozmowy w okresie pięciu lat. Trzy ostatnie numery oddałem Joemu, a sobie zostawiłem trzy pierwsze. Siódmy nie miał znaczenia – wiedziałem już, że to komórka Matta Jeffersona.

W ciągu niecałych dwudziestu minut udało nam się zidentyfikować wszystkie numery. Niektórych wystarczyło po prostu poszukać w zwykłych książkach telefonicznych. Dwa inne – rozmowy z automatów – wymagały dostępu do bardziej wyrafinowanych baz.

– Dwie z ostatnich rozmów przeprowadzono z automatów – powiedział Joe. –

Nie zdziwiłbym się, gdyby były to te rozmowy, które tak przerażyły Jeffersona, i gdyby dzwonił ten człowiek, który zniecka znów pojawił się w jego życiu. A ty co masz?

– Dwa telefony ze szpitala w Fairview Park. Ale sprzed czterech lat, a napastnik mówił mi wczoraj o wydarzeniach sprzed pięciu. Bardziej interesuje mnie numer, pod który zadzwonił Jefferson.

Wyjaśniłem Joemu kolejność wydarzeń: około drugiej w nocy Matt Jefferson zatelefonował do ojca, a ten natychmiast zadzwonił pod inny numer.

– I wiesz, o jaki numer chodzi?

– Tak. Należy do niejakiego Paula Brooksa z Geneva on the Lake.

– W takim razie pan Brooks wygląda na nasz najmocniejszy ślad. Nikt ze szpitala nie będzie z nami gadał o rozmowach sprzed czterech lat, a kiedy ostatnio próbo-wałem przesłuchać automat telefoniczny, niezbyt mi się powiodło.

– Wiesz co, naprawdę sypiesz dziś mądrościami jak z rękawa.

– Geneva on the Lake to kawałek drogi stąd. Miejmy nadzieję, że facet jest u siebie. Jeśli nie, poczekamy na niego.

– Naprawdę chcesz tam jechać? Nie powinniśmy najpierw zadzwonić?

Pokręcił głową.

– Kiedy zjawimy się osobiście, trudniej będzie nas spławić.

– Fakt.

Wstał i wziął kluczyki od samochodu – od nowego forda taurusa. Stary taurus w lecie trochę ucierpiał. Jak to pod ostrzałem ze strzelby. A Joe, jak to Joe, kupił po prostu nowszą wersję dokładnie tego samego auta, w dokładnie tym samym kolorze.

Firma Ford przebąkiwała, że wkrótce przestanie produkować Taurusa. Nie chciałem jednak mówić o tym Joemu. To silny człowiek, ale taka wiadomość... nigdy nie wiadomo, jak by ją zniósł.

– Chcesz usiąść za kierownicą?

– Tak.

– Nie lepiej, żeby prowadził ktoś o obu zdrowych rękach?

– Nie, bo wtedy padłoby na ciebie. Zresztą muszę nastukać trochę kilometrów na tym aucie, trochę je dotrzeć. Nie wyjeździłem nawet tysiąca.

– Joe, masz ten samochód od dwóch miesięcy i jeszcze nie stuknął ci tyś?

– Nie miałem dokąd jeździć. Minęły dwa miesiące, od kiedy ostatnio byłeś w kłopotach.

– Nowy rekord – odparłem i wyszedłem za nim z biura.

Godzinę później Joe wjechał na drogę nr 534 w kierunku północnym. Biegła nad jeziorem i doprowadziła nas do wioski Geneva on the Lake, latem na pewno tętniącej życiem, bo wypoczywali tu letnicy, ale teraz, pod koniec października, cichej i spokojnej. Przejechaliśmy przez nią i jechaliśmy dalej krętą zvirówką; od czasu do czasu wśród sosen przebłyskiwało jezioro Erie.

– Jesteśmy tuż-tuż – powiedział Joe. – Mam nadzieję, że ta chałupa będzie miała przynajmniej skrzynkę pocztową z numerem. Wściekam się, kiedy na skrzynkach nie ma numerów.

Okazało się, że nie musiał się o to martwić – numery były wielkie, półmetrowe, wymalowane na ogromnym drewnianym szyldzie, który reklamował rezydencję Paula Brooksa jako „Winnicę północnego brzegu“. Joe wjechał na podjazd i zatrzymał się na parkingu pełnym samochodów. Za parkingiem widać było potężny budynek z bali, a jeszcze dalej jezioro, posępne i szare.

– Chyba mówiłeś, że to numer prywatny – zauważył Joe.

– Tak mi powiedział komputer.

– No to wejdźmy i zapytajmy,

Wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do budynku. Wzdłuż jednej ze ścian sta-

ły stojaki z winem, po przeciwnej stronie lodówki ze schłodzonym winem, a pośrodku kosze pełne wykwintnych serów i innych przysmaków. W rogu grupka ludzi – około dziesięciu osób – z kieliszkami w dłoniach słuchała uważnie rudowłosej kobiety opowiadającej o „ogromnym bogactwie“ produktów do degustacji. Po chwili podeszła do nas, uśmiechnięta, młoda, atrakcyjna dziewczyna w czarnej spódnicy i bluzce.

– W czym mogę panom pomóc?

– Chyba się pomyliliśmy – odparł Joe. – Myśleliśmy, że to prywatna posiadłość.

Szukamy Paula Brooksa.

Kiwnęła głową.

– Winnica należy do pana Brooksa. Jest też prywatny dom; przy bramie trzeba skręcić w prawo, a nie w lewo. Nie widać go prawie, bo zasłaniają go sosny.

Podziękowaliśmy, wróciliśmy do samochodu i zastosowaliśmy się do jej wskazówek. Dom stał jakieś dwieście metrów dalej przy podjeździe, spory kawałek od wytwórni win. Dziewczyna miała rację: sosny go zasłaniały. Konstrukcyjnie był podobny do wytwórni: wielki budynek z bali, z zieloną dachówką. Pod każdym względem przypominał wspaniały dom letniskowy nad jeziorem. Minęliśmy czarne bmw na podjeź-

dzie, podeszliśmy do werandy i zapukaliśmy do drzwi. Jakies dziesięć sekund później otworzył je przystojny młody człowiek około trzydziestki. Miał na sobie białą koszulę, niebieskie dżinsy i skórzane mokasyny. W tym ubraniu, z piękną twarzą i gęstymi brą-

zowymi włosami prawie do kołnierzyka, wyglądał jak model z katalogu wysyłkowego; takie katalogi niby sprzedają ubrania dla ludzi przebywających przeważnie na dworze, choć tak naprawdę kupują je faceci, co to nie wstają od komputerów.

– W czym mogę pomóc?

Pokazaliśmy mu nasze licencje. Nie okazał ani nieufności, ani dziecięcego pod-niecenia, jakie

ogarniają ludzi, kiedy widzą legitymacje detektywów. Po prostu kiwnął

głową.

– Pan Paul Brooks? – zapytałem.

– Tak. O czym chcecie ze mną rozmawiać? – Widząc moją pokiereszowaną twarz, natychmiast odwrócił wzrok. Cóż, maniery.

– O rozmowie telefonicznej sprzed pięciu lat – wyjaśniłem.

– Słucham?

– Badamy przeszłość zamordowanego niedawno człowieka. Pięć lat temu zadzwonił do tego domu o drugiej nad ranem. Było to...

– ...czwartego lipca – wpadł mi w słowo Brooks. – O tym chcecie porozmawiać, tak? Przecież minęło już pięć lat.

Joe i ja wymieniliśmy spojrzenia. Przytaknąłem.

– Właśnie o tym. Rozmowa została odnotowana pod datą piątego, choć odbyła się nocą czwartego lipca.

Paul Brooks westchnął i otworzył szerzej drzwi.

– Chyba musimy na chwilę usiąść.

Rozdział 15

Zabrał nas na wykładany cedrem taras wychodzący na las i prywatną plażę nad Erie. Woda muskała delikatnie brzeg, a na horyzoncie gęstniały chmury. Przy tym krajobrazie piękno światła postojowych samochodów na Lorain i małego warsztaciku naprzeciw mojego okna bladeło.

– Więc co może nam pan powiedzieć, Paul? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Powoli. Na razie nie wiem, dlaczego w ogóle zainteresowała was ta rozmowa.

Wyjaśniłem mu to najprzystępniej, jak potrafiłem. Poinformowałem po prostu, że wdowa po Aleksie Jeffersonie poprosiła nas, byśmy zbadali okoliczności morderstwa i śmierci jego syna, a te właśnie okoliczności doprowadziły do naszej wizyty.

– Słyszałem o zabójstwie Aleksa Jeffersona – powiedział, kiedy skończyłem. –

Ale o synu nie wiedziałem.

– Chyba dawno nie czytał pan gazet.

Uśmiechnął się.

– Tak, od dobrych kilku dni. Ale dlaczego ta rozmowa jest dla was taka ważna?

– Matt zadzwonił do ojca przed drugą nad ranem, a potem ojciec zadzwonił

tutaj. Zastanawiamy się dlaczego.

– Spodoba wam się wyjaśnienie.

– Naprawdę?

– Obie rozmowy dotyczyły morderstwa, do jakiego doszło na terenie posiadłości mojego ojca. Syn Jeffersona był naocznym świadkiem tego zdarzenia.

Zapadła cisza. Joe i ja czekaliśmy, aż Brooks coś jeszcze powie. A on wpatrywał

się w jezioro. Plaża przed domem ciągnęła się chyba aż do wytwórni wina. Słyszeliśmy rozmowy i śmiech, ale zza ściany sosen nie widzieliśmy nikogo.

– Może pan opowiedzieć coś więcej na ten temat? – odezwał się Joe.

– Zakładam, że wiecie, kim był mój ojciec? – odpowiedział pytaniem Brooks.

Joe i ja wymieniliśmy spojrzenia i jak na zawołanie pokręciliśmy głowami. Brooks lekko zmarszczył brwi.

– Fenton Brooks. Brooks Biomedical. Mówi wam to coś?

– Stenty – zawołał Joe.

Brooks przytaknął.

– Owszem, ta firma produkuje stenty, ale także wiele innych towarów medycznych.

– Ale pański ojciec zbił fortunę na stentach, prawda? – upewniał się Joe.

– Owszem, sporą jej część – Brooks wyglądał na poirytowanego, jakby pytanie Joego było niestosowne. – Firma zajęła się jednak także ważniejszymi produktami. Ojciec odszedł kilka lat temu. Rak.

– Przykro mi.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu Brooks odchrząknął.

– Teraz chyba rozumiecie sytuację. Ojciec był właścicielem dużej firmy, zatrudniał mnóstwo pracowników, adwokatów, doradców. Kupił tę wytwórnię win, by mieć dodatkowe źródło dochodu, ale miejsce spодobało mu się tak bardzo, że wybudował

tutaj dom letniskowy. Latem organizował tu przyjęcia dla znajomych, kolegów, takie tam. Pięć lat temu wydał przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości. Przyszło około setki ludzi, może więcej.

– Wśród nich Matt Jefferson.

– Tak, on też. I Alex Jefferson, choć tego wieczoru wrócił do domu trochę wcześniej. Wiecie, że był jednym z prawników mojego ojca?

– Nie.

– No więc był. Jego syn chyba studiował wtedy prawo. Zdaje się, że był kilka lat młodszy ode mnie. Tak czy inaczej, przyszedł na to przyjęcie i z tego, co pamiętam, nie czuł się na nim najlepiej. Około północy tłum zaczął się przersedzać, ale facet, z którym przyszedł Matt, miał już mocno w czubie i jeszcze się bawił, więc młody Jefferson też musiał zostać.

– Co to był za facet?

– Prawnik z firmy, James Simon. Matt pracował u niego, coś w rodzaju stażu.

– I co się stało?

– No cóż, kilka osób zostało do późna; sami wiecie, jak to jest, kiedy alkohol jest za darmo. Simon był zalany, a Matt znudził się albo wkurzył i poszedł na plażę, w stronę wytwórni wina. Kolację podawano tam wcześniej, więc Matt wiedział, dokąd idzie. Na pomoście spotkał chłopaka z dziewczyną oboje wyraźnie w nastroju do nocnego świntuszenia. Uznał, że mają prawo do prywatności, odwrócił się i zaczął wracać plażą. Ale nagle wydało mu się, że dziewczyna stawia opór. Prawdopodobnie usłyszał, jak krzyczy. Na wszelki wypadek postanowił więc sprawdzić. Kiedy podszedł bliżej, dziewczyny nie było widać, a facet właśnie zniknął za rogiem budynku. Matt wbiegł na pomost i znalazł dziewczynę. Do połowy rozebraną i martwą. Została uduszona.

Niebo było zachmurzone, więc temperatura spadła, a Paul Brooks nie miał na sobie nic poza cienką koszulą. Ale chyba nie czuł zimna, kiedy tak siedział i nie bez satysfakcji obserwował nasze twarze. Wyglądał jak gawędziarz zadowolony z tego, że zdołał przykuć uwagę publiczności.

– I co działo się dalej? – dopytywał się Joe.

– A jak myślicie? Oczywiście wezwano gliny. Przesłuchali Matta i wszystkich innych. Matt był chyba dość poruszony, i nic dziwnego. Chciał porozmawiać z ojcem.

Wydaje mi się, że źle zareagował na pytania policjantów. Zadzwoił do ojca, a ten poradził mu, żeby odpowiadał tylko na pytania i próbował pomóc. Potem Alex zadzwonił tutaj i poprosił do telefonu mojego ojca. Chciał się upewnić, że Matt wszystko szczerze opowiedział.

– To o wiele więcej, niż się spodziewaliśmy – przyznał Joe.

– Dość intrygująca historia, ale nie rozumiem, co to może mieć wspólnego z morderstwem Aleksa Jeffersona czy samobójstwem jego syna – odparł Brooks. – Odnoszę wrażenie, że chwytnie się jej jak tonący brzytwy.

– Kim była ofiara? – zapytałem. – Została zaproszona na przyjęcie?

– W pewnym sensie. Pracowała w firmie cateringowej, którą ojciec zatrudnił do organizacji przyjęcia. Miała chyba zaledwie dwadzieścia lat. Młoda dziewczyna. Ludzie z cateringu obsługiwali gości, a ona poszła do wytwórni sama, żeby posprzątać. Zła decyzja.

– A zabójca?

Brooks założył stopę w mokasynie na kolano.

– Spotykała się z nim, a potem próbowała go rzucić. Prawdziwy dupek, karto-teka w policji jak stąd do Chicago. Mieszkał w przyczepie jakieś pięć kilometrów od wytwórni. Bez problemu mógł tu przyjść w nocy.

– Aresztowano go?

– Aresztowano, osądzono i skazano. Nadal siedzi w więzieniu.

– Wie pan, jak się nazywa?

– Andy Doran. Zamordowana dziewczyna to Monica Heath.

– Niezła historia – mruknął Joe.

– Niezła historia – powtórzył Brooks. – Sądzę, że to wystarczy za odpowiedź na wasze pytanie o telefon. Nie sądzą jednak, żeby mogło pomóc w rozwiązaniu tej waszej sprawy.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Brooks patrzył na nas sceptycznie.

– Ale tak właśnie myślę. Mój ojciec znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Andy Doran wprawdzie nie był zaproszonym gościem, ale mimo wszystko... dziewczyna organizowała przecież nasze przyjęcie, rozumiecie.

– Nikt inny niczego nie widział ani nie słyszał? – zapytał Joe. – Nie było innych świadków poza Mattem Jeffersonem?

– Nie.

– I Matt Jefferson rozpoznał tego całego Dorana? – upewniałem się.

Brooks już miał przytaknąć, lecz zmarszczył brwi i pokręcił przecząco głową.

– Mówiąc szczerze, nie pamiętam. Zdaje się, że rozpoznał samochód, ale chyba nie samego faceta. Nie jestem pewien.

– Niełatwo skazać kogoś na podstawie zeznań tylko jednego świadka.

– Było coś jeszcze. W przyczepie tego faceta znaleziono niezbite dowody, a on zaczął się plątać w zeznaniach. Przed procesem zmieniał je sześć razy czy coś koło te-go.

– Mówił pan, że Matt zadzwonił do ojca, bo źle zniósł policyjne przesłuchanie – wtrącił się Joe. – Co konkretnie miał pan na myśli?

– Był jedynym świadkiem, a policjanci zadawali pytania agresywniej, niż się spodziewałem. Chodziło mi o to, że poczułem się, przynajmniej przez chwilę, jakby sam był podejrzanym.

– Mocne słowa – odparł Joe. – Jakby to on był podejrzanym...

Brooks zrozumiał, do czego zmierza Joe, i się uśmiechnął.

– Spokojnie, detektywie. Za kratki trafił właściwy człowiek. Możecie sprawdzić akta sprawy, ale jestem pewien, że zgodzicie się z werdyktem ławy przysięgłych.

– Jak dobrze znał pan Jeffersonów? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Spotykaliśmy się od czasu do czasu. Ojciec znał się z nimi lepiej.

– Jakie miał pan o nich zdanie? O Aleksie i jego synu?

– Nie znałem ich na tyle dobrze, żeby ich osądzać. Ale można było odnieść wrażenie, że wisi nad nimi jakieś fatum, nie uważacie?

Rozdział 16

Wracaliśmy krętą żwirówką i nie minął nas nawet jeden samochód.

– A ty chciałeś dać sobie spokój z tym telefonem – odezwał się Joe. – Chciałeś się uganiać po mieście za Thorem i nadstawiać karku.

– Ten telefon to był dobry trop. Cieszę się, że na niego wpadłem.

– Wpadłeś, a potem postanowiłeś zapomnieć.

– Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny: żeby mój geniusz się nie rozpraszał.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Wygląda na to, że coś w tym jest. Ale równie dobrze może się okazać, że to ślepa uliczka – zauważyłem.

– Niby co?

– Morderstwo tej dziewczyny, przesłuchanie młodego Jeffersona.

– Cholernie bym się zdziwił, gdyby się okazało, że to wszystko funta kłaków niewarte. Jefferson i jego morderca, obaj mówili o tym telefonem od syna. Odszukali-

śmy tę rozmowę i dowiedzieliśmy się, że syn był świadkiem morderstwa. I co, twoim zdaniem to bez znaczenia?

– Tego nie powiedziałem. Pytanie tylko, jakie to ma znaczenie? Wygląda na to, że Doran był zdolny popełnić to przestępstwo. Mieli twarde dowody, zeznania pełne kłamstw i jeszcze chłopaka, który świadczył przeciw niemu. Ale jak z tym wszystkim jest powiązany Alex Jefferson?

– Nie dowiemy się, dopóki nie zajrzemy do tej starej sprawy i nie sprawdzimy, co tak naprawdę się stało. Pierwszy wniosek, jaki sam się nasuwa, to taki, że go wrobiono.

– Syn Jeffersona mordercą? To chyba lekka przesada.

Zerknął na mnie i szybko odwrócił wzrok.

– To ty mi mówiłeś, że wszystko w tej sprawie kręci się wokół tego dzieciaka, a twój znajomy z wczoraj wyrażał się o nim źle.

– No tak. Ale Doran wciąż siedzi w pace. Możemy go więc skreślić z listy wku-rzonych na młodego Jeffersona. Kto nam wtedy zostaje?

– Może facet, który wziął się na rodzinę Jeffersonów, jest jakoś powiązany z Doranem. Brat albo bliski znajomy, co?

– Ktoś, komu zależy na Doranie na tyle, że gotów dla niego zabić, ale na tyle opanowany, żeby poczekać z tym pięć lat?

Joe westchnął.

– Rzeczywiście, rozbieżność czasowa to pewien problem. Mimo wszystko warto rozważyć tę możliwość.

– I tak też zrobimy. Mówię tylko, że na razie nie mamy żadnych faktów.

– Powinniśmy spróbować zobaczyć się z Doranem. Większość skazanych, któ-

rzy uważają, że siedzą niesłusznie, chętnie rozmawia z każdym, kto zainteresuje się ich sprawą. A co dopiero ktoś, kogo naprawdę wsadzono niesłusznie za kratki.

– Niezły pomysł.

Zapadła cisza. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Joe się uśmiecha.

– Co jest?

– Znak apokalipsy – powiedział.

– Że co?

– Przed chwilą zarzuciłeś mi, że przesadzam. Kazałeś mi przyhamować i zebrać więcej faktów.

Śmiał się z tego i śmiał, przestał, dopiero kiedy wjechaliśmy na autostradę.

Do biura dotarliśmy tuż po piątej. Joe zajechał na parking, wyłączył silnik i się-

gnął do klamki. Choć drzwi miał po lewej stronie, zrobił to prawą ręką. To znaczy, że lewa musiała go boleć.

Zdażyłem zamknąć drzwi od swojej strony, kiedy usłyszałem, że otwierają się drzwi innego samochodu. Odwróciłem się i zobaczyłem, że z forda crown victoria za-parkowanego kawałek dalej wysiada Targent. Rozmawiał przez komórkę, ale wolną ręką pomachał do nas przyjaźnie.

– Cholera, czy ten facet naprawdę wciąż musi nas nachodzić?

Czekaliśmy przy aucie, aż Targent skończy, zamknie telefon i dołączy do nas.

– Może wejdziemy na górę? – zaproponował.

– Wykluczone. Jak zaczniesz się znowu kręcić po naszym biurze, zacznę ci nali-czać czynsz.

Uśmiechnął się blado i kiwnął głową do Joego.

– Pan Pritchard. Jak się pan miewa?

– Świetnie.

– Skąd panowie wracają?

– Z nocnej wracamy wycieczki – odparł Joe wymijająco. – A teraz chciałbym zjeść kolację. Nie jadłem obiadu i w brzuchu mi burczy.

– Rozumiem. Nie chciałbym męczyć głodnego człowieka, więc nie zajmę wam dużo czasu.

Pomyślałem sobie, że powinienem do was wpaść po niedawnej rozmowie z panią Jefferson. Dała do zrozumienia, że prowadzicie w jej imieniu jakieś śledztwo.

– Tak – potwierdziłem.

– Powiem wprost, że nie jestem tym zachwycony.

– Nie spodziewaliśmy się zachwytu.

– Sam nie wiem, co powinienem zrobić. Z jednej strony mam ochotę podciąć wam nogi i po prostu zakazać węszenia. Ale z drugiej, coś mi mówi, że nie warto z wami walczyć.

– I tego się pan trzymaj.

Targent wpatrywał się w ziemię, a palcami prawej ręki obracał obrączkę na palcu lewej dłoni. Znów ogarnął go ten nieprzenikniony spokój. Nawet dzisiaj, kiedy opowiedziałem mu o napaści i przyznałem się, że nie powiadomiłem o tym policji, zachowywał się spokojnie, a przynajmniej błyskawicznie się uspokoił. Z doświadczenia wiedziałem, że niezłomni gliniarze najbardziej denerwują podejrzanych wtedy, kiedy sprawiają wrażenie, jakby byli sto ruchów szachowych przed nimi. Joe to potrafił.

Mnie było do tego daleko.

– No dobrze – odezwał się Targent. – Może macie rację. Może powinienem pozwolić wam robić swoje. Nie będziemy sobie wchodzić w drogę, okej? I będziemy dzielić się informacjami? Jak normalny zespół.

Stałem i patrzyłem na niego, zastanawiając się, co naprawdę myśli, dlaczego tu przyjechał i udawał przyjaciela.

– Jasne, Targent. Pasuje. Stworzymy zespół, taki jak mówisz.

Kiwnął głową.

– Bardzo się cieszę. I naprawdę miło, że przystaliście na ten układ.

– A jakże. Czy to już wszystko?

– Nie całkiem. Chyba muszę wam zająć jeszcze minutkę. Dziś po południu dzwonił do mnie porucznik Brewer z policji stanowej w Indianie. Opowiedział mi coś naprawdę dziwnego. – Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął kawałek papieru. Rozło-

żył go, wygładził na udzie i podał mi.

Była to karta zatrzymanego z aresztu hrabstwa Brown, gdzie spędziłem noc, a na niej zdjęcie mężczyzny w średnim wieku z nierówno przystrzyżonym wąsem. Nie znałem go. Zatrzymano go pod zarzutem utrudniania pracy policji. Z karty wynikało, że stało się to przed sześcioma godzinami.

– Stan Meyers. – Spojrzałem na Targenta. – To nazwisko powinno mi coś mówić?

– Pańskie w każdym razie mówi mu bardzo dużo.

– To znaczy?

Zabrał mi kartę, złożył i schował z powrotem do kieszeni.

– Pan Meyers to prywatny detektyw z Indiany. Odświeżyła się panu pamięć?

– Nic a nic.

– Aresztowano go wczoraj. Próbował przekupić archiwistę z policji stanowej, by udostępnił mu zastrzeżone raporty. – Przerwał. – Raporty dotyczące śledztwa w sprawie śmierci Matta Jeffersona.

– Samobójstwa – uściśliłem.

– Śledztwa w sprawie śmierci. Kiedy ostatnio rozmawiałem z porucznikiem Brewerem, nie było jeszcze jednoznacznych wniosków.

– W porządku. Trudno z tym polemizować. Ale co ten Meyers ma ze mną wspólnego?

– Trochę dziwne, że pan o to pyta. Zważywszy na to, że sam go pan zatrudnił.

Nie zaprzeczyłem od razu. Może dlatego Targent uznał, że to potwierdzam.

Zmrużył oczy i napawał się chwilą.

– Teraz pan sobie przypomina? Tymczasowa amnezja ustąpiła?

– Nie wynająłem tego faceta do niczego. Pierwszy raz o nim słyszę.

– Masz pan jakiś dowód, że Lincoln go zatrudnił? – wtrącił się Joe. – Albo wszyscy wierzą temu facetowi na piękne oczy?

– Meyers natychmiast podał jego nazwisko. Powiedział Brewerowi i jeszcze jednemu detektywowi, że Perry zadzwonił do niego dzień po samobójstwie Matta Jeffersona i próbował go wynająć, by obserwował śledztwo, przyglądał się temu, co robi policja.

– A więc odpowiedź na moje pytanie brzmi....

– Poczekajmy. Oto odpowiedź. Na razie nie mamy dowodu, ale Brewer nad tym pracuje.

Targent odwrócił się do mnie.

– W rozmowie z Meyersem podobno podkreślał pan, że on musi ukrywać swoje działania przed

policją. Kiedy to usłyszał, odmówił. Zeznał, że zadzwonił pan do niego jeszcze raz, ponowił prośbę i obiecał przesłać pocztą dziesięć tysięcy gotówką, jeśli tylko on spróbuje dotrzeć do najnowszych raportów ze śledztwa. Nasz pan Meyers nie wygląda na asa branży detektywistycznej. Brewer powiedział, że dorabia sobie nocami jako ochroniarz po dziesięć dolarów za godzinę. Nic dziwnego, że dziesięć patyków go przekonało, tak przynajmniej twierdzi. Rzecz jasna, była to zła decyzja, bo teraz osioł na pewno straci licencję detektywa.

Zaczęło mnie drapać w gardle tak strasznie, jakbym połknął żdźbło trawy.

– Dobrze wiesz, że to kłamstwo – warknąłem. – Doskonale o tym wiesz, Targent.

Podniósł ręce i rozłożył je szeroko.

– Nie mnie powinien pan to mówić, tylko Meyersowi. Jest przekonany, że pracuje na pana zlecenie. Brewer chce pana ściągnąć z powrotem do siebie. Postawić pa-nu te same zarzuty, co wcześniej. Ostrzegłem go, że skoro zapłacono gotówką, dowody może mu być zdobyć trudniej, niż mu się wydaje. Przewidziałem pańską... su-perinteligentną linię obrony, czyli całkowite zaprzeczanie. Ostrzegłem go też, że nie jest pan człowiekiem otwartym i skorym do współpracy.

– Nie masz żadnych dowodów, Targent. Brewer również ich nie ma. Macie tylko jakąś bajkę z drugiej ręki i dziesięć patyków gotówką, które równie dobrze mógł podrzucić sam Brewer.

– Znaleźli także kopertę. Nadaną z Cleveland.

Milczałem.

Targent się uśmiechnął.

– Martwi to pana?

– Nieszczególnie. Zacząłem się zastanawiać, czy to nie ty przypadkiem wysłałeś tę forszę.

– Oczywiście. Jest pan ofiarą spisku, prawda? Przykro mi, że na chwilę o tym zapomniałem.

– Wierz mi, Targent, nie mam wolnych dziesięciu patyków. Jeśli chcecie sprawdzić stan mojego konta, proszę bardzo.

– No tak, ale Alex Jefferson miał trochę pieniędzy. A pięćdziesiąt tysięcy zdaje się zniknęło. Wyplacił je w gotówce i od tamtego czasu nikt ich nie widział.

– I co, uważacie, że zapłacił tą forszą Lincolnowi, żeby go zabił? – wtrącił się Joe.

– Hipoteza wprost nie do obalenia.

Targent pokręcił głową.

– Niech pan niezapomina, panie Pritchard, że ktoś może szantażować rodzinę Jeffersonów. Co się

stało z tymi pieniędzmi? Może dostał je ten, kto wywierał nacisk?

– A jaki nacisk mógłby wywierać Lincoln, co?

– Liczyłem, że nam to wyjaśni.

– To bardzo ważne – powiedziałem. – Jeśli ktoś naprawdę wynajął tego detektywię, podając się za mnie... to robi się to cholernie ważne, Targent, i trzeba odszukać tego...

– Ktoś podawał się za pana. To pan chce nam powiedzieć.

– Tak. Nie wynająłem Meyersa, a jeśli on naprawdę jest przekonany, że to jednak ja, jakie mamy inne wyjaśnienie?

– No tak. Albo ktoś się podaje za pana, albo pan kłamie. Takie są możliwości.

– Tę drugą możesz sobie, Targent, odpuścić.

– Niech pomyślę. Hm... Po co miałby podawać się za pana? Płacić dziesięć ty-sięcy dolarów jakiemuś detektywowi, skoro nie miał gwarancji, że zostanie on złapa-ny? A gdyby udało mu się przechwycić te raporty i wysłać je panu, przepraszam, pana sobowtórowi, to co w ten sposób by osiągnął?

– Nie wiem.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Oczywiście, że pan nie wie. Oczywiście. Zaczynam panu naprawdę współczuć, Perry. Bo jeśli mnie pan nie okłamuje, to jest pan najbardziej zapętlonym sukinsynem, jakiego w życiu widziałem. Aż się serce kraje. Ale że jestem z natury dobry, pomogę panu. Wyjaśnię wszystko to, czego pan nie rozumie, odpowiem na wszystkie pytania.

Co do jednego. Zrobię to tylko dla pana.

Pożegnał się z Joem i wyszedł. Maszerował do samochodu, pogwizdując, jakby kpił sobie z ciszy, jaka zapadła między nami.

Rozdział 17

Kiedy stoisz na brzegu i patrzysz na rzekę, czasem leniwie toczącą swe ciepłe wody, masz ochotę się wykąpać. Wskakujesz i – o zgrozo – trafiasz na zimny prąd i podwodne niespodzianki.

Tak właśnie się teraz czułem. Prośba Karen, bym odnalazł syna jej zmarłego męża, wydała mi się na tyle bezpieczna, że bym pokusił się ją spełnić. Zwłaszcza za takie pieniądze za rutynową pracę. Oczywiście dostałem wyraźny sygnał ostrzegawczy –

znalazłem się na policyjnej liście podejrzanych, wprowadzie na samym jej dole, ale jednak. Nie

przejąłem się tym z powodu jednej prostej zasady, jaką zawsze wyjaśniałem ludziom, kiedy byłem policjantem: jeśli nie zrobiłeś nic złego, nie masz się czego obawiać.

Nie zrobiłem nic złego, lecz z każdą godziną narastało we mnie poczucie, że muszę się coraz bardziej obawiać. Ostatnie wydarzenie, odkrycie Brewera, zmieniło wszystko. Do tej pory miałem do czynienia po prostu z przypadkami, wprawdzie mocno upierdliwymi, ale można się było nimi nie przejmować, tak mi się przynajmniej wydawało. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Ktoś się za mnie podawał i zainwestował w to aż dziesięć tysięcy dolarów.

– Wszystko zaczęło się, kiedy pojechałeś do Indiany – powiedział Joe.

Siedzieliśmy na bagażniku jego auta na parkingu przed biurem. Targent już się wyniósł.

– Najwyraźniej.

– Gliniarze zgłosili się do ciebie, kiedy zginął Jefferson, i dali ci spokój, bo nic nie wskazywało na twoją winę. Ale kiedy pojechałeś odszukać tego chłopaka, coś się zmieniło. Ktoś się tam tobą zainteresował.

– Owszem, gliny.

– Ktoś jeszcze, LP. – Joe masował sobie ramię i po raz pierwszy zauważyłem, jak bardzo jest zmęczony. To był dla niego długi dzień. Najpierw rehabilitacja, a potem jeszcze dwie godziny za kółkiem.

– Idź do domu, Joe. Zjedz kolację, weź coś przeciwbólowego, odpocznij.

Przestał masować ramię i pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie jest. Powinniśmy posiedzieć trochę przy komputerach, sprawdzić tego Dorana, umówić się z nim na widzenie. Nie ulega wątpliwości, że ktoś cię atakuje. Dobrze byłoby, gdybyś zaczął się bronić.

– Doran nigdzie nam nie ucieknie. Jutro będzie w tej samej celi, co dzisiaj.

Można z tym poczekać do rana.

Kiwnął głową i odpuścił, a więc rzeczywiście ten dzień dał mu w kość.

– W porządku. Ale zaczniemy skoro świt.

– Jasne. I jeszcze raz dzięki.

Otworzył drzwi samochodu.

– Podrzucić cię? – Zaprosił mnie gestem.

– Przejdę się, a rano widzimy się w biurze. Jutro na pewno coś się ruszy. Już się ruszyło.

– Kto by pomyślał: coś się rusza akurat tego dnia, kiedy zdecydowałem się ci pomagać.

– Szkoda, że nie zdecydowałaś się trochę wcześniej – odparłem. – Wtedy może nie wyglądałbym, jakby mnie przejechała ciężarówka.

Wsiadł do samochodu i rzucił jeszcze przez uchylone drzwi:

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że nie podoba mi się twoja decyzja, żeby spalić to zdjęcie?

– Pamiętam.

– Chyba zmieniłem zdanie – oświadczył i zamknął drzwi.

Poszedłem do domu, zrobiłem sobie na kolację jajecznicę i szybko ją zjadłem.

Zamierzałem zejść do siłowni i trochę poćwiczyć. Odeszła mi na to ochota, kiedy zmywałem naczynia. Nie miałem siły na ćwiczenia i nie chciałem spędzić wieczoru samotnie. Myślami krążyłem wciąż wokół Aleksa Jeffersona, Karen i Targenta, ale regularnie pojawiała się w nich także Amy. Wytarłem dłonie w ścierkę, podniosłem słuchawkę i wystukałem jej numer.

– Masz czas wieczorem?

– Może. Jeśli chodzi ci o czas, żeby posiedzieć na kanapie z piwem, to owszem.

Ale jeżeli chcesz się gdzieś wybrać, to beze mnie.

– Domatorka z ciebie, co?

– Przebrałam się już w wygodne ciuchy. Nie uda ci się wyciągnąć mnie do miasta, chyba że wymyślisz coś cholernie odprężającego

– Zastanawiałem się nad imprezą szlafrokową.

– Za to cię uwielbiam, Lincoln. Za to wyrafinowanie.

Przyszła w starych dżinsach i sportowej bluzie – nie w supermodnych dżinsach i bluzie z bawełny pima czy innego cholerstwa, jakie nosiła Karen, ale w zwykłych ciuchach, jakie wyciąga się z szafy, kiedy noce robią się chłodne.

– Mam beck'sa i budweisera – zaproponowałem. – Wybieraj.

– Czy w kwestii piwa twój alfabet kończy się na B?

– Jakoś nie mam ochoty uczyć się go dalej.

– Beck's.

Podałem jej piwo i otworzyłem sobie drugie. Kiedy odwróciłem się od lodówki, Amy uważnie mi się przyjrzała i wtedy po raz pierwszy od kilku godzin przypomnia-

łem sobie, jak wygląda moja twarz.

– Ano tak. Chyba nie opowiadałem ci jeszcze, jak spędziłem poprzedni wieczór?

Wyciągnęła rękę i dotknęła skóry pod moim okiem, skrzywiła się i cofnęła dłoń.

– Lincoln, to wygląda naprawdę źle.

– W życiu tak dobrze się nie czułem.

– Opowiedz, co się stało.

Weszliśmy do salonu i usiedliśmy na kanapie. Łyknąłem trochę piwa i zrelacjonowałem jej wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Kiedy zacząłem opowiadać o Thorze, na jej i tak już zaniepokojonej twarzy dostrzegłem jeszcze większą powagę.

– Thor też jest w to zamieszany? Ten sam Thor, który potrafi pozbywać się ludzi, jakby trudnił się tym zawodowo?

– Technicznie rzecz biorąc, trudni się tym zawodowo.

– To wcale nie jest śmieszne.

– No nie.

– Jeśli policja znajdzie coś, co was łączy...

– Właśnie. Będzie kiepsko. Ale na razie Thor niepokoi mnie o wiele mniej niż ten detektywina z Indiany. Ktoś wysłał mu dziesięć patyków gotówką, podając się za mnie, Amy. To spora inwestycja. Zastanawiam się, na jaki zysk liczył.

– Na to, że trafisz za kratki.

– Szczerze powiedziane.

– Ale to prawda?

– Nie mam pojęcia. Gdyby chodziło o Aleksa Jeffersona, miałyby to więcej sensu. Ten, kto go zabił, chciałby przecież podrzucić policji fałszywy trop. Ale syn Jeffersona popełnił samobójstwo.

– Mimo to obie sprawy są ze sobą mocno powiązane. Jeśli uda się wywołać wrażenie, że jesteś winny śmierci syna...

– To sprawa ojca wyda się zrozumiała sama przez się – dopowiedziałem i znów poczułem w gardle

to źdźbło trawy.

Wstała i przyniosła z kuchni dwa kolejne piwa. Siedzieliśmy na kanapie, rozmawialiśmy i piliśmy jeszcze przez jakąś godzinę. Rozmawialiśmy o Thorze, Jeffersonie i Targencie. Uwielbiałem rozmowy z nią. Potrzebowałem ich. Stała się kimś waż-

nym w moim życiu, kimś, z kim zawsze mogłem pogadać na trudne tematy, kto udzielił o niebo lepszych odpowiedzi niż ściany pustego mieszkania, niemi świadkowi moich rozterek. Od dawna nie miałem nikogo takiego i choć nadal dawałbym sobie radę, nie chciałem dłużej tak żyć. Siedziała obok mnie na kanapie i czułem, że nie potrafię się skupić na tym, co mówi. Myślami błądziłem po łuku jej biodra, napawałem wonią jej perfum.

Zapytała o coś, co dotyczyło Targenta, kiedy jej przerwałem.

– Tamtego wieczoru, gdy powiedziałaś, że może nas łączyć tylko przyjaźń, byłem o trzy sekundy od tego, żeby cię pocałować.

Szeroko otworzyła oczy.

– O rany. Masz talent do zmiany tematu.

– Przepraszam.

Zapadła cisza. W końcu Amy powiedziała:

– Hm, trzy sekundy mówisz?

– Może nawet mniej.

– Cholera. Szkoda, że nie mówiłam trochę wolniej. – Roześmiała się, ale nieco nerwowo.

– Chyba nie powinienem się do tego przyznawać. Odnoszę wrażenie, że zamierzasz twardo trzymać się tego, co wymyśliłaś, kiedy byłem w Indianie. I może to wła-

śnie ty masz rację.

– Może to ja mam rację? Wydawało mi się, że to była twoja decyzja, Lincoln.

– Wiem. Ale od kiedy to uznałaś, że potrafię podejmować inteligentne decyzje?

Coś powiedziała, przerwała i pokręciła głową.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Niezwykły zbieg okoliczności. Ja się zaczynam denerwować tym naszym dziwnym związkiem, a ty, ni z gruszki, ni z pietruszki, zaczynasz brać się do dzieła?

Cholera, gdybym wiedziała od początku, że...

– Nie zabrałem się do tego dlatego, że się zdenerwowałam.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, choć mogłabym.

– Wiem.

Wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Byłeś więc gotów wykonać pierwszy odważny ruch i nagle postanowiłeś się wstrzymać.

– Owszem, to, co powiedziałaś, trochę mnie zmroziło.

– No i do końca życia będę tego gorzko żałować.

– Kłamiesz, aż ci się z uszu kurzy.

– W życiu nie mówiłam bardziej szczerze, Lincoln.

Na szczęście na chwilę zapadła cisza. Pochyliłem się, objąłem Amy za szyję, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem. Odwzajemniła pocałunek delikatnie, ale na-miętnie, po czym się odsunęła. Jej oczy mogły wyrażać równie dobrze radość, jak i smutek – pewnie coś pomiędzy.

– I kto teraz jest nie w porządku? – zapytała.

Kiwnąłem głową.

– Tak, to nie w porządku. Rozumiem, Amy.

Nasze twarze dzieliło kilka centymetrów. Pod dłonią czułem jej miękkie włosy.

– Więc przestań.

– Dobrze. – I znów ją pocałowałem.

– A niech cię diabli, Lincoln – powiedziała.

Znów się całowaliśmy i wiliśmy na kanapie tak, żeby to ona była na górze.

Usiadła na mnie lekko, a jej włosy opadły mi na twarz.

Palcami sunęła po moich ramionach w stronę karku, a kiedy mnie dotykała, poczułem, jakby przeszył mnie prąd. Wplątała mi ręce we włosy, a kiedy musnęła tył

czaszki, paroksyzm bólu na chwilę przypomniał mi o Aleksie Jeffersonie, Karen, Targencie i mężczyźnie z pistoletem i pretensją do kogoś. Zacząłem ściągać z niej bluzę, błądzić dłońmi po gładkich drobnych plecach. Wtedy zniknął ból, problemy i wszystko inne.

Leżeliśmy w mojej sypialni. Czułem przy sobie jej ciepłe ciało. Nogę zarzuciła na moje kolano, a głową oparła się o moją szyję. Oddychała spokojnie i równo, powoli zapadając w sen. Ja czuwałem, spięty. Obserwowałem cienie, które przesuwały się po suficie, kiedy ulicą przejeżdżał samochód.

– Powiedz mi, dlaczego wcześniej tego nie zrobiliśmy – odezwałem się.

– Bo uważaliśmy, że zasady zobowiązują – mruknęła.

Jej gorący oddech owionął mi szyję, delikatnie ugryzła mnie w ramię.

Rozdział 18

Dzwonek telefonu był przenikliwy i uparty. Podniosłem głowę i zamrugałem, szukając w ciemności aparatu. Amy poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Spała, jakby zapadła w zimowy sen. Oparłem się na dłoni i sięgnąłem ponad jej ciałem po słuchawkę. Wstałem z łóżka i poszedłem do przedpokoju, żeby sprawdzić numer na wy-

świetlaczu. Dzwonek rozległ się po raz trzeci. Karen. Telefonowała z domu.

Kiedy wciskałem klawisz, by odebrać rozmowę, spojrzałem na zegar w salonie

– za dziesięć trzecia.

– Karen, co się stało?

– Zadzwoił do mnie, Lincoln. Przed chwilą. – Mówiła łamiącym się z przerażenia głosem.

– Kto?

– Facet, który zabił mojego męża! Pytał, ile odziedziczyłby Matthew. Zaczęłam na niego krzyczeć, prawie wpadłam w histerię...

– Uspokój się, Karen. – Mówiła tak szybko, że ledwie ją rozumiałem.

– Powiedział, że nie muszę umierać – ciągnęła, już trochę wolniej i wyraźniej.

– I co jeszcze?

– Że chce wszystkiego, co miałby dostać Matthew, jeśli to rozsądna kwota. Użył dokładnie takich słów: jeśli to rozsądna kwota. I że dalsze instrukcje będę dostawać od ciebie.

– Co?!

– Powiedział, że mam cię poinformować, żebyś odebrał telefon w siłowni. Kazał mi natychmiast do ciebie zadzwonić i ci to przekazać.

Stałem w kuchni boso na zimnej terakocie. Marzły mi stopy.

– Powiedział, że mam odebrać telefon w siłowni.

– Tak. Lincoln, co się...

– Zadzwoń do ciebie później, Karen.

Kiedy wróciłem do sypialni, Amy leżała oparta na ręce. Była zaspana, ale na jej twarzy malował się niepokój.

– Kto dzwonił?

– Karen. Mój znajomy z poprzedniego wieczoru domaga się, żebym odebrał telefon w siłowni.

Usiadła, zakrywając się kołdrą.

– Lincoln, naprawdę uważasz, że powinieneś...

– Muszę – przerwałem jej. – To tylko telefon. Przecież nie chce mnie zabić.

Nie chciał tamtego wieczoru, ale oczywiście przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny spektakularnie olewałem jego polecenia.

– Idę z tobą.

– Wykluczone. – Włożyłem koszulę i spojrzałem na nią. – Zostań tu, Amy. Zostań, a jeśli usłyszysz coś niepokojącego, dzwoń na policję.

Poszedłem do drugiej sypialni po glocka i sprawdziłem, czy jest naładowany.

Kiedy wyszedłem do przedpokoju, stała w drzwiach sypialni; na jej stopy padało światło z ulicy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem.

Zszedłem do siłowni boso po twardym i zimnym betonie. Włożyłem kartę do zamka i otworzyłem drzwi. W środku panowała cisza, jak zwykle o trzeciej nad ranem.

Stałem plecami do ściany i błądziłem ręką po omacku, szukając włącznika. W końcu udało mi się zapalić lampę w kantorku. Obróciłem się i pochylony pchnąłem drzwi, omiatając salę lufą pistoletu. Pusto.

Górne światło w siłowni wyłączył ostatni klubowicz, ale jarzył się krąg małych lampek awaryjnych. Pomieszczenie czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę nigdy nie powinno być całkowicie ciemne, nawet kiedy jest puste.

Powiniennem sprawdzić resztę budynku, ale nie chciałem się oddalać od telefonu. W końcu wygrał telefon. Usiadłem na krawędzi biurka z glockiem w ręku i czekałem.

Kiedy rozdzwonił się telefon w siłowni, omal nie wystrzeliłem całego magazynka w ścianę. Spodziewałem się, że zadzwoni telefon w kantorku, i dźwięk z innego miejsca zupełnie wytrącił mnie z równowagi. Na ścianie siłowni wisi telefon dla członków klubu, ale ma inny numer niż ten w kantorku. Zadzwonił ponownie. Wstałem, wziąłem głęboki oddech i zważyłem pistolet w dłoni.

– Dobra, dupku – powiedziałem głośno. – Już idę.

Byłem w połowie sali ćwiczeń, kiedy eksplodowała frontowa szyba. Do środka wpadły odłamki szkła, a wraz z nimi zimne powietrze i staccato z półautomatycznej broni. Padłem na ziemię i przeturlałem się w lewo, by ukryć się za betonowym filarem.

Kule szatkowały ścianę za moimi plecami, odłupując kawałki kamienia, tnąc metal i szkło. Przywarłem plecami do filara, skuliłem się i zakryłem uszy rękoma, bo ogłuszający huk nie ustawał. Wycie alarmu uruchomionego przez pękniętą szybę nie zagłuszyło wystrzałów. Kule wbijały się w filar i w końcu roztrzaskały wiszący na nim podajnik papierowych ręczników. Kawałki plastiku fruwały wokół mnie.

Krótką przerwą – i salę znów zalał grad kul, od prawej do lewej strony; przelatywały ze świstem obok mnie.

W końcu zapadła cisza. Alarm przestał wyc, zanim ucichła strzelanina, prawdopodobnie rozbity kulą. Opuściłem ręce, ściskając w nich glocka, gotów do obrotu.

Przez kilka sekund przekonywałem sam siebie, żeby tego nie robić.

Kiedy wychynałem zza filara, zobaczyłem tylko pustą ulicę. Na podłodze w sali walały się kawałki kamienia, szkła i inne szczątki. Przez wybitą szybę widać było ulicę.

Żadnego samochodu, żadnych ludzi.

Telefon na ścianie znów zadzwonił. W uszach wciąż miałem huk wystrzałów i wycie alarmu, więc ledwo go usłyszałem, a wtedy przebiegłem przez salę, nie zważając na to, że poprzednio dzwonek telefonu był preludium do ostrzału.

Podniosłem słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha, ale nic nie powiedziałem.

Odezwał się mężczyzna, ledwo go słyszałem, ale pewnie dlatego, że uszy przywykły mi do ogłuszającego huku, a nie cichego głosu. Mimo to go rozpoznałem. Ten facet zrobił z moją siłownią to, co wcześniej z moją twarzą.

– Wciąż jeszcze żyjesz – powiedział. – To dobrze. Strzelałem nad twoją głową i po bokach, ale sam wiesz, Pan Bóg kule nosi.

– Jak cię dopadnę...

– Zamknij się, Lincoln. Nie dopadniesz mnie, a jeśli spróbujesz, zginiesz. Mam paskudne przeczucie, że w końcu i tak do tego dojdzie, ale będziesz mógł o to winić tylko siebie. Dostałeś szansę, żeby się wycofać. Powinieneś ją wykorzystać, a jednak tego nie zrobiłeś. Następnym razem nie zdążysz nawet tego pożałować.

– To ty pożałujesz, gnojku. Pożałujesz, że strzelałeś nad moją głową i na boki.

– Cholera, szybko wraca ci pewność siebie – mówił lekko, niemal beztrusko. –

Syn Jeffersona, zanim tak przykro skończył, miał odziedziczyć sporą sumkę. Podobno jakieś pięć milionów dolarów. Może więcej, może mniej, ale zważywszy na okoliczno-

ści, będziemy uczciwi i poprosimy tylko o trzy miliony. Powiedz żonie Jeffersona, żeby przygotowała forszę. Skontaktujemy się, żeby jej powiedzieć, gdzie ma ją przelać i kiedy. Zrób to, a może nikt więcej nie zginie. – Nie pozwalał mi dojść do głosu. – No dalej, dzwoń do gliniarzy, Lincoln. Rozczarowałeś mnie dzisiaj, bo tak szybko do nich polazłeś. Najwyraźniej miałem o tobie zbyt wysokie mniemanie. No już, dzwoń po nich. I tak to, co ma się stać, się stanie.

Rozłączył się – usłyszałem tylko buczenie na linii, syreny nadjeżdżających radiowozów i Amy wykrzykującą moje imię.

Rozdział 19

Sam zadzwoniłem do Targenta. Policjanci, którzy przyjechali na miejsce zdarzenia, nie mieli pojęcia, co się stało, a im bardziej szczegółowo zacząłbym im to wyjaśniać, tym bardziej wszystko by się skomplikowało. Chciałem też zadzwonić do Karen, ale funkcjonariusze nie odstępowali mi na krok i wciąż zadawali pytania. Targent przyjechał jakieś czterdzieści pięć minut po pierwszym radiowozie. Nawet jeśli porwana kulami siłownia rzuciła cień wątpliwości co do mojej winy, nie dał tego po sobie poznać. Chodził tylko po sali, mruczał i chrząkał, ale mówił niewiele, a tymczasem ja streszczałem mu przebieg wydarzeń.

Zmierzył wzrokiem Amy, która stała w rogu siłowni i odpowiadała na pytania innego funkcjonariusza, lecz nie zapytał o nią, nie chciał nawet sprawdzić, czy Amy potwierdzi moją wersję nocnych wypadków.

– Zainstalowałem kamery, nagrywają wszystko, co dzieje się w siłowni – powiedziałem. – Muszę je mieć ze względu na ubezpieczenie, bo po godzinach pracy nie ma tu nikogo z personelu. Jeśli zechce pan potwierdzić moje zeznania i upewnić się, że nie stałem na chodniku i nie ostrzelałem własnego budynku, to niech się pan nie krępuje.

Wróciłem do kantorka, wyjąłem z magnetowidu kasetę, na której był obraz z kamer monitoringu, i podałem Targentowi. Wziął ją bez słowa, powiedział coś przyciszonym głosem do sierżanta nadzorującego oględziny miejsca, po czym poinformował mnie, że będzie musiał porozmawiać z Karen, żeby zweryfikować moje zeznanie.

– Dobrze, że nic mi się nie stało – podkreśliłem.

– Wie pan, co jest najdziwniejsze?

– Co?

– Że ten człowiek chce działać przez pana. Miałem już do czynienia z różnymi przypadkami szantażu. Jeśli ktoś chce wymusić pieniądze, to zwykle to po prostu robi.

A ten facet najpierw dzwoni do Karen Jefferson, żeby powiedzieć jej, że będzie dzwonił do pana, i dopiero potem podaje panu sumę, o jaką mu chodzi.

Popatrzyłem na niego, odwróciłem się w stronę sali i zatoczyłem ręką krąg.

– Widzisz tę salę, Targent? Naprawdę wierzysz, że ktoś ostrzelałby własną firmę z półautomatycznej broni tylko po to, żeby ukryć kłamstwo?

– Zależy od człowieka – odparł. – I od skali kłamstwa. Przy odpowiedniej mieszance obu tych czynników... owszem, uwierzyłbym.

Pokręciłem głową.

– Obejrzyj pan sobie tę cholerną taśmę z monitoringu. Obejrzyj, a potem albo mi uwierzysz, albo dasz mi Oscara.

Moja prośba zainteresowała policjantów z komendy miejskiej, ale powiedzia-

łem, żeby bliższych wyjaśnień domagali się od Targenta. Kręcili się jeszcze przez chwilę, robili zdjęcia i próbowali wydlubować kule ze ścian. Dwaj mundurowi pomogli mi posprzątać. Pozamiataliśmy kawałki szkła i kamienia i wrzuciliśmy je do wielkiego ko-sza na śmieci. Ławeczki do podnoszenia ciężarów niewiele ucierpiały – zaledwie kilka draśnięć – ale dwa stacjonarne rowery treningowe zostały ostrzelane bezpośrednio i miały zniszczone komputery. Straty? Tysiące dolarów.

Policjanci w końcu przestali maglować Amy. Stała w kącie, obejmując się rękoma – zmarzła w cienkiej bluzie, bo do siłowni wpadało zimne powietrze. Podeszedłem do niej i potarłem dłońmi jej ramiona, chcąc ją ogrzać. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło. Wyglądała na wystraszoną.

– Jedź do domu, Amy – powiedziałem. – Przeżyjesz się, jeśli jeszcze trochę tu postoisz. Jedź i się rozgrzej. Przepraszam.

– Nie masz za co przeproszać, Lincoln. Ja tylko... – Pokręciła głową. – Kiedy za-sypiałam, leżałeś obok, tak? A kiedy się obudziłam, ciebie nie było, rozmawiałeś przez telefon, a dwie minuty później byłam już sama i ktoś zaczął ostrzeliwać budynek...

– Wiem. Przykro mi. Wszystko to się wydarzyło tak szybko. Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Patrzyła na policjantów po drugiej stronie sali.

– To dzieje się z powodu Karen?

– Z powodu jej męża.

Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

– Niezapomniana noc, co? – spytałem.

Zdobyła się na lekki uśmiech.

– Pod wieloma względami, prawda? Pod wieloma względami.

– Jedź do domu i się rozgrzej.

Kiwnęła jeszcze raz głową, przyciągnęła mnie i mocno przytuliła. Pocałowałem ją. Odsunęła się i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się na chwilę, żeby powiedzieć coś sier-

zantowi; prawdopodobnie pytała, czy może już sobie pójść. Potem odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Hej, Lincoln.

– Tak?

– Słyszałeś pewnie, że kiedy jest się z kimś pierwszy raz, wokół rozlegają się fa-jerwerki. Lepiej, by była to tylko metafora.

Roześmiałem się, jakby coś we mnie się rozluźniło – nawet w takiej sytuacji Amy potrafi zdobyć się na dowcip.

– Zapamiętam to sobie – zawołałem, odprowadzając ją wzrokiem.

Kiedy wszyscy sobie poszli, było już po piątej rano. Znalazłem wielki kawał plastiku oraz rolkę taśmy klejącej i zabrałem się do zakrywania dziury po frontowym oknie. Myślałem o Amy i moja wściekłość na tajemniczego ktosia, który zdemolował

mi siłownię, zaczęła narastać. To miała być cudowna noc. I przez kilka godzin była.

Tylko przez kilka godzin. Amy pojechała do domu zmarznięta, zmęczona i przerażona.

Zastanawiałem się, czy ci dranie o tym wiedzieli, czy patrzyli, jak wraca sama, i ryczeli ze śmiechu.

Kiedy załatałem już dziurę po oknie i posprzątałem odłamki szkła, usiadłem w kantorku. Nogi położyłem na biurku i popijając kawę, przyglądałem się krajobrazowi po bitwie. Na drzwiach powiesiłem kartkę: „Zamknięte z powodu wandalizmu“. Kiedy wybiła siódma, zadzwoniłem do Grace i poinformowałem ją o tym, co się stało. Powiedziałem, żeby nie przyjeżdżała do pracy.

Opędziwszy się od jej pytań i prób mat-kowania, odłożyłem słuchawkę i zadzwoniłem do Joego. Wysłuchał relacji, nie przerywając mi, a kiedy skończyłem, zadał tylko jedno pytanie.

– Mówisz, że była z tobą Amy?

Westchnąłem.

– Tak, była ze mną Amy.

– Nocna imprezka?

– Joseph...

– Nie, nie obawiaj się, o nic nie będę pytał. Tylko aż trudno mi uwierzyć. Wydawało mi się, że Amy ma dobry gust, a twój gust wcześniej nie był aż tak wyrafinowany.

– Do zobaczenia w biurze. – Rozłączyłem się, ale z uśmiechem na ustach.

Teraz należało zadzwonić do agenta ubezpieczeniowego. Pewnie jeszcze nie dotarł do biura, ale to dobrze – wolałem mu się nagrać na automatyczną sekretarkę.

Wyjaśnianie, że chcę zgłosić szkodę z powodu ataku na mój budynek, trwałoby wieki.

Za dziesięć ósma skończyłem pić kawę i znów wszedłem do sali, żeby obejrzeć ją raz jeszcze przed wyjściem do biura. Brak snu jakoś nie dawał mi się we znaki, wzdając wzrokiem po poranym kulami sprzęcie, czułem przede wszystkim gniew.

Miałem zamiar wyłączyć światło, żeby dać wyraźnie do zrozumienia, że siłownia jest zamknięta. Plastik, którym zakryłem okno, wpuszczał do środka trochę światła słonecznego, ale przefiltrowanego i szarego, bo nie był przezroczysty. Kiedy tak sta-

łem w sali i patrzyłem na nią, przed plastikową zasłoną zmaterializowała się jakaś postać. Mleczne tworzywo nie pozwoliło rozróżnić rysów twarzy, ale widziałem, że to mężczyzna i że chyba zagląda do środka, przeszukując wzrokiem siłownię. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zaległa mnie fala strachu, poczułem, że ten człowiek mi zagraża.

Zrobiłem dwa kroki w stronę ściany, pochyliłem się i podniosłem jedną z zakrzywionych sztang, prawie osiem kilo porządnego metalu, przy odpowiednim zamachu cholernie groźna broń. Kiedy układałem ją sobie w rękach, żeby leżała jak kij bejsbolowy, człowiek z drugiej strony plastikowej zasłony nacisnął mocno na jej krawędź i taśma, która ją przytrzymywała, zaczęła odklejać się od ściany. Chwilę później odkleił się cały bok i mężczyzna wskoczył do siłowni przez okno.

Thor. Nagłe, niewytłumaczalne poczucie zagrożenia na widok jego sylwetki nie było więc takie absurdalne. Thor – do dziś nie wiem, jak ma na nazwisko – był prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w mieście. Owszem, dzień wcześniej zaprzeczałem, że go znam, ale teraz, kiedy rozpoznałem go, jak wskakiwał

przez okno, wróciły wspomnienia, których nie zapomnę do końca życia. Choć zetkną-

łem się z nim przypadkowo, była to bardzo ważna znajomość. Taka, której się nie zapomina, bez względu na to, ile człowiekowi przyjdzie żyć. Taka, która czasami nie pozwala zasnąć.

– Lincoln Perry – odezwał się cichym i opanowanym głosem, bez złości. Zawsze miał taki głos, niezależnie od okoliczności, niezależnie od tego, o jaką stawkę chodzi-

ło.

– Thor.

Te jego upiorne błękitne oczy – zerknął niemal obojętnie na sztangę w moich rękach i znów spojrział mi w twarz. Miał na sobie czarne spodnie i czarną koszulę z długimi rękawami. Nic w jego stroju czy wyglądzie nie przyciągało uwagi – poza tymi błękitnymi oczami.

– Chyba – powiedział, rozglądając się szybko, ale bardzo uważnie po sali –
masz kłopoty.

Ja też powiodłem wzrokiem po siłowni.

– Narobiłem sobie wrogów.

– Najwyraźniej robisz ich sobie regularnie. – Ani jego głos, ani twarz nie zdradzały rozbawienia, odniosłem jednak wrażenie, że się ze mnie śmieje.

– Każdy ma jakiś talent – odparłem.

Powiodł palcem wskazującym po jednej z ławeczek do podnoszenia ciężarów; podziwiał głębokie cięcie, jakie kula zrobiła w tapicerce.

– Często mamy wspólne kłopoty.

Nic nie odpowiedziałem.

– Policja zadaje mi pytania – ciągnął. – Prawdę mówiąc, nie oszczędza mnie.

Rzadko na nie odpowiadam. Ale wczoraj dotyczyły ciebie.

Spojrzął na mnie, świdrował mnie tymi błękitnymi oczami.

– Co im powiedziałaś? – zapytałem.

– Słyszałaś, rzadko udzielam odpowiedzi.

Kiwnąłem głową.

– Mnie też zadawali pytania, Thor. Wczoraj po raz pierwszy pojawiło się twoje imię. Mówili, że byłeś w samochodzie człowieka, który zmarł. Człowieka, o którego zabójstwo mnie podejrzewają.

Nie drgnął mu nawet jeden mięsień twarzy.

– Zabiłeś go?

– Nie.

– Ale kochasz jego żonę?

– Nie. Kiedyś ją kochałem, teraz już nie.

– Wiemy o sobie różne rzeczy – powiedział powoli i ostrożnie, jakby starannie dobierał słowa. – I powinny zostać między nami.

– Nie zamierzam im nic mówić.

Kiwnął głową.

– Był jeszcze jeden mężczyzna...

– Wyjechał, poza tym tak go przeraziłeś, że w życiu nie piśnie słowa, za żadne skarby.

W to z całą pewnością mógł uwierzyć.

– W takim razie to chyba wszystko. – Jeszcze raz rozejrzał się po sali. – Przynajmniej z mojej strony. A ty? Zdaje się, że masz kłopoty i musisz z nich wybrnąć. Życzę szczęścia, choć wierzę, że nie będzie ci potrzebne.

Odwrócił się na pięcie w stronę okna i chwycił plastikową zasłonkę.

– Zaczekaj – zawołałem.

– Tak? – rzucił przez ramię.

– Co robiłeś w jego samochodzie?

Kiedy spojrzał na mnie tymi lodowatobłękitnymi oczami, poczułem na plecach chłód, taki jak w rękach, w których trzymałem zimną sztangę.

– Nie dyskutuję o sprawach innych ludzi.

Potrafił odbierać życie innym ludziom, i często to robił, ale nie dyskutował o ich sprawach. Kwestia honoru.

– Thor, osaczają mnie. Ten, kto zabił Jeffersona, i gliniarze. Wszyscy mnie osaczają.

Przechylił głowę i zmarszczył brwi. Nie lubił mówić. Był człowiekiem czynu, nie słów. Stał i patrzył na mnie. Pomyślałem, że przypomina mu się, jak spojrzeliśmy sobie w oczy po tym, gdy wbił nóż w ciało tamtego mężczyzny, i że nie widział mnie potem w sądzie, że nie zeznawałem przeciw niemu. To, co miało zostać między nami, zosta-

ło.

– Złożono mi propozycję – odezwał się. – Złożono przez pomyłkę. Odrzuciłem ofertę i poszedłem w swoją stronę. Tylko ten jeden raz widziałem tego człowieka.

– Jaką ofertę?

Długo na mnie patrzył i kiedy już wydawało mi się, że nie odpowie i wyjdzie, wyjaśnił:

– Alex Jefferson chciał mnie wynająć, żebym kogoś zabił. Nie wiem kogo, bo przerwałem mu, nim podał szczegóły. Powiedziałem panu Jeffersonowi, że ten, kto mnie polecił, pomylił się, że nie angażuję się w takie rzeczy jak mordowanie za pieniądze.

Nie, ale w mordowanie z powodu pieniędzy, tak – pomyślałem. Uznałem jednak, że Thor nie dostrzeże finezji różnicy semantycznej, więc tego nie skomentowa-

łem.

– Jak do ciebie dotarł?

– Przez znajomego, który reprezentuje jednego z moich współpracowników w pewnych sprawach prawnych.

– A więc prawnik, specjalista od spraw karnych – stwierdziłem, co najwyraźniej ubawiło Thora.

– To bez znaczenia. Powiedziałem ci wszystko, co wolno mi było powiedzieć.

Nie chciałbym myśleć, że o jedno słowo za dużo.

Ciął bezwzględnie, jak ostrze maczety.

– Nie powiedziałaś ani o jedno słowo za dużo.

Kiwnął tylko uprzejmie głową odsunął zasłonę z plastiku i wyszedł przez okno na chodnik.

Długo jeszcze ścisnąłem w rękach sztangę.

Rozdział 20

– A więc nie był to jednak przypadek – powiedział Joe. – Mówiłem, że to miasto nie jest takie małe, żebyście ty i Thor przypadkiem wpadli na siebie w tej sprawie.

Ale kiedy w grę wchodzi płaćne zabójstwa? Wtedy miasto robi się naprawdę malutkie. Wąskie grono znajomych.

Skrzywiłem się.

– I mnie do niego zaliczasz?

Wzruszył ramionami.

– Słuchaj, przecież to nie do mnie przychodzą tacy goście jak Thor.

Wstałem z fotela i podszedłem do okna, by po raz trzeci, odkąd byłem w biurze, wyjrzeć na ulicę. Ostatnio bardzo często wyglądałem na ulicę. Takiego zwyczaju człowiek nabiera, kiedy wydaje mu się, że w pobliżu czyha ktoś niebezpieczny. Taka zdrowa szczypta paranoi.

– Powinienem go bardziej przycisnąć.

– Odbiło ci? LP, ludzie tacy jak Thor źle reagują na naciski.

– Ludzie tacy jak Thor dzielą się też absolutnym minimum informacji – burkną-

łem, nie odwracając się do niego. – Wie o wiele więcej, niż mi powiedział.

– Na twoim miejscu cieszyłbym się, że się zmył. – Joe pokręcił głową. – Wejść przez okno. Jak na ten stoicki spokój i opanowanie, gość ma naprawdę skłonność do dramatycznych entrees.

– Jeśli Jefferson chciał wynająć Thora jako zabójcę, to mógł też chcieć wynająć kogoś innego. Jeżeli to, czego się obawiał, stało się tak poważnym zagrożeniem, że zdecydował się na ten krok, na pewno odmowa jednego człowieka go nie powstrzymała. Szukał dalej.

– Może.

– Thor w zasadzie przyznał, że Jefferson dowiedział się o nim przez jakiegoś adwokata od spraw kryminalnych, który broni ludzi Belova. Jeśli zdołamy odszukać tego faceta, może dowiemy się, z kim jeszcze ma powiązania.

Joe popatrzył na mnie, jakbym zaproponował mu szklanekę mleka, które od tygodnia stało na słońcu.

– LP, chyba nie sugerujesz, że powinniśmy zacząć przesłuchiwać wszystkich płaćnych zabójców, jakich uda nam się znaleźć.

– Któryś na pewno coś wie.

– Jasne. A kiedy go odszukamy, on nas zabije i uzna problem za rozwiązany.

Sugeruję, żeby inaczej podejść do sprawy.

Potarłem twarz dłonią i poczułem, że po nieprzespanej nocy w końcu zaczyna ogarniać mnie senność.

– Masz rację. Tyle że nie potrafię przestać myśleć o Thorze. O takich jak on trudno zapomnieć, rozumiesz?

– Zapewniam cię, że o nim nie zapomniałem. Ale chyba znalazłem coś, co pozwoli ci się skupić na czym innym.

– Czyżby?

W rękę trzymał jakąś kartkę, oczy mu błyszczały.

– Pamiętasz, że nie mogliśmy uwierzyć, że ktoś powiązany z Andym Doranem ściga Jeffersona?

Przytaknąłem.

– Czas płynie. Naciągana teoria.

– Jakies dziesięć minut przed twoim przyjściem do biura ten problem sam się rozwiązał, LP.

Przesunął mi kartkę po blacie. Wydruk z internetowej strony jakiejś gazety.

– Andy Doran pod koniec września uciekł z więzienia. Był na wolności ponad dwa tygodnie przed zabójstwem Jeffersona.

Podniosłem kartkę, przeczytałem ją i spojrzałem na Joego. Uśmiechał się.

– No i co? Zapomnisz na razie o Thorze?

Bez słowa wróciłem do artykułu. Doran i dwaj inni więźniowie z ekipy sprzątającej uciekli z więzienia, ukryci w śmieciarce. Dwóch pozostałych aresztowano w ciągu dwudziestu czterech godzin. Doran zniknął.

– Jesteś pewien, że pozostaje na wolności? Większość uciekinierów wpada błyskawicznie...

– Nadal go nie złapano. W serwisie agencji do spraw ścigania zbiegów ma nawet swoją stronę.

Przeczytałem artykuł po raz drugi, odłożyłem kartkę i popatrzyłem na Joego.

– To on. To Doran jest sprawcą.

– I ja tak myślę.

– Kiedy wcisnął mi torbę na głowę, powiedział, że Matt zadzwonił do ojca po pomoc, a on płacił za to przez pięć lat. W artykule piszą, że odsiedział pięć lat z dwudziestu jeden.

– Możliwe – stwierdził Joe. – Owszem, dość prawdopodobne. Ale musimy dobrze obwąchać tę sprawę, nim wnioski podamy Targentowi na tacy. Pojedyncza wzmianka o płaceniu przez pięć lat

raczej nie przekona gliniarzy.

Znów spojrzałem na artykuł.

– Piszą tu, że skazano go za zabójstwo.

– Czytałem i nie rozumiem. Musimy przeczytać akta, dowiedzieć się, co się wtedy działo.

– Akta sprawy będą pewnie w Genevie.

– Racja. I dlatego proponuję ruszyć tyłki.

Zatelefonowałem do Karen, kiedy jechaliśmy już samochodem, i zapytałem, czy ktoś jeszcze do niej dzwonił i czy jej groził. Nikt nie dzwonił, ale jej głos zdradzał, że wciąż jest wstrząśnięta tamtym telefonem. Mówiła przez ściśnięte gardło, trochę za szybko, urywanie.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. – Pospałaś sobie?

Roześmiała się gorzko.

– Nie, Lincoln. Nie za bardzo miałam kiedy sobie pospać. Przyjechała policja, byli tu długo. To akurat dobrze. Czulałam się... Ciężka noc... Denerwowałam się.

– Może powinnaś wyjść z domu. Wyjedź, nie siedź sama, pobądź wśród ludzi.

– Zadbam o siebie.

– W porządku. Posłuchaj, Joe i ja w tej sprawie nie odpuszczamy, rozumiesz?

Mamy kilka pomysłów, może nawet porządny trop. Dziś powinniśmy zrobić krok naprzód, Karen. Jestem tego pewien.

– Chcesz mi o czymś powiedzieć?

– Daj mi jeden dzień. Jeden dzień pracy. Wpadnę do ciebie wieczorem, opowiem ci, co zdziałaliśmy i nad czym się zastanawiamy.

– Dziękuję, Lincoln. Naprawdę.

Rozłączyłem się i streściłem rozmowę Joemu.

– Byłbym cholernie ostrożny z tym, co jej powiedzieć i kiedy – stwierdził. –

Zważywszy na milion rodzajów i powodów zawiści. Ale jeśli ten facet to rzeczywiście Doran i naprawdę jest niewinny?

– Wtedy Jefferson wyjdzie na wrednego sukinsyna.

Kiwnął głową.

– No właśnie.

– Nie mam z tym większego problemu.

– Z pewnością. Ale Karen może mieć. A kiedy jeszcze ty jej o tym powiesz...

– Będziemy się tym martwić, kiedy przyjdzie na to czas. Na razie chcę się przede wszystkim dowiedzieć, co się stało temu facetowi.

Dobrze się czułem za kierownicą. Joe siedział obok – i fajnie – dyskutowaliśmy owocnie o ważnej sprawie. I wtedy, usatysfakcjonowany, pomyślałem o pytaniu, które zadałem mu dzień wcześniej, a on postanowił na nie nie odpowiedzieć.

– Joe, naprawdę dziękuję, że mi pomagasz w tej sprawie. Nie wiem, czy dałem ci to jasno do zrozumienia.

– Drobiazg.

– Ale... kiedy przyjechałem wczoraj do ciebie, zapytałem cię, kiedy zamierzasz wrócić.

– Uhm.

– Nie odpowiedziałeś.

Milczał. Patrzyłem na drogę i czekałem.

– Wstąpiłem do policji zaraz po szkole – zaczął. – Od dziecka chciałem być policjantem, o niczym innym nie marzyłem. Wstąpiłem więc do policji i odsłużyłem trzydzieści lat. Kiedy zmarła Ruth, wziąłem tydzień wolnego, a potem wróciłem do pracy, bo tylko ona mi została. Snuliśmy oboje tyle planów. Planów na emeryturę... jak ją spędzimy. Ale Ruth odeszła i co miałem zrobić? Sam zwiedzać Europę? Zbudować szklarnię i hodować rośliny tropikalne? Bzdura. Marzenia przysły, odszedłem na emeryturę i zacząłem ten detektywistyczny biznes z tobą. Odpocząłem tylko trochę w lecie i od razu zabrałem się do pracy. Bez odznaki, bez biurokracyjnej otoczki, ale wciąż do takiej właśnie pracy.

Przerwał na chwilę. Chciałem na niego spojrzeć, ale bałem się, że go rozproszę, że straci wątek.

– Kiedy latem odniosłem rany, musiałem dać sobie spokój z pracą – ciągnął. –

Zrobiłem to po raz pierwszy, LP. Po raz pierwszy od dzieciństwa nie żyłem dzień i noc prowadzeniem śledztwa.

– I dobrze się z tym czułeś?

– I tak, i nie. Ale przynajmniej inaczej. Coś się zmieniło, po tylu latach kieratu. I zacząłem się wtedy zastanawiać... Sam nie wiem.

– Co?

– Chyba zacząłem się zastanawiać, czy chcę robić coś innego, nim odejdę. Czy nie muszę albo nie powinienem czemuś się poświęcić. Czasu mam coraz mniej...

– Bzdury pleciesz.

– Mówisz tak, bo jesteś młody. LP, nie stoję u bram śmierci, nic z tych rzeczy.

Ale nie jestem już młodzieniaszkiem. Starzeję się, z każdym dniem bardziej. A przez całe życie pasjonowała mnie tylko taka praca.

Spojrzałem na niego po raz pierwszy, od kiedy zaczął mówić.

– Jesteś szczęśliwy z dala od tego?

– Nie wiem.

– Nie wyglądałeś na szczęśliwego. Wydawałeś się... jakiś pusty, Joe. Rozumiem, tyrasz już tak długo, ale zanim wyciągnąłem cię z domu, siedziałeś tylko w fotelu w salonie. Tak jest lepiej?

Pokręcił głową.

– Nie, wcale nie. Nie mam zamiaru spędzić reszty życia w fotelu jak jakiś sta-rzec. Jakaś część mnie wierzy, że czas na zmianę. Siedziałem w fotelu tylko dlatego, że nie wiedziałem, jak by ta zmiana miała wyglądać ani czy w ogóle powinna nastąpić.

Wpatrywałem się w drogę i milczałem.

– Zdaję sobie sprawę, że przez ostatnie dwa miesiące czułeś się tak, jakbym zostawił cię samemu sobie – ciągnął Joe. – Ale gdybyś się nad tym dobrze zastanowił, zrozumiałbyś, że jest w tym ukryty komplement. Nie muszę się o ciebie martwić. Nie muszę dzwonić do biura kilka razy dziennie i upewniać się, że nie stało ci się nic złe-go. Nie stanie się, bo jesteś dobry w te klocki, cholernie dobry, pewnie pod wieloma względami nawet lepszy ode mnie. Masz żyłkę do tej roboty, dorównujesz innym ludziom z tej branży i dojrzałeś już na tyle, że potrafisz to wykorzystać i myśleć na chłodno. Nie jesteś już takim kowbojem jak dawniej, a jeśli nawet, to znacznie spo-kojniejszym.

– Nadal cię potrzebuję, Joe. Nie dam sobie rady w pojedynkę.

– Bzdura. – Pokręcił głową. – Dasz sobie radę i dobrze o tym wiesz. Poradzisz sobie z każdą sprawą, jaką dostaniesz, i to łatwo. Radziłeś sobie sam przez ostatnich kilka miesięcy, i to bez problemu.

– Wiesz, że zawsze cię wesprę, bez względu na to, co postanowisz – zapewni-

łem. – Nie chcę pracować sam, ale będziesz miał moje wsparcie, jeśli zdecydujesz się odejść.

– Wiem. I zanim podejmę taką decyzję, skonsultuję się z tobą, LP. Jesteś moim partnerem niezależnie od tego, czy przychodzę do biura, czy nie.

Rozdział 21

Andy Doran trafił do aresztu po raz pierwszy osiem miesięcy po ukończeniu szkoły. Absolwent Liceum imienia Johna Marshalla bawił wtedy na gościnnych występach w Cleveland, gdzie przyłapano go po włamaniu do domu w Shaker Heights, skąd uciekał z kilkoma telewizorami i kolumnami głośnikowymi. Zdołał przejechać zaledwie pięć kilometrów, kiedy policja zatrzymała go za przekroczenie prędkości i zainteresowała się dziwną kolekcją elektroniki na tylnym siedzeniu auta Dorana.

Doran wywinął się – został warunkowo zwolniony i szwendał się po mieście jeszcze przez dwa lata, po czym poszedł do wojska. Służył w nim cztery lata, uzyskując wyróżnienia za sprawność fizyczną i snajperskie oko. Ukończył też zaawansowany kurs dla piechoty, dla spadochroniarzy i podstawowy kurs wyspecjalizowanej walki miejskiej. Wyróżnienia nie oznaczały jednak, że rysuje się przed nim świetlana kariera w armii – jegoteczka osobowa aż puchła od skarg, i w końcu aresztowano go po raz drugi. Śledztwo żandarmerii wojskowej dowiodło, że Doran wraz z kumplami z cywila mieszkającymi w pobliżu Fort Bragg handlował kradzionym sprzętem wojskowym za pośrednictwem miejscowych dilerów i przez Internet – sprzedawał noktowizory, broń czy granaty. Zwolnienie dyscyplinarne było tylko wstępem do dwuletniej odsiadki.

Jak wielu ludzi, którym się w życiu nie powiodło, wrócił do domu. Pół roku po tym, gdy wprowadził się do matki, matka zmarła, zostawiając synowi skromny spadek i o wiele większą hipotekę. Doran natychmiast zawiesił spłatę kredytu i wyniósł się nie wiadomo dokąd. Osiemnaście miesięcy później pojawił się w Geneva on the Lake, gdzie po awanturze w barze aresztowano go za napaść i pobicie. Wyszedł z tego z niewielkimi siniakami i skaleczeniami – tylko na rękach, którymi nieźle pokancerował

twarz przeciwnika. Za ten występ odsiedział kolejne pół roku. Przyczyną bójki była prawdopodobnie samcza rywalizacja o terytorium, o rudowłosą kelnerkę. Wprawdzie Doran wygrał, lecz nie zdobył serca kelnerki, bo kiedy wyszedł z więzienia, wciąż był

sam. Ale już wkrótce zaczął spotykać się z dwudziestoletnią Monicą Heath.

Pracował wtedy jako kierowca ciężarówki, choć bez odpowiedniego prawa jazdy. Rozwoził meble i różne inne rzeczy, co się trafiło. Pracował także dla firmy cateringowej, w której była zatrudniona panna Heath. Znajomość kwitła, najwyraźniej dzięki

ki wspólnej fascynacji marihuaną i seksem. Chodzili ze sobą jakieś trzy miesiące, ale w końcu przyjaciele panny Heath przekonali ją że Doran to tylko kłopoty i że ona zasługuje na kogoś lepszego. Po raz ostatni kochali się w ciężarówce Dorana, spalili jointa i rozstali się raczej w przyjaźni.

Siedem tygodni później Monicę Heath znaleziono martwą, ze spódnicą zadartą do góry i bez bielizny. Morderca udusił ją ścierką, którą wycierała stoły. Nie pozostało odcisków palców ani żadnych

Siedem tygodni później Monicę Heath znaleziono martwą, ze spódnicą zadartą do góry i bez bielizny. Morderca udusił ją ścierką, którą wycierała stoły. Nie pozostało odcisków palców ani żadnych

innych śladów. Policjanci od razu przesłuchali Dorana. Wrócili do niego następnego dnia, już z nakazem przeszukania jego przyczepy i pomarańczowego camaro. Nakaz wydano na podstawie zeznań naocznego świadka, który podobno widział Dorana na miejscu zbrodni. Kiedy zjawiała się policja, Doran był

naćpany, a w zlewie stała fajka wodna. Orientował się jednak, co się dzieje, bo chciał

się bić, kiedy pod stertą pustaków w kącie przyczepy funkcjonariusze znaleźli czarny worek na śmieci, a w nim bieliznę Moniki Heath. Doran wytoczył się z przyczepy, klnąc na czym świat stoi, i rzucił się na policjanta, który odnalazł worek. Krzyczał, że go wrobiono, i próbował zadawać nieskoordynowane ciosy, ale go obezwładniono.

Bieliznę odwieziono do laboratorium kryminalistycznego policji stanu Ohio; jak wykazały testy, było na niej DNA panny Heath, i żadne inne. Mimo to znalezienie u Dorana czarnych stringów marki Victoria's Secret źle mu wróżyło, zwłaszcza jeśli zwa-

żyć na jego kryminalną przeszłość i zeznania przyjaciółek panny Heath. Monica często opowiadała im, że choć seks z Doranem był świetny, bywał też ostry, że Doran zachowywał się agresywnie i dziko, czasami potrafił ciągnąć za włosy, a nawet dusić.

Żadna z przyjaciółek nie umiała powiedzieć nic konkretnego o duszeniu, ale dwie dziewczyny twierdziły, że Monica chyba kiedyś o tym wspominała.

Te i tak mocne już dowody wzmocniało jeszcze zeznanie naocznego świadka –

widział na miejscu zbrodni camaro Dorana i podobnego do niego mężczyznę, który zabawiał się z panną Heath na pomoście przy wytwórni wina.

Ten świadek – młody student prawa, Matthew Jefferson z Pepper Pike – znalazł

zwłoki i zadzwonił na policję. Nie potrafił jednak podać żadnych szczegółów dotyczą-

cych mężczyzny na pomoście – przynajmniej nie od razu. Zrobił to dopiero następnego dnia, kiedy pojawił się na policji z rozszerzoną wersją zeznań z poprzedniego wieczoru i ojcem u boku. Wtedy student stwierdził, że został zastraszonej przez policjantów, którzy podobno prowadzili przesłuchanie agresywnie, i dodał, że zapomniał powiedzieć, iż idąc do wytwórni, widział na parkingu samochód – starszy model camaro, który w świetle księżyca wydawał się pomarańczowy. Natomiast co do mężczyzny na pomoście, miał metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy ostrzyżone najeża i tatuaż na lewym przedramieniu.

Doran upierał się, że ma alibi: spędził wieczór u niejakiego Donny'ego Warda; popijali whisky i strzelali do celu z pistoletu kaliber 22. Kiedy policjanci pojechali przesłuchać Warda, ten oświadczył, że nie ma pojęcia, o czym mówi Doran, że nie widział

się z nim już od kilku dni, od ostatniego spotkania w barze.

Doran miał więc przeciw sobie zeznanie naocznego świadka i twarde dowody znalezione u niego w

domu. Nie posiadał wiarygodnego alibi. Oczywiście był bez grosza przy duszy i nie mógł sobie pozwolić na prywatnego adwokata. Obrońca publiczny, którego doświadczenie w sprawach kryminalnych było zerowe, zdołał wynegocjować przyznanie się do winy w zamian za złagodzenie oskarżeń o zabójstwo, do którego doszło podczas czynności autoerotycznej, wykonywanej za obopólną zgodą. Dwa dni przed początkiem procesu Andy Doran dostał propozycję ugody – dwadzieścia jeden lat więzienia w zamian za przyznanie się do winy. Jeśli nie będzie sprawiał kłopotów, może wyjść nawet po dziesięciu. Doran przyjął ugody, bo w przeciwnym wypadku czekało go dożywocie, a nawet kara śmierci.

Przez pięć lat odsiadywał wyrok. Zachowywał się dobrze, nie sprawiał kłopotów współwięźniom, trzymał buzię na kłódkę. Powierzano mu proste i lekkie więzienne prace, takie jak zmywanie naczyń po posiłkach, sprzątanie czy wynoszenie śmieci.

Ostatni rok był ciężki dla budżetu. Ograniczenia wydatków federalnych i stanowych odczuła niemal każda agencja, także nadzór więziennictwa. Redukowano personel, a tych, którzy sami odchodzili, zastępowano nowymi bardzo powoli. Doskwie-rało to więźniom. Aby rozwiązać problem, Doranowi i reszcie jego ekipy sprzątającej przydzielono nowe obowiązki: obsługę zgniatarki do śmieci. Poprzednio parał się tym ktoś z personelu więzienia. Śmieci zgniatano po pierwsze z powodów ekonomicznych, a po drugie po to, by ktoś, komu przyszloby do głowy ukryć się w worku na śmieci, został najpierw odpowiednio sprasowany.

Pewnego wrześniowego dnia zgnieciono nie wszystkie śmieci. Andy Doran i dwaj inni więźniowie ukryli się w górze odpadków, zostali załadowani na śmieciarkę i wywiezieni przez więzienną bramę na wolność. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin dwóch kompanów Dorana aresztowano na parkingu dla ciężarówek przy autostradzie nr 1-70, gdzie próbowali kupić hot dogi i red bulla, choć ich zdjęcia wyświetlano w te-lewizorze tuż nad ich głowami. Kiedy pojawiła się policja, Andy'ego Dorana jednak z nimi nie było, a uciekinierzy twierdzili, że ostatni raz widzieli go, jak szedł na północ przez błotniste pole kukurydzy.

Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się z Joem, czytając przez kilka godzin setki stron zeznań i kopii ze sprawy Dorana zgromadzonych w archiwum sądu hrabstwa Ashtabula. Podczas gdy ja przeglądałem akta sprawy, Joe wybrał się do biblioteki i wrócił z dziesięcioma kolejnymi artykułami na temat ucieczki Dorana z więzienia i przebiegu bezskutecznej, jak dotąd, obławy.

– Czy rzeczywiście możemy założyć, że kiedy ten facet uciekł z pudła, w głowie było mu tylko wyrównanie rachunków? – spytał Joe.

– Czemu nie? Jeśli odsiedział pięć lat za przestępstwo, którego nie popełnił...

– Równie dobrze mógł zamordować tę dziewczynę. Nie mamy pewności, czy tego nie zrobił, przynajmniej na razie.

– Racja. Ale trzymajmy się naszej hipotezy, że tego nie zrobił i że z jakiegoś nieznanego nam powodu obarczył odpowiedzialnością za to Jeffersona. Pięć lat w pudle to kawał czasu, zwłaszcza za zbrodnię, której się nie popełniło. Wystarczająco dużo, żeby chcieć się zemścić. Czytałeś Hrabiego Monte Christo. Zresztą facet jest teraz zbiegiem. Dokąd może uciec? I za co? Potrzebował pieniędzy,

a Jefferson je miał.

Joe zmarszczył brwi, przeglądał dalej dokumenty i kiwał głową.

– Jefferson nie poszedł z tym na policję. Próbował wynająć Thora, żeby zabił

tego, kto mu groził. Nie wygląda mi to na legalne działanie. Więc może mamy rację?

Może musiał skorzystać z pomocy kogoś takiego jak Thor, bo wiedział, że Doran ma w ręku jego i jego syna.

– Zeznania syna Jeffersona brzmią absurdalnie. Dzień po znalezieniu ciała pojawia się z ojcem, żeby zmienić swoją opowieść?

– To słaby punkt i dlatego właśnie Dorana nie skazano by na tej podstawie.

Bielizna tej dziewczyny...

– Bez trudu można było ją podzucić.

– Owszem, ale i tak była bardziej przekonującym dowodem niż to, co mówił

młody Jefferson. Tyle że pewnie wskazał w ten sposób policji Dorana. Od tego się zaczęło.

– Ta wzmianka o czasie... to wszystko jest zbyt oczywiste. Twierdził, że płacił za to przez pięć lat... i tuż po ucieczce z pudła zaczyna ścigać Jeffersona i jego syna. Dokładnie tyle samo czasu minęło, od kiedy Alex i Matt oddalili się od siebie. Założę się, że Jefferson wyciągnął syna z kłopotów, a potem się od niego odciął. Nie chciał, żeby syn morderca zepsuł mu wizerunek, ale nie chciał też go mieć w pobliżu.

– Może masz rację, że to wszystko jest zbyt oczywiste, LP.

– To znaczy?

– Dlaczego Doran wspominałby ci o tym? W ten sposób łatwo można ustalić jego tożsamość. Ktokolwiek, kto wiedział, co się wtedy stało z Mattem Jeffersonem, i spojrzalby na sprawę choćby pobieżnie, jak my, doszedłby do tego samego wniosku.

– A co Doran ma do stracenia? Raczej nic. Kiedy trafi na jakiegoś gliniarza, po prostu wróci do więzienia. Jeśli nawet skieruję uwagę policji na niego, on to oleje. I tak jest już zbiegiem.

Joe zastanowił się nad tym i pokiwał głową.

– Jeżeli to nie jest Doran, to mocno się zdziwię – powiedziałem.

– Chyba muszę się z tobą zgodzić. Ale na razie to tylko domysły. Nie mamy konkretnego powodu, by podejrzewać, że dobrał się do Jeffersona, no, poza tą wzmianką o pięciu latach.

Rozmowę przerwał nam telefon komórkowy – zawibrował mi w kieszeni. Wyją-

łem go, zerknąłem na wyświetlacz i zobaczyłem numer mojej siłowni. Dziwne, bo przecież sala była zamknięta. Odebrałem rozmowę i usłyszałem Grace.

– Lincoln, chyba powinieneś tu przyjechać. Jacyś ludzie chcą się z tobą spotkać.

– Robię teraz coś bardzo ważnego – odparłem, przekonany, że to ludzie z firmy ubezpieczeniowej, a na spotkanie z nimi nie miałem najmniejszej ochoty. – Powiedz im, żeby najpierw się ze mną umówili, a nie wchodzili jak do obory.

– To policja – powiedziała, ścisząc głos.

– Co?

– Stoją przed twoim mieszkaniem i chyba mają nakaz przeszukania.

Rozdział 22

Szybka droga powrotna zajęła nam godzinę, ale kiedy Joe zajeżdżał na parking przed moim domem, policja wciąż czekała. Zobaczyłem crown victorię Targenta i dwa radiowozy. Drzwi na klatkę schodową były otwarte. Kiedy wściekły wysiadałem z samochodu, ukazał się w nich Targent. W rękę trzymał nakaz.

– Ten świstek jest gównem wart – powiedziałem, kiedy podał mi kartkę.

– Sędzia był innego zdania.

– Sędzia tego pożałuje, kiedy każe mojemu prawnikowi skopać wam tyłki za bezpodstawny nakaz. Targent, nie macie cienia dowodu, który świadczyłby przeciw mnie. A najsmutniejsze jest to, że im bardziej robisz mi koło pióra, tym mniej posuwasz się naprzód w tej sprawie.

– W takim razie niech pan ściągnie prawnika. A co do rzekomego braku dowodów to porozmawiamy o tym za chwilę, Perry. Tymczasem, póki nie skończymy, proszę nam nie przeszkadzać.

Odwrócił się i wszedł po schodach. Grace stała w otwartych drzwiach kantorka i obserwowała to wszystko z niepokojem.

– Przyjechałam, żeby pomóc w sprzątaniu – wyjaśniła. – Powiedzieli mi, że albo otworzę drzwi, albo je wyważą. Nie chciałam, żeby wyważali...

– W porządku, Grace. Nic się nie stało. Postąpiłaś słusznie.

Mówiłem spokojnym głosem, ale nie potrafiłem ukryć gniewu. Ruszyłem po schodach na górę. Targent rozmawiał ze swoją ekipą, wydawał polecenia, nie mogłem jednak skupić się na tym, co mówi. Kiedy człowiek dostaje nakaz przeszukania, ma dojmujące poczucie naruszenia własnej prywatności i gwałtu. Trzeba otworzyć drzwi policjantom, którzy mają za zadanie znaleźć w twoim

domu obciążające dowody. Kiedy byłem policjantem, często wpadałem do kogoś z nakazem przeszukania, lecz nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Teraz patrzyłem na to z zupełnie innej perspektywy.

Dali i dwóch funkcjonariuszy, których nie znałem, zdejmowali książki z półek i otwierali szuflady. Targent stał przy drzwiach.

– Usiądźmy i porozmawiajmy o tym, dlaczego tu przyszliśmy – powiedział do mnie. – A chłopcy niech sobie pracują.

Pokręciłem głową.

– Wykluczone, Targent. Myślisz, że nie będę patrzył twoim ludziom na ręce?

Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle pod poduszką znaleźli zakrwawiony nóż, wystarczy, żebym się tylko odwrócił.

Skrzywił się, ale nie protestował. Nie odstępowałem policjantów nawet na krok, chodziłem za nimi po całym mieszkaniu, zaciskając i rozprostowując dłonie. Prowadzili przeszukanie bardzo profesjonalnie, sprawdzali wszystko dokładnie i odkładali starannie na miejsce. Jeden z młodszych znalazł moją broń w drugiej sypialni i pokazał

Targentowi z pytającym spojrzeniem, ale zareagowałem natychmiast, zanim ten się odezwał.

– Nigdzie tego nie zabierzecie. Nakaz dotyczy śledztwa w sprawie morderstwa Aleksa Jeffersona, a on nie został zastrzelony. Odłóż broń.

Targent nie wydał chłopakowi innego polecenia, więc posłuchał i szukał dalej.

Pod szufladą z bronią w szafie drugiej sypialni znaleźli metalową kasetkę, ognioodporny schowek na ważne dokumenty. Młody funkcjonariusz wyciągnął ją z szafy i otworzył wieko. Wyjął szarą kopertę i wytrząsnął jej zawartość.

Najpierw wypadło małe pudełeczko obite aksamitem. Otworzył je i znalazł w środku pierścionek zaręczynowy. Karen odesłała mi go pocztą wkrótce po tym, gdy dałem w nos Aleksowi Jeffersonowi. Wyrzuciłem dołączony liścik, ale pierścionek zachowałem. Pogodziłem się z kosztami, bo jakoś nie mogłem się przemóc, żeby pójść do jubilera i poprosić o zwrot pieniędzy, narażając się na pełne współczucia spojrzenia ekspedientów. Poza pudełkiem z pierścionkiem w kopercie były jeszcze notatki, listy i fotografie. Targent przyjrzał się zdjęciu Karen na balkonie mojego starego mieszkania. Roześmiana, ze spiętymi do tyłu blond włosami, w okularach przeciwsłonecznych, stała z puszką piwa w ręku. W pół sekundy, ot rzut oka na zdjęcie, przypomnia-

łem sobie, że wróciliśmy wtedy z pikniku nad jeziorem w parku Edgewater. Miała wówczas psa, starego grubego labradora, który laź za nami ze dwieście metrów, aż w końcu się poddał – sapnął, padł na ziemię i przewrócił się na plecy.

Targent spojrzał na mnie pytająco.

– Wygląda znajomo.

– W rzeczy samej.

– Ciekawe, że trzyma pan to wszystko. – Przerzucił zdjęcia, postukał w pudełko.

– Targent, byłem zaręczony z tą kobietą. Zachowałem kilka rzeczy, które to po-twierdzają. Ale to nie znaczy, że mam coś na sumieniu.

Patrzyłem na coś, co Targent zostawił na podłodze. Był to list nadany w Bostonie. Wyjechała tylko na tydzień, a mnie się wydawało, że to cała wieczność. Podniosłem kopertę z dywanu, otworzyłem ją i wyciągnąłem kartkę. Przeczytałem liścik pe-

łen miłych słówek i obietnic, które wkrótce miały zostać złamane. Nadawcą była Karen Grayson. Grayson. To nazwisko do niej w ogóle teraz nie pasowało. Ona chyba też tak uważała.

– Często wyciąga pan to pudełko? – zapytał Targent. – Przegląda zdjęcia, rozmyśla o tym, co stracił?

– Nie otworzyłem tego pudełka od dnia, kiedy wrzuciłem tam to wszystko. Nie podniecaj się, Targent.

– Większość mężczyzn spaliłaby te śmiecie.

– Większość mężczyzn to idioci.

Przeszukanie trwało długo. Nie patrzyłem na zegarek, więc nie mogłem stwierdzić, ile dokładnie im to zajęło, ale przeszukali całe mieszkanie centymetr po centymetrze i miałem wrażenie, że nigdy nie skończą przeglądać papierów na moim biurku.

Nikt nie krzyknął „aha!“ i nie podniósł triumfalnie żelaznego dowodu. Wiedziałem, że tak będzie, lecz nie potrafiłem wyzbyć się strachu, że może tak się stać. Facet, który zabił Jeffersona, wyglądał na profesjonalistę – bez trudu mógł pokonać kilka prostych zaników i podrzucić coś w moim mieszkaniu. Nic jednak nie znaleźli i kiedy ekipa wró-

ciła do salonu, znów zacząłem ochrzaniać Targenta. Nie zwracał na mnie uwagi; powiedział dwóm młodszym funkcjonariuszom, że już ich nie potrzebuje. Zostaliśmy tylko ja, on i Daly. Daly usiadł przy stole w kuchni, a Targent odsunął krzesło i gestem pokazał mi, żebym też usiadł.

– Niczego nie znaleźliście. Więc po jaką cholerę tkwicie u mnie w domu? Mam was dość i jeśli sądzisz, że będę z wami rozmawiał, to chyba ci odbiło. Jutro pewnie znów przylezicie, twierdząc, że przyznałem się do zabójstwa Jeffersona i do tuzina innych. Mam wrażenie, że macie mnóstwo niezamkniętych spraw.

Daly poczerwieniał na te słowa, ale Targent najwyraźniej się nimi nie przejął.

– Jak uważnie przeczytał pan ten nakaz? – zapytał.

– A co? Wydrukowałeś go sobie na domowej drukarce? Wcale bym się nie zdziwił.

– Powinien pan mu się dokładniej przyjrzeć. Zauważyłby pan, że nakaz wydano w związku z prośbą policji stanu Indiana.

– Czyżbym widział w tym rękę mojego starego druha Brewera?

– Otóż to.

– W takim razie w Indianie nakaz można dostać z byle powodu, bo Brewer nie ma żadnego, żeby przeszukiwać mój dom, zresztą wy również nie.

– Nie? – Targent pochylił się i oparł rękoma o blat stołu. – Brewer nie uzyskał

nakazu wczoraj, gdy aresztował pańskiego koleśa detektywa, ale dziś rano, kiedy potwierdził coś, co uważam za bardzo interesujące. Pamięta pan owe dziesięć tysięcy dolarów, które rzekomo wysłał pan temu detektywowi? Dwie obanderolowane paczki po pięć tysięcy w pięćdziesięciodolarowych banknotach. Dziś rano Brewer dostał potwierdzenie od banku z Cleveland, że banderole na tych paczkach są identyczne z ty-mi, jakich używa się w tym banku. A co to za bank? Cuyahoga Valley Credit Union, z którego Alex Jefferson wypłacił pięćdziesiąt tysięcy dolarów na tydzień przed śmiercią.

Stanął nade mną i patrzył na mnie z góry, a ja znów poczułem w gardle to źdźbło trawy, które teraz dotarło aż do żołądka i zaczęło rozrastać się niczym wielkie zimne zielsko w całej mojej piersi.

– Co więcej – ciągnął Targent. – Jefferson wypłacił pieniądze w paczkach, w pięćdziesięciodolarowych banknotach.

Rozdział 23

– Wciąż nie mają twardych dowodów, które łączyłyby cię z tymi pieniędzmi –

uspokajał Joe. – I to dobra wiadomość. Nie muszą wierzyć, że ktoś się pod ciebie podszywał, ale będą musieli udowodnić, że tak nie było.

Staliśmy na schodach przed moim domem. Targent i Daly już sobie pojechali.

– Tak? Jak sądzisz, ile poszlak trzeba, żeby zdobyć nakaz aresztowania?

Nie odpowiedział.

– Myślałem, że wczoraj w nocy ten anonimowy ktoś mi pomógł – powiedział-

łem. – Kiedy ostrzelał mi siłownię, myślałem, że naprawdę mi pomógł. Nawet Targent powinien uwierzyć, że tego nie wymyśliłem. Ale najwyraźniej stało się inaczej.

Joe pokręcił głową.

– Owszem, i nic w tym dziwnego. Targent naciskał cię już wczoraj, a przynajmniej robił to Brewer, arestując tego detektywa w Indianie. Gdybyś kłamał i chciał go przekonać, potrzebowałbyś efektownego dowodu. Facet ładujący serię z automatu w swój własny dom to nie taki zły pomysł.

– Absurdalne.

– Naprawdę? Telefon w sprawie pieniędzy Karen zadzwonił wtedy, kiedy ostrzelano siłownię, a ty tam właśnie byłeś. W porządku. Ale na miejscu Targenta, gdybym spojrzał na to z boku, zobaczyłbym tylko nadmiar starań, by udowodnić, że nie masz nic wspólnego z tymi ludźmi. I w jednym przyznaję rację Targentowi: dlaczego ci ludzie kontaktują się z Karen za twoim pośrednictwem? To nielogiczne. Chyba że chodzi im tylko o to, żeby wciągnąć cię w tę intrygę.

– Doran, jeśli to w ogóle Doran, powiedział mi, że miał współnika, który chciał

mnie wyeliminować. Dał mi szansę, żebym się wycofał, a ja go zignorowałem. Może więc to zemsta? Nie skorzystałem z tej szansy, a oni teraz staną na głowie, żeby mnie w to wciągnąć po uszy.

– Mówiłeś Targentowi o Doranie?

– Jeszcze nie.

– Może to i lepiej. Musimy znaleźć jakiś bezpośredni związek między nim a Jeffersonem. Targent nie będzie zachwycony tym, co wiemy teraz, bo wszystko opiera się na słowach, które usłyszałeś od tego faceta, a których nie słyszał nikt inny.

Siedziałem na schodach, w końcu jednak wstałem. Z siedzenia nic nie wyniknie.

Kręcili się wokół mnie Targent i Brewer oraz ludzie, których nazwisk nie znałem, a o ich rolach nie miałem zielonego pojęcia, osaczali mnie, zarzucali sieci i zastawiali pu-

łapki, a ja siedziałem beczynnie. Siedziałem na dupie i czekałem, aż zrobią swoje.

– Musimy ruszyć z miejsca, Joe. Ta sprawa w Indianie... a jeśli to nie koniec? Nie ma powodu spodziewać się, że to koniec. Skoro posuwają się do takich rzeczy jak szczucie na mnie policji, to dlaczego mieliby na tym poprzestać? Jeśli nadal będą ro-bić ze mnie podejrzanego, to, do cholery, muszę znaleźć dla gliniarzy jakiegoś innego delikwenta.

Pokiwał głową.

– Wracamy do sprawy Dorana. Coś musi się wyjaśnić. A jeśli się wyjaśni, prze-konamy Targenta, żeby potraktował to poważnie.

– A jeżeli nie?

– Wtedy dopilnuję, żeby w pierdłu nie brakowało ci kasy na fajki.

Całkiem zgrabna próba żartu, ale żaden z nas się nie roześmiał.

Donny Ward mieszkał niecałe dziesięć kilometrów od wytwórni wina, gdzie zginęła Monica Heath. Dach jego domu się zapadł, fundamenty osiadły. Po podwórku, w trawie wysokiej prawie na metr, biegały cztery psy. Ze starej beczki unosiła się cienka smużka dymu. Sądząc po jej zapachu, odbywała się tam legalna, ekologiczna operacja palenia śmieci. Joe zapukał do drzwi wejściowych, nie zważając na jednego z psów, wilczura z poszarpanymi uszami, który na niego warczał.

– Dobry piesek – powiedziałem, a on wyszczerzył kły i kłapnął szczęką.

– Zwierzęta cię lubią – zauważył Joe.

– Chcesz go pogłaskać?

Nikt nie otworzył drzwi, wokół panowała cisza, przerywana tylko warkotem psa.

– Możemy poczekać albo wpaść tu później – stwierdził Joe.

– Wolę to drugie. – Obserwowałem wilczura – zbierał się na odwagę, żeby podejść bliżej do werandy.

Ledwie odwróciliśmy się od drzwi, kiedy na drodze prowadzącej do domu pojawił się pikap. Z rury wydechowej buchały kłęby czarnego dymu; unosił się nad starą paką która nie pasowała kolorem do niebieskiego lakieru reszty samochodu. Kierowca zaparkował tuż za wozem Joego. Psy zaczęły kręcić się wokół pikapa i machać ogonami z radości.

– To Donny? – odezwał się Joe.

– Prawdopodobnie.

Czekaliśmy na werandzie. Kierowca wysiadł z pikapa i pogłaskał zwierzaki. Był

szczupłym, muskularnym mężczyzną. Miał na sobie koszulkę bez rękawów, choć temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni powyżej zera. Na głowie nosił czapkę dru-

żyny Indians, spod której wystawały kosmyki ciemnych włosów. Kiedy pobawił się już z psami, wyprostował się, poprawił czapkę i spojrzał na nas, mrużąc oczy.

– Pan Ward? – zapytałem.

– Aha. – Wolno podszedł do werandy. – Panowie w sprawie psów?

– Nie.

– To dobrze.

Wyjął klucz i otworzył drzwi.

– Ta dziewczyna, co mieszka kawałek dalej, ciągle wydzwaniała do władz hrabstwa i mówi, że trzymam

dzikie psy. Bzdura. Wysterylizowałem je. No, właściwie jednego, bo to suka. Ale są zadbane, zaszczepione. Mam tu trochę ponad dwa hektary ziemi i prędzej wyciągnę nogi, niż zamknę te psiaki w budach. Widzieliście kiedyś psa w budzie? Jego pysk? Serce się człowiekowi kraje.

Weszliśmy do domu. Nie zapytał, jak się nazywamy, wszedł do domu, nie przestając monologować, a my za nim.

– Serce się kraje – powtórzył i rzucił klucze na stojak lampy koło drzwi.

W środku dom nie wyglądał tak źle, jak na zewnątrz. Wprawdzie kanapa miała jedną poręcz oklejoną taśmą – pewnie żeby nie wylaziła gąbka – a na suficie widniały zacieki, ale ogólnie było dość czysto. Na blacie w kuchni zauważyłem szybkowar i robot do pieczenia chleba, choć spodziewałem się raczej piramidy pustych puszek po piwie. Na ścianie wisiały oprawione fotografie sześciu- czy siedmioletniej puciołowatej dziewczynki bez kilku zębów. Najwyraźniej życie Donny'ego było bogatsze, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

– No nic – powiedział i wreszcie skoncentrował się na nas. – Co panów do mnie sprowadza?

– Jesteśmy prywatnymi detektywami – wyjaśnił Joe. – Z Cleveland.

Donny uśmiechnął się dobrodusznie.

– Detektywi, proszę, proszę, robi się ciekawie.

– Uhm. Przykro nam, że wpadamy tak bez zapowiedzi, ale mamy kilka naprawdę ważnych pytań. Chodzi o niejakiego Andy'ego Dorana.

Donny nie przestawał się uśmiechać. Spojrzał jednak na zamknięte drzwi i wy-puścił powietrze, nie otwierając ust. Spoważniał.

– Pamięta pan Dorana? – zapytał Joe.

– Chłopaki. – Donny cofnął się kilka kroków w stronę salonu. – Naprawdę chciałbym wam pomóc. Wierście mi. Ale nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

– Nam temat wydał się bardzo ciekawy – wtrąciłem się. – Doran oświadczył, że może pan potwierdzić jego niezbite alibi, tymczasem nawet się wtedy nie spotkaliście.

Nie byliście dobrymi znajomymi. Rozumie pan może, o co mu, u diabła, chodziło?

Donny pokręcił głową.

– Nie, absolutnie nie. Mówiłem, nie mam nic do powiedzenia.

– Wie pan, że Doran uciekł?

Patrzył na mnie długo, oblizał wargi i kiwnął głową.

– Tak.

– Zdaje mi się, że istnieje tylko jedno wiarygodne wyjaśnienie. Albo powiedział

pan policji prawdę, a Doran to głupek, który nie potrafił znaleźć sobie alibi, albo okłamał pan policję. Jeśli prawdziwa jest ta druga hipoteza, to niewykluczone, że stary Andy zechce pana odwiedzić. Nie sądzi pan?

Donny podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je i gestem ręki nas wyprosił.

Nie ruszyliśmy się.

– Rozmawiałem z nim, Donny – nie ustępowałem. – I niewykluczone, że jeszcze porozmawiam. I wierz mi: jest wkurzony. Powiedział mi, że odsiedział pięć lat za morderstwo, które popełnił ktoś inny. Wiesz, co się stało z człowiekiem, który się do tego przyczynił? Zginął, Donny. Po długich torturach.

Zdjął czapkę i trzymał ją w rękach. Wyginał daszek, patrząc na uśmiechniętą drużynę Indians, jakby szukał w niej oparcia.

– Muszę podjąć decyzję – ciągnąłem. – Zdecydować, czy uwierzyć, że ktoś wrobił Dorana. Jeśli tak, to ty, Donny, musisz być kłamczuchem. Chcę wiedzieć, dlaczego. I tyle. Bo nie wydaje mi się, żeby to była twoja sprawka, że to ty wprawileś tę maszynę w ruch. Ale możesz mi pomóc zrozumieć, kto to zrobił.

– Nie mam wam nic do powiedzenia.

– Donny, ponad pięćdziesiąt ran. Brzytwą. Na całym ciele. Takiego bólu nie potrafisz sobie wyobrazić. Tak właśnie skończył facet, którego Doran obwiniął o swoją odsiadkę.

Wciąż wpatrywał się w czapkę.

– Sukinsyn zastrzelił mi psa.

Spojrzałem na Joego, a potem znów na Warda.

– Doran?

Pokręcił głową włożył czapkę na głowę i piętą zatrzasnął drzwi.

– Nie. Ten facet, którego do mnie wysłali. Wtedy nie wiedziałem nawet, że An-dy'ego aresztowano. Policja do mnie się jeszcze nie zgłosiła. Pierwszy dotarł ten facet.

– Kto to taki? – zapytał Joe.

– A skąd ja mogę wiedzieć. Nie wymieniliśmy się wizytówkami.

– Nie wiesz, kto go przysłał?

Znów pokręcił głową, wszedł do salonu i usiadł na kanapie przy poręczy oklejonej taśmą.

– Przyjechał z samego rana. Niezbyt wielki, śniady, może Włoch? Ale był silny.

Silniejszy niż byk. Wysiadł z samochodu i podszedł do werandy. Wpuściłem go do domu. Powiedział mi, że policja przyjedzie pytać mnie o Andy'ego. Kazał mi upierać się, że się z Andym nie widziałem. Dla mojego dobra, bo wiecie, nie będę musiał łązić po sądach i tak dalej. Odwarknąłem, że chyba mu odbiło, przecież nie będę kłamał, bo człowiek może trafić przeze mnie za kratki. Wtedy z torby zaczął wyciągać gotówkę. Nie wiem ile. Wydawało mi się, że nigdy nie skończy. Położył tę całą forszę o tu, na stole, i zapytał: „Jesteś pewien?”

Joe i ja wciąż staliśmy, ale Donny Ward wyglądał, jakby zupełnie o nas zapomniał. Bezwiednie szarpał taśmę palcami, ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Wtedy mu powiedziałem, żeby spadał: „Wynoś się stąd, wsiadaj w swoją brykę i won do piekła“. Bo nie miałem zamiaru posłać człowieka do pierdła za garść dolarów, sami rozumiecie. Najmniejszego zamiaru. A ten facet zebrał pieniądze, wrzucił

je z powrotem do torby, z takim ironicznym uśmieszkiem, i wyciągnął pistolet. Przyło-

żył mi lufę do oka i chwycił mnie za jaja. Znać takie powiedzonko: trzymać kogoś za jaja. A ten sukinsyn naprawdę to zrobił. Ścisnął moje klejnoty tak, że myślałem, że zaraz kojfnę. Dech mi zaparło. A on ścisnął, wbijał mi pistolet w oko... i pytał... pytał, jak bardzo kocham córkę.

Donny podniósł głowę po raz pierwszy, od kiedy zaczął mówić. Tylko na chwilę. Nie spojrzał na żadnego z nas, ale gdzieś dalej, na ścianę ze zdjęciami małej, szczerbatej dziewczynki.

– Mam córkę, ale nie mieszka ze mną. Ma na imię... no, nieważne. To moja córeczka, sami rozumiecie. Moja córeczka. A on powiedział...

Przerwał, otarł łzę z kącika oka i odwrócił wzrok. Zacisnął mocno rękę na ta-

śmie wokół poręczy. Oderwał kawałek i miętosił go w palcach pobrudzonych klejem.

– Miałem wielkiego starego wyzła, najlepszego psa pod słońcem. Kiedy ten facet mnie puścił, wziął torbę, otworzył drzwi i wyszedł na werandę. Otis stał przed domem i czekał na mnie jak zawsze. Kiedy usłyszał, że otwierają się drzwi, podbiegł. A ten typ go zastrzelił. Strzelił mu prosto w środek głowy. A potem odwrócił się do mnie, jakby nic się nie stało, i powiedział: „Pomyśl o córce, Donny“. I poszedł do samochodu. Ale zanim wsiadł, krzyknął do mnie: „Lepiej sprzątnij tego psa, zanim przyjedzie policja“.

Głos mu się załamał i przestał mówić. Długą chwilę siedział i szarpał taśmę. Joe i ja nie przerywaliśmy milczenia. Nie patrzyliśmy na siebie.

– Znajdziemy tego faceta, Donny – odezwałem się w końcu.

– Na waszym miejscu bym nie próbował.

– Mimo wszystko spróbujemy. A jeśli znów spotkam się z Doranem i będę mógł z nim pogadać, powiem mu, że nie miałeś z tym nic wspólnego.

Donny chrząknął.

– On już o tym wie.

– Co?

– Zrobiłem to, co zrobiłem, bo się bałem. Bałem się o córkę. Ale nie było mi łatwo. Widziałem, jak Andy idzie do więzienia, i wiedziałem, że to nie on zabił tę dziewczynę. To mi nie dawało spokoju. Wciąż się gryzłem, choć mijały lata. Jakiś czas temu matka mojej córki się wyprowadziła. Wyjechała ze stanu, wzięła ślub z innym... Jest dobry dla mojej córki. Nie wiem, może wydawało mi się, że w ten sposób będzie bez-pieczniejsza. Nie zamierzam iść na policję i opowiedzieć, co się stało. Mówię wyraźnie, jak przyjedziecie tu z gliniarzami, wszystkiego się wyprę.

Spojrzał na nas tak, jakby rzucał nam wyzwanie, ale ja i Joe milczeliśmy. Ciągnął

więc dalej:

– Czas mijał, a ja ciągle myślałem o Andym i... czułem, że muszę mu coś powiedzieć. Żeby mnie zrozumiał? Oczywiście nie mógł mnie zrozumieć, przecież siedział w więzieniu. Ale postanowiłem spróbować. Kupiłem kartę pocztową i napisałem do niego parę słów, że zrobiłem to, bo grozili mojej córce. Nie podpisałem się, uzna-

łem, że i tak się domyśli, od kogo ta kartka.

Popatrzyłem na niego i pomyślałem o Aleksie Jeffersonie, o tym, jak okrutnie go torturowano.

– Coś mi się zdaje, że miałeś cholernie dobry pomysł z tą kartką, Donny – powiedziałem.

Rozdział 24

Było już ciemno, gdy opuściliśmy dom Donny'ego Warda w lesie. Kiedy szliśmy do samochodu, psy krążyły wokół nas. Dwa zachowywały się przyjaźnie, ale trzeci, wilczur, trzymał się z daleka i warczał, póki Joe nie włączył silnika. Zastanawiałem się, ile lat ma ten pies i czy był przy tym, jak Donny'ego odwiedził uzbrojony mężczyzna z torbą pełną pieniędzy. Czy pies może coś takiego pamiętać? Czemu nie.

Samochód Joego podskakiwał na wyboistym trakcie, a kiedy wyjechaliśmy na główną drogę, dom Donny'ego Warda zniknął nam z oczu w kilka sekund. Zaczęło padać, deszcz nie bębnił o karoserię, ale zalewał szybę cienką warstwą wody, której wycieraczki nie nadążały usuwać.

– Musimy o tym powiedzieć Targentowi – odezwał się Joe. – Nie wierzę, że Donny będzie taki twardy, że wszystkiemu zaprzeczy. Przy nas pękł dość szybko, pewnie dlatego, że od dawna pękał każdego dnia po trochu. Opowie glinom o całej sprawie.

– Prawdopodobnie tak, to jednak jeszcze nie dowodzi związku między Doranem i Jeffersonem. Zeznanie Donny'ego nie wystarczy.

– Ale Targent musi się o tym dowiedzieć. To dowód, że Dorana ktoś zrobił.

Ktoś, kto miał mnóstwo forsy na zbyciu.

– Owszem. Musimy jeszcze tylko udowodnić, że to był Jefferson.

Joe rzucił mi twarde spojrzenie.

– I wyłącznie o to teraz chodzi?

– Słyszałeś, co powiedział Ward. O córce, o psie... Jeśli to sprawka Jeffersona, to mam zamiar obwieścić to światu.

– Facet nie żyje.

– Ale żyją ci, którzy powinni się dowiedzieć, co się naprawdę stało.

– Na przykład Karen?

Spojrzałem na niego; prowadził wpatrzony w drogę.

– Tego nie powiedziałem. Myślałem raczej o rodzinie Moniki Heath. O rodzinie Andy'ego Dorana.

Joe zwolnił przed znakiem stopu.

– Z historią Donny'ego jest pewien kłopot.

– Jaki?

– Ten facet, który miał go zastraszyć, przyjechał, zanim pojawiła się policja. Jak ktoś mógł się dowiedzieć, jakie alibi Doran przedstawił gliniarzom?

Cholernie dobre pytanie. Nie odpowiedziałem od razu, rozważając różne możliwości.

– Może maczał w tym palce jakiś gliniarz? Może Jefferson jakiegoś przekupił?

Joe zmarszczył brwi.

– Musiałby przekupić więcej niż jednego, nie sądzisz?

- W tym problem. Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale wierzę Donny'emu Wardowi. Joe, przesłuchałeś w życiu o wiele więcej ludzi niż ja. Twoim zdaniem Donny mówił prawdę?
- Tak. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego ten facet z torbą pieniędzy zapukał do jego drzwi, zanim zjawiała się policja.
- Wrócimy tu jutro. Pogadamy z policją z prokuratorem, z obrońcą Dorana z urzędu.
- A co powiesz Karen dzisiaj wieczorem?

Spojrzałem w okno, na ciemny las przy drodze.

- Nie wiem.

Kiedy przyjechałem ją odwiedzić, był u niej Targent. Idąc do drzwi, położyłem dłoń na masce jego crown victorii. Zimna. Świetnie, to znaczy, że Targent jest z Karen sam na sam już dłuższą chwilę i wkłada jej do głowy rozmaite historie, które mnie oczerniają.

Otworzyła drzwi i ułożyła usta w wymuszonym, nieszczerym uśmiechu. Twarz miała wymizerowaną i napiętą, jak spod dłuta rzeźbiarza, który wracał co noc i doko-nywał delikatnych zmian – tu podkreślał napięcie, tam dodawał zmarszczki niepokoju, które uwidoczniały się rankiem.

- Cześć – powitała mnie. – Detektyw Targent jest w salonie. Nie wiedziałam, że przyjedzie. Powiedziałam mu, że mnie odwiedzisz, i chciał na ciebie zaczekać.

- Świetnie. Tak mi brakowało jego uroku i dowcipu.

Nie odpowiedziała. Poszedłem za nią do salonu.

- Dzięki, że pan do nas wpadł – odezwał się Targent. Siedział na niskiej kamiennej podmurówce przy kominku.

- Mam coś dla ciebie – oznajmiłem. – Podczas gdy ty marnowałeś czas na zdobywanie jakichś durnych nakazów, ja z moim partnerem zrobiliśmy coś pożytecznego.

- O? – Wyraz twarzy mu się nie zmienił. Ale Karen okazała zainteresowanie.

- Słyszeliście kiedyś o jakimś Andym Doranie? – zapytałem. Zwróciłem się do obojga, ale obserwowałem Karen. To nazwisko nic jej nie mówiło.

- Nie – odparł Targent, a ona pokręciła głową.

- Pięć lat temu trafił do więzienia za zamordowanie dziewczyny w Geneva on the Lake. Pierwszym i tak naprawdę jedynym świadkiem, który go zidentyfikował, był

Matt Jefferson. Matt zadzwonił do ojca w noc, kiedy popełniono morderstwo, a potem następnego dnia zgłosił się na policję i zmienił swoje zeznania z poprzedniej no-cy, wskazując jako winnego

Dorana. I Doran został aresztowany; twierdził, że go wrobiono, ale w końcu poszedł na ugodę, przyznał się do winy i dostał dwadzieścia jeden lat.

Targent nie patrzył na mnie. Spuścił głowę i wodził palcem wskazującym po krawędzi kamienia.

– A więc siedzi w mamrze – odezwał się. – Trudno, żeby dokonał tej jatki, prawda?

– Otóż nie siedzi, Targent. Jakiś miesiąc temu dał nogę z więzienia, ukrywając się w śmieciarce. Tak się składa, że było to tuż przed tym, jak Jefferson odebrał pierwszy niepokojący telefon.

Spojrzał na mnie.

– Sugeruje więc pan, że ten facet był tak wkurzony na syna Jeffersona, który go zidentyfikował, że kiedy tylko uciekł z więzienia, zaczął szukać zemsty na nim i na jego ojcu? Perry, niech pan da spokój.

– Może nie wkurzył się z powodu identyfikacji. Może chodziło o coś jeszcze.

– Na przykład o co?

Zerknąłem na Karen.

– Powiedział policji, że go wrobiono.

Widziałem, że jej to się nie podoba. Zrozumiała, dokąd zmierzam, i pokręciła głową.

– Czy przypadkiem nie jest tak, że każdy przestępca twierdzi, że go wrobiono?

– Właśnie – podchwycił Targent.

– Mój partner i ja znaleźliśmy dość szokujący dowód, jak bardzo spreparowano przeciw niemu śledztwo.

Nie postanowiłem jeszcze, czy powiem im o Donnym Wardzie. Głos wewnętrzny mówił mi, że jest na to za wcześnie, ale liczyłem też na choćby minimum zainteresowania ze strony Targenta. A on na razie mnie ignorował.

– Doran powiedział policji, że ma alibi, że cały wieczór spędził u kumpla – cią-

gnąłem. – Kiedy policja przesłuchiwała owego znajomego, ten stwierdził, że nie ma po-jęcia, o czym Doran mówi.

– I pewnie nie miał.

Pokręciłem głową.

– Joe i ja rozmawialiśmy z nim dziś po południu. Wtedy miał sporo powodów, żeby skłamać przed

policjantami, ale to nie znaczy, że to nie było kłamstwo.

Opowiedziałem historię Warda, ale Targent pozostawał niewzruszony. Na jego twarzy malowały się sceptycyzm i wymuszona cierpliwość.

– Jeszcze ci mało, Targent? Nie sądzisz, że przynajmniej warto to sprawdzić?

– Sprawdzę, bo taki mam obowiązek, ale z mojej perspektywy to naciągana bajeczka. Bardzo naciągana. Nawet jeśli wszystko, co pan powiedział, jest prawdą, to nie widzę związku między tą opowieścią a Alekssem Jeffersonem.

– Związek istnieje. Wierz mi, istnieje. Ten facet, który na mnie napadł na ulicy, powiedział, że Jefferson i jego syn...

– Chwileczkę. – Targent podniósł rękę, żeby mi przerwać. – To szalenie fascynująca historia, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale zanim uważnie jej wysłuchamy, muszę wyjaśnić kilka spraw. Co pan przed chwilą powiedział?

Zmarszczyłem czoło.

– Ten facet, który na mnie napadł...

– Nie, wcześniej. Stwierdził pan, że związek istnieje, a potem powiedział pan... – czekał, aż dokończę.

– Wierz mi.

Przytaknął.

– Otóż to. Powiedział pan: „Wierz mi“. Jakby był pan wiarygodnym źródłem informacji w tym śledztwie. Jakby pan mnie nie okłamywał ani teraz, ani wcześniej.

– Zgadza się.

– Dobrze. Zapamiętajmy to oświadczenie i obejrzyjmy sobie film.

– Co?

– Pani Jefferson i ja mieliśmy właśnie obejrzeć film. Cieszę się, że pan obejrzy go razem z nami. Lepiej się nie mogło złożyć.

Karen siedziała na końcu sofy, wciśnięta w kąt, jak najdalej ode mnie i Targenta.

– Rozmawialiśmy z panią Jefferson o wydarzeniach poprzedniej nocy – ciągnął

Targent. – Oboje stwierdziliśmy, że to niezwykle, że ten szantażysta postanowił dzia-

łać przez pana, skoro domaga się pieniędzy od pani Jefferson. Po co miałby napadać na pana, zanim się z nią skontaktował? I po co ostrzeliwać pańską siłownię?

Spojrzałem na Karen i zobaczyłem w jej oczach coś, czego nie rozumiałem.

Przeprasziny czy oskarżenie? Raczej coś pomiędzy. I wtedy do mnie dotarło. Patrzyła na mnie podejrzliwie. Targent dopiął swego. Karen stała się wobec mnie podejrzliwa.

Nie chciała tego, czuła się z tym źle – stąd cień przeprosin w jej spojrzeniu – ale tak właśnie było.

– Karen – odezwałem się. – Dobrze wiesz, że to absurdalne.

– Wiem, że nie masz z tym nic wspólnego. Po prostu jestem skołowana. Nie rozumiem, dlaczego ktoś chce cię w to wszystko wplątać. Ten człowiek w Indianie mó-

wił, że go wynająłeś...

– Powiedział pan jej o tym? – zwróciłem się do Targenta.

– To ważne dla śledztwa. Staram się przekazywać wszystkie informacje na bieżąco.

Pokręciłem głową zniesmaczony.

– Co mogę ci powiedzieć, Karen? Tylko tyle, że to kłamstwo. Na pewno nie wynająłem tego faceta.

– Wierzę ci.

– Wróćmy do filmu – wtrącił się Targent.

– Musisz przynajmniej wysłuchać, co mam do powiedzenia o Doranie. Nie rozumiesz wszystkiego.

– Z całą pewnością. To fascynujące, że tak szybko znalazł pan podejrzanego z urazą wobec zmarłego, i to tuż po tym, gdy poinformowałem pana i panią Jefferson, że Brewer coś tam znalazł u siebie w Indianie. Naprawdę niesamowity zbieg okoliczności, Perry. Tak jak i ta strzelanina w siłowni wczoraj w nocy.

– Targent, widziałeś nagranie. Wiesz, co się stało, i zdajesz sobie sprawę, że to nie jakaś wymyślona maskarada.

Siedział i wpatrywał się we mnie. Po czym zerknął na Karen, jakby chciał się upewnić, że i ona mnie obserwuje.

– Rozmawiałem z panią Jefferson o odciskach palców, jakie znaleźliśmy w samochodzie jej męża. Należących do tego Thora.

Cholera. Jeszcze tego brakowało, żeby Karen dowiedziała się i o tym.

– Dziś znów widziałem się z detektywem Swandersem i z federalnymi z zespołu do spraw przestępczości zorganizowanej – ciągnął. – Niektórzy z nich są panem mocno zdegustowani. Uważają, że zataja pan ważne informacje o Rosjanach. Sądzą, że kiedy tamto się działo, mógł się pan spotkać z samym Dainiusem Belovem. Powiedzieli mi, że ten Thor też pewnie kręcił się w pobliżu. Zdaje się, że to prawa ręka Belova. Zapytałem jednego z ludzi z FBI, jakie jest prawdopodobieństwo, że zna pan Thora. Stwierdził, że dziesięć do jednego.

Karen unikała mojego wzroku. Obserwowała Targenta i nie odwracała się w moją stronę.

– Chce pan opowiedzieć pani Jefferson, jak zawarł pan znajomość z Thorem?

– Już mówiłem, nie znam człowieka.

Targent wziął do ręki pilot od wielkiego plazmowego telewizora, który stał

obok niego. Włączył odbiornik i nacisnął kilka guzików na pilocie. Na ekranie pojawił

się ziarnisty czarnobiałny obraz mojej siłowni, obraz pochodził z moich własnych kamer. Ukazywał frontową część sali. Stałem przy wybitym oknie ze sztangą w rękach –

a przede mną Thor.

– Może nam pan wyjaśnić, kim jest ten dżentelmen? – zapytał Targent.

Teraz to ja nie mogłem spojrzeć na Karen.

– Wiesz dobrze, kto to.

– Właśnie. Pan też wie, Perry. Siedzimy i patrzymy na dowód, że mnie pan okłamał. Pamięta pan, co mi pan powiedział dziś po południu, kiedy przeszukiwaliśmy pańskie mieszkanie? Że muszę udowodnić, że pan kłamie. Proszę bardzo. A skoro mnie pan okłamuje, zataja pan informacje istotne dla śledztwa w sprawie zabójstwa, co już można uznać za przestępstwo. Skłamał pan wczoraj, kiedy zapytałem pana o tego człowieka, dziś skłamał pan ponownie, pół minuty temu, i to przed własną klientką.

– Skąd masz tę taśmę, Targent. Nie dawałem...

– Postawiłem dziś przed pańską siłownią funkcjonariusza, dla pana bezpieczeń-

stwa. Wie pan, czasami sprawcy lubią wracać na miejsce zbrodni i sprawdzać, jak po-szło. Pomyślałem, że może nam się poszczęści. I się poszczęściło. Nie spodziewałem się tylko, że sprawy przybiorą taki obrót.

– Twój policjant nie nagrał tej taśmy. Nagranie pochodzi z mojej kamery. To dowód zdobyty nielegalnie.

– Ależ oczywiście, że legalnie. Zgodził się pan na wydanie taśmy i mam na to świadków: pięciu funkcjonariuszy.

– Chodziło o nagranie z nocy.

– Naprawdę? Przepraszam, zapomniałem. Zadzwoiłem do kierowniczkę siłowni i powiedziałem, że chciałem zwrócić taśmę i wziąć inną. Uznaliśmy oboje, że lepiej nie zawracać panu głowy. W końcu miał pan ciężką noc... Proszę mi powiedzieć, po co Thor pana odwiedził.

– Wpadł, żeby zapisać się do klubu. Powiedział, że chce odzyskać formę.

Targent nie przejawiał żadnych emocji, ale Karen poczerwieniała z gniewu. Patrzyłem na nią i czułem, że napinają mi się mięśnie ramion, a kark płonie. Szczerść to dla mnie ważna sprawa, ciężko mi więc było siedzieć przed Karen i kłamać w żywe oczy. Mogłem im powiedzieć, po co przyszedł Thor i jaką informację mi przekazał, ale tego nie zrobiłem. Nawet gdybym uznał, że to, iż Thor uratował mi kiedyś życie, to za mało, żeby zachować milczenie, byłbym idiotą, gdybym zaczął mówić. Wysłać Targenta do Thora ze szczegółami naszej rozmowy w siłowni? Równie dobrze mógłbym już szukać nagrobka.

– Nie zabiłem Aleksa Jeffersona – oświadczyłem. – Nie wynająłem też nikogo, żeby to zrobił. Cała reszta to nieistotne bzdury niemające związku ze sprawą. Ale jeśli ktoś chce uderzyć psa, zawsze znajdzie kij.

– Mądrze powiedziane – przyznał Targent. – Cóż, chciałbym, żeby mi pan coś wyjaśnił. Dlaczego ten ktoś pana dręczy? Dlaczego syn Jeffersona czekał na pana, nim pociągnął za spust? Jak w to wszystko jest zamieszany Thor i dlaczego kłamie pan w związku z nim? Może mi pan odpowiedzieć chociaż na jedno z tych pytań, Perry? Tylko o to proszę. O jedną szczerą odpowiedź.

– Targent, to jakiś absurd. Naprawdę uważasz, że to ja za tym stoję? To Karen zgłosiła się do mnie, żebym odszukał Matta, a nie odwrotnie. Karen poprosiła mnie, żebym jej w tym pomógł. I tyle mam z tym wspólnego.

– To prawda – wtrąciła się Karen.

– Fantastycznie. Ona pana w to wplątała. Co nam to wyjaśnia? Na które pytanie daje odpowiedź?

– To już twoja broszka. Próbuję ci pomóc, ale nie chcesz nawet posłuchać, co mam do powiedzenia o Andym Doranie. Ani trochę nie zastanowiło cię, że ktoś zadzwonił do Jeffersona tuż po jego ucieczce? A może uważasz za bardziej prawdopodobne, że przez ostatnie trzy lata to ja rozpamiętywałem swoją krzywdę i robiłem wszystko, żeby zabić faceta za jakąś drobnostkę?

– Swoją napaść na niego uważa pan za drobnostkę?

– Było, minęło i nie wróci więcej. Przestań w końcu to rozgrzebywać.

– Widziałem pewne rzeczy, które sugerują, że może nic nie minęło, Perry. Ta pańska szuflada z pamiątkami...

– Na Boga, Targent, przechowuję zdjęcia kobiety, z którą byłem zaręczony, a twoim zdaniem to dowód jakiejś obsesji? Chyba zachowałbym się bardziej jak psychotyk, gdybym wszystkiego się pozbył.

– Mój partner przesłuchiwał jednego z kolegów Aleksa Jeffersona. Ten facet powiedział, że Alex widział pana na swoim ślubie. Siedział pan w samochodzie po drugiej stronie ulicy i obserwował ceremonię. Nie mówił o tym pani Jefferson, bo nie chciał psuć tego szczególnego dnia.

Karen popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i współczuciem i odwróciła wzrok.

– To tanie sztuczki, Targent. Obrzucasz mnie gównem w jej obecności.

– Tanie, nie tanie, ale chciałbym, żeby wyjaśnił pan swoją obecność na ślubie.

Według mnie tak robi człowiek, który nie pogodził się ze stratą Perry. Człowiek ogarnięty niezdrową obsesją.

Pokręciłem głową nie patrząc na nich.

– No i? – dociekał Targent. – Może pan to wyjaśnić?

Roześmiałem się ponuro.

– Tak, mogę. Tęskniłem za nią. To chciałeś usłyszeć? To miałem ci powiedzieć, kutafonie? Tęskniłem za nią. Czy to niezdrowe, że tęskni się za kimś, kogo się kocha?

Nie wiem. Ale przez jakiś czas tak się właśnie czułem. Tyle że to już dawno minęło.

– Chyba powinniśmy przestać o tym mówić – powiedziała Karen; litość w jej głosie mnie zraniła.

– W porządku, Karen. Chce mnie przycisnąć i ja to rozumiem. Najsmutniejsze jest to, że wcale ci to nie pomoże.

– A to, że pan pojawia się wszędzie tam, gdzie szukamy tropów, że przeszkadza pan w śledztwie? – zaatakował Targent. – Czy to jej pomoże?

– Nigdzie się nie pojawiam, detektywie. Ktoś próbuje tylko wywołać takie wrażenie i tyle. Ale skoro nie potrafisz rozpoznać, kiedy ktoś mówi prawdę...

– Wie pan co? Dość już na dzisiaj. Miał pan swoje pięć minut, Perry. Proszę wracać do domu.

– Dzięki, ale przyjechałem, żeby zamienić z Karen kilka słów na osobności.

– Zrobi pan to później. Nie skończyłem jeszcze rozmowy z panią Jefferson, ale z panem, owszem. Proszę się zbierać, Perry. Jeśli pan chce, niech zadzwoni pan do niej później. Ale będę namawiał panią Jefferson, żeby nie odbierała pańskich telefonów.

– W porządku, Lincoln – powiedziała Karen. – Nie wiem, co się dzieje, ale znam cię. Nie przejmuj się tym.

Zostałem wyproszony. Karen i Targent czekali, aż wyjdę. Poszedłem korytarzem do drzwi wyjściowych, a kiedy zamykałem je za sobą, usłyszałem przyciszone głosy dyskutujące o tym, czy jestem potencjalnym mordercą.

Rozdział 25

„Pomyłki zabijają“.

Te słowa na białej tablicy wypisał skrzypiącym markerem stary policjant, który za szybko poruszał ręką i za mocno dociskał pisak.

Tytuł szkolenia brzmiał: Reakcje w sytuacjach krytycznych. Chodziło o sytuacje, kiedy ktoś do nas strzela. Siedziałem w sali wraz z dziesięcioma innymi policjantami i słuchałem instruktora, od blisko trzydziestu lat szkolącego ekipy antyterrorystyczne w całym kraju.

– Pomyłki zabijają – przeczytał na głos i spojrzał na nas. – Musicie wiedzieć, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. W tej sali brzmi to prosto. Ale kiedy będzie ciemno i głośno, a wokół będą świstać kule, nie wyda się wam to już takie proste. Jeśli będziecie dobrze wyszkoleni, odpowiednio przygotowani, dacie sobie radę pod ostrzałem, przeżyjecie, osiągniecie swoje cele. Jeśli nie, to owe kule spowodują przede wszystkim zamieszanie. A zamieszanie, pomyłka, panowie, zabija.

Matt Jefferson wrócił do domu o zachodzie słońca po całym dniu pracy w sadzie. Zaparkował na żwirowym podwórku przy szopie, jak co dzień, a potem poszedł

brukowaną ścieżką do mieszkania. Przed drzwiami stanął jak wryty. Przeczytał kartkę ode mnie. Chce się z nim zobaczyć jakiś człowiek z Cleveland. Sprawy rodzinne. Przyjedzie później.

Kilka krótkich zdań, które dla mnie oznaczały jedno, a dla Matta Jeffersona zupełnie co innego. Kiedy siedziałem w miasteczku w knajpce, jedząc szarlotkę i rozmy-

ślając o Amy, Matt odkleił kartkę i poszedł do siebie na górę. Wziął butelkę whiskey i pistolet, a potem czekał na mnie w altanie.

Urocze miejsce. O zachodzie słońca musiało tam być pięknie. W wodzie odbija-

ły się stonowane kolory pochmurnego dnia, gasły i stawały się czarne, w miarę jak ciemniało niebo i wschodził księżyc. Powoli zjadłem kolację, nie śpieszyłem się też, jadąc potem do sadu. Matt miał czas, żeby sobie posiedzieć. Żeby słuchać wiatru, patrzeć na suche liście spadające na ziemię, smakować whiskey i czuć, jak pali gardło.

Posiedzieć sobie z bronią w ręku, bezpiecznie.

Przyjechałem, a on wiedział, kim jestem. Wiedział, gdy pukałem do jego drzwi i gdy słyszał każdy mój krok na drewnianym pomoście, po którym doszedłem do altany, by stanąć z nim twarzą w twarz.

I bardzo dobrze wiedział, kim jestem, kiedy podniósł pistolet, wepchnął sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

Pomyłki zabijają.

Brewer miał rację, że zarzucał mi morderstwo. W pewnym sensie zabiłem młodego Jeffersona. To mój przyjazd, ja tam w altanie, to, że nie otrząsnąłem się wystarczająco szybko z zaskoczenia i strachu i nie wyjaśniłem, kim jestem – to wszystko sprawiło, że Matt pociągnął za cyngiel.

Jego syn mi uwierzył, mówił kilka dni później ten, kto mnie napadł, uwierzył, że grób wyda mu się upragnionym miejscem.

Święte słowa. Matt Jefferson poszedł do grobu z ulgą, jak do upragnionego miejsca, bo wiedział, że to, co go czeka – to, co ja mogę mu zrobić – jest o wiele gorsze.

Więc kim byłem? Kim byłem w chwili, kiedy mnie rozpoznał, i po diabła w ogóle się tam pojawiłem?

On przynajmniej miał jakiś powód. Ty robisz to tylko z chciwości.

Matt Jefferson myślał, że mnie rozpoznał i że wie, czego szukam. Ta pomyłka go zabiła. W salonie Karen wążek powrócił z jeszcze większą siłą. Targent go wyol-brzymiał, a ktoś – Andy Doran, a może nie – go uwiarygodniał. Wtedy miałem szansę w kilku słowach wyjaśnić sprawę Mattowi Jeffersonowi. Tym razem jednak słowa nie wystarczyły. Tym razem pistolet wciąż był wymierzony we mnie.

Nim wróciłem do siebie, rozejrzałem się po siłowni. Wieczorny obchód wszedł

mi już w krew tak bardzo, że robiłem to odruchowo. Widok plastikowej zasłony na oknie mnie zaskoczył. W ciągu dnia jakoś zapomniałem o zniszczeniach.

W ciągu dnia. Przecież to dziś nad ranem stałem w sali i patrzyłem, jak Thor wchodzi przez okno. Niewiarygodne.

Zamknąłem drzwi do sali – choć nie miało to znaczenia, bo w oknie wybito szybę – i wyszedłem przez kantorek. Lampka automatycznej sekretarki w telefonie na biurku migiała, ale nie zatrzymałem się, żeby odsłuchać wiadomości. Na pewno nagrał

się ktoś z ubezpieczalni z prośbą, bym koniecznie oddzwonił, nie potrafiłem jednak się teraz do tego zmusić. Firma ubezpieczeniowa przecież nie zniknie, podobnie jak szkody w moim domu. Prędeż ja zapadłbym się pod ziemię, zwłaszcza gdyby pojawił

się Targent z kolejnymi rewelacjami.

W mieszkaniu również czekały na mnie wiadomości. Na sekretarkę nagrywali się przeważnie klubowicze. Z niektórymi znałem się na tyle dobrze, że podałem im numer domowy. Teraz dzwonili,

żeby wyrazić niepokój i wypytać o szczegóły. Wykasowałem nagrania i wystukałem numer Amy.

– Czekałam na jakiś znak życia od ciebie – odezwała się. – Nigdy nie umawia-

łam się z tak trudnym facetem. Kto by pomyślał, że będę się zastanawiała, czy mój lu-by w ogóle żyje.

– Przepraszam. Chciałem zadzwonić w ciągu dnia, ale sprawy się trochę po-komplikowały. Zaczęło się od strzelaniny, potem gliniarze przyszli z nakazem przeszukania mojej chałupy, a na koniec wyciągnęli dowód, że znam Thora i wcześniej kłama-

łem – wyrzuciłem z siebie.

– Niedobrze.

– Właśnie. – Oparłem się o ścianę i wypuściłem powietrze. – Damy radę się spotkać?

– Miałam na to nadzieję. Może wpadniesz do mnie? Bez obrazy, ale po ostatniej nocy nie pałam miłością do twojej kamienicy.

– Jedna mała strzelanina i od razu nie podoba ci się okolica?

– Nie gadaj, tylko przyjeżdżaj.

Powitała mnie w drzwiach, bosa, w koszulce o cztery numery za dużej i okularach, których nigdy nie nosiła poza domem. Uwielbiałem ją w okularach.

– Wina? – W rękę trzymała butelkę.

– Zdecydowanie.

Poszliśmy na górę. Nalała czerwonego wina do dwóch kieliszków i podała mi jeden. Usiedliśmy na kanapie w salonie. Upiłem łyk i zamknąłem oczy.

– Długi dzień? – zapytała.

Parsknąłem śmiechem.

– Powiedziałaś coś śmiesznego?

– Tak. Dosłownie kilka minut temu stałem w siłowni i próbowałem sobie przypomnieć, ile dni minęło od tej strzelaniny. Z trudem przekonałem sam siebie, że zdarzyło się to dzisiaj w nocy.

Opowiedziałem jej o Thorze, Donnym Wardzie, prywatnym detektywie z Indiany i kasecie Targenta. Trochę to trwało.

– On to mówi poważnie? – spytała. – Naprawdę uważa cię za podejrzanego?

– Za głównego podejrzanego, Amy. I jeszcze ta historia z Thorem... – Pokręci-

łem głową. – Nie ma co, wpadłem jak śliwka w kompot. Bo na pozór wszystko to się trzyma kupy. Niestety. Jeśli przyjmiemy hipotezę, że zrobił to ktoś, kto chciał się ze-mścić, i wynajęty zabójca, to Thor i ja stanowimy naturalną parę sprawców. A to, że Thor pojawił się dziś w mojej siłowni, tylko pogarsza sprawę. Nie potrafię tego wyja-

śnić.

– Dlaczego?

– Kiedy ktoś taki jak Thor mówi ci, że rozmowa powinna pozostać poufna, to lepiej go posłuchać.

– Ale gdyby to cię oczyściło...

– Nie oczyści. Nie ma dowodu, że to prawda. Targent nie uwierzyłby Thorowi, a ja ściągnąłbym tylko na siebie gniew jednego z najniebezpieczniejszych ludzi w mie-

ście.

– Więc co możesz zrobić?

– To, co powinien robić Targent. Muszę znaleźć prawdziwego podejrzanego.

Jeśli mi się to uda, jeśli przedstawię mocne argumenty, będą musieli ze mnie zejść.

Andy Doran to moja szansa.

Amy milczała. Patrzyłem na nią i myślałem, że przecież to powinien być miły wieczór. Ta chwila z nią na kanapie, rozmowa przy winie dzień po tym, kiedy kochali-

śmy się po raz pierwszy – to wszystko powinno być wyjątkowe, beztrioskie. A tymczasem mówiliśmy o zabójcach i gliniarzach.

– To się musi szybko skończyć – powiedziałem. – Targent zabrnę w ślepą uliczkę. Tak się dzieje zawsze, kiedy idziesz błędnym tropem. W końcu trafiasz na ścianę. Nie ma dowodów, żadnego punktu zaczepienia.

– No to kiedy trafi na tę ścianę?

– Oby jak najszybciej. – Poglaskałem ją po nodze. – Przepraszam, Amy. Powinniśmy rozmawiać o czymś innym. Nie powinnaś była też zrywać się o trzeciej nad ranem i gadać z bandą gliniarzy.

– No tak, niesztampowa pierwsza randka.

– Zawsze staram się zaskakiwać kobiety. Wiesz, chodzi o to, żeby wyróżnić się z tłumu.

– W takim razie misja wykonana.

Nie wiem, kiedy zaczęliśmy mówić coraz wolniej ani też kiedy umilkliśmy.

Wiem tylko, że w pewnej chwili oboje zasnęliśmy na kanapie, a gdy obudziłem się w nocy, ucieszyłem się, bo Amy wciąż przy mnie była.

Po powrocie do domu przebierałem się właśnie i piłem kawę, kiedy zadzwonił

Joe.

– Zamierzasz się dzisiaj pojawić?

– Joe, jest za dziesięć ósma.

– Powinieneś tu przyjść.

– Dlaczego?

– Bo kiedy ty spałeś, ja pracowałem. I nie uwierzysz, czego się dowiedziałem.

Nie uwierzysz.

– Czego znów?

– Pamiętasz nasz problem z opowieścią Donny'ego Warda?

– Jak to się stało, że ten facet dotarł do niego przed policją.

– Właśnie. Zagadka chyba się rozwiązała, LP. Będziesz skakał z radości, jak po-znasz odpowiedź.

– Jak brzmi?

– Przyjdź tu, to ci wyjaśnię.

Kwadrans później wszedłem do biura. Joe siedział za biurkiem i ponuro się uśmiechał.

– Co masz? – zapytałem.

– Gryzłem się tym przez całą noc, LP. Nie łączyło mi się to wszystko w logiczną całość. Bo albo Ward kłamał, albo ten facet chodził za Doranem od tej nocy, kiedy zginęła Monica Heath.

– I to jest to wyjaśnienie?

Pokręcił głową.

– Nie. Wstałem dziś około piątej i jeszcze raz przeczytałem akta sprawy; sprawdzałem, czy czegoś nie przeoczyłem. Dowiedziałem się, że Doran nie chciał zeznawać przed policją i domagał się

adwokata. Dali mu obrońcę z urzędu; rozmawiał z nim, zanim powiedział policji, co robił owej nocy. Jediną osobą, która wiedziała o roli Donny'ego Warda od samego początku, był publiczny obrońca Dorana.

– Więc to on musiał puścić farbę.

– Właśnie. Pomyślałem sobie, że trzeba go odszukać i z nim pogadać. Dowiedziałem się, że nie pracuje już w hrabstwie Ashtabula. Przeniósł się do prywatnej kancelarii. Zgadnij jakiej?

Czekałem, aż sam powie.

– Jefferson, Groff i wspólnicy – oznajmił.

Stałem i patrzyłem, jak twarz rozjaśnia mu uśmiech.

– Poważnie? – upewniałem się.

– Jak najbardziej. Jego nazwisko wymienione jest na stronie internetowej tej kancelarii i w serwisie internetowym palestry.

– Zaczął pracować u Jeffersona. I to jakiś czas po tym, gdy przekonał Andy'ego Dorana, że lepiej pójść na ugodę i nie odwoływać się do sądu w tak ledwie trzymają-

cej się kupy sprawie.

– Tak to wygląda.

– Sukinsyn – zakląłem. – Mamy go. Jefferson ustawił sprawę Dorana od we-wnątrz i od zewnątrz. Zastraszył tego, kto mógł dać alibi, kazał mu milczeć, przekupił

obrońcę.

– To, że gość pracuje dziś w kancelarii Jeffersona, nie znaczy jeszcze, że miał

coś na sumieniu w sprawie Dorana.

– Dobrze wiesz, że coś jest na rzeczy. Ciekawe, ilu prowincjonalnych obrońców z urzędu zatrudniła w ostatnich latach kancelaria Jeffersona?

– Co najmniej jednego.

– Tak. I przypuszczam, że zdobył tę posadę wcale nie dzięki fantastycznemu li-stowi motywacyjnemu.

– Musimy z nim porozmawiać, a to może okazać się niełatwe. Trudno liczyć, żeby był równie bezpośredni jak Donny Ward. Facet jest adwokatem, dobrze wie, czym mu to grozi: utratą prawa do wykonywania zawodu i pewnie więzieniem. Jeśli coś kombinował przy sprawie Dorana, nasza wizyta go przerazi.

– No to wszystkiemu zaprzeczy. I dobrze. Przez to nasz trop z Doranem stanie się bardziej wiarygodny. Nawet Targent będzie musiał się tym zainteresować.

– Dzwoniłem także do prokuratora, który prowadził sprawę Dorana, niejakiego George'a Hillarda. Był podejrzliwy, ale znajdzie dla nas kilka minut dziś przed południem.

– Masz powód, by przypuszczać, że był w to zamieszany, a nie tylko dał się omotać?

– Raczej nie, a nic nie sugeruje, by maczał w tym palce.

Kiwnąłem głową.

– Zapytajmy go też o tego obrońcę. Wybadajmy, co o nim sądzi. Chcę się również dowiedzieć, kiedy zatrudniła go kancelaria Jeffersona. Ile czasu minęło wtedy od sprawy Dorana.

– Karen powinna nam w tym pomóc. Pracowała przecież u Jeffersona. Na pewno może to sprawdzić.

Usiadłem za swoim biurkiem.

– Tak. Dla niej to pewnie kwestia jednego telefonu, a ja musiałbym zdobyć nakaz sądowy. Zresztą i tak muszę z nią pogadać. Wczoraj zostałem wyproszony.

Joe uniósł brwi.

– Przez Karen?

– Przez Targenta. Odtworzył kopię kasety z mojego monitoringu, na której wi-dać Thora.

Joemu zrzęda mina.

– Zrobił to w obecności Karen?

– Tak.

– Bardzo dali ci popalić?

– Kazali mi wyjść, żeby mogli w spokoju dokończyć rozmowę na temat śledztwa. Wątpię, żeby wspomnieli Andy'ego Dorana.

– A więc powiedziałaś o nim Targentowi?

– Szkoda było strzępić język. – Podniosłem słuchawkę. – Zadzwonię do Karen i poproszę, żeby popytała o tego obrońcę. Jak on się nazywa?

– Cole Hamilton.

Odebrała po jednym sygnale. Pewnie cały czas siedziała przy telefonie, czekając na instrukcje dotyczące przelewu. Głos miała spięty i nienaturalny. Nie zmienił się wiele nawet po tym, gdy się

przedstawiłem.

– Wszystko w porządku? Żadnych telefonów, nikt się nie kontaktował?

– Nikt. Cisza.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o to, co wczoraj mówił Targent...

– Lincoln, nie trzeba. Nie musisz nic wyjaśniać.

– Chyba powinienem był ci powiedzieć o pewnych sprawach. Zwłaszcza o Thorze. Mój błąd.

Milczała.

– Joe i ja pracujemy nad tym i złapaliśmy trop. Andy Doran jest coraz bardziej prawdopodobnym podejrzanym, choć Targent nie chce tego przyjąć do wiadomości.

Ale chyba mamy coś, co każe mu zmienić zdanie. Muszę poprosić cię o pomoc. Czy możesz skontaktować się z kancelarią męża i sprawdzić datę angażu jednego z adwokatów?

Odezwała się dopiero po długiej chwili.

– Po co?

– Facet nazywa się Cole Hamilton i może się okazać dla nas bardzo ważny.

– Do czego ci to potrzebne? Czemu jest taki ważny?

– Był obrońcą z urzędu Andy'ego Dorana. Dowiedzieliśmy się, że później zaczął pracować w kancelarii twojego męża.

– I co z tego wynika?

– Karen, powtarzam, to może być ważne. Matt Jefferson był głównym świadkiem, a ten prawnik potem zaczął pracować u twojego męża. Musimy to wszystko po-

łączyć.

– Sugerujesz, że Alex zatrudnił go z powodu tego, co się stało z tym mordercą?

Z Doranem? Sugerujesz, że....

– Że mógł mieć ważne informacje, Karen. Potrzebna mi tylko data jego zatrudnienia.

– Nie. Nie chcę już słuchać twoich hipotez, Lincoln. Mam wrażenie, że oskarżasz Aleksa o coś strasznego.

Zapadła cisza. Minęło dziesięć sekund, może dwadzieścia.

– No więc? – odezwała się.

– Karen, musisz coś zrozumieć. Ten, kto zabił twój męża, miał jakiś powód.

Rozumiesz? Miał powód.

Znów cisza, parę sekund milczenia. Zamknąłem oczy, żałując swoich słów, bo uświadomiłem sobie, jak zapewne je odebrała.

– Wiesz, co mu zrobili? – spytała. – Wiesz, jaki musiał czuć ból? Jak cierpiał? A teraz próbujesz mi wmówić, że to było w jakiś sposób uzasadnione?

– Nie, Karen. Cholera, tego nie powiedziałem i nie o to mi chodziło. To była ohydna, okrutna zbrodnia, ale ten, kto jej dokonał, miał jakiś motyw.

– Nie powinnam była cię prosić o zajęcie się tą sprawą.

– Karen, próbuję ci pomóc. Nic mi do twój męża, chcę tylko dowieść, że...

– Nieprawda. Nienawidziłeś Aleksa. I ja to rozumiem, Lincoln, ale... Powtarzam, nie powinnam była prosić cię, byś zajął się tą sprawą. To moja wina, nie twoja, a teraz uważam, że powinieneś ją zostawić. To nie w porządku. Zwłaszcza że policja uważa cię za podejrzanego...

– Dobrze wiesz, że to bzdura, Karen. Nie udawaj, że nie wiesz.

– Mimo wszystko nie powinieneś brać w tym udziału. To nie fair wobec ciebie i wobec mojego męża. Że też tego nie przewidziałam. Przepraszam, że postawiłam cię w tak niezręcznej sytuacji.

– Pozbywasz się mnie? Chcesz, żebym odpuścił? Karen, jesteśmy już tak blisko prawdy. O niebo bliżej niż Targent. Chyba nie każesz mi się teraz zwijać. Nie teraz, kiedy mam tego gościa prawie na widelcu, a gliniarze całkiem go olewają.

– Detektyw Targent poradzi sobie z tą sprawą. Uważam, że to właśnie on powinien się nią zajmować.

Joe patrzył na mnie; połapał się, że rozmowa przybrała fatalny obrót. Spojrza-

łem na niego, jakbym szukał pomocy, choć on słyszał tylko to, co ja mówiłem.

– Możesz przynajmniej dowiedzieć się, kiedy Cole Hamilton...

– Nie, nie mogę. Nie rozumiesz, co mówię? To się musi skończyć. Musisz sobie dać z tym spokój. I wiesz co jeszcze? Znam Cole'a, to dobry, uczciwy człowiek. Taki sam był mój mąż.

Głos jej się załamał i się rozłączyła.

Rozdział 26

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Joego.

– Właśnie zostaliśmy zwolnieni.

– To pomysł Targenta?

– Na pewno się ucieszy, ale to inicjatywa Karen. Nie przyjęła dobrze sugestii, że ten dupek jej mąż mógł sobie zasłużyć na to, co mu zrobił zabójca.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Co tam, grunt, że mamy właściwego faceta, Joe. Czy to nie powinno być najważniejsze? Nie obchodzi mnie, że ona nie chce słuchać różnych rzeczy o Jeffersonie.

– Ona go kochała, Lincoln. To bez znaczenia, że facet nie żyje. Oburza się, kiedy ktoś zaczyna szargać jego pamięć.

Odepchnąłem się od biurka i pokręciłem głową. Karen wciągnęła mnie w to mimo moich zastrzeżeń, przekonała mnie, żebym podjął się tego zadania, przez co popadłem w konflikt z policją z dwóch stanów. A ja się na to zgodziłem, bo chciałem pomóc. Uważałem, że powinienem. A teraz każe mi się wycofać? Przestać się tak an-gażować? Nie zaangażowałbym się tak, gdyby jakiś drań nie zaczął podawać za mnie i nie wynajął prywatnego detektywa z Indiany. A gdzie była wtedy Karen? Siedziała sobie w swoim luksusowym domu i czekała, że jej pomogę. Korzystała z tej pomocy dość ochoczo do chwili, kiedy zasugerowałem, że jej mąż niekoniecznie musiał być aniołem.

– Szkoda, że nie widzi, jaki był naprawdę – powiedziałem. – Ja widziałem, a Doran ma na pewno jeszcze boleśniejże doświadczenia niż ja. Nie znaczy to, że nie jest wrednym draniem, ale poznał się na Jeffersonie. Karen jest zaślepiona.

– Ona dostrzegała tę stronę, jakiej nie dostrzegałeś ani ty, ani Doran.

– Może widziała fasadę. Nie wierzę, że widziała za nią prawdziwego Jeffersona.

Joe spojrzał na mnie ostro.

– Więc co, twoim zdaniem człowiek nie może mieć wielu twarzy? Jak drań, to już do końca życia?

– Posłał niewinnego człowieka do więzienia. To tylko jedna zła cecha jego cha-rakteru? Drobiazg? Poza tym mógł być bardzo przyzwoity?

– Jeszcze nie znamy wszystkich okoliczności. Jeszcze nie skończyliśmy.

– Według Karen skończyliśmy.

– I co, po prostu rzucisz to, choć gliny siedzą ci na karku?

Nie odpowiedziałem.

– Jesteśmy umówieni na rozmowę z prokuratorem prowadzącym sprawę Dorana – przypomniał Joe.
– Chcesz, żebym ją odwołał, chcesz zaufać Targentowi, że sam to rozwikła?

– O której jest ta rozmowa?

– Za półtorej godziny. Dał do zrozumienia, że ma być krótka.

Wstałem.

– W takim razie trzeba jak najlepiej wykorzystać każdą sekundę.

Prokurator hrabstwa Ashtabula George Hillard nie wyglądał na prawnika, raczej na faceta, który ma hodowlę choinek, a w lecie własnoręcznie robi meble. Niecały metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zwalista góra mięśni. I broda. Nosił garnitur, ale marynarkę powiesił na krześle, a krawat miał zawiązany koszmarnie, jak przez dziesięcio-latka, który dopiero się tego uczył. Joe i ja siedzieliśmy obok siebie na niskich krzesłach. Musieliśmy więc zadzierać głowy, żeby patrzeć na Hillarda, a on górował nad nami. Zastanawiałem się, czy kazał odpiłować krzesłom nogi, by osiągnąć ten efekt.

– Jasne, że pamiętam sprawę Dorana – powiedział, kiedy mnie wysłuchał. –

Pracuję na tym stanowisku już siedem lat i miałem zaledwie pięć spraw o morderstwo.

Tego się nie zapomina.

– Wie pan oczywiście, że Doran uciekł z więzienia? – upewnił się Joe.

– Tak, słyszałem o tym. Ale nikt się do mnie nie zgłosił i właściwie nie wiem, czy to konieczne. Moja wiedza o panu Doranie trąci już myszką. Więc trochę się dziwię, że szukacie u mnie pomocy.

– Czy może nam pan powiedzieć, dlaczego zaproponował pan ugodę? – zapytałem. – Skoro, jak pan mówi, miał pan pięć spraw o morderstwo w ciągu siedmiu lat, to powinien pan chyba z każdej z nich wycisnąć, ile się da.

Hillard rozparł się wygodniej w drewnianym, obrotowym fotelu, który złowiesz-czo pod nim zatrzeszczał. Zauważyłem, że na jednej poręczy jego mebla lakier wydaje się grubszy niż na drugiej. Może Hillard naprawdę sam robił sobie meble? Zmarszczył

brwi, wzruszył ramionami.

– A co mi tam, chyba mogę. Zaproponowałem ugodę, bo nie byłem przekonany, że wyrok skazujący utrzyma się w sądzie apelacyjnym, jeśli w ogóle taki wyrok by zapadł. Ugoda? To lepsze rozwiązanie niż lazić po sądach i wystawiać tyłek na kopniaki.

– Dlaczego uważał pan, że może nie dojść do wyroku skazującego?

– Widzieliście panowie akta sprawy. Sporo tropów, ale po wnikliwym wygła-

dzie, a sąd na pewno by go dokonał, okazało się, że wielu rzeczy nie rozumiemy. To prawda, u Dorana znaleziono majtki dziewczyny, ale nie znaleziono na nich jego DNA.

Słowem, możliwe, że zostały podrzucone. Do tego nasz główny świadek plątał się w zeznaniach.

– Mówi pan, że co innego mówił w nocy policji, a co innego oświadczył następnego dnia?

Hillard powoli kręcił głową, to w lewo, to w prawo, jak niedźwiedź.

– Nie. Choć samo to było już podejrzane, potem, jakoś wczesną jesienią, przysłał mi list z informacją, że w ogóle nie będzie zeznawał. Napisał, że powoła się na piątą poprawkę do konstytucji albo stwierdzi, że nic już nie pamięta, a my będziemy musieli przysłać kogoś, kto go zdyscyplinuje, bo on zamierza ignorować wezwania.

– I nie zapaliły się panu wtedy czerwone światełka? Nie pomyślał pan, że jego zeznanie od początku było diabła warte?

Hillard się skrzywił.

– Jasne, że zacząłem zastanawiać się, o co chodzi. Ale sprawa już się toczyła, znaleźliśmy bieliznę dziewczyny, a Doran nie miał alibi. Nawiasem mówiąc, to niebezpieczny sukinsyn. Wcale nie żałowałem, że go zamykam. I do dziś nie żałuję.

– Nawet jeśli to nie on był sprawcą?

– Jeżeli jej nie zabił, to nie powinien pójść na ugodę. Panowie, przecież to nie ja tę ugodę wymyśliłem. Ja przygotowywałem się do procesu i nie oceniałem źle moich szans. I nagle pewnego dnia do mojego gabinetu wparował adwokat Dorana i przedstawił scenariusz z masturbacją i duszeniem; twierdził, że Doran zabił Monicę, choć tego nie chciał, wszystko przez prochy i cały ten syf, jaki miał w żyłach. Zapytałem, czy to jego linia obrony, a on na to, że chyba tak, jeśli udałoby się uniknąć procesu, na-mówić Dorana do przyznania się do winy, a ja odpuściłbym sobie zarzut morderstwa.

Wtedy uznałem, że to świetna oferta.

Popatrzyłem na Joego, a on pokiwał głową. To było więcej niż potwierdzenie.

Obrońca Dorana, właśnie on, zasugerował ugodę z przyznaniem się do winy, a zatem nie dopuścić, by wątpliwe śledztwo zostało skrupulatnie zweryfikowane i nagłośnione przez media. I teraz ów obrońca żył sobie dostatnio jako pracownik kancelarii Aleksa Jeffersona.

– Czy obrońca Dorana wiedział o liście Matta Jeffersona? – zapytał Joe.

– Nie, a ja nie musiałem mu o tym mówić. Wie pan, mogliśmy wezwać chłopaka, a nawet ściągnąć go siłą. Nie miałem nawet szansy go przekonać, że naprawdę musi pojawić się w sądzie. Przecież sam

nie byłem pewien, że jego zeznania zaginęły.

– Kiedy Matt Jefferson zjawił się na policji, żeby zmienić zeznania, przyszedł z ojcem.

– Pamiętam go.

– I co pan wtedy pomyślał?

– Że ojciec chroni syna, to wszystko. Jedyne problem, jaki miałem z Alekssem Jeffersonem, to jego kontakty z rodziną ofiary.

– Słucham?

– Przekonał rodzinę, że pomaga w śledztwie. Fenton Brooks był właścicielem wytwórni wina, ale miał forsy jak lodu, a Jefferson był jednym z jego prawników. Przekonał Fentona, że należałoby porozmawiać z bliskimi ofiary, sprawdzić, czy nie można im jakoś pomóc w kontaktach z organami ścigania. Na spotkanie wziął ze sobą jednego ze swoich śledczych, jakiegoś byłego gliniarza z Cleveland. Brooks pewnie miał

wyrzuty sumienia, bo dziewczyna zginęła przecież na terenie jego posiadłości, w czasie przyjęcia. Rozmawiałem z nim, powiedziałem mu, że zaangażowanie kogoś z ze-wnątrz może tylko zaszkodzić naszemu śledztwu, zwłaszcza że syn jego prawnika był

głównym świadkiem. Przeprosił. Tłumaczył się, że namówił go do tego Jefferson, by nie płacić odszkodowania.

– A wie pan, że Alex Jefferson został niedawno zamordowany? – spytałem.

Podrapał się po brodzie i popatrzył na mnie, bujając się lekko w fotelu, który skrzypiał i skrzypiał jak stary dąb w czasie wichury.

– Tak, wiem. Sugeruje pan, że to ma związek ze sprawą Dorana?

– Doran uciekł z więzienia, a Jefferson nie żyje, panie Hillard. Daje to do myślenia, prawda?

– Więc Jefferson był w domu dziewczyny? Z jednym ze swoich śledczych? –

upewnił się Joe.

– Tak – odparł Hillard.

– Interesujące.

– Dlaczego?

– Bo Doran twierdził, że bieliznę dziewczyny mu podrzucono; znaleziono na niej tylko DNA zamordowanej. Gdyby chciał pan podrzucić dowód, na którym nie ma żadnych innych śladów DNA

poza śladami ofiary, to gdzie by pan go szukał?

Hillard nie odpowiedział, zrobiłem to za niego:

– W jej domu.

Rozdział 27

Jerry i Anne Heath mieszkali w skromnym wiejskim domku na końcu cichego zaułka w Genevie. Na trawniku stał maszt na flagę, a na podjeździe przed dwustano-wiskowym garażem parkował wielki ford F350 z silnikiem Diesla. Jerry Heath grabił li-

ście, gdy zatrzymaliśmy się za jego ciężarówką. Mierzył nas długo spojrzeniem, nie przerywając pracy. Dokończył ją i poszedł do garażu zawiesić grabie na kołku. Był wysoki, barczysty, siwowłosy i nosił długie wąsy. Miał na sobie kraciatą flanelową koszulę, oliwkowe robocze spodnie i ciężkie buty. Wysiedliśmy z mojej ciężarówki i stali-

śmy na podjeździe. Heath nie odezwał się słowem, minął nas tylko, odwiesił grabie i zdjął rękawiczki. Potem wrócił i spojrzał na nas, mrużąc oczy.

– Panowie detektywi?

Zadzwoniliśmy do niego, kiedy wyszliśmy z biura George'a Hillarda.

– Tak, proszę pana. Joe Pritchard. To ja z panem rozmawiałem.

– Aha. Chodźmy do środka. Matka czeka. Chciałaby z wami pogadać.

Mówił oczywiście o swojej żonie i nie było nic uwłaczającego w tym, że nazywał ją „matką“. Ot, staromodne określenie, jak najbardziej na miejscu. Przeszliśmy przez garaż, mijając równe rzędy narzędzi i starego, ale w doskonałym stanie buicka sedana. Przed drzwiami do domu Heath wytarł starannie buty na wycieraczce; Joe i ja zrobiliśmy to samo. W domu pachniało potpourri, a na ścianach wisiały ręcznie wy-płatane kosze. Minęliśmy kuchnię i weszliśmy do salonu. Drobną blondynką myła okna, stojąc do nas tyłem. Spryskiwała szyby windeksem i wycierała je do czysta ścierką; była tak pochłonięta pracą, że nas nie zauważyła.

– To ci detektywi, Anne.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Odstawiła butelkę z windeksem do plastikowego wiaderka na podłodze, po czym wrzuciła tam jeszcze ścierkę. Podeszła do nas, żeby się przywitać. Miała silne ręce i pogodną twarz.

Usiedliśmy z Joem na jednej kanapie, a oni oboje na drugiej. Meble były zuży-te, ale wygodne i czyste, czysty był zresztą cały dom. Każdy detal zdradzał dużą dba-

łość o porządek.

Joe wyjaśnił ponownie, bo to on rozmawiał wcześniej z Jerrym Heathem przez telefon, że przeszłość Andy'ego Dorana zainteresowała nas w związku z inną sprawą, niemającą nic wspólnego ze śmiercią ich córki.

– Interesują nas pewni ludzie – powiedział. – Ludzie, którzy kilka lat temu byli zaangażowani w śledztwo. Wiem, że to dla państwa trudny temat, ale gdyby mogli nam państwo o nich opowiedzieć...

– Cóż, chcieliśmy, żeby poszła na studia. – Anne Heath uśmiechnęła się do nas.

– Miała dobre stopnie, mogła dalej się uczyć. Przez jakiś czas byłoby nam pewnie ciężko finansowo, ale tak to już jest ze studiami. Zresztą odłożyliśmy trochę pieniędzy.

Ale powiedziała nie. Powiedziała, że nie wysiedzi dłużej w klasie, że na razie ma dość.

Zgodziliśmy się, żeby odpoczęła sobie z rok czy dwa, żeby popracowała, zaoszczędzi-

ła trochę grosza, a potem wróciła do nauki.

Mówiła bardziej do Joego niż do mnie i cieszyłem się z tego. Joe potrafił rozmawiać z ofiarami tak, że je pocieszał, ale nie w jakiś melodramatyczny czy spektakularny sposób; nie było łez, trzymania za rękę czy nieskładnych wyrazów współczucia.

Taki miał po prostu dar, którego mnie brakowało. Spojrzał w oczy i człowiek wiedział, że Joe go rozumie.

– Przykro mi, że nie dostała tej szansy – powiedział, a pani Heath znów się uśmiechnęła i pokiwała głową.

– Dziękuję. Myślę, że dobrze by ją wykorzystała. Ale Bóg ją zabrał do siebie, a my się z tym pogodziliśmy. Codziennie musimy się z tym godzić, i jakoś sobie radzi-my.

Popatrzyłem na nią, a potem rozejrzałem się wokół i wyobraziłem sobie dora-stającą tu, w czystym domu, pod troskliwą opieką rodziców, dwudziestoletnią dziewczynę. Zrozumiałem, dlaczego tak pragnęła odrobiny buntu, dlaczego popalała trawkę i umawiała się ze starszym facetem, Andym Doranem, czując, że nie ma to większego znaczenia. I jeśli Joe i ja się nie myliliśmy, związek z Doranem rzeczywiście nie miał znaczenia. Przynajmniej nie w tym sensie, w jakim myśleli o nim rodzice i jak oceniła go policja.

Jerry Heath położył rękę na kolanie żony i zapytał:

– Kto panów szczególnie interesuje?

– Odwiedził państwa pewien prawnik – odezwałem się. – Niejaki Alex Jefferson.

Jerry i Anne kiwnęli jednocześnie głowami.

– Przyjechał z Fentonem Brooksem – wyjaśniła Anne. – Przywieźli kwiaty, pan Brooks był taki miły.

Powiedział nam, że czuje się okropnie z powodu tego, co się sta-

ło, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wspomóc śledztwo.

– Jefferson przyprowadził ze sobą jakiegoś detektywa – dodał Jerry. – Zasugerował, że mógłby pomóc trzymać od nas z dala policję i powiadamiać nas na bieżąco o tym, co się dzieje.

– Trzymać z dala policję – powtórzyłem jak echo. – Pamięta pan nazwisko tego detektywa?

– Robert Walker. Emerytowany policjant z Cleveland. A może i nie emerytowany, bo był dość młody. W każdym razie już u nich nie pracował.

Spojrzałem na Joego.

– Znasz jakiegoś Roberta Walkera?

– Nie.

– Ja też nie. Panie Heath, może pan go opisać? Próbuję go sobie przypomnieć.

Joe i ja też pracowaliśmy w policji w Cleveland. Powinniśmy go znać.

Jerry Heath odwrócił się do żony i zmarszczył brwi.

– Miał chyba koło czterdziestki?

– Albo i mniej. Był Włochem, w każdym razie wyglądał na Włocha. Niewiele mówił. Przeważnie tylko słuchał i notował.

– Włoch o nazwisku Walker – mruknął Joe i spojrzał na mnie, unosząc brwi.

– Czy przebywał sam w pokoju państwa córki? – zapytałem.

Jerry popatrzył na mnie uważnie, zaciekawiony. Ale odpowiedziała jego żona.

– Tak, był tam. Policja już przeszukała pokój Moniki, chciał jednak sam rzucić okiem, sprawdzić, czy się przyłożyli. Pytał, czego szukali, czy robili zdjęcia albo coś za-pisywali. Czy przeprowadzili tę... no, inwentaryzację. Mówił, że chce mieć pewność, że dopełnili wszelkich formalności. Miał chyba duże doświadczenie w tych sprawach.

– I sam wszystko sprawdzał?

– Tak. Pan Jefferson powiedział, że nie chce, żebyśmy jeszcze raz przez to prze-chodzili, bo wie, jak trudno jest nam przebywać w jej pokoju i na to wszystko patrzeć.

– Czemu panowie pytają, czy był sam? – zainteresował się Jerry.

– Po prostu próbujemy dobrze zrozumieć sytuację – wyjaśnił Joe.

Zadzwoił telefon. Jerry wstał i poszedł do kuchni, żeby odebrać. Przez kilka minut mówił przyciszonym głosem, a ja i Joe siedzieliśmy z jego żoną i na niego czekaliśmy. Wrócił do salonu czerwony z gniewu.

– Panowie, macie dziesięć sekund, żeby wynieść się z mojego domu.

– Słucham? – zdziwił się Joe.

– Dzwonił George Hillard. Prokurator. Powiedział mi, że właśnie rozmawiał z policją w Cleveland. Zatelefonował tam, żeby popytać o was, panowie. Dowiedział się, że pracujecie bez zgody policji, a nawet klienta.

Odwrócił się do mnie i wycelował palec wskazujący w moją klatkę piersiową.

– A pan jest podobno podejrzanym w śledztwie w sprawie morderstwa.

– Co? – Anne Heath zerwała się na równe nogi.

– Ktoś zabił tego prawnika, co przyjechał tu wtedy, żeby jakoś nam pomóc. Te-go, o którego wypytyują, Jeffersona. Policja twierdzi, że ten facet próbuje użyć Moniki jako fałszywego tropu. Wykorzystuje naszą córkę, żeby policja się od niego odczepiła.

– To nieprawda – zaprotestowałem. – Próbujemy dowieść, co naprawdę przydarzyło się pańskiej córce, panie Heath. Sądzymy, że Andy Doran...

– Otworzę wam drzwi, a wy lepiej przez nie wyjdźcie, i to migiem. Bo jeśli nie, to z chęcią obję wam tyłki. No, jazda.

Kiedy wychodziliśmy, Anne Heath płakała.

Rozdział 28

Gniew buzował we mnie jak pęcherzyki powietrza we wrzątku. Joe siedział za kierownicą. Nim wyjechaliśmy z podjazdu, wyciągnąłem komórkę z kieszeni, wystuka-

łem numer Targenta i słuchałem sygnału w słuchawce.

– Do kogo dzwonisz? – zapytał Joe, ale nie odpowiedziałem, bo Targent odebrał.

– Tak, Perry?

– Jesteś żaloszny. To ja tu odwalam za ciebie robotę, a ty nas wsadzasz na taką minę? Mówisz tym biednym ludziom, że wykorzystuję ich córkę jako fałszywy trop?

– Nie mówiłem nic rodzinie, powiedziałem tylko prokuratorowi, że jest pan podejrzanym.

– Dobrze wiedziałeś, że ta informacja szybko się rozniesie.

– No pewnie. I powinna się roznieść. Bo rzuca nam pan tylko kłody pod nogi, Perry.

– Ktoś powinien zbadać...

– Dość tego. Chce pan się wyzalić i powkurzać? Trzeba mieć nie lada tupet, zważywszy na to, że właśnie z godzinę przekonywałem porucznika Brewera przez telefon, żeby nie składał wniosku o pana ekstradycję do Indiany.

– Targent, żaden sędzia na świecie nie wydałby takiego nakazu na podstawie tego, co ma Brewer. Nie udawaj mojego obrońcy.

– Nie jestem pańskim obrońcą. Prosiłem go, żeby się wstrzymał, tylko dlatego, że jest pan osiłą znacznie ważniejszego śledztwa tutaj. Powiedziałem mu, że potrzebuję więcej czasu, żeby pana prześwietlić. A te dowody, które pan tak podważa, Perry, otóż proszę sobie wyobrazić, że się zmieniły. I to znacząco. Jeśli Brewer złoży wniosek o ekstradycję, to dostanie na nią zgodę.

– O czym ty mówisz?

– Ma pan pół godziny, żeby pojawić się w swoim biurze. Będę tam czekał. Jeśli pan nie przyjedzie, mogę zmienić zdanie: aresztuję pana, a potem osobiście odstawię do Indiany.

– Targent, jestem godzinę drogi od Cleveland.

– No to radzę się pospieszyć.

Targent dotarł do naszego biura przed nami. Czekał, siedząc na barierce parkingowej za budynkiem z butelką wody w ręku. Kiedy Joe zajechał na parking, Targent siedział dalej i popijając wodę, patrzył, jak wysiadamy z wozu. Dopiero kiedy stanęliśmy przy nim, zakręcił butelkę i wstał bez słowa powitania.

– Co ci powiedział Brewer? – zapytałem. – Jakim to kolejnym kretyzmem mu-szę się teraz martwić?

– Do środka.

Weszliśmy do budynku i dalej na górę po schodach. Joe otworzył drzwi. Targent wkroczył pierwszy i usiadł naprzeciw mojego biurka. Miąłem go, przysunąłem fotel do biurka, też usiadłem i rozłożyłem ręce.

– No i?

– Na moją prośbę Brewer zabrał gotówkę, którą wysłano temu prywatnemu detektywowi z Indiany, i zbadał na niej odciski palców. Chciałem sprawdzić, czy są tam odciski Jeffersona; jeśli tak, może udałoby się udowodnić, że to jego pieniądze.

– Mam gdzieś, czy to jego pieniądze, nie ja je wysłałem.

– No cóż, odcisków Jeffersona nie zdjęliśmy.

– Ulżyło mi.

– Za to znaleźliśmy pańskie.

Często słyszy się, jak ludzie używają słowa „zszokowany“. Są zszokowani, że bankomat naliczył im o pięćdziesiąt dolarów więcej niż faktycznie wypłacili, zszokowani, kiedy dowiadują się, że ich czystej rasy shitzu to w rzeczywistości kundel, albo że w ich superpakiecie telewizyjnym nie ma HBO. Mówiąc tak, pieprzą bez sensu. Są zdziwieni, nie zszokowani. Człowiek przeżywa szok wtedy, kiedy dowiaduje się o czymś, co nie może być prawdą, a jednak zostaje za prawdę uznane. Szok to uczucie, jakiego doznajesz, słysząc, że policjant znalazł twoje odciski palców na pieniądzach, których nigdy nie miałeś w ręku.

– Łżesz – oburzyłem się. – Błefujesz. Nawet nieźle ci poszło, Targent. Jakoś mnie już nie dziwi, do czego się posuwasz.

– Mam w komputerze zdjęcia, mogę je pokazać. To nie tylko jeden odcisk, trzy palce pojawiają się na pięciu banknotach. I to bardzo wyraźnie.

– Podrzuciono je.

– Można podrzucić czyjś odcisk palca?

– Oczywiście, że można. Jest sposób. Bierze się przedmiot, który trzymałem w ręku, i używa taśmy czy jakiegoś chemicznego szajsu... to się da zrobić, Targent.

Szukając wytłumaczenia, czułem się jak kłamca. Robiłem to nieporadnie i nie-udolnie, a Targent obserwował mnie z uniesionymi brwiami.

– Czyżby? – odparł. – Nie mogę się doczekać, kiedy pański obrońca zacznie szukać eksperta od kryminalistyki, żeby to wyjaśnić.

– Nie dotykałem tych pieniędzy, Targent. Nie wysłałem ich ani nie dotknąłem.

– Tak jak nie znał pan Thora?

– To zupełnie inna sprawa.

– No tak, zupełnie inne kłamstwo.

– Ktoś mnie wrabia. Nie możesz przynajmniej założyć, że to prawda? Że to możliwe? Próbowałem cię przekonać, że to Andy'ego Dorana szukasz...

– A właśnie, skoro o tym mowa – przerwał mi. – Sprawdziłem tę waszą opowieść o Donnym Wardzie. Zadzwoiłem do niego rano. Zaprzeczył każdemu słowu.

Powiedział, że zjawiliście się u niego w domu i próbowaliście mu wmawiać różne rzeczy. Wyprosił was.

– Kłamie.

– Ward kłamie? I chociaż nie ma na to dowodów, powinienem w to uwierzyć. A kiedy twierdę, że to pan kłamie, i pokazuję dowody, pan zaprzecza.

– Mam dowód na to, co mówiłem ci o Doranie. Rozmawialiśmy z rodziną ofiary. Jefferson przyszedł do nich z jakimś ponoć emerytowanym policjantem. Z opisu wynika, że to ten sam, który był u Warda. Państwo Heath na pewno nie kłamali. W

przeciwieństwie do Warda nie mają nic do ukrycia.

Westchnął i machnął ręką.

– Dobra, niech pan opowiada.

Opowiedziałem mu o policjancie, który pojechał z Jeffersonem do państwa Heath, o tym, że ten, kto mnie napadł, wspominał o pięciu latach, i o tym, że pasuje to do wersji Dorana. Mówiłem też o obrońcy z urzędu, który zaczął pracować u Jeffersona. Targent wyjął notes i nawet robił notatki. Byłem zaskoczony. Spodziewałem się tylko znudzonej miny i przemądrzałego sceptycyzmu, jakim raczył nas przez ostatnie kilka dni.

– Zakłada więc pan, a właściwie pan wierzy, że Alex Jefferson odpowiadał za to, jak potoczyły się wypadki w sprawie Dorana – podsumował.

– Tak.

– Dlaczego?

– Spójrz na sytuację, Targent. Jego syn był jedynym świadkiem morderstwa, a potem nagle Jefferson wkracza i ustawia śledztwo. Jak sądzisz, po co to robił? Nie wydaje mi się, żeby poznał wcześniej Dorana czy tę dziewczynę. Związek istnieje wy-

łącznie przez syna. Który nagle w trakcie śledztwa sprytnie gdzieś się wyprowadza.

– Sugeruje pan, że syn był nie tylko świadkiem?

– Tak, właśnie to sugeruję. Musimy jeszcze udowodnić związek między Jeffersonem i tym facetem, który odwiedził Donny'ego Warda. Ward niechętnie z tobą rozmawiał, detektywie? I co z tego. Boi się, że Doran przyjdzie i zrobi z nim to, co z Jeffersonem. I trudno mieć mu za złe ten strach. Zresztą, właśnie z tego powodu zgodził się ze mną porozmawiać. Myślał, że zobaczę się z Doranem.

Targent kiwnął głową i zapisał coś w notesie.

– Idź i sprawdzaj to, co ci powiedziałem. Targent, to wszystko prawda. Wiem, że będziesz szukał

dziury w całym, ale jej nie znajdziesz.

– Chyba jednak znajdę. – Przestał pisać i zamknął notatnik. Potarł ręką nieogolony policzek, po czym spojrzał na mnie. – Wygląda na to, że wykonał pan gruntowną robotę. Rzetelną. Jeśli państwo Heath powtórzyliby mi wszystko to, co pan mówił, sprawa byłaby naprawdę poważna. I ma pan rację, można to dość łatwo sprawdzić.

Nie podobał mi się jego ton, ta cicha akceptacja.

– To co cię jeszcze gryzie, Targent?

– Tylko to, że to cholernie dobra detektywistyczna robota. I taka szybka. Rany boskie, Perry, rozwiązał pan problem w ile, w dwa dni?

– Uhm.

– A co tak naprawdę pchnęło pana do działania?

– Ta wzmianka o płaceniu przez pięć lat. Mówiłem ci już. Sposób, w jaki Doran, czy kim tam jest ten facet, opisał konkretną rozmowę telefoniczną.

– Hm. Tak czy inaczej, błyskawiczna praca.

– Mam wrażenie, że to nie jest szczerzy komplement, ale przyjmuję go za dobrą monetę, skoro zastanawiasz się nad tym na tyle poważnie, żeby sprawdzić dowody.

– A jakże, przyjrę się temu.

– Świetnie. Przyjrzyj się i skreśl mnie ze swojej listy.

Zmarszczył brwi i przechylił głowę.

– I w tym właśnie kłopot. Nie widzę powodu, dla którego miałbym pana wyłączać ze śledztwa.

– Co ty wygadujesz? Jeśli historia z Doranem trzyma się kupy...

– To wtedy włączę go do mojego śledztwa. Ale skreślać pana, Perry? Cofnijmy się o krok. Niech pan sobie przypomni, od czego to wszystko się zaczęło. Ktoś szanta-

żował Aleksa Jeffersona, prawda? Zarobił na tym trochę grosza, a potem wziął się na wdowę. Ale z czego wynikała jego przewaga? Ciężko kogoś szantażować, kiedy nie ma się kart atutowych w ręku. Jeśli nie odkryło się jakiegoś sekretu, trupa w szafie. A żeby to się naprawdę udało, żeby skłonić ludzi nie tylko do posłuszeństwa, ale też do wyłożenia dużej kasy, trzeba mieć naprawdę wielkiego haka. Na przykład zarzucać działalność przestępczą, spisek, zatajanie prawdy. Tego rodzaju „drobiazgi“, które –

postukał palcem w notatnik – tak szczegółowo mi pan wyjaśnił.

– Sądziś, że wplątałem się w tę sprawę miesiąc temu z własnej woli i postanowiłem zaszantażować Jeffersona?

– Ktoś go zaszantażował – odparł Targent. – A na razie jest pan jedyną osobą, która domyśla się, czego mogły dotyczyć kompromitujące materiały. Co ciekawe, jest pan także głównym podejrzanym. Dokonuje pan głębokiej analizy życia Jeffersona i odkrywa rzeczy, których amatorzy mogli nie znaleźć.

– Nie miałem nic wspólnego z Alekssem Jeffersonem od tamtej nocy pod klubem. To był koniec, Targent. Musisz w to uwierzyć.

– Cieszę się, że wspomniał pan o tamtym wieczorze. Słyszałem interesującą historię od kogoś, kto był na parkingu przed klubem. Co krzyczał pan do Jeffersona tuż przed tym, zanim go pan uderzył?

– Krzyczałem różne rzeczy.

– Wie pan, o co mi chodzi.

Spojrzałem Targentowi w oczy.

– Zagroziłem, że rozpieprzę mu życie.

– Otóż to. Pytanie brzmi, czy tego pan właśnie nie zrobił.

Różne odpowiedzi cisnęły mi się na język, ale się pohamowałem. Niczego bym nie zyskał. Targent zawziął się na mnie. Nic nie mogło go przekonać, chyba że przy-prowadzimy mu kogoś innego w kajdankach, kogoś gotowego zeznawać. A może nawet i wtedy będzie miał obiekcje.

– Targent – odezwał się Joe. – Zamierza pan całkowicie zignorować to, że Doran uciekł? Nie sądzi pan, że to zastanawiający zbieg okoliczności?

– Owszem, tak sądzę. Może to oznaczać, że jest w to zamieszany albo że z okazji skorzystał ktoś inny. Jeśli nasz zabójca to inteligentny człowiek, tak inteligentny jak choćby pan Perry, to nie zabierałby się do tego, gdyby nie miał jakiegoś zabezpieczenia. Kozła ofiarnego. Takiego zabezpieczenia i takiego kozła ofiarnego, jaki dziś został

nam przedstawiony w osobie Andy'ego Dorana.

– A więc nadal jestem mordercą – stwierdziłem – i w dodatku awansowałem na oportunistę i inteligenta.

– Niech pan wyjaśni sprawę odcisków palców, Perry.

– Nie potrafię. Ktoś musiał je podrzucić.

- Pięć razy. Odciski z trzech palców.
- Może ukradli mi te pieniądze, nie wiem.
- Ukradli panu kilka pięćdziesiątek, a pan nie zauważył.
- Targent, mogę ci tylko powiedzieć, że nie wysyłałem żadnych pieniędzy do tego idioty w Indianie.
- Ale są na nich pańskie odciski palców.
- A odcisków Jeffersona nie ma. Sam to mówiłeś. Więc nie masz dowodu, nawet cienia dowodu, że to te same pieniądze.
- Zdobędę dowód. Może pan śmiało stawiać na to wszystko, co pan posiada.

Wstał z krzesła i pochylił się nad moim biurkiem, agresywny jak zawsze.

– Pojadę do banku Jeffersona i będę tam siedział, dopóki tego nie udowodnię, Perry. Doprowadzę tych bankowców do szaleństwa, pokażą mi każdą kamerę, każdy komputer i każdy zapis transakcji oraz numer seryjny. A ja będę sprawdzał, sprawdzał

po raz drugi i trzeci, aż znajdę coś, co dowiedzie, że to jego pieniądze. Myśli pan, że to niemożliwe? Bez żartów. Te pieniądze z Indiany wypłacił Alex Jefferson i dał panu.

Udowodnię to, a potem przyjadę tu, żeby zakuć pana w kajdanki. A wtedy, Perry, ra-dzę po dobroci, żeby zaczął pan mówić prawdę. Jak dotąd cały czas pan kręcił, ale ta droga zbliża się do końca. Blokuję ją rozumie pan?

– Ironia polega na tym – odparłem – że ty nawet wierzysz, że potrafisz rozpoznać prawdę.

Wyprostował się i odsunął od mojego biurka. Zacisnął szczęki i posłał Joemu mordercze spojrzenie. Ale Joe milczał, więc Targent znów popatrzył na mnie.

– Do zobaczenia wkrótce, panie Perry. Na pańskim miejscu już dzisiaj zaczął-

bym szukać dobrego obrońcy. Mam przeczucie, że się panu przyda.

Rozdział 29

Odcisk palca to fascynująca rzecz. Odrobina brudu, jaką zawsze zostawiasz, kiedy czegoś dotykasz, która ujawnia twoją tożsamość, gdziekolwiek się pojawisz. Odcisk palca, tak jak tożsamość, jest niepowtarzalny. Należy tylko do ciebie. A mnie je skradziono. Moje odciski palców i moją tożsamość. Jedno nie istnieje bez drugiego. I oto policyjny detektyw wszedł do mojego biura i oznajmił mi, że ich nie mam, straci-

łem je, wyrwały mi się spod kontroli.

Nie dotykałem tych pieniędzy. Nie wysyłałem ich do detektywa z Indiany, nie trzymałem w ręku, nawet ich nie widziałem. Ale fakty – te niepodważalne naukowe fakty – mówiły co innego. Rzeczywistość, jaką znałem, została właśnie wywrócona do góry nogami. Ludzie są skłonni wierzyć w słowa do pewnego granicznego stopnia. Tę granicę najwyraźniej przekracza się wtedy, kiedy fakty – zwłaszcza te naukowe – przeczą słowom. Teraz zostały mi jedynie słowa. A Targent miał w ręku fakty.

Znów siedzieliśmy w biurze tylko Joe i ja, każdy przy swoim biurkiem, jak zawsze, odkąd pracowaliśmy razem. Ale nigdy jeszcze nie czuliśmy się tak jak teraz.

– Miałeś rację – powiedział po kilku minutach ciszy. – Te pieniądze nie należały do Jeffersona. Gdyby należały, byłyby na nich odciski jego palców, nie twoich. Nie wiem, jak zdobyli te pieniądze, ale...

– To jego pieniądze.

Spojrzał na mnie, jakbym przyznał się do winy.

– Co takiego?

– Joe, okaże się, że to jego pieniądze. Targent tego dowiedzie. Może jeszcze dzisiaj, może jutro. Znajdzie sposób. Okaże się, że to pieniądze Jeffersona, a ja nie będę umiał tego wyjaśnić. Do tego to zmierza.

– Targent nie ma aż tyle asów w rękawie, ile ci się wydaje. Ani ile jemu samemu się wydaje. Te pieniądze nie są bezpośrednio powiązane z morderstwem. Nie znaleziono ich przy zwłokach Jeffersona, nie ma na nich jego krwi. Nawet jeśli znajdą sposób, żeby dowieść, że to te banknoty, które wypłacił z banku, to i tak nie jest do do-wód zabójstwa.

– Jasne – mruknąłem i uświadomiłem sobie, że oto Joe zaczął odgrywać rolę dyżurnego optymisty. A to dopiero.

– Jak zdobyli ten odcisk? – zastanawiał się.

– Co wieczór liczę pieniądze w siłowni. Dotykam mnóstwa pięćdziesiątek. Wystarczyło ukraść kilka, ba, choćby jedną, i podłożyć w tamtej paczce...

– To by nawet pasowało. Ale jak się dostali do kantorka?

– Ci faceci? Nie sądzę, żeby to był dla nich jakiś problem.

– Masz przecież kamery w siłowni, tak? Możemy zaraz pójść tam i przejrzeć nagrania...

– Kantorka na nich nie widać.

– Co? Wydajesz tyle pieniędzy na kamery, a nie monitorujesz miejsca, gdzie trzymasz kasę?

– Nie o to przecież chodzi. Dzięki kamerom ludzie w siłowni czują się bezpieczniej, są potrzebne także do ubezpieczenia. Bezpieczeństwem jako takim w ogóle się nie przejmowałem. Bo co, ktoś się włamie i ukradnie parę dolców?

Patrzył na mnie zaniepokojony, a potem wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Trzymał ręce w kieszeniach, przygarbił się. A zwykle stał wyprostowany jak struna, aż miało się ochotę zsalutować mu i przedefilować marszowym krokiem.

– Nie jest tak źle, jak to wygląda, Lincoln.

– Pocieszasz mnie, bo wygląda to cholernie źle.

Odwrócił się od okna.

– Nie odpuszczamy. Rozumiesz? Nie pozwolimy, żeby to nas powstrzymało czy choćby spowolniło. Pracujemy nadal, kontrujemy wszystkie ruchy Targenta naszymi własnymi.

– Na razie to on kontruje, Joe. Ile razy my coś odkrywamy, jemu też się udaje. I te odkrycia są bardziej brzemiennie w skutki.

– Ale pewne rzeczy możemy udowodnić. Weźmy Roberta Walkera. To powinno być łatwe. Zadzwońmy na policję i sprawdźmy, czy pracował tam kiedykolwiek detektyw o tym nazwisku. Jeśli tak, to może się to okazać dla sprawy przełomowe. Może to on będzie umiał to i owo nam wyjaśnić.

Poddałem się. Odszukałem numer archiwum policji w Cleveland i poprosiłem do telefonu starą znajomą. Kazała mi poczekać dziesięć minut. Oddzwoniła po pięciu.

– Nie znalazłam Roberta Walkera w aktach departamentu policji z ostatnich dwudziestu lat – oznajmiła. – Było siedmiu Walkerów, ale żaden nie miał na pierwsze ani na drugie imię Robert, a jedyny Walker, który pracował jako detektyw, wciąż tu pracuje. To Murzyn, Darryl. A ty chyba nie jego szukasz.

Podziękowałem jej, odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Joego.

– Żaden Robert Walker nie pracował w policji. Jefferson sprowadził fałszywego gliniarza, pasującego z opisu do faceta, który groził Donny'emu Wardowi.

Joe kiwnął głową, ale bez entuzjazmu. Obaj wiedzieliśmy, że Walker nie istniał, więc nie była to wielka nowina, raczej potwierdzenie przypuszczenia.

– Nie daje mi spokoju ten Ward – powiedziałem. – Gdyby był szczerzy, gdyby-

śmy mogli udowodnić Targentowi, że facet, który groził Wardowi, i facet, który przyjechał z Jeffersonem do państwa Heath, to jedna i ta sama osoba...

– Spróbujmy więc. Zobaczmy się z nim znowu. Przekonajmy go, że to ważne.

– To, co nam powie, nie ma żadnego znaczenia. Chodzi o to, żeby powtórzył to wszystko Targentowi.

– Spróbujmy – nie poddawał się Joe. – I tym razem weźmy ze sobą dyktafon.

Pomysł z dyktafonem był dobry i być może by się sprawdził, gdybyśmy znaleźli Donny'ego Warda. Ale nie było go w domu. Staliśmy na werandzie pod zapadającym się dachem. Woda po niedawnym deszczu przeciekała przez szpary i szczeliny, skapywała z pordzewiałych rynien. Pukaliśmy do drzwi i pukaliśmy, ale nikt nie otwierał.

Próbowaliśmy wołać Donny'ego, ale w odpowiedzi słyszeliśmy tylko potępieńcze wycie jednego z psów.

– Jego ciężarówka stoi przed domem – zauważył Joe.

– Może poszedł do lasu. A może ktoś podrzucił go do pracy. Jeśli on w ogóle pracuje.

– Drzwi zamknięte na klucz?

Poruszyłem klamką i kiwnąłem głową.

– Jeszcze tego nam trzeba, żebyśmy wyważyli drzwi i dali Targentowi powód, by cię aresztował.

– To nie najlepszy pomysł.

Dochodziła piąta. Niebo już wcześniej pociemniało od deszczowych chmur, a teraz jeszcze zapadał zmrok. Mogliśmy przesiedzieć na werandzie u Donny'ego całą noc. Może by się pojawił, może nie. Drogą przejechała bzycząca honda hatchback.

Sąsiad za kierownicą przyhamował na chwilę i obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Szkoda, że jechaliśmy taki kawał drogi na marne – stwierdził Joe.

– Czekamy?

Potał szczękę dłonią i patrzył na cienie na werandzie.

– Nim dojedziemy do Cleveland, będzie już późno. Ten prawnik, Cole Hamilton, będzie albo w domu, albo w drodze do niego.

– Myślisz, że powinniśmy pociągnąć go za język?

– Myślę, że powinniśmy spróbować, nim zrobi to Targent. Kiedy Hamilton na-bierze wprawy w okłamywaniu gliniarzy, będzie się tego trzymał. Jeśli uda nam się go wcześniej skłonić do mówienia, może nam to pomóc.

– W porządku.

Zeszliśmy z werandy. Psy łąsiły się do nas znacznie bardziej przyjaźnie niż za pierwszym razem, nawet ten, który wtedy warczał. Teraz już nas znały, a może tamtego dnia były po prostu głodne i czekały na powrót Donny'ego. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, skamlały, jakby z żalu, że odjeżdżamy. Znow zaczął padać deszcz. Najpierw na szybie rozbijały się grube, pojedyncze krople, a gdy dotarliśmy do końca polnej drogi, lało już jak z cebra. Wiatr szarpał drzewami i strząsał z nich nieliczne li-

ście. Za miesiąc z takich ciężkich chmur spadnie śnieg i zasypie całe hrabstwo Ashtabula jak zwykle. Wiatr będzie wiał od jeziora, wyginał konary sosen i zrywał zmrożone linie energetyczne. Znaleźliśmy się w samym sercu śnieżnego pasa, gdzie roczne opady śniegu są o wiele większe niż w innych częściach stanu. Po pierwszym śniegu opu-stoszeją te wioski nad jeziorem, w lecie tętniące życiem. To taka nasza wersja południowego wybrzeża w Maine – serdecznie zapraszamy latem, ale żeby przetrzymać tu zimę, trzeba być twardzielem.

Mało rozmawialiśmy w drodze powrotnej, obserwowaliśmy tylko wzmagający się ruch na autostradzie. Staraliśmy się nie myśleć o odciskach palców i plikach pięć-

dziesięciodolarówek. Amy pewnie wróciła już do domu. Miło byłoby zabrać ją na do-brą kolację, spędzić wspólnie spokojny wieczór, nie martwić się policją, ściganymi czy ich bezimiennymi towarzyszami. Kiedy o niej pomyślałem, stanęła mi przed oczami malownicza altana w sadzie w Indianie, pachnąca jesiennym lasem. Cóż to było za piękne miejsce, póki po deskach nie połała się krew i nie spłynęła do połyskującego, ciemnego stawu.

On przynajmniej miał jakiś powód. Ty robisz to tylko z chciwości.

Kiedy wróciliśmy do Cleveland, miasto jarzyło się blaskiem. Mosty w centrum aż skrzyły się kolorowymi jarzeniówkami. Przejechaliśmy przez nie na zachód i zjechaliśmy z autostrady w 150. Zachodnią, kierując się w stronę Lorain.

– Zatrzymujemy się w biurze? – zapytałem.

– A masz przy sobie adres Cole'a Hamiltona?

– Nie.

– No to chyba musimy tam wpaść.

Deszcz ustał, przynajmniej na chwilę. Kiedy weszliśmy do budynku, na klatce schodowej panowały egipskie ciemności. Lekki poblask dochodził tylko z oświetlenia awaryjnego w sklepieniu u jubilera i ze znaku wyjścia ewakuacyjnego nad drzwiami.

– Prąd wysiadł – stwierdziłem. – Zapisaleś adres tego koleśka czy musimy gdzieś skorzystać z komputera?

– Zapisalem na papierze.

Po schodach weszliśmy na czuja. Na górze Joe sięgnął po klucz, ale ja już wyją-

łem swój, pierwszy wsunąłem go do zamka i przekręciłem. Uchyliłem drzwi i zacząłem macać ręką po ścianie, szukając włącznika.

– Przecież nie ma prądu – przypomniał Joe.

– Racja. Matoł ze mnie.

Odsunąłem się od ściany. Niemal w tej samej chwili ktoś chwycił mnie za kark i wepchnął mi lufę pistoletu w usta.

Rozdział 30

W biurze było całkowicie ciemno. Wyrznąłem o jedną z szafek i się zatoczyłem.

Wciąż miałem pistolet w ustach i nie widziałem nic poza sylwetką człowieka, który go trzymał.

– Wejdz, Pritchard – powiedział i wtedy zrozumiałem, że to ten sam człowiek, który napadł na mnie na ulicy i zadzwonił po zniszczeniu większej części siłowni. –

Myślę, że tak jak twój partner nie chcesz, żebym pociągnął za spust.

Joe wszedł powoli do pokoju, a napastnik zatrzasnął za nim drzwi stopą. Pistolet poruszył się w moich ustach raniąc, mi podniebienie.

– Doran – syknąłem.

– Brawo za spostrzegawczość. Pritchard, przejdź przez pokój i usiądź przy biurku, dobrze? Aha, nie spinaj się, już wyjąłem pistolet z twojej szuflady.

Joe wykonał polecenie. Doran uwolnił mnie, stał obok z pistoletem gotowym do strzału. Miałem glocka, tyle że w kaburze na plecach. Drzwi do budynku i do samego biura były pozamykane na klucz, ale zamki to najwyraźniej żadna przeszkoda dla Dorana.

Oczy powoli przyzwyczajały mi się do ciemności i widziałem już coś więcej niż tylko jego sylwetkę. Był szczuplejszy niż na zdjęciach z akt sprawy, a już na nich wyglądał dość szczupło. Twarz miał pociągłą, ciało gibkie i napięte, zaprawione w dzia-

łaniu. Po wojskowym jeżu nie pozostał nawet ślad – długie jasnobrązowe włosy opadały mu na czoło i uszy. Nosił ciężkie buty, dżinsy i wełnianą marynarkę.

– Słuchajcie – powiedział. – Pritchard, ty siedzisz przy biurku i do nikogo nie dzwonisz. Perry, my we dwóch udajemy się na przejażdżkę. Ty prowadzisz i w czasie jazdy sobie pogadamy. Jeśli twój partner zrobi to, co mu kazałem, jeśli okaże odrobinę cierpliwości, to wrócisz cały i zdrowy.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał ani nie poruszył.

– Joe, wytrzymaj – powiedziałem w końcu. – Za chwilę wrócę.

Doran kiwnął głową.

– Perry dobrze wie, że parę razy miałem już okazję go stuknąć, a jednak nie stuknąłem. Doszedł do wniosku, że lepiej mi zaufać, niż mnie wkurzać.

– Dobrze – odparł Joe. – Posiedzę i poczekam. Przynajmniej jakiś czas. Ale potem, jeśli LP nie wróci tymi samymi drzwiami, wstanę i zacznę cię szukać, Doran. A jak cię znajdę, to zabiję.

Przejeżdżający samochód oświetlił twarz Dorana – uśmiechał się do mnie.

– Masz lojalnego partnera. – Podeszedł do drzwi, otworzył je na oścież i pochylił głowę. – Ty pierwszy. Po schodach w dół, a potem tylnym wyjściem do twojej furgonetki.

Wyszedłem, sekundę później drzwi zamknęły się za mną. Doran deptał mi po piętach, a Joe został sam w ciemnym biurze. Szybko dotarliśmy na parking. Wsiedli-

śmy do mojego wozu. Włączyłem silnik, a on usiadł na fotelu obok. Położył sobie na kolanach wielkiego colta commandera, celując w mój brzuch. Nie zapomniał o rękawiczkach.

– Wyjedź z parkingu, skręć w prawo, w Rocky River, i dalej prosto – poleciał.

Tak też zrobiłem. Kiedy wsunąłem kluczyk w stacyjkę, uruchomiło się również radio. Doran go nie wyłączył. U2 śpiewało o mieście oślepiających świateł. Może Doran jest fanem Bono?

– Pracusie z was – odezwał się. – Zebraliście sporo materiału. Nie przeglądałem wszystkiego... ale dość dobrze znam sprawę.

– Nic dziwnego.

– Dawno wzięliście mnie na celownik?

– Kilka dni temu.

– Szybko wpadliście na mój trop. – Pokiwał głową jakby nas chwalił. – Może to i dobrze. Może więcej zrozumiesz albo zobaczysz coś w innym świetle. Wiesz, w jakiej sytuacji się znalazłem, co? Lincoln, nie zniknę bez pieniędzy. Nie mam dokąd iść.

– Ty nie masz dokąd iść? Przecież przez ciebie ja zaraz wyląduję w pierdlu.

– Jeśli szukasz współczucia, to trafiłeś pod zły adres. Ja wylądowałem w pierdlu przez Jeffersona.

– I teraz chcesz wywinąć taki numer komuś innemu?

– Skręć w następną ulicę.

Zjechałem z Rocky River w West Clifton, która prowadziła na północ. Minęliśmy ulicę Detroit i

przemknęliśmy nad starą linią kolejową Norfolk Southern; dalej West Clifton łączyła się z Clifton Boulevard, biegnącym ze wschodu na zachód obok pięknych starych domów i zadrzewionych działek.

– W prawo – polecił Doran, a ja znów skręciłem, tym razem na wschód.

Przejechaliśmy kilka przecznic, po czym kazał skręcić w lewo. Domyślałem się, dokąd jedziemy. Do parku Lakewood – latem pełnego ludzi nawet wieczorami, ale w zimny deszczowy październikowy wieczór na pewno opustoszałego. Doran kazał mi stanąć na parkingu, a potem wysiąść z samochodu. Nie sprawdził, czy mam broń –

poważny błąd – ale może był po prostu pewien, że zdąży mnie zabić, zanim sięgnę po pistolet.

W parku – żywej duszy. Doran kazał mi iść w stronę jeziora. Mijaliśmy stoły piknikowe, budki i huśtawki. W końcu dotarliśmy do wysokiego płotu otaczającego park, od góry zabezpieczonego drutem kolczastym. W rogu była dziura, prawdopodobnie wycięta latem przez dzieciaki, które lubiły chodzić nad jezioro, żeby popić czy po prostu się zabawić. Doran wskazał mi ją bronią.

– Przechodź.

Zawahałem się. Za płotem było zbocze, opadało stromo na kamienny brzeg jeziora. Doran może i mówił, że nie zamierza mnie zabić, ale przyprowadził mnie w miejsce dogodne do zabójstwa. Ukryty zakątek, zagłuszony huk wody uderzającej o wielkie kamienie. Co za problem wrzucić ciało do jeziora.

– Przechodź – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo, i uniósł lufę o kilka centymetrów.

Odciągnąłem kawałek siatki i przedostałem się przez dziurę. A on tuż za mną, dźgając mnie bronią w plecy, nad nerkami. Nie natrafił na mojego glocka, ale cały czas bałem się, że zobaczy jego zarys pod kurtką.

Szliśmy chodnikiem wiodącym do parku Edgewater. Po jakichś dwóch minutach Doran kazał mi wejść na wielkie skały na brzegu jeziora; nachylone pod różnymi kątami, nawet w dzień zagrażały śmiałkowi. Schodziłem ku jezioru powoli i ostrożnie, balansując rękoma, a za mną podążał Doran – bez wahania zwinnie przeskakiwał z kamienia na kamień.

Im bardziej oddalaliśmy się od chodnika i zbliżaliśmy do jeziora, tym czarniej-sze myśli mnie ogarniały. Uwierzyłem mu wtedy w biurze, kiedy powiedział Joemu, że nie zamierza mnie zabić – w końcu gdyby chciał to zrobić, to dlaczego nie zabrał nas obu – ale teraz to poczucie bezpieczeństwa zaczęło mnie opuszczać. Z Joem nie dyskutował, jemu bezpośrednio nie groził. Może w pokręconym umyśle Dorana oznacza-

ło to, że Joe nie zawinił.

Znów zaczął padać drobny, zimny deszcz i kamienie stały się diabelnie śliskie.

Dotarłem już prawie nad brzeg jeziora i słysząc odgłos skoków Dorana po głazach, orientowałem

się, gdzie jest. Zdażę wyciągnąć glocka, nim mnie zastrzeli? Przypomniałem sobie krótką walkę na chodniku przy Chatfield i zadziwiającą zwinność Dorana.

– Stój – rozkazał Doran.

Niewiele brakowało, a wpadłbym do jeziora. Zatrzymałem się na szerokim płaskim kamieniu tuż nad wodą i odwróciłem do niego. Stał o jeden kamień wyżej, z bronią przy nodze.

– Musimy rozmawiać akurat w takim miejscu? – zapytałem.

Spojrzał na broń w swoim ręku, a potem na mnie.

– Wiesz, nawet tego nie zaplanowałem. Chciałem spotkać się z tobą, ale w cztery oczy. A wy przyjechaliście we dwóch i wszystko się zmieniło. Wykręciłem korki i czekałem.

Świetnie, w takim razie cała ta zabawa to wielka improwizacja tego świra? Co za ulga, pomyślałem.

– Rozumiesz teraz całą sprawę trochę lepiej niż wtedy, kiedy rozmawialiśmy ostatnio – stwierdził.

– O którą rozmowę ci chodzi? Wtedy, kiedy rozpieprzyłeś mi siłownię, czy wtedy, kiedy dałeś mi w łeb na ulicy?

Podniósł leniwie broń, pochylił się i przyłożył mi lufę do czoła. Poczułem na skórze chłodny dotyk metalu. Mimo ciemności widziałem kroplę deszczu na palcu w rękawiczce spoczywającym na spuście.

– Jakies sześć lat temu przyjechałem tu z Monicą Heath. Było lato. Upalne. Wilgotne. Wystarczyło przejść kilka kroków, a koszula już kleiła się do pleców. Przynieśli-

śmy ze sobą dwulitrową colę, jedną piątą captaina morgana i dwa papierowe kubki.

Po jeziorze pływały dwie łódki, a jakiś gość śmigał na nartach wodnych. Siedzieliśmy na tych kamieniach, popijaliśmy rum z colą i obserwowaliśmy narciarza. Słońce zaczę-

ło zachodzić i jezioro jarzyło się pomarańczowym blaskiem. W parku ktoś rozpalił grilla. Pamiętam, że czuliśmy zapach pieczonego mięsa i słyszeliśmy śmiech. Rzucili fris-bee za płot i nie mogli go znaleźć. Poleciało aż tutaj i zawisło na drzewie. Frisbee na drzewie? – cholernie zabawne, zwłaszcza kiedy ma się trochę w czubie. Słońce zaszło, jezioro pociemniało. W Jake zapaliły się światła, a my paliliśmy trawkę i w końcu usnę-

liśmy na kamieniach.

Opuścił broń.

Oddychaj, mówiłem do siebie w myślach.

– To właśnie – ciągnął – było największe przestępstwo, jakie kiedykolwiek popełniłem z Monicą

Heath.

Deszcz się wzmógł, smagał jezioro za moimi plecami i uderzał w nagie konary drzew. Doranowi mokre włosy lepiły się do czoła.

– Zabił ją syn Jeffersona? – zapytałem.

Kiwnął głową.

– Tak. A potem ojciec ustawił całe śledztwo.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Dostałem kartkę od przyjaciela. Przyjaciela, który pomógł mnie wsadzić, bo skłamał przed glinami.

– Donny Ward. Opowiedział nam o wszystkim.

– Żartujesz? Nie wybierałem się do starego Donny'ego. Pomyślałem, że kiedy go zobaczę, pewnie go zabiję. A tego nie chcę. Nie on pociągał za sznurki, robił to Al ex Jefferson.

– Skąd wiesz?

– Kiedy dostałem tę kartkę, postanowiłem skontaktować się z prawnikiem, tym, który przekonał mnie, że lepiej przyznać się do winy i pójść na ugodę. Dowiedziałem się, że pracuje u Aleksa Jeffersona. Wnioski nasunęły mi się szybko. Syn Jeffersona nałgał policji. Zastanawiałem się, dlaczego to zrobił. Czyżby brał udział w tym, co się stało? Dowiedziałem się, że przekupili mojego prawnika stanowiskiem. Resztę nietrudno było sobie dopowiedzieć.

– Czemu nie wniosłeś apelacji? Czemu nie poprosiłeś, żeby ktoś jeszcze raz rozpatrzył twoją sprawę?

– Bo wtedy miałiby więcej czasu.

– Co?

– Pomyśl, Perry. Musiałbym siedzieć w pierdłu i czekać, aż zajmie się tym ktoś z zewnątrz. Jak tylko gdzieś bym zadzwonił, Jefferson zaraz by się do tego przypiął i zrobiłby to samo co wcześniej, kiedy udało mu się mnie wrobić. Miałem uwierzyć, że inny adwokacina poradzi sobie lepiej? Miałem zaufać glinom? O nie. Musiałem sam wyrównać rachunki, po swojemu. Rozumiesz? Nie chodziło tylko o więzienie, chodziło o Monicę.

Zrobił kilka kroków w prawo. Zręcznie poruszał się po śliskich kamieniach.

Wciąż padało i obaj byliśmy przemoknięci. Zimny wiatr wiał od jeziora, przeszywając mnie do szpiku kości.

– Zadzwoniłem do Jeffersona tego samego dnia, kiedy uciekłem z pudła. Powiedziałem, że się po

niego wybieram. Rzecz jasna, wszystkiemu zaprzeczał, udawał, że nie ma pojęcia, kim jestem, ale wierz mi, Perry, ogarnął go strach, taki strach, że słyhać to było przez telefon, niemal widziałem, jak robi w portki. A potem dopadłem i jego, i syna. Syn się zorientował. Zrozumiał, jaki będzie koniec. Od razu mi uwierzył.

Za to ojciec, nie. Wiesz, byłem gotów go zabić, zakończyć jego marny żywot, ale do tego kutafona to nie dotarło. Uznał, że panuje nad sytuacją.

– Wysłał kogoś, żeby cię zabił.

– I zaproponował rozczarowująco niską cenę jak na takiego nadzianego gościa.

Bez większego trudu przekonałem jego... pracownika, żeby zmienił plany.

Trzymałem rękę na biodrze, kilka centymetrów od glocka, a Doran chyba tego nie zauważył. Stał spokojnie z pistoletem wycelowanym w ziemię, ale czy tak będzie dalej?

– Wrabiasz mnie – powiedziałem. – I to skutecznie. Tego właśnie chcesz? Wy-słać kolejnego niewinnego człowieka do pierdła? Doran, to właśnie ja mówię glinom, co się naprawdę wydarzyło. Próbuję ci pomóc.

– Dostałeś ostrzeżenie, dostałeś proste instrukcje i nie posłuchałeś. To nie moja wina.

– Jak zdobyłeś odciski moich palców?

– To nie był mój pomysł.

– Nie twój pomysł? Ale to zrobiłeś, dupku. Mam ci uwierzyć, że jesteś niewi-niętkiem, że ktoś cię to tego zmusił?

– Tak, właśnie tak powinieneś myśleć. Bo to prawda, przyjacielu. Tak zawsze było. Jeśli chcesz komuś podziękować za swoje kłopoty, to podziękuj Jeffersonowi.

– Dopiąłeś swego – odparłem. – Zabiłeś Jeffersona i przeraziłeś na śmierć jego syna. Daj sobie spokój, Doran. Rachunki wyrównane.

Rozłożył ręce. Pistolet celował teraz w korony drzew.

– Dać sobie spokój? A co będę z tego miał? Dokąd pójdę? Prosto do pierdła z jeszcze większym wyrokiem.

– Na razie całkiem nieźle udaje ci się go unikać.

– Potrzebuję kasy. A że musi ją dać ta suka Jeffersona? Powiem szczerze, tym bardziej mnie to cieszy.

– Ona nie zapłaci.

Popatrzył na mnie niemal smutno.

– I zginie parę osób, Perry. Zginie parę osób.

Znów ta groźba w jego głosie. Nie pierwszy raz ją słyszałem. Poruszył się, od-wrócił ode mnie, żeby sprawdzić, gdzie postawić nogę. Nie myślałem nawet, że wy-ciągnę pistolet, ale teraz pojawiła się szansa, być może jedyna, by go użyć. Kabura na plecach zamykana była na rzepy, nie na zatrzask. Wystarczyło raz szarpnąć, żeby wy-ciągnąć glocka. Wydobyłem go błyskawicznie i wycelowałem w plecy Dorana. Do-kładnie w tej samej chwili on powiedział:

– Mam cię.

Wciąż stał plecami do mnie, ale odwrócił głowę tak, że brodą dotykał lewego ramienia i patrzył na mnie, celując z opartego na prawym biodrze colta commandera w mój brzuch. Choć instynkt nakazywałby stanąć twarzą do mnie, on po prostu obejrzał się przez ramię i obrócił broń w dłoń. Zrobił to oszałamiająco szybko.

– Chyba mamy remis – powiedziałem.

Ta dziwna pozycja Dorana – musiałby strzelać właściwie za siebie – dawała mi wprawdzie wyraźną przewagę, ale przy odległości około półtora metra nie miała większego znaczenia. Gdyby pociągnął za spust, nie mógłby we mnie nie trafić.

– Zabijesz mnie, Perry?

– Może.

Przez chwilę staliśmy nieruchomo, mierząc do siebie. W końcu Doran wzruszył ramionami i opuścił lufę.

– Zaryzykowałem mocno, kontaktując się z tobą. Ale obserwuję cię. Mam wra-

żenie, że wiesz, kim jestem, i że zaczynasz rozumieć całą tę sprawę. Stwierdziłem, że należy ci się prawdziwe wyjaśnienie. Opowiedziałem wszystko. Jeśli chcesz mnie sprzątnąć, to właśnie masz okazję.

Zrobiłem krok do przodu.

– Połóż broń na ziemi, Doran.

Pokręcił głową.

– Nic z tego. Jeśli chcesz mi odebrać splotkę, musisz mnie zastrzelić.

Jeszcze jeden krok, ale Doran utrzymał dystans, cofając się.

– Nie dasz rady strzelić?

– Jeśli będę musiał, dam radę.

– Dlaczego?

– Bo jesteś mordercą, Doran.

– Zabicie człowieka, który wrobił mnie za przestępstwo swojego syna, to nie morderstwo, lecz sprawiedliwość.

– Chyba tylko w twoim świecie.

– No to strzelaj! – Wsunął commandera za pasek i podniósł ręce, rozkładając je szeroko. – Strzelaj, Perry. Myślisz, że Jefferson nie zasłużył na śmierć? No to dostałeś szansę wszystko zakończyć. Wiem, że sam miałeś z nim mocno na pieńku, prawda?

– Nie. – Wciąż parłem do przodu, zmniejszając dystans. Był jednak wyżej ode mnie, sięgałem mu głową do ramion. Stał na kamieniu i patrzył na mnie wyzywająco.

– Ale ja miałem.

– Doran, on zasłużył na więzienie, nie na śmierć.

Roześmiał się i zrobił kolejny szybki krok w tył na jeszcze wyższy kamień.

– Naprawdę wierzysz, że do tego by doszło? Że w naszym systemie sprawiedliwości prawnik milioner poszedłby do pudła, a biedny facet z zapapraną kartoteką cieszyłby się wolnością? Pieprzenie w bambus. Wiesz, co o tym myślę? Kiedy wymkną-

łem się w tej śmieciarce z pierdla, los się do mnie uśmiechnął, a Jefferson dostał ode mnie dokładnie to, na co zasłużył. Tak wygląda sprawiedliwość, Perry. Nie ma nic słodsze-

– A szantażowanie jego żony? To też sprawiedliwość? Mało ci, że odebrałeś jej męża, teraz chcesz zabrać jej również pieniądze?

– Facet, odsiedziałem pięć lat. Twoim zdaniem to nie jest warte kilku dolarów?

Że odsiedziałem tę piątkę za czyjeś przestępstwo?

– Nie Karen je popełniła.

– Pieniądze także nie są jej. Nie ona je zarobiła.

– Na kolana i łapy na kark, Doran. Jeszcze dziś trafisz do więzienia, a potem będziesz mógł przedstawić policji i ławie przysięgłych swoją wizję sprawiedliwości. Bo na razie to ja jestem głównym podejrzanym i nie mam zamiaru iść do pierdla zamiast ciebie.

Parsknął śmiechem, który popłynął z wiatrem, nieco tylko zagłuszając szum wody bijącej o skały u naszych stóp.

– Czyż to nie piękne? Mógłbyś mnie wsadzić za kratki jeszcze dziś, siedziałbym tygodniami, miesiącami, latami, a i tak nic by to ci nie pomogło. Mogą zrobić na mnie wszelkie testy DNA, jakie tylko potrafią, sprowadzić najlepszych detektywów z całego stanu, FBI, CIA, Sherlocka Holmesa, kogo tylko chcą. Super, dobiorą się do mnie, ale ty i tak nie uwolnisz się od zarzutów.

Pośliznąłem się na kamieniu i wpadłem do wody. Nie zwracałem jednak uwagi na zimno. Trzymałem go na muszce, a on chichotał, patrząc na mnie, jakbym był

człowiekiem z ulicy, którego przyłapali ukrytą kamerą.

– Co ty wygadujesz?

– Nawet jeśli gliny mnie złapią, i tak ci to nie pomoże. Wiesz dlaczego?

– Nie.

Uśmiechnął się szerzej.

– Bo go nie zabiłem, Perry. Nie zabiłem Aleksa Jeffersona.

Mógłbym nacisnąć spust glocka i zakończyć to tu i teraz. Zadzwoiłbym do Targenta, żeby przyjechał po zwłoki Dorana i ostatecznie rozwiązał sprawę. Ale im dłużej patrzyłem na Dorana, mierząc do niego z pistoletu, tym bardziej byłem przekonany, że to niczego nie zakończy. On nie kłamał.

– Porwałeś mnie z ulicy, włożyłeś torbę na głowę i przechwalałeś się, że go za-biłeś – wycedziłem.
– Mówiłeś, dlaczego to zrobiłeś, dlaczego miałeś prawo.

– Wiem. Ale to nieprawda.

– To po co się przechwalałeś?

Wkurzył się.

– Bo powinienem był go zabić. Ten sukinsyn posłał mnie do pierdła, zrobił

mnie, przez niego odsiedziałem pięć lat za morderstwo, które popełnił jego synalek.

Postawił stopę pewnie na kamieniu i spojrzał w dół na mnie, na wymierzoną w jego pierś lufę pistoletu.

– Masz ostatnią szansę, Perry. Jeśli chcesz to zakończyć, strzelaj.

Trzymałem pistolet nieruchomo i milczałem.

– W porządku. – Zasalutował dwoma palcami. – Do zobaczenia.

– Nigdzie nie idziesz.

– No to strzelaj – powtórzył i zaczął biec. Zanim zorientowałem się, że ucieka, był już na kolejnym głazie. Biegł po nierównych, śliskich kamieniach tak pewnie, jak po bieżni w krytej hali, zaprojektowanej tak, by zapewnić jak największą szybkość i za-chowanie równowagi.

Przez chwilę stałem jak wryty, próbując mieć go cały czas na muszce. Ale skakał jak kozica z kamienia na kamień, w pionie i w poziomie.

– Cholera! – krzyknąłem. Opuściłem broń i popędziłem za nim.

Poruszał się nieprawdopodobnie szybko, zważywszy na to, że było ciemno, a warunki terenowe trudne. Starłem się dotrzymać mu tempa, ale po prostu nie potrafiłem. Miałem wrażenie, że wie, na który kamień skoczyć, jeszcze zanim go zobaczy.

Ledwo musnął stopami jeden głaz, a już skakał na następny. Przebiegliśmy tak może trzydzieści metrów, kiedy pośliznąłem się na mokrym, gładkim kamieniu jak na skórce od banana. Wyciągnięta do przodu noga straciła oparcie i runąłem w dół. Uderzyłem żebrami o skalistą krawędź. Przeszył mnie ból i zaparło mi dech. Upadłem na plecy.

Pistolet ze szczękiem poleciał gdzieś po kamieniach.

Usiadłem najszybciej, jak potrafiłem, ale przez kilka koszmarnych sekund mia-

łem wrażenie, że nie uda mi się zaczerpnąć powietrza. W końcu wziąłem głęboki, nierówny oddech i dźwignąłem się, by poszukać glocka. Leżał za mną, wciśnięty między dwa kamienie. Z wysiłkiem zrobiłem kilka kroków, podniosłem go, otarłem z brudu i wody i spojrzałem przed siebie.

Doran wspinał się błyskawicznie, miał już co najmniej pięćdziesiąt metrów przewagi. Zatrzymał się na chwilę, odwrócił i popatrzył na mnie. Uniósł rękę, pomachał mi i zniknął między drzewami porastającymi wysoki brzeg.

Rozdział 31

Nim Targent dotarł na miejsce, kręciło się tu już pięciu mundurowych. Przecze-sywali nabrzeże i okoliczny las. Wiedziałem, że nie znajdą Dorana, mimo to zgłosiłem zdarzenie policji. Najpierw jednak zadzwoniłem do Joego. Przyjechał do parku szybciej niż gliniarze, a teraz sterczał przy mnie w deszczu, słuchając, jak opowiadam wszystko nastawionemu sceptycznie sierżantowi, który poczuł wyraźną ulgę, kiedy dowiedział się, że Targent jest w drodze. Ktoś przejmie od niego pałeczkę.

Zdałem relację Targentowi. Stał z rękoma w kieszeniach, w bejsbolówce ocie-kającej deszczem.

– Sześć godzin temu wmawiał mi pan, że to Doran zabił Aleksa Jeffersona –

powiedział, patrząc na snopy światła z latarek tańczące w mokrej trawie wokół nas.

Wciąż szakali Dorana. – A teraz przyznaje pan, że się pan mylił. Ot, porwał pana i przywiózł tutaj, żeby to wyjaśnić?

– Tak powiedział.

– Więc kto zabił Jeffersona?

– Nie wiem.

– Nie wspomniał o tym? Szkoda. Ale mówi pan, że przyznał się do udziału w próbie szantażu. Wziął to na siebie.

– Tak.

– I kiedy tu byliście, do nikogo nie dzwonił?

Otarłem krople deszczu z oczu i pokręciłem głową, jak pies rozpryskując wokół wodę.

– Nie, a czemu pytasz, detektywie?

– Może pan pozwoli na chwilę do mojego wozu? Chodźcie obaj. Szkoda tak stać i moknąć – zaproponował w odpowiedzi.

Usiedliśmy w samochodzie – Joe z tyłu, jaz Targentem na przednich fotelach.

Włączył górną lampkę i wyjął mały dyktafon.

– Twierdzi pan, że o dziewiętnastej Doran był z panem?

– Tak.

– I nigdzie nie dzwonił?

– Nie.

– Dziś wieczorem Karen Jefferson odebrała telefon. Założyliśmy jej podsłuch. –

Podkreślił głośność kciukiem. – Proszę posłuchać.

Wcisnął klawisz odtwarzania. Przez chwilę słyhać było tylko szum, a potem odezwała się Karen:

– Halo?

– Jak tam moja forsa? Gotowa do przelania czy za dużo czasu zabrała ci policja?

Zupełnie obcy głos. Głęboki i zniekształcony, pewnie zmieniony jakimś urzą-

dzeniem elektronicznym.

– Nie kontaktowałam się z policją.

– Nieprawda. Poświęciłaś im sporo czasu, mimo jasnych poleceń, żeby tego nie robić.

– Prowadzą dochodzenie w sprawie śmierci mojego męża. Muszą mnie przesłuchiwać. Nie mam na to wpływu. Żadnego. – Mówiła podniesionym głosem, zła i przestraszona.

– Znalazłaś się pod wielką presją. To niedobrze. Ale to nie moja wina. Dostałem obietnicę, że pieniądze będą. Jeśli cię to denerwuje, pogadaj z Lincolnem Perrym. Z

nim też spędzasz sporo czasu.

– Jak to z Lincolnem?

– Mówiłem już, że obiecano mi pieniądze.

– Kto ci obiecał? Co ma z tym wspólnego Lincoln? Kto ci obiecał pieniądze? –

Krzyczała i płakała.

– Lincoln.

– Co?

– Lincoln obiecał mi pieniądze. Nie wiem, co ci powiedział, ale mnie zapewnił, że dostanę forszę. I nie zamierzam odpuścić. Ani on, ani ty mnie nie powstrzymacie.

– Lincoln nie obiecał ci żadnych pieniędzy! Kim jesteś? Kim jesteś...

Rozłączył się. Karen przestała krzyczeć, dopiero kiedy usłyszała ciągły sygnał w słuchawce. Znow rozległ się szum i Targent wyłączył dyktafon, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Co pan na to?

Milczałem. Gapiłem się na dyktafon, jakby był kimś żywym, człowiekiem, który mnie skrzywdził.

– Pięknie, bardzo pięknie – odezwał się Joe – tyle że to wszystko jest bez sensu.

Jeśli twoim zdaniem to Lincoln dzwonił, to po co miałby sam się ujawniać? Jeśli uwa-

żacie, że współpracuje z kimś, by wyłudzić pieniądze, to po co ten ktoś miałby go ujawniać? Cóż za nędzna próba wrobienia go.

– Bez sensu? W porządku, Pritchard, ale mógłbym to samo powiedzieć o tym, co twój partner mówił mi, od kiedy to się zaczęło. Wiesz dlaczego? Bo kiedy kłamstwa zaczynają się nawarstwiać, wszystko traci sens.

– Nie widzisz, że ktoś mnie wrabia?! – wrzasnąłem. – Najpierw odciski palców, teraz ta rozmowa i...

– A propos odcisków, twierdzi pan, że jechał z nim swoją furgonetką?

– Tak.

– Więc on zapewne zostawił tam odciski.

– Był w rękawiczkach.

– No jasne. Ale może znajdziemy jakieś inne ślady. Włókna, odcisk buta, cokolwiek.

– Może.

– Cieszę się, że pan się zgadza. Dlatego zamierzam zarekwirować pańskie auto.

– Nie krępuj się, Targent.

– A przedtem przyjrę się dokładnie oponom. Może będą pasować do śladów, jakie znaleźliśmy na tym polu, gdzie leżały zwłoki Aleksa Jeffersona.

– Nie będą pasować – powiedziałem, ale teraz już bez przekonania. Wciąż brzmiał mi w uszach głos z taśmy – co chwila wymawiał moje nazwisko – i głos Karen na granicy hysterii.

– A nawet gdyby, przestałem już wierzyć w pańskie zapewnienia.

– Jadę do Karen. Wiem, że ona nie wierzy w te oszczerstwa, ale muszę się z nią zobaczyć.

Pokręcił głową.

– Wykluczone.

– Przecież nie możesz mi tego zabronić, panie władzo.

– Mój partner wciąż jest u pani Jefferson. A ona bardzo się denerwuje. Zgodziła się, przyznając, zachęcona przez nas, wystąpić o formalny zakaz: nie wolno panu kontaktować się z nią, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Dopóki sąd nie załatwi formalno-

ści, ten zakaz będzie egzekwowany przez policję. Jeśli tylko pan zadzwoni, w ciągu godziny wpakuję pana za kratki.

– Nie możesz tego zrobić, Targent. To twój pomysł, nie jej. Ten sukinsyn do niej wydzwania, a ty próbujesz mnie od niej odciąć? Wal się. Jadę tam.

– W takim razie pojedzie pan do więzienia. Jeden telefon i ma pan to jak w banku.

Spojrzałem na Joego – i w jego oczach zobaczyłem bezradność. Co teraz robi Karen? Słucha

Daly'ego, który pielęgnyje złe ziarno zasiane przez Targenta?

– Możemy wszystko uprościć – oznajmił Targent i pochylił się do mnie. Łokciem oparł się na kierownicy, górna lampka oświetlała mu połowę twarzy. – Jeśli nie zabił pan tego faceta, to czas na wyznanie. Proszę powiedzieć nam, kto to zrobił, a wtedy będzie nam o wiele łatwiej poradzić sobie z tą sprawą.

– Podałem ci szczegóły co do jednego. Cholera, to sprawka Dorana, a jego współnika wynajął Jefferson.

– Mam dość wysłuchiwanie tych bzdur, Perry. Przejrzałem cię, wiem, że kłamiesz, i ci nie popuszczę. Niech pan zaprzecza, ile chce, jak tylko utwierdzam się w przekonaniu, że to pan wszystkim kręci. Że to pan zabił Jeffersona.

Nie odpowiedziałem.

– Proszę sobie to przemyśleć. I wynocha z mojego wozu – burknął.

Rozdział 32

Odholowali moją ciężarówkę z parku, a Targent odjechał i zostawił mnie na deszczu. Temu samemu sierżantowi, który tak bardzo chciał zrzucić odpowiedzialność na Targenta, teraz zrobiło się mnie żal – zaproponował mi kurtkę i zapytał, czy mnie podwieźć. Odpowiedziałem, że pojedę z Joem.

A Joe rozcierał bolący bark. Woda ściekała mu po głowie, włosach i skapywała na przemoczone ubranie. Włączył silnik i podkręcił ogrzewanie. Słuchaliśmy, jak dmu-chawa pompuje ledwo ciepłe powietrze; temperatura w samochodzie szybko wzrosła i okna zaparowały.

– Trzymałem go na muszce. Mogłem mu strzelić w kolano, kropnąć go i mieć to z głowy – powiedziałem.

– Nic byś nie miał z głowy. Zwłaszcza jeśli to nie Doran go zabił.

– Może zna tego, kto to zrobił. Mógłby przynajmniej potwierdzić, że to nie ja dzwoniłem. Powinienem był strzelić, Joe.

– Tak sądzisz?

Przypomniałem sobie Dorana biegnącego po kamieniach, widziałem siebie mierzącego z pistoletu w jego plecy. Pokręciłem głową. Nie strzeliłbym i teraz, z tego samego powodu, dla którego nie strzeliłem wtedy – wierzyłem mu. Wierzyłem, kiedy powiedział, że nie zabił Jeffersona, i wierzyłem, kiedy mówił, że wrobiono go w morderstwo Moniki Heath. Nie znaczyło to, że jego pobyt w więzieniu by mi nie pomógł.

Znaczyło tylko tyle, że nie potrafiłem strzelić mu w plecy.

– To jego współnik tym wszystkim kręci. To on musiał dzwonić – stwierdziłem.

– A Doran pewnie w ogóle o tym nie wiedział.

– Niewidzialny, anonimowy współnik. Nic dziwnego, że Targent kwestionuje takie wyjaśnienie. Lincoln, co to za człowiek, do cholery?

– Ten, kogo Jefferson wynajął, żeby zabił Dorana. Wiemy, że próbował zatrudnić Thora, ale mu się nie udało. Nie poddał się jednak. Znalazł kogoś, kto zechciał mu pomóc... i to jest właśnie nasz człowiek. Dogadał się z Doranem, może nawet zabił

Jeffersona.

– To się kupy nie trzyma.

– Nie?

– W jakim celu ten człowiek dogaduje się z Doranem? Żeby zaszantażować Jeffersona i wymusić wielki okup, tak ustaliliśmy. No więc po co go zabił, skoro Jefferson nie dał jeszcze forszy?

Westchnąłem i przeczesalem włosy dłonią. Paradoksalnie ciepłe powietrze z dmuchawy tylko wzmagało uczucie chłodu.

– Zabierajmy się stąd, Joe. Wracajmy do domu.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z parku, policja też już się zwijała. Przemoczeni funkcjonariusze wsiadali do wozów patrolowych. Niewiele się dowiedzieli. Deszcz smagał wielkie kamienne bloki nad jeziorem. Próbowałem wypatrzeć płot i dziurę, przez którą pięć lat temu Andy Doran i Monica Heath zeszli nad wodę z butelką rumu. Ale było ciemno i lał deszcz.

Kiedy Joe podwiózł mnie do domu, rozejrzałem się po ulicy i zauważyłem, że w miejscu, które w nocy zawsze jest puste, parkuje jakiś samochód. Długi i niski, jak crown victoria albo taurus.

– Target chce mnie mieć na oku – stwierdziłem.

Nawet nie musiałem wskazywać samochodu, Joe dostrzegł go od razu. Patrzył na niego dłuższą chwilę. Potem zaproponował:

– Zawieźć cię gdzieś jeszcze i zobaczyć, czy będą nas śledzić?

– Niech sobie siedzą spokojnie.

Wyskoczyłem z samochodu i patrzyłem, jak Joe odjeżdża.

Wszedłem do swojej kamienicy. Na górze zdjąłem przemoczone ubranie, rzuci-

łem je na kupkę na pralce i wziąłem prysznic. Potem przebrałem się w suche rzeczy i nie zapalając światła w salonie, wyjrzałem na ulicę. Bez zmian, ludzie Targenta wciąż mieli na mnie oko. Im

dłużej patrzyłem na ich wóz, tym bardziej się wkurzałem. Przeszukali mi dom, zabrali ciężarówkę, a teraz jeszcze, w nocy, mnie obserwowali.

Zaciągnąłem rolety. W mieszkaniu zrobiło się jeszcze ciemniej. Zadzwoiłem do Amy. Zwykły miły odruch, jak to w związku – przychodzisz do domu i opowiadasz partnerowi, co zdarzyło ci się w ciągu dnia. Tyle że w normalnym związku opowiadasz pewnie o zebraniach zarządu, problemach z faksem, może o wizycie u dentysty. W

moim przypadku rozmowa dotyczyła morderstwa, smaku lufy pistoletu i policyjnego przesłuchania. Dobrze, że choć w moim domu nie wiało nudą.

– To ja, Lincoln.

– Wszystko w porządku? – Po głosie poznałem, że albo spała, albo właśnie za-sypiała. Mówiła niewyraźnie.

– Bywało lepiej. Musisz wracać do łóżka?

– Nie, nie. Dopiero do ciebie dzwoniłam. – Usłyszałem, że się poruszyła, pewnie usiadła. – Co się dzisiaj z tobą działo?

– Na pieniądzech Aleksa Jeffersona odnaleziono moje odciski palców, Andy Doran wsadził mi pistolet w usta, a Karen wywaliła mnie na zбитy pysk, a potem zażą-

dała zakazu zbliżania się do siebie.

Zapadła cisza; w końcu Amy powiedziała:

– Chyba nie powinnam narzekać na swoje kłopoty z emailem i colę light bez gazu, którą dostałam do obiadu.

– Zaraz, zaraz, przecież to nie zawody, kto miał gorszy dzień. Z przyjemnością posłucham twojego narzekania.

– To się nazywa dojrzałość we wzajemnych stosunkach.

– Nauczyłem się tego na kursach przystosowania do związków. Szkolę się przez Internet, specjalnie na twoje życzenie.

– Przydałaby ci się pomoc.

– Dzięki.

– Chcesz tu przyjechać? Przecież mnie obudziłeś.

Już miałem powiedzieć „tak“, ale ugryzłem się w język.

- To nie najlepszy pomysł. Jeśli to zrobisz, pojedzie za mną policyjny ogon, a nie chcę, żeby ci idioci mieszały się też do twojego życia.
- Te odciski... Czy oni mogą to wykorzystać...
- Żeby wsadzić mnie za kratki? Pewnie tak. A co, masz fantazje na temat małżeńskich wizyt w więzieniu?
- No nie. Musiałabym cię stamtąd wyrwać.
- Tylko mi powiedz, jak trafić do tego tunelu, który wykopiesz.
- Żadnych tuneli. Nie lubię grzebać w ziemi.
- To co, przez mur?
- O tak. To bardziej w moim stylu. Gdzieś w szafie mam jakiś zakurzony hak z liną.

Te głupie żarty i idiotyczna rozmowa wyraźnie mi pomagały. Rozluźniłem się i przestawałem myśleć o policyjnej obstawie na ulicy.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ciebie brakowało w tym tygodniu. I wcale nie jako kumpla zamiast Joego – wyznałem.
- Przepraszałam, Lincoln, przykro mi.
- W porządku. Ale rozumiesz, o co mi chodzi.
- Tak. Cieszę się.
- Wyjedźmy, kiedy to wszystko się skończy. Na weekend. Sami, bez gliniarzy deptających po piętach.
- Słyszałam, że w Indianie o tej porze roku jest pięknie.
- Kiepski żart.
- Racja.

Rozmawialiśmy długo, aż w końcu dotarło do mnie, że jest bardzo późno, a Amy musi wstać rano do pracy. Pożegnałem się, odłożyłem słuchawkę i podszedłem do okna, żeby sprawdzić moich aniołów stróżów. Wciąż byli na dole, a na dachu ich auta tańczyły strugi deszczu. Stałem w ciemnościach, więc pewnie mnie nie widzieli, ale i tak na wszelki wypadek wystawiłem im środkowy palec. A potem położyłem się spać.

Kiedy zadzwonił telefon, myślałem, że to kolejna rozmowa w środku nocy. Ale otworzyłem oczy i zobaczyłem, że świta. Zerknąłem na zegarek, było tuż po siódmej, za dziesięć minut i tak włączyłby

się budzik. Telefon nie przestawał dzwonić. Już się-

gałem po słuchawkę, gdy uświadomiłem sobie, że to moja komórka. Spojrzałem na wyświetlacz: „anonim“. Przywitałem się trochę skrzeczącym głosem.

– Przykro mi, że cię obudziłem – odezwał się obcy męski głos – ale to najważ-

niejszy dzień w twoim życiu, Lincoln. Lepiej chyba wstać trochę wcześniej.

– Co? – Usiadłem na łóżku, próbując skojarzyć głos z człowiekiem. To nie był

Doran, nie Targent ani nikt, z kim ostatnio rozmawiałem.

– Wypłata, Lincoln. Wypłata. Pomożesz mi zdobyć forszę. Ktoś musi namówić Karen Jefferson, żeby przelała pieniądze. Zgłosiłeś się na ochotnika.

– Ona nie zapłaci, poza tym ja nie mogę się z nią kontaktować, dupku. Przez to, co zrobiłeś, mam zakaz zbliżania się do niej.

– Znajdziesz jakiś sposób, żeby przekonać ją, jakie to ważne. Bo ja z całą pewnością znalazłem sposób, żeby przekonać ciebie.

– Ach tak?

– Chcesz się przywitać ze swoją dziewczyną?

Zerwałem się na równe nogi i stanąłem przy łóżku z komórką w ręku, już cał-

kiem przytomny i skoncentrowany.

– Rozumiesz, co to znaczy? Czy ci szczegółowo wyjaśnić? No dobrze, mam twoją dziewczynę, Perry. Pozwoliłbym jej coś powiedzieć, ale chyba nie jest teraz w nastroju.

– Ty sukinsynu. Ona nie ma nic...

– Nic wspólnego z tym wszystkim? Nie gadaj. Ty też nie miałeś, ale postanowi-

łeś dołączyć. I się udało. A skoro tak wyraźnie dałeś nam do zrozumienia, że chcesz w tym uczestniczyć, postanowiliśmy zająć się tobą bezpośrednio. Ta twoja blond suka uznała, że to nie najlepsza metoda, ale przekonałem ją, że się myli. A teraz powtórz jeszcze raz, że wdowa Jefferson nie zapłaci.

– Nie mogę jej zmusić, żeby zapłaciła. Nie mogę z nią nawet porozmawiać.

Wokół jej domu roi się od gliniarzy, tylko czekają żeby mnie capnąć, jak się pojawię.

– Ciężka sprawa. Daję ci cały dzień, żebyś coś wykombinował. Ja też jakoś sobie zorganizuję czas.

Może z twoją dziewczyną.

– Jeśli ją tkniesz...

– Zamknij się. Nic jej nie jest, ale nie ośmielaj się mi grozić. Zamierzamy zdobyć tę forszę. I nie spotkamy się pod jakimś mostem, jak to w filmach. Nigdy nas nie zobaczysz, więc nie martw się, nie będziesz miał szansy tego powstrzymać. Daję ci czas do końca dnia; przekonaj żonę Jeffersona, żeby przygotowała kasę. Zadzwoń wieczorem z numerem konta i kilkoma prostymi poleceniami. Ona przeleje pieniądze na konto sama, przez komputer. Kiedy upewnimy się, że pieniądze dotarły i transakcja nie została sfingowana, będziesz mógł odebrać swoją dziewczynę. Również na naszych warunkach. Na razie straciłeś całkowicie panowanie nad sytuacją.

– To przez ciebie nie wolno mi rozmawiać z Karen. Wrobiłeś mnie, a teraz oczekujesz, że przekonam ją, aby ci zapłaciła? To niemożliwe.

– Wykombinuj coś, żeby to było możliwe. Rusz głową. I zdecyduj się co do policji. Sam wiesz, co ryzykujesz, powiadamiając gliny. Ale chyba jesteś wystarczająco mądry. Gliny zwykle bardzo się grzebią. Aha, Perry? Tyle się napracowałeś nad tą sprawą i jeszcze mnie nie widziałeś, nie wiesz nawet, jak się nazywam? Zastanów się nad tym.

Odłożył słuchawkę.

CZEŚĆ III

Rozdział 33

Opuściłem dłoń i zamknąłem komórkę. Palce wykonały ten ruch odruchowo, bo mózg zupełnie mi się wyłączył. Przez chwilę stałem nieruchomo, potem podszedłem do okna, rozchyliłem żaluzje i sprawdziłem, czy nieoznakowany wóz policyjny wciąż stoi na ulicy.

Chciała, żebym do niej przyjechał, a ja odmówiłem, bo mogliby mnie śledzić.

Bo mielibyśmy pod oknem policjantów, którzy przez całą noc obserwowaliby dom.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – powiedziałem na głos, ale nikt w mieszkaniu nie odpowiedział. A jednak teraz była już w to zamieszana. I to przeze mnie.

Powinienem podjąć jakąś decyzję, ale nie mogłem się skupić. Nasuwały mi się różne rozwiązania, stawała mi też przed oczami Amy. Widziałem ją w tej za dużej koszulce i okularach jak wtedy, kiedy obiecała wyciągnąć mnie z więzienia za pomocą haka, bo tak byłoby bardziej stylowo.

Dochodziła siódma dwadzieścia. Na Lorain natężenie ruchu rosło, dzień budził

się na dobre. Ludzie będą musieli się zмагаć najwyżej z wypełnianiem zeznań podatkowych czy wymianą oleju w aucie. A ja stałem skamieniały w swoim mieszkaniu i słuchałem, jak w samochodach przejeżdżają pod moim oknem.

– Rusz się, Lincoln. – Znów powiedziałem do siebie. Moje słowa rozległy się głośno i obco w pustym pokoju. – Rusz się.

Ubrałem się, zawiązałem buty, przypiąłem kaburę na plecach i włożyłem do niej pistolet. Wszystko to jak we śnie. Siódma trzydzieści. Od telefonu minął kwadrans, a ja wciąż tkwiłem w domu, niczego nie osiągnąłem. Narastało we mnie pra-gnienie szybkiego, błyskawicznego działania. Musiałem wysiłkiem woli nad nim zapanować. Szybkość bez celu jest bezużyteczna i doprowadziłaby do błędów, na które nie mogłem sobie pozwolić. Wyjść z domu? Nawet nad tym musiałem się chwilę zastanowić. Jeśli zobaczą mnie policjanci, będą mnie śledzić. A do tego nie mogę dopu-

ścić. Zszedłem na dół i wymknąłem się tylnym wyjściem. Na szczęście nikt go nie pilnował. I nic dziwnego – parkujący samochód z tyłu domu za bardzo przyciągałby uwagę. Przeszedłem przez parking, chwyciłem za szczyt drewnianego płotu za moją kamienicą, postawiłem nogę na jednej z poprzecznych belek i przeskoczyłem przez ogrodzenie, lądując w zaułku. Potem przeskoczyłem przez kolejny płot na inne po-dwórko, wyszedłem na Chatfield i truchtem ruszyłem do domu Joego.

Już nie spał, siedział w kuchni przy stole z kawą i rozłożoną gazetą. Zwykły poranek – póki się nie zjawiłem. Drzwi były otwarte, bo wcześniej kupował prasę. Kiedy wszedłem do środka, spojrzął na mnie i uniósł się z krzesła.

– Lincoln?

– Mają Amy.

– Co?

– Mają Amy. Doran i jego kumpel. Właśnie do mnie dzwonił.

Zaczął kręcić głową, jakby nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

– Karen powinna im przelać pieniądze dziś wieczorem. Muszę ją do tego przekonać.

– Nie możesz z nią rozmawiać.

– Właśnie. Próbowałem mu to powiedzieć. Ale nic nie wskórałem.

Opowiedziałem mu wszystko, przytaczając rozmowę telefoniczną najdokładniej, jak potrafiłem. Kiedy skończyłem, Joe znów zaczął kręcić głową.

– Lincoln, potrzebujemy pomocy. Dzwonź do Targenta. Chodzi o porwanie.

– Zabiją ją, Joe.

– I tak mogą ją zabić.

Spojrzałem na niego, a on podniósł dłoń i powiedział:

– Przepraszam.

– Nie. Masz rację. – Strach wyparł otępienie. Przeraziłem się. – I tak mogą ją zabić. Nawet jeśli Karen im zapłaci, i tak mogą to zrobić. Musimy zdecydować, w jaki sposób najlepiej ochronić Amy. Joe, nie sądzę, żeby zwrócenie się do Targenta było dobrą decyzją.

– Więc co robić?

– Musimy utrzymywać ich w przekonaniu, że Karen zapłaci. Że wszystko układa się po ich myśli.

– Lincoln, chodzi o życie człowieka. Chodzi o Amy. Chcesz wziąć odpowiedzialność za finał tego wszystkiego? Chcesz sam się w to pchać?

Czułem na plecach glocka, twardą bryłę w kaburze. Jego nieprzyjemny ucisk.

Chciałem poczuć jego ciężar w rękę, pociągnąć za spust i patrzeć, jak pocisk wylatuje z lufy i wbija się w... w kogo?

– To nie był Doran – powiedziałem.

– Nie on dzwonił?

– Nie. Nie Doran, tylko jego kumpel.

– Nawet nie wiemy, kto to – stwierdził Joe. – Nie wiemy, kim jest ani gdzie się znajduje, a nie mamy czasu go szukać. Możemy wezwać ekipę od porwań z FBI, żeby byli gotowi, kiedy tamci zadzwonią do Karen, żeby próbowali negocjować.

– Gliny to spieprzą i Amy... – Nie dokończyłem: „i Amy umrze“. Nie potrafiłem powiedzieć tego chłodno i brutalnie, nie o niej. Ale to było właśnie takie chłodne.

Chłodne i rzeczywiste.

– A jeśli my to spieprzymy, to efekt będzie inny?

– Muszę porozmawiać z Karen – postanowiłem. – Od tego trzeba zacząć. Skontaktują się z nią, ale wcześniej ona musi się dowiedzieć, co się zmieniło. Musi wiedzieć, że teraz chodzi o życie człowieka.

– Poprosisz ją żeby zapłaciła?

Nie odpowiedziałem.

– Lincoln?

– Nie wiem. Łatwiej jest odzyskać pieniądze niż ludzkie życie. Karen to zrozumie.

– Mają cię w garści – stwierdził Joe. – Nie rozumiesz tego? Przez ostatnie kilka dni snuli intrygę, aby udowodnić, że to ty chcesz wymusić pieniądze od Karen, a teraz wręcz przekonali cię, żebyś to zrobił. Jeśli zaczniesz naciskać, żeby zapłaciła, to jak są-

dzisz, czym to się skończy? Tym, że Amy wyjdzie z tego bez szwanku, a ty sobie usią-

dziesz w spokoju i oświadczysz Targentowi, że już po wszystkim? Wykluczone. Urzą-

dzą kolejny spektakl, który cię pogrąży.

– Musimy ich przekonać, że wszystko idzie tak, jak sobie zaplanowali. To nam da trochę czasu.

– Czasu na co? Nie mamy zielonego pojęcia, jak dotrzeć do tych facetów.

– Chcę z nią porozmawiać, Joe. Oni się z nią skontaktują, a kiedy to się stanie, Karen musi rozumieć, co się dzieje.

– Jeśli tam pojedziemy i okaże się, że pilnuje jej jakiś gliniarz, to po tobie.

Aresztują cię za złamanie zakazu zbliżania się i będziesz musiał wszystko wyjaśniać już zza krat.

– A jednak spróbuję – odparłem. – To co, zawieszysz mnie, czy mam sobie poszukać jakiegoś samochodu?

Joe spochmurniał. Chciał załatwić wszystko zgodnie z regułami, wezwać gliny i FBI, rozwiązać to tak, jak poradziłby każdemu w podobnej sytuacji... tyle że tu chodzi-

ło o Amy, o kogoś, kogo znał i na kim mu bardzo zależało. Nie mógł jednak nie brać pod uwagę mojego zdania. I wiedział, jakie jest ryzyko.

– Zawiozę cię, ale musisz mi obiecać, że na razie nie wykluczysz wezwania pomocy. Lincoln, oni wzięli zakładnika. Rozumiesz? Nie damy rady rozwiązać tej sprawy, nie samodzielnie. Jeśli liczysz, że Karen zapłaci, jeśli wszystko odbędzie się zgodnie z ich życzeniami, to w porządku. Ale jeśli nie zapłaci, nie zamierzam ładować się w to tylko z tobą. Będziemy potrzebowali pomocy, i to naprawdę największych policyjnych fachowców.

– Zastanowimy się nad tym po rozmowie z Karen.

Nie podobało mu się to, ale nie odpowiedział, bo znów rozdzwonił się mój telefon. Obaj byliśmy pewni, że to Doran albo jego kumpel. Tym razem jednak numer rozmówcy się wyświetlił.

– Targent.

– Możesz odebrać. Powiedz mu, co się dzieje.

– Jeszcze nie teraz.

– Może coś wie. Po co by dzwonił tak wcześnie, jeśli...

– Jeszcze nie teraz, Joe. Chcę się zobaczyć z Karen.

Długi podjazd – to był problem. Przejechaliśmy ulicą w tę i z powrotem i nie dostrzegliśmy żadnej ekipy obserwacyjnej. Ale podjazd zasłaniały drzewa. Jeśli u Karen czuwał jakiś policjant, to nie zobaczylibyśmy jego wozu, dopóki nie podjechaliby-

śmy pod sam dom.

– Nie sądzę, żeby ktoś siedział z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę – powiedziałem. – Na całodobową obserwację policja w Cleveland szarpie się bardzo rzadko. Zresztą teraz, kiedy odcięła się ode mnie, właściwie nie ma powodu, żeby ją obserwować.

– Obyś się nie mylił. – Joe znów zbliżał się powoli do podjazdu.

– Skręć.

Wjechał na podjazd. Minęliśmy zakręt, potem drzewa i zobaczyliśmy dom.

Żadnego samochodu, ani śladu obecności policji. Oczywiście mogli zostawić kogoś u Karen i odjechać, ale ufałem swojemu instynktowi. Skoro nie było zakładników – a poza mną nikt nie wiedział o porwaniu Amy – to przypadek taki jak Karen nie kwalifikował się do aż takiej ochrony policyjnej. Jeszcze nie.

Joe zaparkował, a ja błyskawicznie wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem po schodkach. Zakaz zbliżania to był pomysł Targenta, ale to nie znaczyło, że Karen po-traktuje go poważnie i wezwie policję, kiedy mnie zobaczy. Gdy Joe wysiadał z wozu, ja już pukałem do drzwi. Ozdobny witrażyk obok nich zniekształcał obraz wnętrza domu, ale zobaczyłem, że do drzwi podchodzi Karen. W rękę trzymała bezprzewodowy telefon.

– Cholera – mruknąłem pod nosem, a potem odezwałem się głośniejszym głosem – Karen, to ja Lincoln. Musisz ze mną chwilę porozmawiać.

Zatrzymała się, ale nie podniosła telefonu do ucha.

– Nie, Lincoln. Nie wolno ci tu przychodzić. Mam powiadomić policję, jeśli tylko choćby się odezwiesz. Odejdź, proszę.

– Oni porwali kobietę – powiedziałem. – Karen, tu chodzi już nie tylko o nas.

Musisz mnie wpuścić, musimy porozmawiać.

Patrzyłem na nią a ona cofnęła się w głąb domu.

– Nie mogę. Porozmawiaj z policją, nie ze mną.

– Karen!

– Odejdź Lincoln. Dzwonię na policję.

Podniosła słuchawkę i odwróciła się tak, żebym widział, jaki numer wystukuje.

Kiedy to zrobiła, zareagowałem bez namysłu. Odsunąłem się, podniosłem nogę i pię-

tą z całej siły kopnąłem w środek drzwi. Drzazgi poleciały z framugi, puścił zamek, nie pokonałem jednak blokady. Karen krzyknęła, ale ja kopnąłem znowu i tym razem blokada ustąpiła. Drzwi otworzyły się na oścież, a ja wpadłem do domu. Alarm zaczął

wyć, a Karen zaczęła uciekać.

Dopadłem ją na końcu korytarza i wyrwałem telefon z jej ręki. Objąłem ją w pasie i przycisnąłem, żeby nie mogła uciekać. Wtedy wszedł Joe, a kiedy odwróciłem się i zobaczyłem jego minę, czułem, że nie jestem już sobą. Twarz Joego zdradzała, co myśli: oto właśnie wyważyłem drzwi, żeby dopaść kobietę, do której nie wolno mi się zbliżać, i nie pozwolić jej zadzwonić na policję. Coś takiego Joe widział w najbardziej koszmarnych przypadkach domowej przemocy, a teraz czegoś takiego dopuścił się jego partner.

– Porwali Amy Ambrose – powiedziałem, trzymając Karen mocno przy sobie.

Próbowała się wyrwać z mojego uścisku. Patrzyła na mnie i jej twarz nie wyra-

żała już podejrzliwości, jaką widziałem wtedy, kiedy Targent stał obok, lecz przerażenie. Skamieniała. To spojrzenie zabolowało mnie bardziej niż fizyczna szarpanina. Rozluźniłem uścisk, a Karen wyrwała się i pobiegła do salonu. Popatrzyłem na nią, a potem znów na Joego, i zacząłem się zastanawiać, co się ze mną dzieje.

– Wyłącz to – zawołałem. Alarm wciąż wył i w każdej chwili mógł nam ściągnąć na głowę gliny. Karen stała pośrodku salonu. Obserwowała mnie podejrzliwie, czekała na mój ruch. – Wyłącz to i posłuchaj mnie. A potem jeśli zechcesz, możesz zadzwonić na policję. Ale daj mi pięć minut. Ci sami ludzie, którzy zabili twojego męża, teraz porwali niewinną kobietę. Musisz mnie wysłuchać.

– Proszę – odezwał się Joe zza moich pleców.

Karen spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach potwierdzenie moich słów.

Zawahała się, wróciła jednak na korytarz; minęła mnie szerokim łukiem i wystukała kilka cyfr w centralce sterującej alarmem. Syrena zamilkła.

– Przepraszam – powiedziałem. – Przepraszam cię, Karen. Ale porwali kobietę, która nie ma z tym nic wspólnego, porwali ją tylko dlatego, że mi na niej zależy. W ten sposób chcą zdobyć pieniądze.

– Mówili mi, że tak właśnie będzie. Że to ty poprosisz o pieniądze.

– Chyba nie wierzysz, że biorę w tym udział.

Nic nie powiedziała, tylko nerwowo odsunęła się w stronę schodów.

– Karen, byliśmy razem przez kilka lat. Pamiętasz to. Pamiętasz mnie. Przypomnij sobie, co zrobili z twoim mężem. Torturowali go, zakleili mu usta taśmą i...

– Wiem, co z nim zrobili!

– Przecież mnie znasz! – krzyknąłem i na kilka sekund zapadła cisza.

Staliśmy z dala od siebie, byliśmy jak trzy wierzchołki trójkąta. Baliśmy się do siebie zbliżyć.

– Wierzysz, że mógłbym mieć z tym coś wspólnego? – zapytałem. – Odpowiedz szczerze, wierzysz w to?

Zaczęła płakać.

– Nie. – Pokręciła głową.

– W takim razie posłuchaj uważnie. Jeszcze dziś zażądamy od ciebie pieniędzy i będą o mnie mówić najróżniejsze rzeczy, będą starali się mnie w to wrobić. Muszę mieć z tobą kontakt. Muszę móc rozmawiać, żeby spróbować uratować Amy. Potrzebuję twojej pomocy.

– Policja...

– Jeśli się do nich zwrócę, narażę życie Amy.

– Nie o to mi chodzi. Policja nie pozwoli mi z tobą rozmawiać. Pod słuchują rozmowy...

– Zostawię ci swoją komórkę albo Joego. Cokolwiek, żebyś mogła mieć ze mną kontakt.

– Oni tu będą Lincoln. Policja będzie w domu przez cały dzień. Już tu jadą.

– Co?

Oddychała szybko ze strachu, który to ja w niej zasiałem. Zerknęła na Joego, a potem znów na mnie.

– Aresztują cię. Detektyw Targent właśnie dzwonił, żeby mi o tym powiedzieć.

Wysyłają tu kogoś, żeby mnie chronił, póki cię nie dopadną.

– Aresztują mnie?

Kiwnęła głową i cofnęła się w stronę salonu, bliżej do mnie.

– Powiedział mi, że zamordowano jakiegoś Donny'ego Warda. Tego, który podobno opowiadał ci tyle o Andym Doranie. Zeszłej nocy znaleźli jego zwłoki. I pienią-

dze. Z twoimi odciskami palców. – Przerwała i patrząc mi prosto w oczy, dodała: – I mojego męża. Na pieniądzach były odciski palców was obu.

Spojrzałem na Joego. Milczał. To, co przewidziałem w biurze, właśnie się sprawdzało. To były pieniądze Jeffersona z moimi odciskami palców. Teraz mogli mnie aresztować.

– Donny Ward. Cholera, Lincoln – zaklął. – Byliśmy u niego. Mógł już wtedy leżeć martwy w środku. Widział nas jeden z sąsiadów.

Odwróciłem się do niej. Patrzyłem jej prosto w oczy i próbowałem znaleźć w nich dawną Karen, próbowałem jej pokazać dawnego mnie. Nie wiedziałem, czy moż-

na tego dokonać desperackim spojrzeniem zamglonym strachem, ale próbowałem.

– Nie zrobiłem tego. Nie zabiłem ani twojego męża, ani Donny'ego Warda, ani nikogo innego. Ale mogą mnie wsadzić do więzienia. W porządku, niech wsadzają.

Sam się zgłoszę. Jednak dopiero wtedy, kiedy Amy będzie bezpieczna.

– Wierzę ci, Lincoln. Boję się! Boję, nic nie rozumiem, ale ci wierzę. Dlatego cię ostrzegam.

Przeszedłem się po salonie, bez celu. Wróciło odrętwienie, które opanowało mnie z samego ranka. Zacząłem myśleć o Donnym Wardzie i kupce banknotów z odciskami palców moich i Aleksa Jeffersona.

– Joe, jesteście zdani tylko na siebie. Nie możemy teraz iść na policję. Wykluczone. Kiedy tylko mnie zobaczą, aresztują mnie za morderstwo, a moja opowieść o Amy będzie dla nich tylko kolejną historyjką, zasłoną dymną. Nim potwierdzą, że naprawdę zniknęła, stracimy zbyt dużo czasu.

Pod dom zajechał samochód. Usłyszeliśmy pisk opon i warkot silnika. Silnik ucichł, rozległ się trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Joe wyrzwał na zewnątrz.

– Gliniarz – syknął.

Karen nawet na niego nie spojrzała. Nie spuszczała wzroku ze mnie.

– Detektyw Targent czy ktoś inny? – zapytała.

– Jakiś funkcjonariusz z patrolu. Młody.

Błyskawicznie minęła Joego i podeszła do drzwi. Patrzyłem na nią, potem zerknąłem na dziedziniec i zastanawiałem się, czy powinienem zaryzykować. Nie udałooby się nam zabrać wozu Joego z podjazdu, ale gdybym przebiegł przez dziedziniec, mógłbym znaleźć inny samochód, a nawet w ostateczności jakiś ukrąść. Musiałem stanąć na głowie, żeby nie trafić do celi, póki Amy nie będzie bezpieczna.

– Dzień dobry – odezwała się Karen.

Policjant wszedł już do domu. Za późno na ucieczkę. Odwróciłem się do niego, a on spojrzał podejrzliwie najpierw na Joego, potem na mnie i zaczął sięgać po broń.

– Pani Jefferson? – zapytał, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Miał najwyżej dwadzieścia kilka lat. Młodzik. Zwykły funkcjonariusz z patrolu.

Jeśli ktoś nie pokazał mu mojego czy Joego zdjęcia, nie mógł nas rozpoznać. Obserwowałem go i doszedłem do wniosku, że nie widział naszych fotografii, ale pewnie słyszał, jak wyglądamy, bo coś podejrzewał.

– Dziękuję, że pan przyjechał – powiedziała Karen. Stała tuż przy futrynie, zasłaniając uszkodzenia po moich kopniakach. – Detektyw Targent mówił mi, że kogoś wysła.

– Aha. – Dzieciak wciąż się wahał. Patrzył na mnie, najwyraźniej gotów w każdej chwili sięgnąć po broń, ale spokój Karen nie pasował mu do tego, co podejrzewał, i ewidentnie był zmieszany.

– To John i David – mówiła, wskazując na Joego i na mnie. – Przyjaciele męża.

Poprosiłam ich, żeby zaczekali ze mną, póki się pan nie zjawi.

Policjant zmrużył oczy, wypatrując śladu kłamstwa, ale patrzyła na niego spokojnie.

– Błyskawicznie pan dotarł. Dziękuję.

– No... nie ma za co, proszę pani.

Karen dała nam szansę. Czas ruszać w drogę, pomyślałem. Podeszedłem do Joego i klepnąłem go delikatnie w ramię, wskazując na drzwi.

– Zbieramy się, niech pan policjant robi, co do niego należy.

– Słusznie.

Ruszyliśmy do drzwi. Spodziewałem się, że młody funkcjonariusz zaraz przestanie wierzyć w te bzdury i sięgnie po broń, a potem wezwie posiłki. Ale on odsunął

się na bok, żeby nas przepuścić.

– Dziękuję, że przyjechaliście – powiedziała Karen. – Bardzo mi pomogliście.

Pochyliłem się ku niej, objąłem ją i przytuliłem policzek do jej twarzy, szepcząc do ucha:

– Dziękuję.

– Powodzenia – odparła.

Stała w drzwiach, zasłaniając uszkodzoną framugę, dopóki samochód Joego nie zniknął jej z oczu.

Rozdział 34

Przez kilka kilometrów jechaliśmy w pełnej napięcia ciszy. Obaj wpatrywaliśmy się w lusterka i nasłuchiwalismy odgłosu policyjnych syren. Ale nic się nie działo. Jeśli policjant zauważył uszkodzoną framugę, Karen na pewno wyjaśniła to przekonująco.

A nie było jej łatwo, po tym gdy mi odbiło i kopniakiem utorowałem sobie drogę do jej domu. Lecz przecież mnie znała. Mimo że tyle się wydarzyło, wciąż wiedziała, jaki jestem. I to wystarczyło.

– Donny Ward – odezwał się w końcu Joe. – Biedny sukinsyn. Myślisz, że to sprawka Dorana? Opowiedziałeś mi o Donnym.

– Doran wiedział o nim już wcześniej. Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale nie potrafię się tym teraz przejąć. Chodzi o Amy, Joe. Tylko nią się zajmuję. Tam u Karen mówiłem prawdę: kiedy tylko odzyskam Amy, sam się zgłoszę na policję i niech wszystko się rozstrzygnie zgodnie z prawem. Na razie jednak nie mogę do nich iść.

Nie mogę ani oddać się w ich ręce, ani poprosić o pomoc. W ogóle nie biorę tego pod uwagę.

– Rozumiem.

– Znowu te cholerne pieniądze. Szastają nimi tylko po to, żeby mnie zrobić. I chyba są pewni, że uda im się z Karen.

– To miała być karta atutowa. Nie wydaje mi się, żeby Doran i jego kumpel chcieli ją tak szybko wyciągać.

– O czym ty mówisz?

– To wystarczy na nakaz, wystarczy, żeby wsadzić cię do więzienia. Kiedy już położą łapę na pieniądzech, sprawy potoczą się dla nich idealnie: skupiasz na sobie całą uwagę policji, a oni znikają. Niestety, ciało Warda znaleziono bardzo szybko, co wcale im nie pomaga. Nie możesz manipulować Karen, a to przecież nie po ich myśli.

– Jeśli się dowiedzą... jeśli się dowiedzą, jak bezużyteczny się właśnie stałem...

– Pewnie wpadną w panikę.

Nie musieliśmy mówić, co może oznaczać panika, zwłaszcza w przypadku, gdy przetrzymują Amy.

– Musimy ich odszukać, nim się dowiedzą i zaczną się domagać pieniędzy. Tyle mamy czasu, Joe. Tak mało.

– Za mało, Lincoln. Służby do spraw zbiegłych więźniów i gliniarze szukają Dorana od tygodni. Jak go znaleźć w kilka godzin?

– Poprosimy o pomoc.

– Rano też byłem za tym, ale zdobyli już przecież nakaz aresztowania. Jeśli pójdziesz na policję...

– Nie o taką pomoc mi chodzi. Nie o policję.

– W takim razie o kim pomyślałeś?

– O Thorze..

Nie miałem pojęcia, gdzie go szukać. Numerów telefonów facetów takich jak Thor nie znajdzie się w książce adresowej, a nawet jeśli, to przecież i tak nie byłem pewien, jak on się nazywa. Jego nazwisko widziałem tylko raz, w raporcie FBI, a nie należało do tych, które natychmiast się zapamiętuje. Jakaś dziwna zbitka paru K i V, do tego chyba z dziesięć samogłosek. Bez nazwiska, musieliśmy próbować dotrzeć do niego przez znajomych, znaleźć kogoś, kto pomógłby nam go odszukać. Tyle że takich ludzi raczej lepiej unikać w trosce o własne zdrowie.

– Spróbujemy przez Belova.

Dainius Belov kiedyś zaproponował nam pomoc. Z takiej oferty człowiek wo-lałby nigdy nie skorzystać, ale teraz chyba była to nasza jedyna nadzieja.

– Ten dom przy Lake? – zapytał Joe.

– Nie znam innego miejsca, gdzie można go znaleźć.

Pokręcił głową wyraźnie mu się to nie podobało.

– On może nam pomóc, Joe – przekonywałem. – Jeśli powie nam, jak znaleźć Thora, możemy dotrzeć do gościa, który skontaktował go z Jeffersonem. Ten gość zapewne spiknął też Jeffersona z kumplem Dorana. A jeśli tak, to znajdziemy partnera Dorana i odbijemy Amy.

– Zakładając, że znajdziemy Thora i że będzie chciał z nami gadać.

– Tyle nam zostało. Może to jedyne wyjście.

– Rozumiesz, do kogo chcesz się zwrócić o pomoc? To zabójca. Cyngiel na usługach jednego z najgorszych przestępców w tym mieście.

– Musimy wniknąć w świat tego faceta, Joe. To także świat Thora.

Obejrzał się przez ramię, upewnił, że pas jest pusty, przyspieszył i pojechał na zachód drogą nr 480. Nie zaprotestował, po prostu milczał.

Joe prowadził, a ja myślałem o niej, przypominałem sobie, jak wyglądała na kanapie, jak spała z włosami na twarzy, oddychając równo i głęboko. Czy teraz śpi?

Czy skrzywdzili ją, ogłuszyli, nafaszerowali jakimiś środkami? Związali i zakneblowali?

Doran może celuje do niej ze swojego colta commandera? Czuję ból w skroniach i chłód gdzieś głęboko w trzewiach.

Wydano nakaz aresztowania; ten kawałek papieru zaprowadzi mnie do więzienia jako oskarżonego o morderstwo. Ale ta myśl mnie nie dręczyła. Nie napawała takim przerażeniem jak myśli o Amy. Jeśli wyrwę ją z rąk tych drani, to reszta się nie liczy. W porównaniu z kumplem Dorana – a właściwie jego głosem w telefonie – Targent był jak dobry znajomy.

Joe jechał dokładnie z taką prędkością, jaką wskazywały znaki – czyli przeraźliwie wolno, ale rozumiałem, dlaczego nie przyspiesza. Najgorsze, co mogłoby nam się teraz przydarzyć, to gdyby drogówka przyłapała nas na przekroczeniu prędkości. I tak jazda jego wozem niedługo stanie się zbyt ryzykowna. Targent w końcu nakaże go szukać, pomyślałem.

Wyjechaliśmy za miasto, a potem zawróciliśmy na zachód, jadąc Cleveland Memorial Shoreway aż do Lake Avenue. Nie znaliśmy dokładnego adresu, ale żaden z nas nie miałby problemu z odnalezieniem domu. Byliśmy tam jeden jedyny raz, w towarzystwie Thora i innego cyngla Belova. Takie wizyty zapadają w pamięć.

Wielki dom w stylu wiktoriańskim zupełnie się nie zmienił, on i jego otoczenie wyglądały nieskazitelnie. Zastanawiałem się, czy sąsiedzi wiedzą, czym zajmuje się Belov, czy snują jakieś domysły – agent nieruchomości, makler? – jedząc obiad i patrząc przez okna na tę cichą posiadłość i odwiedzających ją mężczyzn o obcych rysach i surowych twarzach.

Zaparkowaliśmy na podjeździe, podeszliśmy chodnikiem i zadzwoniliśmy do drzwi. W środku

panowała głucha cisza. Joe zadzwonił jeszcze raz. Odczekaliśmy na-stępnych kilka minut. Nadal cisza. Nikogo nie było w domu.

– Nie ma go, a to dla nas niedobrze – powiedział Joe. – Gotów byłbym uwierzyć, że Belov może nas skontaktować z Thorem. Ale co zrobimy bez niego?

– Spróbujmy w River Wild. – Odwróciłem się, zbiegłem po schodkach i wróci-
łem do samochodu.

Joe stał wciąż przed drzwiami i mi się przyglądał.

– I co, wejdiesz tam, odchrząkniesz i zapytasz o Thora? W tej budzie?

River Wild, klub ze striptizem w dzielnicy Flats, był lokalem kontrolowanym przez rosyjską mafię. Często wpadała tam drużyna Dainiusa Belova.

– Masz przy sobie broń? – zapytałem.

– Tak.

– To dobrze.

Klub River Wild mieścił się na wschodnich obrzeżach Flats – starej dzielnicy magazynów, w której pełno było restauracji, klubów i tętniło nocne życie. Wiele z tych lokali teraz poznikało. We Flats znów nastał kryzys. River Wild jakoś się trzymał, ale to nie sztuka, kiedy ma się wsparcie mafii. Okna knajpy zabito wypłowiałymi szarymi deskami, żeby przechodnie nie gapili się na tancerki. Na klamce wisiał łańcuch, drzwi nie były jednak zamknięte. Otworzyłem je i wszedłem do ciemnego wnętrza.

Nigdy dotąd nie byłem w tym barze, ale widziałem kiedyś jego ziarnisty obraz w obiektywie kamery. Kamery, która nagrała morderstwo. Weszliśmy do szerokiej głównej sali zastawionej rzędami stolików przed wysoką sceną z czterema mosiężny-mi rurami pośrodku. Po lewej stronie sali był jeden bar, a po prawej – drugi. Nad naszymi głowami tykał zegar w kształcie piersi. Nigdzie żywego ducha, ale słyszeliśmy jakieś głosy.

– Na zapleczu jest jeszcze jedno pomieszczenie.

– Owszem. – Joe nie powiedział nic więcej, lecz miałem wrażenie, że myśli do-kładnie o tym samym, o czym myślałem ja: to w tym pomieszczeniu na zapleczu ka-mera nagrała morderstwo.

Przeszliśmy przez pustą salę, minęliśmy scenę i bar, obok którego znaleźliśmy podwójne drzwi. Głosy słyszeliśmy teraz wyraźniej. Sięgnąłem ręką za plecy, żeby sprawdzić glocka, po czym wszedłem na zaplecze przez drzwi, a Joe tuż za mną. Trzej mężczyźni siedzący przy stole i jeden, który stał, spojrzeli na nas wrogo.

Na stole leżały talie kart, nikt jednak nie grał. Z cygara snuła się cienka smuzka dymu.

Nie znałem żadnego z tych facetów, ale ten, który stał – niski, z beznamiętną twarzą i potężnymi barkami jak u małego umięśnionego psa – kogoś mi przypominał. Widzia-

łem go na zdjęciu rok wcześniej na spotkaniu w FBI.

– Macie jakiś interes? – odezwał się jeden z tych siedzących. W brodzie miał

głęboki dołek, a stalowego koloru włosy przylegały mu do głowy, jakby dopiero wyszedł z basenu. – A może weszliście tu przez pomyłkę i teraz chcecie przeprosić i spieprzać?

Joe stanął obok mnie. Zaskrzybiało krzesło, bo ten, który siedział do nas plecami, obrócił się, żeby się nam przyjrzeć.

– Szukamy Thora – powiedziałem, jakby codziennie obcy przychodzili w takiej sprawie.

Mężczyzna wstał.

– Thora tu nie ma, panie władzo – warknął.

– Nie jesteśmy gliniarzami.

– Nie? W takim razie koniec uprzejmości. Wypad.

Mówił z wyraźnym rosyjskim akcentem, którego Thor właściwie się wyzbył.

Miał krzywy nos i liczne blizny nad ustami i obok oka. Na pewno nieraz się bił i podobało mu się to, szukał zwady jak alkoholik, który potrafi przejechać pięćdziesiąt kilometrów, żeby znaleźć otwarty bar i strzelić lufkę.

– Nie jesteśmy gliniarzami – powtórzyłem. – A Thor nas zna. Belov też.

– Jeśli jesteście w takiej dobrej komitywie, to pewnie wiecie, gdzie go znaleźć.

– Zadzwoń do niego – odparłem. – Skontaktuj się z nim, podaj mu moje nazwisko i niech on zdecyduje. Ale muszę z nim porozmawiać.

– Ludzie, którzy muszą porozmawiać z Thorem, wiedzą, gdzie go znaleźć, dupku. A jeśli nie wiedzą i to Thor musi z nimi pogadać? Wtedy on ich znajduje. Kapu-jesz? A teraz wynocha. Lokal jeszcze zamknięty, a to jest sala prywatna.

Pokręciłem głową.

– Może nie wyraziłem się jasno. Muszę z nim porozmawiać o czymś, w co może się wmieszać policja. Wiecie, co będzie, kiedy Thor się dowie, że mógł tego uniknąć, ale wy spieprzyliście sprawę? Wkurzy się.

– No to idź na tę policję i powiedz im, żeby mnie cmoknęli w fiuta. Co to w ogóle ma znaczyć?

Włazisz tu i grozisz nam, jakbyś nas dobrze znał, a nie znasz nikogo.

– Chcesz o to zapytać Thora?

– Nie muszę. – Powoli minął nas, uderzając barkiem o ramię Joego. Joe skrzywił

się, próbując nie dać po sobie poznać, że go zabolalo. Zauważyłem to jednak, Rosjanin też. Stanął przed nim – z czołem na wysokości jego podbródka – i się uśmiechnął.

– Boli? – Zamachnął się i uderzył go szybkim ostrym ruchem kantem dłoni. Trafił prosto w uszkodzone ścięgna ramienia.

Joe sapnął z bólu i odsunął się o krok. Rosjanin wybuchnął śmiechem.

– Nie przyłaż tu z jakimś staruchem i nie wydawaj mi rozkazów – warknął i zamilkł, bo walnąłem go w szczękę.

Usłyszałem szuranie krzesel po podłodze – pozostali zrywali się od stołu, ale nie patrzyłem na nich. Ten, który uderzył Joego, porządnie ode mnie oberwał, otrzą-

snął się jednak i rzucił na mnie. Rąbnąłem go prawym łokciem, z obrotu, żeby uderzyć z większą siłą jak kijem bejsbolowym. Trafiłem go z boku w usta i poczułem ostre krawędzie jego zębów. Zachwiał się i upadł, a ja wyciągnąłem glocka. W samą porę, bo facet, który siedział plecami do nas, już miał mnie zaatakować, lecz kiedy się od-wrócił, z bliska mierzyłem do niego z pistoletu.

Dwaj inni się poderwali. Ten z dołkiem w brodzie trzymał krzesło w rękach, go-tów nim rzucić. Joe też wy dobył swoją broń. Patrzyli na mojego glocka i na pistolet Joego. W końcu krzesło stanęło na podłodze, a Rosjanie cofnęli się o kilka kroków. Je-

śli nawet któryś z nich był uzbrojony, nie zdążył wyjąć gnata i teraz to my dyktowali-

śmy warunki.

– Może nie zrozumieliście mnie, kiedy mówiłem, że to ważna sprawa – odezwa-

łem się. – Ważna również dla Thora. Kiedy sobie pójdziemy, możecie swobodnie zadzwonić do szefa. Powiedzcie Belowowi, że jeden z waszych kumpli kretynów napadł

dziś na niejakiego Joego Pritcharda; zobaczycie, jak się ucieszy.

Milczeli, wściekli, jak to zabijaka po przegranej bójce, której na pewno długo nie zapomni.

– Dobra. Zapytam jeszcze raz: gdzie mogę znaleźć Thora?

Znowu cisza. Ten na podłodze próbował się podnieść. Z ust buchała mu krew.

Dotykał kciukiem szczęki. Nie spojrzałem na swoją rękę, ale czułem, jak ciepła krew sączy mi się po

przedramieniu. Pamiątka po zębach Rosjanina.

– Wiecie, gdzie jest Cujo's? – odezwał się ten z dołkiem w brodzie.

Cujo's to kolejny bar, około kilometra dalej. Nigdy nie byłem w środku, ale pamiętałem szyld z pyskiem warczącego psa.

– Tak.

– Jedźcie tam.

– Tam znajdziemy Thora?

– Najprawdopodobniej.

– Wolałbym numer telefonu.

– Do Cujo's?

– Do Thora.

– On nie używa telefonów. Jedźcie do Cujo's.

Nie byłem przekonany, czy Thor rzeczywiście nie ma telefonu, ale czemu nie?

Wolał trzymać się w cieniu.

– Dobrze. Pojedziemy do Cujo's. A jeśli go tam nie znajdziemy, wrócimy tu. Z

Belovem.

Czcza pogróżka, bo ani Joe, ani ja nie mieliśmy pojęcia, gdzie szukać Belova, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Cofnąłem się do drzwi, nie opuszczając pistoletu. Gdzieś tu na pewno była broń i nie chciałem dać im szansy, żeby po nią się-

gnęli.

Rosjanin, którego zniecka uderzyłem, wessał krew z ust, przekrzywił głowę i zrobił krok do przodu, żeby mnie opluć. Ale Joe był szybszy: zamachnął się zdrową ręką, w której trzymał broń, i walnął go w środek czoła. Na dźwięk metalu uderzają-

cego o kość wszyscy zeszywnieli. Rosjanin runął na podłogę. Po raz drugi. Stałem już wtedy przy drzwiach. Wyszedłem, a Joe tuż za mną. Przeszliśmy szybko z wyciągniętą bronią przez główną salę, ale nikt za nami nie biegł.

– Walnąłeś go, bo uderzył cię w ramię? – zapytałem.

– Nie. To za tego starucha.

Do Cujó's dojechaliśmy w dziesięć minut. Wydawało mi się, że to przy Carter Road, okazało się jednak, że bar stoi przy West Fourth, za zakolem rzeki. Z parkingu można było zobaczyć estakadę Eagle Avenue, a kawałek dalej ceglane kominy starej remizy strażackiej na nabrzeżu, wybudowanej specjalnie po to, by walczyć z pożarami składów drewna. Każdego innego dnia stałbym sobie na tym skrawku popękanego asfaltu i podziwiał piękny widok na rzekę, dzięki której miasto kwitło. Ale dziś rozglą-

dałem się tylko po to, żeby sprawdzić, czy w okolicy nie ma gliniarzy.

Pod szyldem „Warczący pies“, na desce ozdobionej czerwonymi kroplami śliny z pyska bestii, wypisano godzinę otwarcia baru: „codziennie od 16“.

– Tutejsze lokale mają chyba specjalne godziny dla Rosjan – stwierdził Joe.

– Zauważyłem.

Na parkingu stało kilka samochodów i stara furgonetka, ale nikogo nie było widać. Kiedy zbliżyliśmy się do wejścia, wyjąłem broń z kabury i oparłem ją o udo.

– Wchodzisz od razu na ostro? – zapytał Joe.

– Nie wierzę temu typkowi z River Wild. Może Thor tu jest, a może próbował nas wystawić.

– Też tak pomyślałem. A jak wejdziemy i wdepniemy w to samo, co tam, to co?

Będziemy przez cały dzień wpadać z bronią do kolejnych barów i rozpytywać o Thora?

– W ten sposób możemy odbić Amy, Joe. Policja nie będzie wiedziała, gdzie szukać kumpla Dorana, nawet jeśli uwierzą w moją opowieść. A Thor będzie wiedział.

– No to się pospieszmy i go znajźmy.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Popchnąłem je i wszedłem do środka. Nie paliły się żadne lampy u sufitu, ale salę oświetlały wiszące na ścianach różnokolorowe neony.

– Żadnych znajomych twarzy – stwierdził Joe.

– W ogóle nikogo. – Zrobiłem jeszcze trzy kroki i nagle usłyszałem, jak drzwi się zatraskują.

Ktoś zarzucił mi łańcuch na szyję i zacisnął. Szarpnął mnie tak mocno i zniechęca, że najpierw stanąłem na palcach, a potem poleciałem do tyłu. Zdołałem wcisnąć palce lewej dłoni między szyję a łańcuch, ale niewiele mi to dało. Metalowe ogniwa wbijały mi się w ciało, czułem, że brakuje mi tchu, że już nie zasmakuję powietrza, jeśli ten za mną nie rozluźni łańcucha.

W rękę wciąż trzymałem glocka, ale kiedy go podniosłem i próbowałem wycelować w napastnika,

on po prostu wykopał mi go z dłoni. Wtedy, dusząc się, złapałem za łańcuch obiema rękami.

Zza baru wyszedł ktoś w koszulce bez rękawów. Widziałem, jak bierze zamach i biegnie do mnie. Zdążyłem jeszcze napiąć mięśnie brzucha, nim mnie uderzył. Ale i tak miałem wrażenie, że od tego ciosu popękały mi wnętrzności. Dostałem w splot słoneczny i wypuściłem drogocenne powietrze z płuc. Odruchowo chciałem go zaczerpnąć, ale łańcuch wokół szyi mi to uniemożliwiał. Dusłem się, czułem rozdzierają-

cy ból od żołądka aż po gardło. Czegoś takiego nigdy nie zaznałem.

Sala rozplynęła się i zmieniła w tańczące diamenty, aż w końcu łańcuch rozluź-

nił się, a mnie rzucono na podłogę. Nie miałem szansy poderwać się, bo łańcuch uderzył mnie w skroń. Oszołomiony, ustami przejechałem po deskach podłogi, zbierając z niej pył i brud.

Ledwo widziałem przesuwaną się przed moją twarzą snop światła. Nie czułem jeszcze bólu w czaszce, bo skupiałem się przede wszystkim na tym, żeby zaczerpnąć tlenu do płuc. Usłyszałem głosy. Rosyjski. Leżałem na podłodze i oddychałem powoli i z bólem. Ilekroć nabierałem powietrza, zachłystywałem się pyłem i brudem, lecz powietrze nigdy jeszcze nie smakowało mi tak słodko.

Kiedy upewniłem się, że mogę znów oddychać, obróciłem się na bok i podpar-

łem na łokciu. Ze skroni spływała mi krew. Wytarłem ją ręką i usiadłem, rozglądając się po sali. Joe stał przy drzwiach – potężny facet zacisnął mu rękę na gardle i przystawił pistolet do głowy. Ci, którzy mnie zaatakowali, trajkotali po rosyjsku z tym, któ-

ry właśnie wszedł do baru, wpuszczając snop światła. Zamrugałem kilka razy, żeby lepiej widzieć. Kilka ostrych słów i Joe był wolny. Nadal nie widziałem dobrze w ciemności, ale skojarzyłem ten cichy, spokojny głos, mimo że mówił po rosyjsku. Znaleźli-

śmy Thora.

Rozdział 35

Chwilę później Thor klęknął przy mnie i przebiegł palcami po moich włosach, badając ranę.

– Rany na głowie zawsze krwawią. Nie wygląda źle – stwierdził. Odwrócił się i powiedział coś po rosyjsku. Mężczyzna w koszulce bez rękawów zanurkował za barem i wrócił z ręcznikiem. Thor włożył mi go do ręki i przycisnął do mojej skroni.

– Możesz wstać?

– Tak. – Zwilżyłem usta językiem. – Próbowaliśmy cię znaleźć w River Wild. I chyba twoi chłopcy stamtąd nas wystawili.

Kiwnął głową.

– Powiedzieli mi, co się stało, i gdzie was wysłali. Na szczęście dla was byłem niedaleko stąd.

– No tak.

– Wejść tam i zrobić to... to nie było mądre.

– Mnie też się tak wydawało, ale musiałem cię odszukać. Thor, złe wieści. Ci...

– Nie tutaj – uciął stanowczo. Wstał, podał mi rękę i pomógł wstać. – Wychodzimy. Poprowadzisz auto, a potem porozmawiamy.

Poszedłem za nim do drzwi wejściowych. Joe chyba nie ucierpiał. Pewnie przy-trzymali go, żeby patrzył, jak dają mi w kość. Może kiedy skończyliby ze mną, dobrali-by się do niego. Teraz mogłem zobaczyć tego, który zacisnął mi łańcuch na szyi –

bladą małpę z wytatuowanymi ramionami, a nawet szyją. Thor doprowadził mnie do drzwi, a sam się cofnął. Ścisnął szczękę wytatuowanego i szepnął coś po rosyjsku.

Wydawało się, że nie używa siły, ale tak naprężył mięśnie ręki, że facet się skrzywił i łzy napłynęły mu do oczu. Nie stawiał jednak oporu. Thor szeptał do niego przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu go puścił, gość stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Thor otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby nas przepuścić.

– Wszystko w porządku? – Joe podał mi pistolet.

Oderwałem ręcznik od głowy i popatrzyłem na ciemnoczerwoną plamę.

– Tak.

– Wciąż mocno krwawisz.

– Przejdzie.

Było już niemal południe. Co najmniej pięć, sześć godzin upłynęło od zniknię-

cia Amy. W tym czasie wiele się mogło zdarzyć. Mogli ją wywieźć ze stanu – wrzucić na tył furgonetki i jechać, jechać, oddalając się od nas z każdym kilometrem. Ale nie był to najgorszy możliwy scenariusz, po prostu najgorszy, o jakim odważyłem się my-

śleć.

Drzwi znów się otworzyły i ukazał się w nich Thor. Pokazał palcem na taurusa Joego.

– To twój wóz?

– Tak.

– No to nim pojedziemy. Ty go poprowadzisz, a ty opowiesz mi, co się dzieje i dlaczego robicie takie głupie rzeczy.

Joe wskoczył za kierownicę, Thor popchnął mnie na fotel pasażera, a sam usiadł z tyłu. Miał na sobie ciemne dżinsy, ciemną marynarkę – nie musiałem się przyglądać, czy coś się pod nią odznacza, by wiedzieć, że jest uzbrojony – a na rękach rękawiczki, choć nie było jeszcze tak zimno, by je nosić. Widziałem, że Joe spogląda w lusterko, obserwując naszego pasażera. Nie odzywałem się, dopóki nie wyjechaliśmy z parkingu.

– Wiem, kto szantażował Aleksa Jeffersona. Nazywa się Andy Doran i pracuje z facetem, którego zatrudnił Jefferson po tym, gdy odrzuciłeś jego ofertę. Został wynajęty, żeby zabić Dorana, uporać się z problemem dręczącym Jeffersona, tymczasem skumplował się z Doranem. Pewnie uznał, że to się bardziej opłaca.

Przed nami zapaliło się żółte światło. Joe skręcił w prawo, by nie stać na skrzyżowaniu. Jechał bez celu, po prostu jechał przed siebie.

– Dziś porwali kobietę.

Thor rozparł się na kanapie i gapił przez okno. Nie zareagował na moje słowa.

Nie patrzył na mnie.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego. Zupełnie nic, Thor – przekonywałem. – Porwali ją, bo wiedzą, ile dla mnie znaczy. Muszę dowiedzieć się, kim jest kumpel Dorana, a potem go odnaleźć. I to już.

– I twoim zdaniem ja wiem, kto to taki?

Pokręciłem głową.

– Nie, ale znasz człowieka, który może to wiedzieć. Ten, kto skontaktował

Jeffersona z tobą, ten prawnik, opowiadałeś mi o nim. On może wiedzieć. Jeśli Jefferson raz mu zaufał, to pewnie do niego wrócił, to się trzyma kupy. Muszę wiedzieć, kto to, i muszę się z nim spotkać.

– Mówiłem ci już, że nie chcę brać w tym udziału. Policja odnalazła mnie przez pomyłkę. Nie chcę kolejnych pomyłek.

– Siedzisz w tym głębiej, niż ci się wydaje. Wiesz, że chcą mnie aresztować? Są-

dzą, że to ja zabiłem Jeffersona. Tak naprawdę, ich zdaniem zaaranżowałem to morderstwo. A ciebie uważają za sprawcę, Thor.

– A zabił go ten Doran?

– Twierdzi, że nie.

– W takim razie kto?

– Nie wiem i na razie mnie to nie obchodzi. – Odlepiłem zakrwawiony ręcznik od skroni. Krew zaczęła w końcu krzepnąć. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na Thora.

Nie zmienił pozycji, wciąż siedział rozparty na kanapie. Ale widziałem, że zaciska dłonie. – Muszę ratować Amy. Tak się nazywa. Amy Abrose. Thor, ona nie ma z tym nic, nic wspólnego. Poza tym, że popełniła błąd, wiążąc się ze mną, nic jej z tą sprawą nie łączy. A wpadła w ich łapy.

Próbowałem mówić spokojnie i bez emocji, ale mi się nie udało. A Thor to zauważył. Kiedy znów się obróciłem, spojrzał na mnie swoimi lodowatoniebieskimi oczyma.

– Pomóż nam go znaleźć, Thor.

Zapadła cisza. Wiedziałem, że powinienem się zamknąć. Thor się namyślał, a my mogliśmy tylko czekać. Tak jak mówiłem wcześniej Joemu, poruszaliśmy się teraz w świecie mroku i potrzebowaliśmy przewodnika takiego jak Thor.

– To nie będzie przesłuchanie, nic podobnego do śledztwa – odezwał się w końcu. – Zdobędziemy niezbędne informacje. Ale nie w sposób, do jakiego przywykli-

ście. A jeśli uda nam się go namierzyć, dowiedzieć się, czyja to sprawa, będzie to przeciwnik, z jakim nie mieliście jeszcze do czynienia: zawodowiec, zawodowiec od zabijania. Tak to wygląda.

– Rozumiem.

Długo patrzył mi w oczy, tak długo, że musiałem odwrócić wzrok. Potem powiedział nam, gdzie jechać.

Rozdział 36

Adwokat nazywał się J.D. Reed. Thor wyjaśnił nam, że nie jest to prawnik, do jakiego przychodzi się, żeby sporządzić testament czy szukać pomocy w procesie o jakieś drobne odszkodowanie. Reed pracował dla mafii, był oszustem, który dostał się do palestry. Wbrew moim wyobrażeniom nie specjalizował się w obronie przestępców, ale w prawie podatkowym, a konkretnie w oszustwach podatkowych. Zaczął od fałszowania ksiąg dla malutkiego alfonsa, który miał kilka barów w Cleveland, a wśród nich River Wild. Tam właśnie Reed poznał Dainiusa Belova, który w końcu kupił ten lokal. Mecenase Reed nie był członkiem rosyjskiej mafii, co to, to nie, ale pomagał

gangsterom oszczędzać dolary i czasami wyciągał ich z prawnych tarapatów. Zdobywał coraz więcej kontaktów i szybko zaczął obracać się w kręgach zorganizowanej przestępczości Cleveland, w środowisku rosyjskiej mafii, Włochów, wszelkiej maści alfonsów i oszustów. Ot, prawnik oszust. Pozytywną stroną tak otwartego zepsucia było to, że jego sieć powiązań błyskawicznie się rozwijała. Jeśli ktoś był na bakier z prawem i potrzebował prawnika, często proponowano mu J.D. Reeda. Biznes w świecie przestępczości nie różni się tak bardzo od biznesu legalnego – liczy się przede

wszystkim obiegiem opinia.

– On ukrywa pieniądze. I robi to dobrze – stwierdził Thor. – A kiedy jest się w tym dość dobrym, zyskuje się sławę. Wśród pewnych ludzi.

– To on zapoznał cię z Jeffersonem?

– Zaaranżował spotkanie.

Thor wskazał nam podziemny parking pod starym ceglanym magazynem przebudowanym na biurowiec. Nadal byliśmy w śródmieściu, może dwanaście przecznic dalej. Kiedy Joe wyłączył silnik, Thor pochylił się, żeby widzieć nas obu.

– Cokolwiek się dzisiaj zdarzy, nie powiecie o tym nikomu. Znacie wartość milczenia, udowodniliście to wcześniej. I o tym nie zapomnijcie.

– Nie zapomnę – zapewniłem.

Thor odwrócił się do Joego.

– A ty zaczekasz na nas.

– Co? – Joe spochmurniał.

Thor nie odpowiedział, po prostu spojrzał na niego, jakby cisza wyjaśniała wszystko. I tak było. Zrozumiałem to, choć Joe tego nie pojmował. Ja przeszedłem już pomyślnie próbę. Joe nie widział jeszcze Thora w akcji, a ja widziałem, co on robi, ale tego nie widział. Dla Thora Joe jeszcze nie udowodnił, że potrafi zachować dyskrecję.

Nie w takim stopniu jak ja.

Thor wysiadł z samochodu, a ja za nim. Ruszyliśmy do windy. Dotknąłem skroni palcami. Kiedy je oderwałem, miałem na opuszkach płatki zaschniętej krwi. Głowa bo-lała mnie wokół szramy, ale ból był tępy.

W windzie Thor wcisnął guzik dwunastego piętra, ostatniego.

– Jesteś pewien, że tam będzie? – zapytałem.

– Mieszka i pracuje w tym samym budynku. Biuro i apartament są połączone.

Zawsze gdzieś tam jest.

Thor nie zdjął kurtki ani rękawiczek. Twarz miał obojętną, bez wyrazu. Opowiadał mi o Reedzie swoim normalnym głosem, tym starannym angielskim bez skrótów i modulacji. W żaden sposób nie okazywał emocji. Tak właśnie szedł przez życie, nie zostawiając po sobie śladu. Patrząc na niego, miałem wrażenie, że gdyby chciał, mógłby przeniknąć przez ścianę, zostawić mnie samego w

windzie, bym zastanawiał

się, czy tylko go sobie wyobraziłem. Wiedziałem, że policjanci z wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną też tak o nim myślą.

Zadźwięczał dzwonek i drzwi windy się rozsunęły. Wyszliśmy na pusty korytarz prowadzący do tylko jednych drzwi. Nie było na nich ani numeru, ani nazwiska.

– To penthouse – wyjaśnił Thor. Chwycił za klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Obok wisiał mały domofon. Thor wcisnął klawisz i czekał. Kilka sekund później odezwał się spokojny głos.

– Tak?

– Thor.

Cisza, po czym głos odezwał się ponownie, tym razem już zdecydowanie mniej spokojny.

– Och, jasne, człowieku. Proszę, proszę. Wejdz.

Brzęczenie i blokada ustąpiła. Thor energicznie otworzył drzwi. Wszedł do środka, a ja za nim.

Znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu, po części mieszkaniu, a po części biurze. Rozejrzałem się: biurko w kształcie litery U, a za nim dwie półki na książki i kilka szafek. Przed biurkiem skórzane fotele. Na ścianie obok półek na książki – wielki płaski telewizor. Po drugiej stronie biurka mały barek z kilkoma butelkami wina i kryszta-

łową karafką wypełnioną szkocką whisky.

Przestrzeń biurowa przechodziła poniżej w salon ze skórzanymi fotelami, sofą i gigantycznym telewizorem. Przez panoramiczne okno od sufitu do podłogi można było podziwiać zwodzony most na Cuyahodze i rozpostarte za nim miasto.

Do salonu wkroczył niski, kędzierzawy mężczyzna. Szedł szybko, jak ktoś, kto przywykł towarzyszyć ludziom o znacznie dłuższych nogach. Miał na sobie spodnie od garnituru na szelkach i koszulę. Bez marynarki. Kiedy zobaczył Thora, przyspieszył, niemal biegł przez pokój z wyciągniętą ręką. Zauważył mnie, ale obrzucił tylko zacie-kawionym spojrzeniem, bo skupił się na Thorze.

– No, człowieku, rzadko się zdarza, żebyś tak wpadał bez uprzedzenia.

Thor uściśnął dłoń Reeda i mocno nią potrząsnął. Reed potknął się, a Thor po-

łożył mu lewą rękę na plecach i popchnął go prosto na szklane półki – zadrżały, jedna runęła na podłogę, ale hartowane szkło nie pękło. Z półki, tuż pod moje nogi, spadła mała rzeźba z onyksu i zdobiona popielnica. Reed próbował odzyskać równowagę, ale Thor jeszcze mu dołożył – uderzył go kolanem w krocze tak mocno, że Reed wyprostował się jak struna, potem upadł na plecy i zaczął się

skręcać z bólu.

Ten nagły atak zaskoczył mnie nie mniej niż Reeda. Thor nie przejawiał żadnych oznak agresji do chwili, kiedy popchnął prawnika na półki. Teraz stał nad nim i patrzył obojętnie, jak Reed wije się po grubym dywanie, a z oczu lecą mu łzy i otwiera szeroko usta.

– Podałeś moje nazwisko Aleksowi Jeffersonowi – odezwał się Thor po kilku minutach, kiedy Reed zaczął znów normalnie oddychać. – Spotkałem się z nim, żeby wysłuchać jego oferty, i powiedziałem, że mnie z kimś pomylił. Na tym powinno się skończyć. Ale się nie skończyło. Wiesz, z kim musiałem rozmawiać? Wiesz, z kim mu-szę się zadawać przez twoją głupotę?

Reed z trudem usiadł i popatrzył na Thora oczami zbesztanego dziecka, które szykuje się na lanie. W odpowiedzi tylko pokręcił głową.

– Z detektywami policji. Przyszli do mnie porozmawiać o Jeffersonie. Bardzo ich interesowało moje spotkanie z nim. Domyślasz się, że to mi się nie spodobało. Nie spodobało mi się, że ich na mnie nastąłeś.

– Nie – Zaprzeczył Reed. Usta miał pełne śliny,

– Owszem, nastąłeś. Wciągnąłeś mnie w to. – Thor spojrział na mnie. – Opowiedz mu, co się teraz dzieje.

Uklęknąłem przy Reedzie, a on odsunął się, podpierając się rękami.

– Ten, kto zabił Jeffersona, zamiast Thora, porwał kobietę. Porwał ją, żebym nie wchodził mu w drogę. Próbuje wyłudzić miliony dolarów od żony Aleksa Jeffersona.

Wysłałeś Jeffersona do niego po pomoc, ale on zwrócił się przeciw Jeffersonowi.

– Słyszysz? Porwanie – powiedział Thor. – Wiesz, kto się pojawia, kiedy chodzi o porwanie?

Reed milczał, aż w końcu zorientował się, że Thor czeka na odpowiedź.

– Policja – wyszeptał.

– FBI – sprostował Thor. – Wkrótce tą sprawą mogą się zainteresować agenci federalni. Zaczną rozmawiać z policją, która powie im, że powinni porozmawiać ze mną. I to wszystko przez ciebie.

Reed pokręcił głową.

– Nie wiem, o czym mówicie. Ja tylko zaaranżowałem twoje spotkanie z Alekssem. Nie wiedziałem, czego chciał. Ja tylko...

Thor złapał go za włosy i szarpnął. Reed syknął i podźwignął się, żeby zmini-malizować ból. Thor wsunął prawą rękę do kieszeni i wyciągnął srebrny nóż myśliwski marki Buck, swój ulubiony. Przejechał po nim kciukiem, otworzył ostrze i przycisnął je Reedowi do gardła.

– Nie mam ochoty słuchać twoich wymówek i dziecięcych jęków. Naraziłeś mnie, więc teraz wyśpiewasz wszystko. Rozumiemy się?

– Uhm – bąknął Reed.

Thor przekręcił nóż tak, żeby czubkiem wbijał się w mięsisty podbródek Reeda.

– Kiwnij głową, że się rozumiemy – polecił Thor.

– Rozumiemy się.

– Kazałem ci kiwnąć głową.

Reed przełknął ślinę i spojrzał na Thora. Czubek noża wbijał mu się w podbró-

dek, uniemożliwiając ruch głową. Stwierdził jednak, że lepiej spróbować wykonać rozkaz. Kiedy kiwnął głową czubek noża przesunął się w górę i w dół podbródka. Najpierw pojawiła się biała kreska, ale po chwili trysnęła krew.

– Dobrze – powiedział Thor. – Pierwsze pytanie. – Spojrzał na mnie. Przez chwilę ja też patrzyłem na niego, w końcu domyśliłem się, że czekał, aż się odezwę.

– Czy Jefferson wrócił tu po tym, gdy Thor mu odmówił?

Reed zmrużył małe brązowe oczka. Nie znał mnie, ale obwinał o to, co się teraz działo. Stał z zakrwawioną brodą a cyngiel rosyjskiej mafii wyrwał mu włosy z głowy. Odpowiedział jednak:

– Tak.

– Wysłałeś go do kogoś innego? Do kogoś, kto mógłby mu pomóc rozwiązać jego problem?

Tym razem Reed się zawahał, a Thor przycisnął mocniej nóż, robiąc głębszą szramę w skórze.

– Nie. – Reed próbował dojrzeć nóż.

– Kłamiesz – powiedziałem. – Do kogo go wysłałeś?

– Nigdzie go nie wysyłałem.

– Podaj nazwisko.

– Przecież mówię, że do nikogo innego go nie wysyłałem.

Thor obserwował mnie. W końcu opuścił rękę, złożył nóż i wsunął go do kieszeni.

– Twoim zdaniem on kłamie? – zapytał mnie.

– Tak.

– Nie kłamię, ty dupku. Nie wiem nawet, czego wy w ogóle ode mnie chcecie. –

Reed wytarł zakrwawiony podbródek. Nagle znów stał się odważny.

Thor stracił chyba zainteresowanie dyskusją. Wyszedł z salonu na korytarz, po czym zniknął w pomieszczeniu po lewej stronie. Chwilę później zgrzytnął kurek i za-częła lecieć woda. Reed postanowił skorzystać z okazji i rzucając niepewne spojrzenia w głąb korytarza, podbiegł do stołu z telefonem.

– Albo zadzwonię po kogoś, żeby was stąd wyprowadził, wy świry – ostrzegł, sięgając po słuchawkę – albo sami sobie pójdziecie.

Trzymał już telefon w rękę, kiedy walnąłem go pięścią prosto w potylicę. Runął

twarzą na kanapę. Chwyciłem go za rękę, wykręciłem mu ją na plecach i wyrwałem słuchawkę.

– Podasz mi to nazwisko – warknąłem. – A dopóki tego nie zrobisz, do nikogo nie zadzwonisz ani nikt stąd nie wyjdzie. Wiesz, do kogo poszedł Jefferson, ty sukinsynu. Mów.

– Daj go tutaj – usłyszałem głos Thora.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że stoi na szczycie schodków do salonu, machając do mnie ręką w rękawiczce. Szarpnąłem Reeda do góry i popchnąłem w stronę Thora. Thor sięgnął pod kurtkę i wyjął glocka kaliber 9 mm, bardzo podobnego do mojego. Reed zadrżał. Thor wycelował pistolet w jego czoło i rzucił:

– Zaprowadź go do łazienki.

Popchnąłem Reeda w głąb korytarza, a Thor szedł tyłem przed nami, mierząc w prawnika.

– Puśćcie mnie, bo zacznę krzyczeć – powiedział Reed, szarpiąc się, ale nie mógł się uwolnić. – W pobliżu jest ochroniarz. Usłyszysz mnie.

– Nie usłyszysz – odparł Thor. – A ty nie będziesz krzyczał.

Otworzył drzwi; wepchnąłem przez nie Reeda. Stanęliśmy przed wielką wanną, do której lały się kaskady wody. Para zamgliła lustro za naszymi plecami. Reed trząsał

się, drżały mu kolana.

– Nie... Nie rozumiecie. Ja się zajmuję finansami! Niczym więcej! Nic nie wiem o tej kobiecie.

Thor stanął obok mnie i teraz on wykręcił rękę Reeda. Szarpnął i Reed jęknął z bólu. Odsunąłem się.

– Rozbierz go – polecił Thor.

– Co?

Schowwał glocka do kabury i znów wyjął nóż. Błyskawicznie przejechał ostrzem wzdłuż wykręconego ramienia Reeda, odcinając rękaw koszuli. Kolejne dwa szybkie ruchy i opadły szelki.

– Zdejmuj mu najpierw koszulę. A potem spodnie.

Nie ruszyłem się. Spojrzał na mnie i jego błękitne oczy ostro załśniły.

– Najpierw koszula – powtórzył.

Chwyciłem za kołnierzyk. Reed bronił się wolną ręką, ale i ją mu wykręcił, i to bez wysiłku. Jak na tak szczupłego mężczyznę był zadziwiająco silny. Rozpiąłem koszulę, a Thor odciął ją od rękawów. Opadła na podłogę. Zobaczyliśmy bladą klatkę piersiową i spasyony brzuch Reeda. Pocił się i trząsał ze strachu, aż kołysały mu się oponki na bokach.

– Przestańcie. Przestańcie. Nie – dyszał.

– Zdejmujemy ci ubranie, a ty wejdiesz do wanny – warknął Thor. – Będziesz miał ostatnią szansę, żeby powiedzieć prawdę. Nie skorzystasz, podetnę ci żyły, poczekam, aż umrzesz, a potem zatrę wszelkie ślady naszej obecności i zostawię cię w wodzie.

Reed szarpał się, ale Thor trzymał go mocno. Po nodze Reeda spłynęła strużka moczu. Nie patrząc w dół, Thor lekko się cofnął.

– Zdejmij mu spodnie – polecił. – Spodnie i buty, a potem wsadzimy go do wanny.

– Przestańcie! – krzyknął Reed. Nogi się pod nim ugięły i Thor musiał go przytrzymać, żeby nie upadł. Twarz miał mokrą od łez i pary wodnej.

– Tommy Gagliocci – wydusił chropawym, zdławionym głosem. – Chyba to do niego wrócił, choć niechętnie.

Spojrzałem na Thora i po raz pierwszy, od kiedy wszedł do Cujo's, zobaczyłem na jego twarzy reakcję. Po błysku w oczach zrozumiałem, że zna to nazwisko, ale było w nich coś jeszcze. Niepokój?

– Wiesz, o kim on mówi? – zapytałem.

Thor popatrzył na Reeda, a potem na mnie. Znów opanowany, obojętny. Kiwnął głową.

– Kiedyś pracował dla Włochów. Jego rodzina miała liczne koneksje w czasach, kiedy to się liczyło. Teraz pracuje sam. Nie lubi spółek. To inteligentny, brutalny i nie-przewidywalny człowiek. Nie wiem, gdzie go można znaleźć.

Przyklęknąłem na jedno kolano, żeby spojrzeć Reedowi prosto w twarz. Mokre włosy przykleiły mu się do czoła, a krew i woda spływały mu różową strużką po ustach i brodzie.

– Powiedziałeś, że Jefferson chyba do niego wrócił. Wyjaśnij to, Reed.

– Dawno temu poprosiłem Gaglionciego, żeby pomógł Jeffersonowi. Nie wiem, o co chodziło, Jefferson po prostu przyszedł do mnie, a ja go skontaktowałem z Gaglioncim. Dlatego...

– Zaczekaj – przerwałem mu. – Jak dawno temu? Kiedy to było, Reed?

– Nie wiem, może z pięć lat.

– Nie... Wiesz i namyślisz się teraz, a potem powiesz, kiedy dokładnie to było.

Pociągnął nosem, bo mu z niego ciekło. Zaczął się zastanawiać.

– No... jakieś pięć lat temu.

– Konkretniej.

– Latem. Pamiętam, że to był środek lata.

– A gość jest Włochem. Ciemnej karnacji, umięśniony?

– Tak.

Jasna cholera. Przypomniałem sobie, jak Donny Ward opisał faceta, który zastrzelił mu psa, a Jerry Heath fałszywego gliniarza, który przyjechał z Jeffersonem i Fentonem Brooksem. Lato, pięć lat temu. Kiedy Doran został aresztowany, jeszcze zanim wymuszono na nim przyznanie się do winy. Jefferson nie chciał wracać do Gaglionciego, ale nie miał wyjścia. Teraz przypomniałem sobie Dorana na brzegu jeziora; powiedział mi wtedy, że jego kumpel to ten sam człowiek, którego Jefferson wynajął, żeby go zabił. Doran chyba nie rozumiał, jaką rolę odegrał Gaglionci we wsadzeniu go za kratki.

– To ten sam facet. I ten palant teraz pracuje z Doranem, choć wcześniej posłał go do ciupy. Wygrywa ten, kto machnie mu większym plikiem forsy. Doran przekonał go, że mogą wyciągnąć z Jeffersona więcej, niż Gaglionci zarobiłby, zabijając Dorana.

Doran po prostu nie wiedział, kim jest ten typ, i dlatego to zrobił – wybuchnąłem.

Reed nie rozumiał z tego ani słowa i przeraził się jeszcze bardziej.

– Mówiłeś, że Jefferson do niego wrócił, choć nie chciał – ciągnąłem. – Wyjaśnij to.

– Powiedział mi, że znów kogoś potrzebuje, ale nie Gaglionciego. Nie ufał mu.

Chyba się go bał. Oświadczyłem mu, że nie wiem, do kogo go wysłać, ale wciąż pytał, nalegał, więc w końcu zaproponowałem, żeby się zgłosił do... – Reed rzucił nerwowe, szybkie spojrzenie nad moim ramieniem – ...Thora.

– Więc nie wiesz, czy wrócił do Gaglionciego? Tylko się domyślasz?

– Wrócił do niego. Powiedział mi, że mu się to nie podoba, ale nie miał nikogo innego, a czas uciekał.

– Jak znaleźć Gaglionciego?

Otworzył i zamknął usta. Z kącika pociekła mu nitka śliny, ale się nie odezwał.

– Reed, możemy cię tu zabić. Dobrze o tym wiesz. Zostawić w wannie, a ktoś cię znajdzie za dzień czy dwa. Do tego czasu wykrwawisz się i zeszywniejesz. To twój wybór. Tyle właśnie możesz zyskać na milczeniu.

– Mieszka gdzieś po wschodniej stronie. Nie znam adresu. Mam tylko jego komórkę.

– Porwał kobietę. Myślisz, że zabrałby ją do własnego domu?

Wysunął język i oblizał wargi.

– Chyba nie.

Chyba nie. Ledwo powstrzymałem się, żeby go nie uderzyć. Odwróciłem się i spojrzałem w lustro. Zobaczyłem w nim swoją zniekształconą przez parę twarz, ale strach na niej był wyraźnie widoczny. Zrobiliśmy krok do przodu, lecz to za mało. Nawet jeśli Gaglionci przetrzymywałby Amy, nie zabrałby jej przecież do własnego do-mu. Moglibyśmy go przeszukać... i niczego nie znaleźć. Tak. To był zawodowiec i gdzieś na pewno miał jakąś kryjówkę.

Thor puścił Reeda. Prawnik osunął się na podłogę i poczołgał do toalety. Pró-

bował się wcisnąć między sedes a ścianę. Popatrzyłem na niego i poczułem gniew i niesmak. Przez całe życie zarabiał na przestępstwach innych, ludzi takich jak Gaglionci i Doran. Oni ukrywali zwłoki, on ukrywał pieniądze. Ukrywał pieniądze. Tak właśnie powiedział Thor: ukrywa pieniądze. I robi to dobrze. A co takiego wydusił sam Reed, kiedy go tu przywlekliśmy? Ja się zajmuję finansami. Niczym więcej! Nic nie wiem o tej kobiecie.

– Oni mają zamiar przelać miliony za pośrednictwem komputerów – odezwa-

łem się. – Chcą je nie tylko przelać... chcą żeby zniknęły. Dzięki transakcji nie do wy-

śledzenia nawet dla zawodowców.

Reed wpatrywał się w podłogę, wciśnięty za sedes. Wskazałem na niego i od-wróciłem się do Thora.

– Czy on potrafi coś takiego zrobić?

Thor pokiwał głową, poruszony.

– Tak. Mógłby to zrobić.

Reed próbował się ratować. Ale nie miał dokąd iść. Był uwięziony w łazience tylko z nami. Zaczął szlochać.

– Nie wiedziałem o tym. Nie miałem pojęcia o tej kobiecie. Obiecałem mu tylko pomóc z pieniędzmi. Wiedziałem tylko o tej forsie. O niczym więcej!

Przetykał ślinę i łzy. Kiwałem głową, słuchając go, i pomyślałem, że chyba wyglądam na opanowanego, bo najwyraźniej się uspokoił. Przestał szlochać, choć po twarzy wciąż ciekły mu łzy, i powtarzał w kółko, że wiedział tylko o pieniądzach.

– W porządku. To naprawdę świetnie, Reed. Bardzo się cieszę, że pomagasz mi z pieniędzmi. Ale chyba będziesz miał problem z tą transakcją. I będziesz musiał spotkać się z nim osobiście – oświadczyłem.

Rozdział 37

To Joe wymyślił odpowiedni scenariusz.

Dołączył do nas po tym, kiedy Thor wyciągnął Reeda z powrotem do salonu.

Powiedziałem, że chcę, żeby przyszedł do nas, i Thor nie protestował. Kiedy Joe wszedł do mieszkania, natychmiast spojrzął na Reeda. Prawnik siedział w bieliźnie, wciąż mokry od potu i pary. Z twarzy kapała mu krew. Joe długo mu się przyglądał, a potem popatrzył na mnie.

– Mamy nazwisko – powiedziałem.

Milcząc, zszedł do nas do salonu. Wiedziałem, co sobie myśli – że w ciągu tylu lat potrafił wydobywać informacje z wielu podejrzanych, ale żadnego nie doprowadził

do takiego stanu. Ale prowadziliśmy teraz zupełnie inną grę i dlatego właśnie zwróci-

łem się do Thora. Znajdowaliśmy się w świecie mroku, a zegar tykał. Nie czas było na zasady.

Joe usiadł, a ja wyjaśniłem mu, że Reed ma dokonać przelewu pieniędzy i że chcę go wykorzystać przeciwko Gaglionciemu i Doranowi.

– Jeśli uda nam się ich tu sprowadzić, osiągniemy połowiczny sukces. Musimy więc wymyślić powód, dla którego Reed chce się z nimi spotkać osobiście. Zadzwońią do mnie za kilka godzin z instrukcjami, jak przelać pieniądze. Musimy zmienić ten plan, podać im coś, co będzie wyglądało na informację od Reeda. I to coś na tyle istotnego, żeby jeden z nich sam się tu pofatygował.

Joe zmarszczył czoło.

– Gaglionci przetrzymuje porwaną kobietę. Nie będzie łatwo go przekonać, że-by tu się zjawiał. To śmierdzi z daleka.

– Joe, on chce tych pieniędzy. I to bardzo. Przyjedzie, jeśli poczuje, że nie ma wyboru. Musimy tylko

znaleźć pretekst, żeby sprowadzić tu jednego z nich. A wszystko, co do tej pory wymyśliśmy, było zbyt proste: podpisanie dokumentu do przelewu czy coś podobnego. To nie zadziała. Nie w przypadku przelewu komputerowego.

Nawet jeśli Reed wpadł na jakiś pomysł, to się z nim nie wrywał. Thor milczał, obserwował nas z bronią w ręku. A ja nie miałem bladego pojęcia o przelewaniu pieniędzy.

– Reed, jak to zrobisz? Kiedy pieniądze będą już gotowe, jak chcesz sprawić, żeby zniknęły?

Reed siedział na podłodze. Przyciskał skrawek koszuli do brody, żeby zatamować krwawienie. Kiedy zadawałem pytania, odsunął koszulę i patrzył na karmazynową plamę, jakby chciał sobie przypomnieć, dlaczego warto być szczerym.

– Zrobię rykoszet.

– Słucham?

– Rykoszet, to takie nasze określenie. Kiedy pieniądze wpłyną na konto, które założyłem, natychmiast zostaną przelane na inne, i tak przejdą przez serię kolejnych rachunków. Korzystam z numerycznych kont w bankach w rajach podatkowych... za pomocą komputerów można to zrobić na miliony sposobów. Nazywa się to rykoszetem, bo pieniądze odbijają się od wielu rachunków i dopiero na końcu lądują tam, gdzie trzeba. Dzięki temu trudniej je wyśledzić.

– Te konta istnieją tylko na potrzeby rykoszetu?

Kiwnął głową.

– To ślepe rachunki. Już je przygotowałem.

– Z jakiego powodu powinieneś spotkać się osobiście z tymi facetami? To nie musi być prawdziwy powód, wystarczy, żeby zabrzmiało to wiarygodnie.

– Nie wiem.

– No to lepiej zacznij myśleć, dupku. Bo albo tu przyjdą, albo...

– Odcisk palca – wtrącił się Joe.

Odwróciłem się do niego.

– Co?

– Widziałem w telewizji... a może czytałem w gazecie, nie pamiętam. Chodziło o bezpieczeństwo komputerowe. Teraz jest moda, żeby używać do identyfikacji odcisków palców. Można kupić takie czytniki linii papilarnych, które da się podłączyć do domowego komputera. W wielu laptopach są już nawet wbudowane.

Spojrzałem na Reeda – kiwał głową.

– Biometryka – powiedział. – Tak się to nazywa. Wiele banków z rajów podatkowych korzysta dziś z zabezpieczeń biometrycznych w transakcjach komputerowych.

– Właśnie, to miałem na myśli – przytaknął Joe. – Oni cię pogrążyli za pomocą odcisków palców. Odpłać im pięknym za nadobne.

– Niezłe – ucieszyłem się. – Lepsze niż to, co do tej pory przychodziło nam do głowy. Reed dzwoni do Gaglioniego i mówi mu, że potrzebuje jego odcisku palca do jednego z kont. Przekonuje go, że to dodatkowe zabezpieczenie.

– Gaglionci oczywiście nie będzie chciał z niego skorzystać – stwierdził Joe. –

Więc Reed musi mu powiedzieć, że czyjś odcisk jest niezbędny. I może wtedy Gaglionci zaproponuje Dorana. Pewnie spodoba mu się ten pomysł, w ten sposób to Doran będzie powiązany z pieniędzmi, nie on.

– Ale ja nie mam czytnika linii papilarnych.

– Przecież oni o tym nie wiedzą, Reed – odparłem. – Muszą tylko uwierzyć, że go masz. Przekonasz ich?

Kiwnął głową, ale bez przekonania.

Kazałem mu zadzwonić z telefonu głośnomówiącego na biurku. Dzięki temu słyszeliśmy, co mówi jedna i druga strona, i mogliśmy się przekonać, czy Gaglionci kupuje gadkę Reeda.

– Jeśli to spieprzysz, oni domyślą się, że do ciebie dotarliśmy, że wiemy o Gaglioncim. Wpadną w panikę i niewinnym ludziom stanie się krzywda. Jeśli do tego dojdzie, ty poniesiesz za to odpowiedzialność, Reed – ostrzegłem.

Siedział w wielkim fotelu za biurkiem, wciąż w bieliźnie. Kiedy pochylił się do przodu, tłuste plecy odkleiły mu się od skórzanego obicia, zostawiając na nim wilgotną plamę. Na bladej owłosionej klatce piersiowej miał zaschnięte krople krwi. Sięgną-

łem do guzika i włączyłem telefon głośnomówiący. Rozległo się buczenie.

– Dzwon.

Reed wstukał numer. Stanęliśmy nad nim. Thor wyciągnął glocka i oparł o prawą nogę tak, żeby Reed go widział.

– Czego chcesz? – Głos, który odezwał się po trzecim dzwonku, nie był głosem Dorana, ale mężczyzny, który powiedział mi, że porwali Amy. Spojrzałem na Thora, a on kiwnął głową. Gaglionci.

– Wiesz co, no ten, mamy mały problem – powiedział Reed, ale za szybko i pi-skliwie.

Thor przesunął pistolet o ułamek centymetra. Reed to zauważył i błyskawicznie się opanował.

– W zasadzie to nic wielkiego – mówił dalej. – Wszystko praktycznie jest przygotowane, tak jak chcieliśmy, ale...

– Problem? Jest jakiś problem?!

Zmiana tonu w głosie Gaglionciego najwyraźniej wystraszyła Reeda bardziej niż pistolet Thora, ale przełknął ślinę i brnął dalej.

– Nie, właściwie nie problem. Tyle tylko że... mam tu jeden system, który chyba nadaje się doskonale do tego, co chcecie osiągnąć... Pozwoli przemycić kasę prosto do południowoamerykańskiego banku. Stamtąd możemy przelać pieniądze na konto numeryczne w kolejnym kraju. Trudno będzie to wyśledzić, bo amerykańskie władze nie mają tam dobrego dostępu.

– Świetnie – warknął Gaglionci tak, że przeraziłby każdego. – No to do roboty.

– Już się do tego zabieram. . to znaczy, wiesz, wszystko będzie jak trzeba, ale rozumiesz, żeby założyć pierwsze konto w tym systemie, potrzebuję odcisku palca.

Długie milczenie.

– Odcisku palca.

– No tak. Mam podpięty do komputera czytnik linii papilarnych. Wystarczy, że przyciśniesz do niego kciuk, stukniesz w kilka klawiszy i konto będzie założone. To doskonały sposób na uruchomienie pieniędzy. Od razu podnosimy poziom bezpieczeństwa.

– Nie chcę używać odcisku palca. Jaja sobie robisz? Odcisk palca?

Reed spojrzał na mnie, a potem znów na telefon. Na czole zaśnił mu pot. Zło-

żył ręce i zaciskał palce.

– Okej. Jak nie chcesz z tego skorzystać, to w porządku, ale mówię ci, że to przydatna rzecz. Najbezpieczniejszy sposób. Odcisk palca pozwala założyć bezpieczniejsze konto. Pieniądze po prostu przepłyną przez nie i znikną. Banki traktują linie papilarne jako dodatkowe zabezpieczenie, więc takie konta są lepiej chronione.

– A ja jestem z nimi jednoznacznie kojarzony. Dziękuję, postoję.

– Muszę mieć czyjś odcisk palca. Nie dam przecież swojego, więc kogoś znajdź.

– Reed mówił coraz bardziej podniesionym głosem.

– Przełałeś dla mnie pół miliona i wtedy nie potrzebowałeś odcisku. Co się, do cholery, zmieniło przez tydzień?

Odwrociłem się do Joego i zobaczyłem, że jest zszokowany, tak jak ja. Pół miliona? Tydzień temu?

– To większa suma – tłumaczył Reed, a ja znów skupiłem się na nim. – Człowieku, o wiele większa. Przynajmniej tak mi powiedziałaś. Chcę ci tylko pomóc, nic więcej.

Przy takiej forsie przelewy są trudniejsze. A sam stwierdziłeś, że gliniarze będą śledzić te transakcje albo przynajmniej spróbują. Nie zamierzam iść za ciebie do pierdła. Skoro mam tę kasę, muszę to zrobić w jak najbezpieczniejszy sposób. Dlatego potrzebny mi odcisk palca.

Teraz radził sobie lepiej, przestał się plątać, a zaczął mówić bardziej rzeczowo, tak jak powinien od samego początku.

– Ten odcisk palca potrzebny jest do uruchomienia całego łańcuszka, a w końcu forsa ląduje na tym konkretnym koncie? – upewniał się Gaglionci. – Tak?

– Tak. Właśnie o to chodzi. Odcisk palca pozwala założyć inny rodzaj konta do uruchomienia całej serii przelewów. Bezpieczniejszy rachunek. Bank czuje się bardziej zabezpieczony, a nam naprawdę bardzo to pomaga.

Gaglionci milczał. Głośnik telefonu cicho syczał, a Reed oblizywał usta i patrzył na jarzący się niebiesko wyświetlacz, jakby miał on za chwilę ożyć.

– Potrzebny ci jakikolwiek odcisk kciuka – odezwał się w końcu Gaglionci. –

Mój albo kogoś innego. I to wystarczy, można ruszać z przelewaniem forsy?

– Tak. Jak najbardziej, człowieku. Wtedy wszystko będzie w porządku.

– Dobrze. Nie ruszaj się z biura.

Niebieskie światło zgasło.

Rozdział 38

– Pół miliona – sapnąłem, kiedy Reed wyłączył telefon, odepchnął się od biurka i otarł ręką spocone czoło. – Przełałeś dla niego tydzień temu pół miliona?

Zmarszczył czoło. Przez chwilę myślałem, że spróbuje kłamać, mimo że stali-

śmy przy nim i wszystko słyszeliśmy, ale w końcu tylko kiwnął głową i powiedział:

– Tak.

– Skąd przyszły te pieniądze?

– Nie wiem.

– Reed...

– Naprawdę nie mam pojęcia. Wpłynęły z anonimowego konta, po prostu tylko numer...

– Ot tak? Gaglionci często przelewa taką kasę?

Pokręcił głową.

– Nigdy w życiu nie widziałem u niego choćby zbliżonej sumy.

– Którego wpłynął ten przelew?

Oblizwał wargi i wbił wzrok w podłogę. Milczał przez jakieś pół minuty, przypominając sobie w myślach daty; w końcu stwierdził:

– Dwudziestego października.

Dwudziestego października.

– Rozumiesz? – Spojrzałem na Joego. – To dzień...

– Wtedy Jefferson został zamordowany.

– Nie. To dzień po tym, gdy Jefferson został zamordowany. Gaglionci go zabił.

Gaglionci zamordował Aleksa Jeffersona i ktoś mu za to zapłacił.

Joe zmarszczył brwi.

– Niekoniecznie. Może wyciągnęli od Jeffersona więcej niż tylko te pięćdziesiąt patoli.

– Wykluczone, Joe. Jefferson nie był aż tak nadziany, żeby zniknęło mu pół miliona i nikt się nie zorientował. Pomyśl, jak dokładnie gliniarze przeglądali jego konta.

Jeśli zauważyli zniknięcie pięćdziesięciu tysięcy dolarów, to tym bardziej zauważyliby, że zniknęło pół miliona.

– Ale to Jefferson wynajął Gaglionciego.

– Tak, i najwyraźniej ktoś go przebił. Doran uważał, że on, bo obiecał mu, że wyciągnie od Jeffersona więcej kasy. Ale może prawda była jeszcze inna.

Pół miliona dolarów wypłacone dzień po tym, gdy Jefferson został zamordowany. A Doran o tym nie wiedział. Nie mógł wiedzieć. Stał tam nad brzegiem jeziora z rozłożonymi rękoma i kiedy kazałem

mu uciekać, zapytał: za jakie pieniądze? Pięćset kawałków to kawał grosza. Nie uwierzyłem, że Doran kręciłby się po okolicy, ryzykując wpadkę i powrót do więzienia tylko po to, żeby jeszcze trochę podbić sumkę.

– Wykorzystuje Dorana tak, jak wykorzystuje mnie – powiedziałem. – Na razie nie pokazał twarzy nikomu, a Doran owszem. To on ryzykuje, dokładnie tak jak chce Gaglionci.

– Donny Ward mógł go zidentyfikować – wtrącił się Joe. – Mógł go powiązać ze sprawą Dorana. Ale my wysłaliśmy tam gliniarzy, a ty powiedziałaś Doranowi...

– Że wiem o Wardzie. Gaglionci musiał go zabić. Kiedy to zrobił, wyeliminował jeden z wątków, a przy okazji powiązał mnie z tymi pieniędzmi.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym większe znaczenie miało to, co wła-

śnie powiedział Reed. Najpierw przejmowałem się Doranem, potem Doranem i jego kumplem, ale teraz wiedziałem już, że nie domyśliłem się, że w tej grze uczestniczy ktoś jeszcze, a Gaglionci jest na jego usługach.

– Kto mu zapłacił? – zapytałem.

Joe nie potrafił odpowiedzieć, ja zresztą też nie. Zapadła cisza. Reed obserwował nas z niepokojem, a Thor milczał, jak zawsze. W końcu Joe pokręcił głową.

– Musimy się przygotować. Gaglionci kogoś wysłał. Jeden z nas musi zejść do garażu albo na ulicę i patrzeć, kto się pojawi, żeby dać znać pozostałym tu na górze.

– Zrobisz to? – odezwał się Thor.

– Tak. Wyjadę z garażu. Pewnie mają już opis mojego wozu. Nie powinien stać za blisko. Zaparkuję w innym miejscu i wrócę piechotą.

– Świetnie.

Joe wyjął kluczyki z kieszeni, obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Już sięgał do klamki, kiedy go powstrzymałem:

– Gaglionci przyjechał do domu państwa Heath z Alekssem Jeffersonem i Fentonem Brooksem. Jefferson powiedział policji, że działa jako łącznik między Brooksem a rodzicami Moniki Heath w sprawie odszkodowania.

– Tak. Tyle że Fenton nie żyje.

– Ale żyje jego syn. Jak sądzisz, jaki majątek ma ta rodzina?

– Spółka Brooks Biomedical może być warta... bo ja wiem? Kilkaset milionów, może nawet miliard. Kupę kasy.

– Właśnie.

Stał z ręką na klamce i patrzył na mnie przez całą długość mieszkania.

– Gaglionci zgarnął pół miliona dzień po tym, gdy zabito Jeffersona... to nie przypadek – powiedział.
– Wykluczone. Ta wypłata musi mieć związek z tym, co przydarzyło się Doranowi i Jeffersonowi. I rodzinie Brooksów. Tylko oni mogli zorganizować tak wielkie pieniądze.

– Myślisz, że Fenton pomagał chronić Matta Jeffersona?

– Uhm. Matt był przyjacielem rodziny i synem głównego prawnika. Alex Jefferson zadzwonił najpierw do Fentona.

Joe zdjął rękę z klamki i odwrócił się do nas, zamyślony.

– Mógłbym nawet w to uwierzyć, gdybyśmy mówili wyłącznie o przeszłości. To by miało jakiś sens. Naciągany, ale jednak. Tyle że trzeba wziąć pod uwagę to, co dzieje się teraz. Po co Paul Brooks wynajmowałby kogoś do wyeliminowania Jeffersona? Jeśli wiedział, co stało się z Doranem, miałby u Jeffersona dług wdzięczności. A nie odwrotnie. Jefferson nie stanowiłby dla niego zagrożenia.

Nie stanowiłby. Jeśli Fenton Brooks świadomie pomógł Jeffersonowi ukryć morderstwo, taka wiadomość położyłaby się cieniem na spuściznie po nim i zaszkodziła rodzinie. A Jefferson nigdy nie mógłby o tym wspomnieć. Aby zszargać pamięć o Fentonie, musiałby sam oskarżyć się o to przestępstwo i wskazać swego syna jako mordercę. Co więc takiego wiedział Jefferson, co tak wystraszyło Paula Brooksa?

– Posądziłeś nie tego bogatego dzieciaka.

– Co?

– Joe, Paul Brooks. A jeśli to on ją zabił?

– Nie rozumiem, co kombinujesz.

– Tego wieczoru, kiedy zabito dziewczynę, Matt Jefferson zadzwonił do ojca, a ten zatelefonował do Fentona Brooksa.

– Żeby sprawdzić, czy dzieciak mówi prawdę. I dowiedzieć się, co się dzieje.

– Kto nam to powiedział?

Joe kiwnął głową, przyznając mi rację.

– Paul Brooks.

– Właśnie. A dzień po tych telefonach Matt zmienił swoje zeznania i wskazał na Dorana. Może nie chodziło o to, że sam chciał się oczyścić. Może naprawdę kogoś tam widział, ale nie Dorana. Tylko syna najbogatszego klienta swojego ojca.

– Odważna teoria.

– Matt napisał do prokuratora, że nie wróci na zeznania. Gdyby to on zabił, po co ryzykowałby, że zwróci na siebie uwagę? Ojciec na pewno ostrzegłby go, żeby te-go nie robił. Gdyby chodziło tylko o ratowanie własnego tyłka, siedziałby cicho, trzymając kciuki, żeby wypalił ten numer z ugodą sądową. Kiedy przeprowadził się do Indiany, zerwał wszelkie kontakty z ojcem. Może wcale nie uciekał. A przynajmniej nie od tego, o czym myśleliśmy. Może przed poczuciem winy. . odciął się od ojca z powodu tego, do czego ten go namówił.

– Naprawdę odważna teoria – powtórzył Joe, a kiedy nie zareagowałem, dodał:

– Ale oni rzeczywiście mają pieniądze. To nie ulega wątpliwości. Paul Brooks mógłby zdobyć taką sumę.

– A Gaglionci maczał w tym wszystkim palce. W sprawie Dorana był rozgrywa-jącym. Jeśli ktoś wpadłby na to, jak napuścić Brooksa na Jeffersona i jeszcze na tym zarobić, to tylko on.

W pokoju znów zapadła cisza. Thor nie zdradzał emocji, ale Reed patrzył na nas z zainteresowaniem. Już nie przerażony, ale zafascynowany.

– Leć – powiedziałem do Joego. – Przystaw samochód i obserwuj, czy któryś z nich się pojawi. Gaglionciego nie znasz, ale daj nam znać, jeśli zobaczysz kogoś choć-

by tylko podobnego do niego. Resztą zajmiemy się, kiedy odzyskamy Amy.

Otworzył drzwi i wyszedł. W mieszkaniu zostaliśmy tylko ja, Thor i Reed. Usiadłem na podłodze pod drzwiami. Oparłem się plecami o ścianę, a pistolet położyłem sobie na kolanach. Czułem się jak ktoś, komu świat zawałił się na głowę.

Minęła godzina, potem dwie, ale nikt się nie pojawił. Joe dzwonił trzy razy, podnosząc fałszywy alarm. Zacząłem się zastanawiać, czy nie spieprzyliśmy sprawy, czy Gaglionci nie zwęszył pułapki i się nie wycofał. Siedziałem blisko drzwi oparty o ścianę, od czasu do czasu tylko zmieniając pozycję. Reed ubrał się i zmył krew z twarzy, na wypadek gdybyśmy musieli go pokazać. Siedział teraz w salonie tak, że do-kładnie go widziałem. Thor stał pod drugą ścianą. Nie usiadł, nie chodził w kółko, nawet się nie przeciągnął. Po prostu stał.

Czekanie było straszne. Przez cały dzień pocieszały mnie chwile konfrontacji, działania, kolejne zadania, dzięki którym nie musiałem zastanawiać się, co się stanie, jeśli zawiodę. Nie przestawałem myśleć o Amy, nawet kiedy leżałem na podłodze w Cujo's tłuczony łańcuchem po głowie, ale Amy istniała wtedy jako cel, powód, dla którego powinienem podnieść się z podłogi. Jednak w chwilach oczekiwania stawała się znów źródłem strachu. Mijały puste minuty, a ja zaczynałem sobie wyobrażać to, o czym nawet nie chciałem myśleć, snułem okropne scenariusze, na co nie miałem

czasu, kiedy należało działać.

Joe zadzwonił ponownie po blisko dwóch i pół godzinie.

– Ktoś wjeżdża do garażu. Mały sportowy wózek. Chyba mazda.

– W porządku.

Rozłączyłem się, wróciłem do mieszkania i przekazałem informację Thorowi, który nawet nie kiwnął głową. Minęło parę minut i kiedy już zacząłem myśleć, że gość w maździe to kolejny fałszywy alarm, Thor się odezwał:

– Winda.

Zmarszczyłem brwi i kucnąłem, nasłuchując. Cisza. Ale po kilku sekundach rozległ się dzwonek oznaczający, że winda dotarła na poziom penthouse'a. Nie wiem, co Thor usłyszał wcześniej, ale miał rację.

Zabrzączał domofon, a ja wskazałem palcem na Reeda. Popędził do drzwi, pla-skając stopami o terakotę, i wcisnął klawisz domofonu.

– Słucham?

– Wpuść mnie.

Głos był zniekształcony. Może to znów Gaglionci, a może nie. Reed spojrzał na mnie, a ja kiwnąłem głową. Wcisnął kolejny guzik i usłyszałem, jak w głębi holu od-blokowuje się elektryczny zamek. Za namową Thora czekałem na wroga w mieszkaniu, nie w korytarzu.

Kłęczałem przy ścianie, a Thor stał naprzeciwko mnie, kiedy poruszyła się klamka i drzwi otworzyły się szeroko. Thor wyskoczył zza nich w postawie bojowej i Andy Doran, wchodząc do pokoju, zobaczył lufę glocka wycelowaną prosto w jego serce. Zdażył jeszcze zakląć: „O kurwa!“, kiedy poderwałem się z podłogi i uderzyłem go w tył głowy rękojęścią mojego pistoletu.

Rozdział 39

– Nie uciekniesz, Doran – powiedziałem. – Więc odpręż się i rozgość.

Upadł twarzą na terakotę i się nie obrócił. Leżał nieruchomo, przebierał tylko stopami. Wyglądało to tak, jakby chciały uciec od reszty ciała. Pochyliłem się i pod kurtką, w kaburze na ramieniu, znalazłem broń. Podałem commandera Thorowi, który wetknął go sobie za pasek. Po kilku sekundach Doran jednak obrócił się na plecy i z bólem w oczach popatrzył na nas. Zamglonym wzrokiem oceniał sytuację. Z trudem usiadł, po czym pomacał ręką miejsce za uchem, gdzie uderzyłem go pistoletem.

– Należało ci się – warknąłem.

Przysunął rękę do ciała, wiedziałem, że szuka colta, ale go nie znalazł. Kiwnął

głową do samego siebie i odchylił się do tyłu, aż oparł się o ścianę. Obserwowaliśmy go. Na rozciętej wardze miał krew. Dotknął jej czubkiem języka.

– Gdzie ona jest? – zapytałem.

Smakował krew i nie odpowiadał. Thor stał w milczeniu, otwierając i zamykając kciukiem nóż. Słychać było cichutkie szczęknięcia, a Doran nie mógł oderwać wzroku od ostrza.

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki nam tego nie powiesz. Naprawdę chcesz poświęcić życie za kogoś takiego jak Tommy Gaglionci?

Spojrzał na mnie. Miękką tkankę pod okiem zaczerwieniła mu się i zaczęła już puchnąć. Nie odzywał się.

– Odpowiedz mi szczerze – ciągnąłem. – Choć raz, Doran. Jeśli mi odpowiesz, to chyba będę umiał wyjaśnić ci parę rzeczy, które na pewno cholernie cię interesują.

Czy to Gaglionci zabił Jeffersona?

Potał ręką potylicę i popatrzył na Thora. Obserwował, jak ostrze noża otwiera się i zamyka, otwiera i zamyka. Zacisnął usta.

– W porządku – westchnąłem. – Więc jesteś wobec niego lojalny. To miłe, koleś. Ale zapytam o coś innego. Czy to Gaglionci zabił Donny'ego Warda?

Rzucił mi ostre spojrzenie, lecz nadal milczał.

– Owszem, Doran. Ward został zamordowany. Zeszłej nocy. Wydano nakaz za-trzymania faceta, którego policja uważa za mordercę. I tak się składa, że ten facet to ja. Sęk w tym, że ja Donny'ego nie zabiłem. Ty pewnie też nie. Jestem prawie pewien, że to sprawka twojego kumpla. Domyślasz się może, po co to zrobił poza tym, żeby mnie pogrążyć?

Doran znów patrzył na nóż Thora i oblizywał krew z ust.

– Bo gliniarze widzieli się już z Donnym i Gaglionci nie mógł pozwolić, by kontaktowali się z nim nadal – wyjaśniłem. – Donny Ward mógłby go zidentyfikować jako faceta, który wysłał cię do pierdła. Gaglionci był u Donny'ego, zastrzelił psa i zagroził, że zabije córkę, a potem zaproponował mu kupę forsy, wszystko po to, żeby zaprzeczył twojemu alibi.

Doran w końcu przestał gapić się na nóż i spojrzał na mnie. Przekrzywił głowę i na chwilę zapomniał o krwi, która kapiała mu z wargi.

– Tego lata, kiedy cię aresztowano, przyszedł do niego Alex Jefferson – wskaza-

łem na Reeda – i poprosił o kogoś, kto pomógłby mi załatwić jakieś nieprzyjemne sprawy. Takie sprawy, jakimi mogłaby się interesować policja. I ten oto człowiek skontaktował go z Gaglioncem, a Gaglionci poszedł potem do Donny'ego Warda i do do-mu państwa Heath, udając detektywa. Wszystko to na dzień przed tym, gdy policja znalazła w twojej przyczepie bieliznę zamordowanej dziewczyny. Kiedy uciekłeś z mamra i zacząłeś naciskać na Jeffersona, ten zwrócił się do Gaglionciego. I masz rację, wynajął go, żeby cię sprzątnął. Gaglionci nie jest twoim partnerem, Doran. Raz cię wy-słał do paki i pewnie zrobi to znów.

Popatrzyłem na Reeda.

– Powiedz mi, ile pieniędzy przelałeś dla Gaglionciego dwudziestego paź-dziernika.

– Pięćset tysięcy. – Reed wyglądał, jakby miał zwymiotować. Podjął właśnie koszarne ryzyko: wydał jednego zabójcę, Gaglionciego, byle tylko nie wkurzyć innego, Thora.

– Słyszałeś? Pół miliona. Tyle już zgarnął twój „partner“. Ile dolarów z tego zobaczyłeś, co? No ile?

– Ani centa.

– Tak właśnie myślałem. A przelewu dokonano dzień po morderstwie Jeffersona. Dzień po tym, gdy Gaglionci go zabił.

– Kto mu zapłacił?

– Tego jeszcze nie wiem, ale mam pewne podejrzenie. Jeśli się nie mylę, to facet, który mu zapłacił, powinien odsiadywać twój wyrok.

– Młody Jefferson.

Pokręciłem głową.

– No to kto?

– Powiem ci, kiedy ty odpowiesz mi, gdzie jest Amy. Ale nie ulega wątpliwości, że ktoś musiał mu zapłacić. Nie zobaczyłeś ani centa i nie mogłeś się zemścić. Zrobił

cię w bambuko. I czy przez cały ten czas Gaglionci coś zaryzykował? Wystawił cię prosto na linię strzału. I jeśli nie uda mu się mnie zrobić w to wszystko, na pewno się postara, żebyś to ty beknął. Tylko dlatego jeszcze cię nie sprzątnął. Znalazł sobie chłop-ca na posyłki, który mógł się kontaktować ze mną i pilnować gliniarzy, a teraz chce, żebyś zostawił swój odcisk palca na jego pieniądzech. Tak to wygląda. Porwał kobietę, a ciebie wysłał prosto w pułapkę. Nadal masz ochotę chronić mu tyłek?

Doran patrzył w podłogę. Milczał, trawił to, co usłyszał. Nie dałem mu jednak czasu na rozmyślanie.

– Facet, którego osłaniasz, wysłał cię do mamra. Nie musisz mi wierzyć, w ani jedno słowo. Ale ja muszę odzyskać Amy.

Wyciągnąłem rękę w stronę Thora i pokazałem na jego nóż. Spojrzał na mnie dziwnie, ale podał mi go. Rękojeść była ciepła, a na ostrzu nie pozostał nawet ślad krwi Reeda. Rosjanin wytarł je do czysta.

– Doran, możemy tu siedzieć bardzo długo. Zrobię ci to wszystko, co chciałeś zrobić Jeffersonowi. Będę to robił i wmawiał sobie, że jestem usprawiedliwiony z powodu Amy, tak jak ty miałeś być usprawiedliwiony z powodu Moniki Heath. Przekonam sam siebie, bez trudu, zupełnie jak ty. I może się okazać, że rzecz zakończy się dla mnie lepiej niż dla ciebie.

Doran podniósł głowę.

– Wydostaniemy ją, a potem mi powiesz.

– Co?

– Odzyskamy twoją dziewczynę; ja zajmę się Gaglioncim. A potem mi powiesz, kto mu zapłacił. Muszę to wiedzieć. I dowiem się. Bo jeśli to wszystko ma się dzisiaj skończyć, to ostatnie słowo będzie należało do mnie.

Podeszliśmy do drzwi. Nim Thor otworzył je, złożył nóż i schował do kieszeni kurtki. Potem podrapał się po nosie ręką w rękawiczce i popatrzył na Reeda.

– Podjąłeś dzisiaj właściwą decyzję – powiedział. – Lepszą niż twoje inne niedawne decyzje. Teraz będziesz musiał podjąć kolejną. Wychodzimy, a ty, po tym, co się dzisiaj stało, możesz wybrać wiele dróg. Najlepiej, gdybyś zapomniał, że w ogóle tu byłem.

Reed przytaknął.

– Nie chcę cię więcej widzieć. I nie chcę, żebyś kiedykolwiek o mnie wspominał

– oświadczył Thor.

– Zgoda.

– Kolejna właściwa decyzja.

Joe czekał na nas w garażu. Wprowadził tu z powrotem taurusa. Wskazał głową samochód obok, małą sportową mazdę RX-8.

– Tym przyjechał. Był sam.

– Aha.

– Wiesz, gdzie jest Amy?

– Z Gaglioncim. Gdzieś pod Genewą. Doran nas tam zaprowadzi. Tyle nam powiedział w mieszkaniu Reeda – że Gaglionci czeka na niego pod Genewą w miejscu, które znalazł kilka tygodni wcześniej. Nie chciał zdradzić nic więcej, powtarzał, że sam nas tam zawiezie.

Joe zmarszczył brwi.

– Dlaczego on nie chce nam po prostu powiedzieć, gdzie jest Amy?

– Nie chce, i tyle.

– Nie powiem, bo zaraz byście tam sprowadzili setkę gliniarzy – wtrącił się Doran. – Możecie to zrobić, ale to strata czasu. A nie macie go za dużo. Gaglionci wie, kiedy powinienem wrócić. Jeśli zmarnujecie jeszcze godzinę czy dwie, domyśli się, że coś poszło nie tak, i odpowiednio zareaguje. A takiego faceta jak on lepiej nie zmuszać do żadnych reakcji.

Kiwnąłem głową. Miał rację – istniało poważne ryzyko, że Gaglionci wpadnie w panikę.

– W porządku. Zawieziesz nas tam. Joe poprowadzi, a ty usiądziesz za nim.

Wskazałem na Thora. Pilnowałem się, żeby nie wymawiać jego imienia w obecności Dorana.

– On usiądzie obok ciebie. Jeden niepotrzebny ruch, a skończy się to dla ciebie boleśnie.

Thor zmarszczył brwi.

– O co chodzi? – zapytałem.

Kiwnął głową w stronę mazdy.

– Gaglionci czeka na ten samochód. Nie będzie mu się przyglądał tak uważnie jak waszemu, bo to auto nie stanowi dla niego zagrożenia.

Cholera, racja.

– Jasne – powiedziałem. – Weźmiemy mazdę. Może dzięki temu podjedziemy bliżej.

– On pojedzie z tobą i twoim partnerem – oznajmił Thor, wskazując na Dorana.

– Ja pojedę tym wozem za wami. Jeśli wszyscy będziemy w tym samym samochodzie, on może chcieć spowodować wypadek. Jeżeli pojedę za wami, to możecie mieć pewność, że wtedy zginie.

Doran spojrzał na Thora z uznaniem. Był żołnierzem, ale pewnie nigdy nie miał sierżanta równie opanowanego i pragmatycznego jak Thor.

– Słyszałeś. Oddaj mu kluczyki.

Doran wyjął klucze z kieszeni, rzucił je Thorowi, a kiedy machnąłem na niego moim pistoletem,

wsiadł do samochodu Joego na siedzenie pasażera. Wsunąłem broń do kabury, a Joe wyciągnął jedną ręką swojego smith & wessona, a drugą kluczyki od taurusa.

– Ty poprowadzisz – powiedział. – Ja usiądę z tyłu i go popilnuję.

Przez chwilę byłem zaskoczony, ale zrozumiałem: miał zdrową tylko jedną rękę i jeśli Doran próbowałby komuś przeszkadzać w prowadzeniu wozu, to łatwiej po-szłoby mu z Joem niż ze mną. Ani Joe, ani Thor nie wierzyli w dobre intencje Dorana.

Usiadłem za kierownicą taurusa, a Joe, z wyciągniętą bronią, na tylnej kanapie, tuż za Doranem. Wyjechaliśmy z garażu, a za nami Thor w samochodzie Gaglionciego.

– Od ucieczki z paki ukrywałeś się w tym miejscu, do którego nas zabierasz? –

zapytałem Dorana.

– Tak.

– To chyba bezpieczna kryjówka.

– Jest tam pusto. Od lat. To niby taki kemping dla zmotoryzowanych z przy-czepami. Od dawna zamknięty. Stoi jeszcze trochę starych domków. Kiedyś było tam jezioro, ale władze stanowe przerwały tamę, bo groziła zawaleniem. Wiele lat temu.

Dziwiłem się, że podał tyle szczegółów, ale w niczym mi to nie pomogło. Mo-głem wyjąć telefon i poprosić gliny, żeby odszukały stary kemping w pobliżu Genevy i zorganizowały obławę antyterrorystyczną. Ale zanim znajdą to miejsce, pomyślałem, ja już tam dojadę.

– Jak namierzyłeś Gaglionciego? – zapytałem.

– Jefferson wysłał go z pierwszą częścią pieniędzy. Gaglionci powiedział mi, co się naprawdę święci, że Jefferson zapłacił mu, żeby mnie zabił. Ale stwierdził, że jego zdaniem Jefferson jest za bogaty, żeby wykpił się tylko pięćdziesięcioma patykami.

– Tyle od niego zażądałeś?

– Powiedziałem, że za pięćdziesiąt patyków może kupić synowi tydzień życia.

– Mówiłeś poważnie? Zabiłbyś mu syna?

Milczał przez chwilę.

– Może – odparł. – Dużo o tym myślałem. Cały czas. Przecież odsiedziałem za niego wyrok, nie? I zabił Monicę. Tak naprawdę to jest najgorsze. Nikt jeszcze za to nie beknął. Ale czy zabiłbym go, gdyby Jefferson zrobił to, o co poprosiłem, i nie wmieszał w to Gaglionciego? Może nie. Myślę, że gdybym miał te pieniądze w kieszeni... może nie.

– Ta wasza spółka i kolejne wymuszenia to był pomysł Gaglionciego?

– Tak. Nie miałem pojęcia, jak wielką kasą dysponował Jefferson. A on wiedział.

– Zobaczyłeś choćby dolara z tych pięćdziesięciu tysięcy?

– Nie. Powiedział mi, że to było honorarium za sprzątnięcie mnie i zatrzyma je sobie. I że i tak wpadnie nam o wiele więcej.

– Jemu wpadnie. Wystawił cię do wiatru, a te pięćdziesiąt tysięcy wykorzystał, żeby mnie zrobić. Skąd wzięły się na nich moje odciski?

– Pomysł był jego, ale to ja je zdobyłem. Tej nocy, kiedy porwałem cię z ulicy.

Powiedział mi, co mam robić. Wystarczyło włożyć ci banknoty do ręki i trochę pościskać, kiedy leżałeś nieprzytomny. Łatwizna.

Łatwizna. Takie proste rozwiązanie, lecz jakoś o nim nie pomyślałem.

– A co to w ogóle za koleś? – zapytał, wskazując w lusterku wstecznym na Thora.

– Ktoś, z kim od czasu do czasu pracuję.

Parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Jasne, Perry. Przecież jesteś prywatnym detektywem. A ten facet to wojownik.

Widziałem już takich.

– Mówisz o Gaglioncim? – zapytałem.

Spojrzał na mnie, a potem na ciemną drogę przed nami.

– Tak.

Rozdział 40

Powiedziałem Doranowi, że chcę zatrzymać się jakieś dwa, trzy kilometry przed miejscem, gdzie czeka Gaglionci. Kiedy zjechaliśmy z autostrady i sunęliśmy krętymi wiejskimi szosami obsadzonymi drzewami, cały czas bałem się, że Doran nie powie mi, gdzie się zatrzymać, że cała ta bajeczka o kempingu to kłamstwo, że kiedy znajdziemy się w pobliżu, da Gaglionciemu jakiś sygnał, tak że będziemy wystawieni jak kaczkę. Ale Doran kazał mi zjechać z drogi na żwirowe rondko, chyba w gestii jakiejś farmy.

– Został niecały kilometr. Po lewej stronie jest żwirówka. Wielki szyld od frontu i brama. Wszystko to wygląda jak jakieś ranczo z Dzikiego Zachodu. Stoi tam stara przyczepa, w której kiedyś mieściło się biuro; zostało też kilka betonowych placyków do parkowania.

– Amy jest w przyczepie?

– Nie. W jednym z pięciu czy sześciu domków nad brzegiem dawnego jeziora.

Ktoś zapukał w okno z mojej strony. Thor. Otworzyłem drzwi i wysiadłem, żeby z nim porozmawiać. Kiedy przedstawiałem Thorowi sytuację, Joe i Doran też wysiedli.

Thor milczał.

– Miałeś rację, że będzie czekał na ten samochód – odezwał się Joe. – Pytanie, jak to najlepiej wykorzystać. Możemy pozwolić Doranowi, żeby wjechał na teren kempingu. Niech jakoś wywabi Gaglionciego.

Thor pokręcił głową.

– Nie powinniśmy wszyscy siedzieć w samochodzie. Jeśli coś pójdzie nie tak, wszyscy znajdziemy się w pułapce.

– No dobrze. To co proponujesz?

Thor odsunął się od wozu i zaczął przyglądać kołyszącym się w górze sosnom.

– Czy do tego kempingu można się dostać od tyłu? Przez las albo wokół jeziora?

Spojrzeliliśmy na Dorana.

– Tak. Tuż za kempingiem biegną stare tory kolejowe, oddzielone od niego siatką; ale w wielu miejscach jest porwana. Jeśli znajdziesz tory, to zawiodą cię tam, gdzie chcesz.

Thor wyglądał na zadowolonego. Kiwnął krótko głową.

– Ja siądę za kierownicą. Znajdziemy te tory i ty pójdiesz z nim wzdłuż nich do kempingu.

Zmarszczyłem brwi.

– To ja powinienem prowadzić. Kierowca pierwszy będzie musiał się zmierzyć z Gaglioncim, a...

– A ja jestem w tym od ciebie lepszy – wpadł mi w słowo Thor.

Jego bladoniebieskie oczy pociemniały i wpatrywały się we mnie przenikliwie.

To nie była jego walka, ale chciał mi pomóc, i miał rację: był ode mnie lepszy. Zastanawiałem się, czy się nie sprzeciwić, ale obezwładnił mnie tym swoim spojrzeniem.

Przyjechaliśmy tu po Amy. Jeśli w ten sposób zwiększaliśmy nasze szanse, to należało tak postąpić.

– Dobrze – zgodziłem się.

– A ja idę z nimi czy z tobą? – zapytał Joe.

– Z nikim – odparł Thor.

Joe wyglądał na wkurzonego. Najpierw został w garażu, kiedy poszliśmy do Reeda, a teraz Thor kazał mu znów trzymać się na odległość. Nie lubił, gdy kazano mu beczynnie czekać.

– Z tego kempingu można wyjechać tylko jedną drogą – wyjaśnił Thor. – Jeśli coś pójdzie nie tak i Gaglionci wymkną się, pewnie z kobietą, to kto ich zatrzyma?

Weź swój wóz i zablokuj wyjazd na szosę. Nikogo nie wypuścisz. Tak trzeba zrobić.

– Okej. – Joe poweselał i kiwnął głową. Oczywiście Thor miał rację. W tego rodzaju dyskusjach Thor zawsze będzie miał rację.

– W takim razie ja zabieram Dorana i idę wzdłuż torów – wtrąciłem się. – Jak się zgramy czasowo? Nie powinieneś wjeżdżać, dopóki tam nie dotrzemy, a nie wiemy, ile nam to zajmie.

Thor spojrział na Dorana, a ten wzruszył ramionami.

– Zależy, gdzie znajdziemy tory – powiedział. – Ja wiem tylko, że przecinają szosę kawałek wcześniej. Stamtąd idzie się chyba jakiś kwadrans.

– Zaczekam dwadzieścia minut – oświadczył Thor. – A kiedy już wjadę na kemping, to gdzie szukać Gaglioniego?

– Wokół jeziora stoi kilka domków. Będzie w trzecim od prawej. Razem z dziewczyną Perry'ego.

Wróciliśmy do miejsca, gdzie tory przecinały szosę. Thor zjechał na pobocze i zaparkował mazdę w suchym zielsku. Zatrzymałem się tuż za nim. Doran i ja wysiedli-

śmy z taurusa i oddałem Joemu kluczyki.

– Do zobaczenia wkrótce.

– Do zobaczenia – odparł. – Lincoln, uważaj na Dorana.

– Jasne.

Thor spojrział na mnie.

– Dwadzieścia minut.

– Dobrze.

Ruszyliśmy wzdłuż torów. Wijąca się ścieżka z białego żwiru i starych drewnianych podkładów zniknęła w ciemności. Szybko minęliśmy pierwszy zakręt i straciliśmy z oczu Thora i Joego. Tory od

dawna musiały być nieużywane, bo nawet szyny zdemon-towano. Zostało tylko żwirowe podłoże i drewniane podkłady. Od czasu do czasu można było poczuć pod stopą pordzewiałe śruby, ale szło się swobodnie, w przyzwoitym tempie. Doran podążał przede mną, nawet nie patrząc pod nogi. Deszcz przestał

padać, ale się ochłodziło. Przez pierwszych kilka minut z moich ust wydobywały się kłęby pary, ale potem albo zmarzłem, albo zrobiło się za ciemno, by je dostrzec.

Pachniało wilgotną ziemią, liśćmi i wodą. Zapach przypominał mi winiarnię –

siedzieliśmy z Joem na tarasie i słuchaliśmy, jak Paul Brooks gładko i przekonująco kłamie. Strawiliśmy jego bajeczkę i nie odpuściliśmy, tracąc czas i doprowadzając do tego, że Amy wpadła w łapy zawodowego mordercy, który łąpał okiem na zegarek.

Koszt tego opóźnienia... Pokręciłem głową i przyspieszyłem. Nie mogłem myśleć o ewentualnych kosztach.

Kwadrans po tym, kiedy weszliśmy na tory, Doran się odezwał:

– Jesteśmy niedaleko.

– Skąd wiesz?

– Widać ogrodzenie. Po lewej.

Zmrużyłem oczy i popatrzyłem przed siebie, ale nic nie widziałem. Kiedy ostatnio badałem wzrok, lekarz powiedział mi, że mam oko snajpera. A mimo to nie mia-

łem pojęcia, co widzi Doran. Dopiero po dobrych trzydziestu krokach dostrzegłem drucianą siatkę, w wielu miejscach dotykającą ziemi. Biegła wzdłuż torów i oddzielała je od drzew po drugiej stronie.

Zboczyliśmy z torów w wysoką, suchą trawę. Mimo wilgoci trzaskała i skrzypia-

ła pod butami. Las wydawał się zbyt cichy, a nasze kroki zbyt głośne. Wyobrażałem sobie, że Gaglionci siedzi w jednym z domków, nasłuchuje i sięga po broń.

Płot z siatki był naprawdę wiekowy i miejscami bardzo pochylony do ziemi.

Doran przeszedł na drugą stronę, a ja za nim. Po prawej widziałem nieckę jeziora, wysokie trzciny i trawę rosnącą tam, gdzie kiedyś stała woda. Na przeciwległym brzegu rysowały się ciemne sylwetki domków. Obeszliśmy nieckę, zbliżając się do nich. Teraz widać było żwirową drogę na terenie kempingu – jasna wstążka w ciemnej trawie.

Dotarliśmy na tyły domków. Doran mówił, że Gaglionci zajął trzeci, a było ich sześć. Każdy z nich miał mały pomost prowadzący do jeziora. Przez tyle lat drewno pewnie już spróchniało. Obejrzałem się i wróciłem kilka kroków, by spojrzeć na żwirową drogę. Widziałem przyczepę przy wjeździe, o której wspominał Doran, ale dalej wszystko tonęło w mroku. Ani śladu Thora.

Minęliśmy pierwszy domek, ciemny i pusty. Z tyłu porozrzucane stare śmieci i żelastwo. Musiałem przeskoczyć nad porzuconą butlą gazową. Wyprzedziłem Dorana o kilka kroków i nawet już go nie słyszałem. Wydawało mi się, że każdy mój oddech świszczę w tej ciszy jak huragan. Pierwszy i drugi domek oddzielała grupka sosen.

Musiałem rozsunąć gałęzie, żeby pod nimi przejść. Doran po prostu pochylił głowę i przeszedł swobodnie. Od żywicy na igłach miałem lepkie ręce. Znaleźliśmy się na ty-

łach drugiego domku i widzieliśmy już światło palące się w następnym.

– To tam?

Doran nie odpowiedział. Stał i nieufnie patrzył na domek.

– Co jest? – syknąłem.

– On wie.

– Gaglionci?

Kiwnął głową i przykucnął nisko przy ziemi. Wyjrzał na drogę prowadzącą do przyczepy przy wjeździe, a potem popatrzył na resztę domków. Ukląłem przy nim.

– Co ty opowiadasz?

– Światło. Nie zostawiłby światła w domku. Zaciemnialiśmy okna kocami. Nie zdjąłby ich, chyba że chce, by ktoś pomyślał, że tam siedzi. Zastawił pułapkę, na wypadek gdybym nie wrócił sam.

Na drodze za nami błysnęło światło. Thor. Mały samochód. Rozpoznałem go po kształcie świateł i po tym, jak nisko świeciły. Doran źle określił czas na dojście wzdłuż torów. Wyciągaliśmy nieźle nogi, a i tak dotarliśmy tuż przed Thorem.

– Cholera – szepnąłem. – Za szybko.

Doran nic nie powiedział. Pochyliłem się i przebiegłem wzdłuż ściany drugiego domku, kiedy tylko omiotły go światła mazdy. Thor jechał powoli. Obszedłem domek i ukląłem za rogiem. Na ziemi leżało kilka starych gontów zdmuchniętych przez wiatr. Postawiłem na nich lewą stopę, podniosłem pistolet w obu rękach i oparłem przedramiona na kolanie. Thor zatrzymał się przed trzecim domkiem, ale nie wysiadł i nie wyłączył silnika. Reflektory oświetliły domek. Nic się nie zmieniło: drzwi zamknięte, światło zapalone. Jeśli Doran miał rację i Gaglionciego nie było w środku, to sytuacja się zmieniła. Szansa na zaskoczenie minęła – Gaglionci nie mógł nie zauważyć auta.

– Gdzie on się podział? – powiedziałem i się odwróciłem.

Zobaczyłem, że Doran jest ze sześć metrów ode mnie i pędzi w stronę wysokich trzcין porastających nieckę jeziora. Już chciałem pobiec za nim, ale usłyszałem ryk silnika mazdy i grzechot żwiru pod oponami – Thor wcisnął gaz. Wrzucił wsteczny, przejechał jakieś trzy metry, gwałtownie szarpnął

kierownicą i obrócić wóz w stronę przyczepy przy wjeździe. Wtedy włączył długie światła i oświetlił Gaglioniego, gdy kawałek dalej wyszedł spośród drzew na żwirową ścieżkę, trzymając w ręku uniesioną strzelbę.

Używając długich świateł, Thor chciał zdezorientować Gaglioniego, ale on zdołał już wprowadzić nabój do komory i oddać strzał w kierunku mazdy.

Podniosłem glocka i strzeliłem, ale jak na broń krótką był to długi dystans i chybiłem. Kula uderzyła w ziemię przy stopach Gaglioniego. Odwrócił się i wypalił ze strzelby w moją stronę, wyrwijąc drzazgi ze ściany domku obok mnie.

Podbiegłem do najbliższego drzewa, metr czy dwa ode mnie, oparłem się o nie i wyjrzałem na ciemną drogę. Mazda stała bez ruchu. Spod maski wydostawał się dym. Może strzał uszkodził jakąś ważną część i unieruchomił wóz. Patrzyłem i czeka-

łem, czy otworzą się drzwi i Thor wysiądzie albo przynajmniej zacznie odpowiadać ogniem. Ale nie działo się nic, widziałem tylko smużkę dymu. Przednia szyba samochodu była rozbita, a Thora – ani śladu.

Spojrzałem na drogę, wypatrując Gaglioniego. Pośród sosen mignął jakiś cień.

Zbliżał się do mnie, a ja byłem ślepy jak kret. W dodatku osłaniało mnie tylko jedno drzewo. Mogłem iść albo do przodu i w stronę Gaglioniego, albo do tyłu, za domek, gdzie pobiegł Doran.

Wybrałem to drugie, kiedy nagle silnik mazdy zawył. Opony zabuksowały i samochód mszył w stronę drzew, gdzie kluczył Gaglionci. Za kierownicą nie widziałem nikogo. Thor pewnie leżał pod deską rozdzielczą i jechał na osłep, używając samochodu jako tarczy.

Gaglionci, nie dalej niż dziewięć metrów przede mną jeszcze raz wystrzelił, niszcząc resztki szyby, ale że samochód nie zwolnił, uskoczył głębiej w drzewa. Thor znów obrócił kierownicą – i samochód uderzył bokiem w sosny.

Przez kilka krótkich sekund panowała cisza i spokój. Z komory silnika wydobywały się kłęby dymu. Strzały pewnie uszkodziły chłodnicę. Reflektory rzucały krzywe snopy światła między drzewami, jeden świecił w górę, prawie w niebo. W pobliżu mazdy nikt się nie ruszał. Widziałem, jak napełnia się poduszka powietrzna od strony kierowcy. Wychylnąłem zza drzewa, wypatrując Gaglioniego i zastanawiając się, czy Thor żyje. Niemal w tej samej chwili obaj znów się pojawili.

Gaglionci padł na ziemię i przeturlał się, kiedy zobaczył, że samochód jedzie wprost na niego. Teraz wstał i z wyciągniętą strzelbą podszedł do mazdy. Podniosłem pistolet i próbowałem wymierzyć w niego, kiedy przeładowywał broń. Ale wtedy Thor strzelił do niego przez tylne okno – jedyne, którego nie zasłaniały sosny.

Strzelił dwa razy, ale dwa razy spudłował i Gaglionci znów oddał strzał w ba-gażnik i tylne okno. Potem cofnął się i zsunął w rów porośnięty trawą. Strzeliłem w tę stronę trzy razy i znów zapadła cisza. Dorana ani śladu. Pewnie ukrył się w lesie albo uciekał jak najdalej od kempingu. Postanowił

zwać przy pierwszej nadarzającej się okazji. Skradałem się żwirówką obserwując wysoką trawę i drzewa, za którymi zniknął Gaglionci. Nie strzelił do mnie, ale słyszałem szelest w zaroślach i skrzyp łamanych gałązek pod butami. Strzeliłem znów dwa razy na oślep między drzewa, nie spodziewając się, że go trafię. W końcu przestałem go słyszeć i rozpląnął się w ciemności, poza zasięgiem strzału.

Kiedy podszedłem do mazdy, otworzyły się drzwi od strony pasażera i na trawę wypadł Thor. Na twarzy i ramionach miał krew, ale żył i się ruszał. Przyklęknałem, żeby mu pomóc, odsunął się jednak i wstał, podpierając się o samochód. Cały czas trzymał

w ręku glocka. Krwawił z płytkich skaleczeń, nie z rany postrzałowej.

– Oberwałeś?

Pokręcił głową i otarł twarz wierzchem dłoni w rękawicze.

– Nic takiego. Strzelał śrutem. Dostałem może kilkoma ziarenkami.

Przyjrzałem się dokładniej i zobaczyłem, że po lewej stronie ma rozdartą kurtkę, a materiał na żebrach nasiąka krwią. Też to zauważył, ale najwyraźniej się nie przejął. I wtedy ciszę rozdarł krzyk z końca żwirowej drogi.

– Zabiję ją!

Gaglionci znów wyłonił się spośród drzew. Stał teraz jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów od nas, obok przyczepy. Widzieliśmy jego sylwetkę na jej tle. Zaczą-

łem biec, a Thor oparł nadgarstek o dach mazdy i usłyszałem, jak jego glock repetuje trzy razy. Kule poleciały znacznie bliżej celu, niż można było oczekiwać, zważywszy na odległość i ciemności. Ale żadna nie trafiła. Tymczasem Gaglionci obrócił się w stronę przyczepy i znów podniósł strzelbę. A ja tylko biegłem, wiedząc, że muszę dopaść go, zanim wejdzie do środka, świadom, że szanse mam żadne, że to za daleko i dobiegnę za późno.

Gaglionci otworzył drzwi, wpadł do przyczepy i strzelił. Krzyknąłem, jakby to mnie trafił. Wciąż biegłem, ale zacząłem się potykać, bo stopy pędziły szybciej niż reszta ciała. Kiedy dotarło do mnie, że odgłos wystrzału był inny – suchy trzask zamiast gardłowego ryku strzelby – Gaglionci wypadł przez drzwi i runął na ziemię.

Upuścił broń, a ja odzyskałem równowagę i pędziłem jeszcze szybciej, póki nie stanąłem nad nim. Wycelowałem w jego czoło i patrzyłem jak zwija się z bólu.

– Chyba dobrze, że tu byłem – Andy Doran odezwał się z wnętrza przyczepy.

Stał oparty o framugę drzwi i mierzył z rewolweru w moją pierś.

Rozdział 41

– Chodź, zobacz swoją dziewczynę – powiedział Doran.

Wszedłem do przyczepy. W środku świeciła mdła lampka, ale od razu zrozumiałem, dlaczego światła nie było widać z zewnątrz – okna zasłaniała gruba ciemna tkanina. Doran kupił pewnie za dziesięć dolców kilka bel materiału w jakimś fabrycznym sklepie, ale to wystarczyło. Tkanina nie przepuszczała światła i dla każdego, kto przechodził obok, przyczepa wyglądała na opustoszałą.

Doran zaprowadził mnie przez małą kuchenkę w kącie, a za nami do przyczepy wszedł Thor. W środku śmierdziało podgniętymi śmieciami i pleśnią. Podłoga lepiła się od brudu, a w miejscach, gdzie przeciekał dach, zbierały się na niej kałuże deszczówki.

Doran mieszkał tu przez miesiąc, czekając na swoją mannę z nieba. Zajrzałem do sypialni i zobaczyłem Amy.

Leżała na podłodze na jakimś starym kocu. Ręce i nogi miała skute kajdankami, a usta zalepione taśmą, ale szeroko otwarte oczy błyszczały nawet w tak mrocznym pomieszczeniu. Opuściłem pistolet i upadłem na kolana. Wyciągnąłem do niej ramiona, a wtedy Doran pochylił się i przyłożył jej lufę rewolweru do czoła.

– Cała i zdrowa, Perry. Tak jak obiecałem. A teraz słuchaj mnie uważnie, to może nic się nie zmieni.

Mój glock leżał na podłodze obok dłoni, tam gdzie go położyłem. Thor stał w drzwiach i nawet nie patrząc na niego, wiedziałem, że wyciągnął swój pistolet i mierzył w Dorana. A ten uśmiechał się do niego ponad moim ramieniem.

– Spokojnie, ludzie. Spokojnie. Po co się tak gorączkować. Jeśli zaczniecie strzelać, to ja też. Przecież wiecie, jak to jest. Widzicie, jak trzymam broń i gdzie jest wycelowana? Zaczniecie hałasować? Dziewczyna może zginąć. Nie wiem tego na pewno, ale i wy nie macie pewności, że tak się nie stanie.

Thor milczał. Klęczałem zaledwie nieco ponad metr od Dorana, oddzielało mnie od niego tylko ciało Amy. Ale nawet nie drgnąłem. Nie teraz, kiedy przystawiał

jej lufę do głowy, z palcem na spuście. Popatrzyłem w oczy Amy. Chyba nic jej nie zrobili. Owszem, wystraszyli, lecz nie skrzywdzili.

– Powiedz swojemu koleźce, żeby położył broń na podłodze – polecił Doran.

– Nie robi tego.

– Lepiej niech mnie posłucha. Powiedz mu...

– Nie. Nikt nie może mu kazać, żeby odłożył broń. Nie zrobi tego – powtórzy-

łem.

– W takim razie schowaj ją do kabury. Jeśli jesteś taki szybki Bill, jak myślę, to i tak nie będziesz miał problemu – powiedział Doran do Thora.

Thor powoli opuścił glocka i wsunął go do kabury. Czujny i napięty.

– W porządku. – Doran obszedł Amy, cały czas trzymając rewolwer przy jej głowie, i zbliżył się do mnie. Jednym szybkim ruchem podniósł broń i wycelował ją z kolei w moją skroń. Thor stęzał, lecz nie sięgnął po swojego glocka.

Doran wziął z podłogi mój pistolet, a potem pokazał mi, gdzie leżą kluczyki od kajdanek. Kazał mi zdjąć kajdanki ze stóp Amy, ale nie z rąk. Nie pozwolił mi też odkleić taśmy z ust. Amy wstała, ledwie trzymała się na nogach. Przytuliłem ją i czułem, jak ogarnia mnie fala ulgi. Nagle Doran uderzył mnie lufą w głowę i kazał się odsunąć.

– Obiecałem ci ją i proszę bardzo, dotrzymuję słowa – powiedział. – Teraz ty musisz dotrzymać swojego, Perry. Pójdiesz ze mną. Razem z nią.

Popchnął mnie naprzód, do korytarza, a potem szturchnął Amy. Poplątały jej się nogi, ale złapał ją i podtrzymał, po czym poprowadził przez całą przyczepę na dwór, przyciskając broń do jej boku.

Tymczasem Gaglionci przeczołgał się jakieś dziesięć metrów, zostawiając za sobą krwawy ślad. Doran wrzucił jego strzelbę do przyczepy, przycisnął Amy do ziemi, a sam uklęknął między nią i Gaglioncem.

– Odsuń się kawałek, Perry. Jak za blisko podejdziesz, ktoś może zarobić kulkę.

A po co.

Obrócił Gaglionciego na plecy. Dopiero teraz miałem okazję lepiej mu się przyjrzeć. Średnia budowa ciała i średni wzrost, ciemna karnacja, ciemne włosy zacze-sane do tyłu. Zamglone oczy wpatrywały się w bezgwiazdne niebo. Krwawił. Krew wy-ciekała na trawę strózkami i wsiąkała w wilgotną ziemię. W jego piersi, w pobliżu mostka, ziała poszarpana dziura.

– Jak się masz, kolego? – zapytał Doran. – Wyglądasz nieszczęśliwie.

Thor stał w drzwiach przyczepy, z pistoletem wciąż w kaburze. Amy leżała na trawie. Nie próbowałem nawet na nią patrzeć, bo ilekroć to robiłem, chciałem przy-skoczyć do niej, a to niebezpiecznie sprowokowałoby Dorana.

Gaglionci, odpychając się łokciami, sunął na plecach po trawie.

– Wiesz, ile razy myślałem, żeby cię zabić, Doran? – wyszeptał, wysilając się, że-byśmy go słyszeli.

– Szkoda, że sobie odpuściłeś. Perry twierdzi, że zgarnąłeś ładny czek za zabicie Jeffersona. Pół miliona, prawda? – Doran cmoknął z dezaprobatą, jak matka ga-niąca dziecko. – Wystarczyło się podzielić, a dawno by mnie już tu nie było. Szkoda, że się nie udało. Muszę się jeszcze dowiedzieć, kto ci zapłacił.

Gaglioni poruszał mięśniami szczęki, choć nic nie mówił. Otwierał i zaciskał prawą dłoń, w którą zagarnął garść ziemi.

– Kto? – Doran przyłożył mu broń do skroni. – Człowieku, jeszcze nie umarłeś.

Ta mała dziurka na piersi cię nie zabije, wierz mi. Widziałem już o wiele gorsze rzeczy, a faceci kilka miesięcy później biegali w maratonie. Ale widzisz lufę mojej spluwy?

Może od razu wysłać cię na tamten świat. Jeśli nie powiesz mi prawdy, pociągnę za spust.

– Paul Brooks – odparł bez wahania, tak jak się spodziewałem. Nie był typem twardziela, tylko zabójcą i alfonsem, który widząc broń czy pieniądze, poważy się na wszystko. Brooks wykorzystał pieniądze, żeby go zmotywować, a teraz Doran przekonał go, grożąc użyciem broni. W świecie Gaglioniego tak się właśnie grało.

Doran obejrzał się na mnie przez ramię.

– Mówiłeś, że coś podejrzewasz. Nie byłeś pewien, ale miałeś kogoś na myśli.

Brooksa?

– Tak. Jego.

– Paul Brooks – wycedził Doran. – Syn właściciela wytwórni wina, gdzie zabito Monicę, prawda?

– Tak.

– Jeśli ci zapłacił... jeśli zabił Monicę, to co do cholery miał z tym wspólnego Jefferson? – zwrócił się do Gaglioniego, nie do mnie.

Gaglioni nabrał powietrza w płuca, po czym powoli je wypuścił. Musiał się skupić. Popatrywał na dziurę w piersi. Nie odpowiadał i kilka sekund później Doran wepchnął mu lufę rewolweru do rany.

Gaglioni zawył. Otworzył szeroko usta i krzyczał. Szarpał się, ale Doran go przytrzymał. Nie było mi go żal – porwał Amy, a gdyby Doran do niego nie strzelił, zabiłby ją – lecz wyraz jego twarzy sprawił, że aż skręciło mnie w żołądku. Odwróci-

łem głowę.

– Gadaj – syknął Doran.

Gaglionci przez chwilę walczył z bólem.

– Nie od razu dowiedziałem, że ją zabił – wydusił. – Tej nocy, kiedy Jefferson wysłał mnie, żebym zabił ciebie, zapytałem go, co na niego masz. Powiedział mi o swoim synu. Że twoim zdaniem syn zabił dziewczynę, bo inaczej po co miałby cię wrabiać. To mnie zdziwiło.

– Ale przecież byłeś z nimi w domu Moniki Heath – wtrąciłem się. – Z Brooksem i Jeffersonem. Musiałeś wiedzieć, kogo chronisz.

– Nie. Jefferson mówił... no, mówił tak, jakby tego wieczoru na imprezie był

ktoś jeszcze. Przyjaciel albo ktoś, kto pracował z Brooksem, jakoś tak. Powiedział mi, że nie muszę znać szczegółów, i dał mi dość kasy, żebym nie protestował.

Z bólu i wysiłku zagryzł język i zacisnął powieki.

– To nie wszystko. Co jeszcze? – ponaglał Doran.

– Wróciłem do Jeffersona i powiedziałem, że wiem o jego synu i teraz będzie to kosztowało znacznie więcej niż pięćdziesiąt patyków. Wściekł się. Wrzeszczał, że jego syn nie zabił tej dziewczyny. Świącie wierzył, że zawzięłeś się na niego, bo cię wrobił, a na chłopaka, bo w tym pomógł. Ale kiedy dowiedział się, co naprawdę my-

ślisz... że twoim zdaniem to jego syn zamordował tę dziewczynę, wszystko się zmieni-

ło. Oświadczył, że pójdzie na policję, opowie, co się stało, i weźmie na siebie odpowiedzialność za to, co zrobił. Chciał, żebym wrócił do ciebie jeszcze raz, dał ci te pięć-

dziesiąt tysięcy i powiedział, że on zgłosi się na policję, a ciebie oczyszczą. Ja na to, że mi się to nie podoba... jeśli pójdzie do gliniarzy, to oni zaczną ścigać mnie.

Gaglionci kaszlnął i z bólu wybałuszył oczy, w ustach nie pojawiła się krew, więc nie konał. Doran dał mu jeszcze kilka sekund, po czym podniósł rewolwer i przytknął do jego piersi. Podziałało.

– Powiedziałem Jeffersonowi – wydusił Gaglionci – że moim zdaniem kłamię; jego syn zabił dziewczynę, bo przecież inaczej nie szastałby tak forszą. Roześmiał się i stwierdził, że to nigdy nie były jego pieniądze, a w ogóle grosze dla tego, kto ją zabił.

Do rodziny Moniki pojechałem z Jeffersonem i ojcem Brooksa. Wiedziałem, jaki jest nadziany.

– A Paulowi Brookswi powiedziałaś, że Jefferson ma zamiar zgłosić się na policję – wpadł mu w słowo Doran.

– Zaryzykowałem. I udało się.

– Zabiłeś Jeffersona i zgarnąłeś kupę kasy, a mimo to chciałeś wyłudzić pienią-

dze od jego żony. Z pół miliona zrobić trzy i pół. A Perry miał się użerać z gliniarzami.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na Dorana. Rana już tak bardzo nie krwawiła.

Doran miał rację – bywają gorsze rzeczy. Gaglionciemu śmierć nie była jeszcze pisana.

Przynajmniej nie od tego postrzału.

Doran siedział przez chwilę bez ruchu, po czym pokręcił głową i spojrzał na Thora, jakby chciał się upewnić, że wciąż stoi w drzwiach przyczepy. Wstał powoli i zachwiał się jak człowiek, który za długo siedział. Lufa rewolweru powędrowała od piersi Gaglionciego w moją stronę. Wolną ręką Doran rzucił mi kajdanki, zdjęte z kostek Amy.

– Skuj go.

Uklęknąłem przy Gaglioncim, chwyciłem go za nadgarstki i założyłem mu kajdanki, nie spuszczając oka z Dorana.

– Dobra. Pojedziemy furgonetką. Ty prowadzisz, Perry. Ja z kolegą zabierzemy się z tobą. – Doran trącił Gaglionciego stopą.

– Możesz sobie jechać z tym ścierwem, gdzie ci się żywnie podoba, ale ja zabieram stąd Amy.

– On ją zabierze. – Doran kiwnął głową na Thora. – Nie mam nic przeciwko te-mu. Niech dołączy z nią do twojego partnera, a potem mogą sobie jechać na policję, do szpitala czy gdzie tam chcą. Ale my dwaj musimy wdepnąć jeszcze w jedno miejsce.

– Gdzie?

– Do Paula Brooksa. Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że to wszystko skończy się jeszcze dzisiaj. Więc albo jedziesz ze mną, albo znowu zaczniesz się strzelanina. Nie wiem, jaki będzie finał, ale wiem, że teraz twoja dziewczyna jest bezpieczna. Szkoda by znów narażać jej życie.

Amy siedziała między nimi, dokładnie na linii ognia, gdyby któryś zdecydował

się pociągnąć za spust. Drażnić go? Nie teraz, kiedy Amy była bezpieczna, a zagrożenie – przynajmniej chwilowo – minęło.

– Zabierz ją – powiedziałem do Thora. – W jakieś bezpieczne miejsce. Ja jadę z nim.

Rozdział 42

Za przyczepą parkowała stara furgonetka, na ścieżce nikiącej między drzewami, poza zasięgiem wzroku. Doran miał kluczyki. Pojechałem żwirówką, a on siedział

obok mnie oparty plecami o drzwi z rewolwerem wycelowanym w moją głowę. Przypominało to naszą jazdę nad jezioro, tyle że teraz na tylnym siedzeniu leżał zakrwawiony Gaglionci. Minęliśmy

przyczepę, przemknęliśmy kawałek leśną drogą i dotarli-

śmy do miejsca, gdzie Joe zablokował samochodem wyjazd. Joe go nie było w aucie.

– Wyjdź z bronią do ziemi – powiedział głośno Doran. Opuścił szyby po obu stronach i przycisnął mi lufę rewolweru do podbródka. – Policzę do pięciu, a potem twój partner zginie.

W drzewach po lewej coś się poruszyło i Joe wyszedł na drogę, mierząc z pistoletu. Byłem jednak przekonany, że nie strzeli. A co zrobiłby Thor?

– Joe, schowaj spluwę – wydusiłem. Z rewolwerem przy szyi nie mogłem mówić głośno. – Amy nic nie grozi. Jest w przyczepie z Thorem. Przepuść nas i zabierz ją stąd. Tylko to się liczy.

Schował broń. Na jego twarz padało światło reflektorów. Rzadkie siwe włosy miał mokre i potargane.

– Zabierz ją stąd – powtórzyłem.

– Dobrze.

– Przystaw samochód – polecił Doran. – A potem jedź, gdzie chcesz, i czekaj.

Już prawie skończyliśmy, ale nie zrób czegoś głupiego. Jeśli pojawią się gliny, twój partner zginie. Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

Joe wrócił do taurusa i uruchomił silnik. Zjechał z drogi i patrzył, jak mijam go furgonetkę. Zerknąłem w lusterko wsteczne – zawrócił w stronę przyczepy, gdzie czekali Thor i Amy. Amy była bezpieczna.

– Brooks wciąż siedzi w swojej posiadłości? – zapytał Doran.

– Nie wiem.

– Nie kłam. Pamiętam ten dom, wielki, wypasiony. Tam mieszka, prawda?

Milczałem.

– Twojej kobiecie nic się nie stanie. Rozumiesz? Widziałeś ją, Perry. Nic jej nie jest i możesz mi za to podziękować.

– I dziękuję, poważnie. – Teraz celował do mnie, ale przecież powstrzymał Gaglioniego, kiedy mnie się nie udało.

– Strzelanie do Gaglioniego to dla mnie przyjemność, Perry. Czysta satysfakcja. Może jeszcze dzisiaj będę mógł to powtórzyć.

Leżący z tyłu Gaglionci milczał. Ale we wstecznym lusterku widziałem jego twarz, jasną plamę, i

obserwujące nas oczy. Nawet ranny i nieuzbrojony, w kajdankach, wciąż stwarzał poczucie zagrożenia.

– Kiedy zacząłeś biec, myślałem, że uciekasz – powiedziałem Doranowi. – Że popędziłeś w stronę autostrady...

Pokręcił głową.

– Tylko dwa budynki na całym kempingu jako tako się trzymają. Trzeci domek i ta przyczepa. Kiedy zorientowałem się, że nie ma go w domku, stwierdziłem, że musiał się przenieść do przyczepy. To miało nawet sens, bo ona stoi bliżej drogi. A byłem pewien, że nie zostawi dziewczyny samej.

– Skąd wzięłeś broń?

– Z przyczepy. Od kilku tygodni tam leżała. Wiedziałem gdzie, a on nie. – Poprawił się na siedzeniu i opuścił rewolwer. – Najważniejsze, że twoja dziewczyna jest bezpieczna, więc możesz się odprężyć... Najgorszą robotę już odwalili. Ale ja nie.

Masz szczęście, ot, po prostu tylko kibicujesz. – Pochylił głowę, spoglądając na mnie.

– A ten synalek Jeffersona... właściwie dlaczego się zabił? Jeśli to nie była jego wina, to czemu to zrobił?

Zaskoczył mnie, bo w jego głosie usłyszałem żal. Patrzyłem na niego przez chwilę, po czym odwróciłem wzrok.

– Powiedziałaś, że go zabijesz, Doran. Że będziesz go torturował i go zabijesz.

Chyba ci uwierzył.

– Ale dlaczego targnął się na własne życie? Dlaczego nie poszedł do glin i nie sypnął Brooksa? Gdyby to zrobił...

– Gdyby sypnął Brooksa, sypnąłby także siebie. I ojca. Ojciec trafiłby za kratki.

Może i nie utrzymywali ze sobą kontaktu, ale chyba do tego nie potrafili się posuwać. Kiedy dotarło do niego, że ojciec nie żyje, zjawiłem się ja, i pewnie stwierdził, że lada chwila możesz pojawić się ty.

– Szkoda, że nie zgłosił się na policję. Wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Popatrzyłem na jego twarz ukrytą w cieniu.

– Wpuść mnie i jedź dalej sam. Ale nie do Brooksa. Na północ, południe, zachód, gdziekolwiek. Ale nie tam, Doran. To się źle skończy.

– Zamknij się, Perry.

Chwilę milczeliśmy. Jechaliśmy pustą drogą w tej zatechłej starej furgonetce, nasłuchując szumu wiatru i opon toczących się po asfalcie.

– Był czas – odezwał się w końcu Doran – tuż przed tym, gdy zginęła Monica, a ja trafiłem za kratki, że prawie się pozbierałem. Przyznam, trochę to trwało, ale zaczą-

łem stawać na nogi. Mniej piłem, mniej paliłem trawkę, pracowałem uczciwie w normalnych godzinach. Ta przyczepa w Genevie tak mnie nastroiła, wiesz? Wokół drzewa, niecała godzinka od miejsca, gdzie się wychowałem. Cholera, jak cudownie było wyrwać się z miasta. Uwielbiałem ten las. Byłem tam szczęśliwy. Założyłem nawet konto w banku. Odkładałem tam każdego dolara, myślałem, żeby po zimie przeprowadzić się do czegoś lepszego.

Wyobraziłem to sobie: przyczepa w lesie, wokół wysokie drzewa... i zaraz potem ujrzałem potężny dom Aleksa Jeffersona w pobliżu klubu, wytwórnię wina Paula Brooksa i jego posiadłość w pobliżu jeziora.

– Nieźle mi szło – ciągnął Doran. – A Monica była dla mnie dobra. Wiedziała, że nasz związek długo nie potrwa, oboje to wiedzieliśmy, ale była dla mnie dobra. Jej znajomi i rodzice mnie nie lubili, a przecież mnie nie znali. Krążyło o mnie mnóstwo plotek, że jestem porywczy i takie tam, ale było, minęło. To wszystko minęło i Monica to zrozumiała. Ona jedna. Kiedy się rozstaliśmy, pamiętam, że siedziałem wieczorem na dworze, paląc papierosa, i myślałem, że do wiosny będę już czysty. Że będę żył jak człowiek, będę miał nowy dom, skończę z prochami, pić i całym tym gównem. I niewiele brakowało. Musiałem tylko przetrwać zimę.

Głos mu się zmienił, mówił cicho, prawie jakby nucił.

– Musiałem tylko przetrwać zimę.

Dotarliśmy do skrzyżowania i Doran kazał mi jechać w prawo, w stronę wytwórni wina. Wzmógł się wiatr i zaczął strząsać krople z drzew.

– Przecież wiedziałeś, że ktoś cię wrabia – powiedziałem. – Czemu zgodziłeś się przyznać do winy?

– Właśnie dlatego, że ktoś mnie wrobił, Perry i to porządnie. Można walczyć z zarzutami, kiedy jest się pewnym faktów, ale ja już nie byłem pewien. Nie wiedziałem, co jeszcze wymyślą, a ten przekupiony prawnik, ten kutas, codziennie namawiał mnie, żebym zastanowił się, czy nie warto pójść na ugodę. Mówił, że zawsze będę mógł zło-

żyć apelację, że wyjdę wcześniej. A gdyby skończyło się procesem w tym hrabstwie, byłbym skończony. Sprawa była za głośna, a moja reputacja zbyt zszargana, nie mia-

łem szans. Twierdził, że nie może też przenieść sprawy do innego okręgu. Lepiej więc, i bezpieczniej, pójść na ugodę, a potem apelować, mówił.

– Podejrzewałeś, kto cię mógł wrobić? – zapytałem. – Czy zwałaś winę tylko na policję?

– Miałem milion pomysłów, ale poruszałem się po omacku. Byłem przekonany, że gliniarze maczali

w tym palce, kto jednak zabił Monicę? Początkowo podejrzewa-

łem jej ojca. Nigdy mnie nie lubił. Ale przecież nie wyglądał na szajbusa. Dlaczego ja?

Kto wybrał Andy'ego Dorana na kozła ofiarnego? W kółko zadawałem sobie to pytanie... i nic nie wymyśliłem. Wiesz, że całkiem poważnie zastanawiałem się, czy to nie ktoś z wojska? Dasz wiarę? Wywalono mnie z armii i pomyślałem, że może komuś za-lazłem za skórę bardziej, niż mi się wydawało. Takie nawet snułem teorie.

– Nie znałeś Paula Brooksa?

– W życiu go na oczy nie widziałem. Ale to się zaraz zmieni.

– Załatwię ci trochę pieniędzy, Doran. Nie wiem jak. Dostaniesz ładną sumkę i znikniesz. Jedź, gdziekolwiek chcesz, i po prostu zniknij. Zapomnij o Brooksie. Joe i ja dopilnujemy, żeby dostał za swoje. Będziesz mógł to obejrzeć w telewizji, przeczytać o tym w gazetach, siedząc gdzieś daleko w bezpiecznym miejscu.

Doran nie patrzył na mnie, wpatrywał się w ciemny krajobraz za oknem.

– Byłeś gliniarzem. Byłeś pewnie w paru więzieniach.

– Tak. Kilka razy.

Kiwnął głową.

– Więc wiesz, jak tam jest.

Przypomniałem sobie głucho szczęknięcie drzwi, które zamknęły się za mną w areszcie w Indianie. Wtedy wydawało mi się, że zamyka się za mną luk okrętu pod-wodnego. Ostatecznie.

– Tak – odparłem. – Trochę wiem.

– Więc wiesz, co tam się dzieje, kiedy zamkną się drzwi.

Nie odpowiedziałem. Doran odwrócił się do mnie.

– Odsiedziałem pięć lat, Perry. Tego się nie zapomina, nie da się zapomnieć i uciec od tego. To zostaje we krwi.

Rozdział 43

Brooks był w domu. Stało się to dla nas oczywiste, kiedy tylko wyjechaliśmy z zosa i zobaczyliśmy oświetlone okna w wielkim budynku z drewnianych bali. Na podjeździe nie stał żaden samochód. Zaparkowałem przed garażem. Zastanawiałem się, czy Brooks widział, jak podjeżdżamy, czy niczego nieświadom, siedział sobie spokojnie przed telewizorem, nawet nie wracając do wspomnień morderstwa.

– Wyskakuj – poleciał Doran i otworzył drzwi od strony pasażera. Wsiadłem i stanąłem obok furgonetki. Doran obszedł wóz i odsunął tylne drzwi. Spojrzał na podjazd, a potem na mnie. – Podnieś go. On też idzie z nami.

Doran cały czas trzymał mnie na muszce. Wetknąłem ręce pod ramiona Gaglionciego i ściągnąłem go z kanapy. Podźwignął się i jakoś trzymał na nogach. Oddychał ciężko i patrzył na Dorana.

– A mogliśmy już liczyć pieniądze – odezwał się. – Ale ty wolałeś...

Umilkł, bo Doran przytknął mu do ust lufę rewolweru.

Ruszyliśmy w stronę domu. Doran szedł tuż za mną. W jednej ręce trzymał

broń, a drugą wczepił we włosy Gaglionciego i popychał go naprzód. Kiedy stanęli-

śmy przed drzwiami, kazał mi zapukać. Zastukałem mosiężną kołatką o grube drewno i czekaliśmy. W środku rozległy się kroki. Drzwi otworzył Paul Brooks. W szlafroku.

Miał dziwną minę, póki nie rozpoznał Gaglionciego i nie zobaczył krwi na jego piersi.

– Co jest, do cholery? – Podniósł ręce, dłońmi na zewnątrz i cofnął się. Wtedy Doran wysunął się zza Gaglionciego i wycelował broń w Brooksa.

– To on?

– Tak. – Kiwnąłem głową.

Brooks spojrzał na mnie, marszcząc brwi. Jego gładko ogolona twarz o mocno zarysowanej szczęce kojarzyła mi się z reklamą płynu po goleniu.

– Mogę wiedzieć, co tu robicie? – spytał.

– Zamknij się. – Doran wszedł do domu, ciągnąc za sobą Gaglionciego, i zamknął stopą drzwi. Brooks cofał się, a Doran na niego napierał. – Rozpoznajesz mnie, dupku? Wiesz, kim jestem?

Brooks zawahał się, nie dlatego, żeby nie kojarzył Dorana, ale dlatego, że zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę.

– Andy Doran – odparł. – Ten morderca.

Doran puścił Gaglionciego i uderzył Brooksa w twarz rewolwerem. Rozległo się głośnie, ostre plaśnięcie; Brooks zachwiał się i upadłby, gdyby nie przytrzymał się barierki przy schodach. Zbliżyłem się do nich o krok, kiedy Doran odwrócił się i przystawił mi lufę do czoła.

– Nie ruszaj się, Perry. Mówiłem ci, że jesteś tu jako widz. Stój spokojnie i patrz, dobra?

Staliśmy w długim korytarzu prowadzącym do kuchni. Po lewej stronie były schody. Na górze

znajdował się duży strych z kilkoma świetlikami przepuszczającymi światło z wielkiego pokoju poniżej. Brooks trzymał się kurczowo barierki i patrzył na Dorana. Krew z nosa kapała mu na błyszczący drewniany parkiet. Gaglionci upadł na podłogę, kiedy Doran go puścił, mierząc do niego z pistoletu.

– To twój szef, tak? Facet, który ci płacił?

Gaglionci kiwnął głową.

– Powiedz mi – ciągnął Doran. – Powiedz mi, tu przy nim, dlaczego zabiłeś Jeffersona.

Gaglionci szarpał kajdankami i próbował usiąść.

– Bo to on zabił tę dziewczynę. Tę, za którą poszedłeś do więzienia.

Jeszcze nim Gaglionci skończył, Doran znów uderzył Brooksa. Tym razem ten się tego spodziewał i się uchylił. Oberwał za uchem, a nie prosto w twarz. Doran stał

teraz przede mną, więc cofnąłem się o krok. Chciałem zająć lepszą pozycję, na wypadek gdyby pojawiła się okazja, żeby wkroczyć do akcji.

– Czy to prawda? – zapytał Doran. – Zabiłeś ją?

– Nie.

– Zła odpowiedź.

Brooks próbował wbiec po schodach na górę, ale Doran chwycił go i ściągnął

w dół, po czym walnął go dwa razy w tył głowy i powalił na podłogę. Na potylicy Brooksa pojawiła się strużka krwi.

– Perry twierdzi to samo, co twój chłopiec na posyłki, że ją zabiłeś.

Brooks spojrzał na mnie, niby zszokowany, ale w jego oczach widziałem gniew.

– Odbiło ci?

Nawet leżąc na podłodze, z krwią na idealnej twarzy z reklamy płynu po goleniu, wciąż był pełen buty i arogancji.

– Chyba nie masz wyboru i czas w końcu zdobyć się na szczerą – powiedziałem.

– Nie wiem, o czym...

Doran znów go zdzielił. Brooks jakoś się wywinął, poderwał i zaczął biec do kuchni. A Doran za

nim.

– Przyznaj się! – krzyczał. – Powiedz, że to zrobiłeś. Powiedz to! – Aż się zapluł.

Cały trząsał się z wściekłości.

– Nie...

Doran strzelił. Kula utkwiała w ścianie tuż za Brooksem, który krzyknął i się pochylił.

– Przyznaj się – wycedził Doran już spokojnie, jakby strzał pozwolił mu się opanować.

Brooks kulił się ze strachu. Oparł się o ścianę, z uniesionymi rękami, jakby chciał się bronić, gdyby Doran znów strzelił.

– Zrobiłem to – wyszeptał tak cicho, że nie miałem pewności, czy w ogóle się odezwał, choć widziałem, jak porusza ustami.

– To znaczy co?

– Zrobiłem to – powiedział już głośniej. – Zabiłem tę dziewczynę. Monicę Heath.

Doran odezwał się dopiero po minucie:

– Dlaczego?

Brooks pochylił głowę. Mahoniowe włosy spadły mu na czoło.

– Nie zrobiłem tego umyślnie. To znaczy, nie chciałem... zaczęła się ze mną szarpać. Trochę się zabawialiśmy. Byliśmy na pomoście. Sięgnąłem jej pod sukienkę i ściągnąłem majtki, a ona zaczęła mnie odpychać. Mówiła coraz głośniej. Właściwie to krzyczała. A przed domem było tyle ludzi, ojciec, goście...

Doran stał z uniesioną bronią, wciąż mierząc w Brooksa; wyglądał, jakby nie oddychał. Przypominał mi postać z jakiegoś wojennego pomnika, który gdzieś widzia-

łem, zastygły w czasie symbol bliskiej przemocy.

Ciszę przerwał Brooks:

– Nie chciałem jej zabić, chciałem tylko, żeby się zamknęła. Próbowwała uciec...

chwyciłem ścierkę, zaszedłem ją od tyłu i uciszyłem... Nie chciałem jej zabić...

Znów przerwał.

– Posłałeś mnie do mamra. Odsiedziałem za ciebie pięć lat. Pięć lat dlatego, że nie chciałeś, żeby dziewczyna, która nie miała ochoty się z tobą przespać, narobiła ci wstydu.

Brooks milczał.

– Dlaczego ja? – drążył Doran.

– Nie wiem. Nie ja cię wybrałem.

– Dlaczego ja?

Słyszając znów to pytanie, Brooks zastygł z otwartymi ustami, a potem powiedział:

– Bo po prostu byłeś. To nic osobistego. Po prostu byłeś pod ręką.

– Po prostu byłem. Byłem pod ręką i to nic osobistego – powtórzył jak echo Doran. – Świetnie. To mi wiele wyjaśnia. To znaczy, że pięć lat odsiadki to nic osobistego.

– Chcesz pieniędzy? – zapytał Brooks. – Chcecie wszyscy? Dobra. Ile? Żaden problem. Podajcie sumę, a ja wypiszę czek.

Kiedy Brooks to mówił, podszedłem bliżej Dorana, bo byłem niemal pewien, że zaraz strzeli, że nie zniesie jego arogancji, tego, że próbował go zjednać pieniędzmi, kontrolować sytuację tak samo, jak kontrolował sprawę morderstwa Moniki Heath.

Ale Doran nie strzelił. Uśmiechnął się.

– Pieniądze. – Wymówił to słowo powoli, jakby je smakował. – Możesz mi dać trochę swoich pieniędzy?

Brooks przytaknął. Z nosa wciąż leciała mu krew, plamiąc błękitny szlafrok.

– Mogę ci dać pieniądze, o jakich nawet nie marzyłeś. Więcej niż możesz sobie wyobrazić.

Doran spojrział na Gaglionciego, wciąż leżącego na podłodze, a potem na mnie. Co wyrażał jego wzrok? Nie wiedziałem. Był jakiś pusty, nieobecny.

– Ile pieniędzy możesz mi dać teraz?

Brooks zmarszczył brwi.

– W gotówce?

Doran jakby się namyślał. Potem pokręcił głową.

– Czekałem. Chyba wolę czek.

– W porządku. Czek. Dobrze. Mogę ci wypisać czek. Jako zaliczkę, tak? A potem zorganizujemy więcej.

– Jasne – odparł Doran. – Jako zaliczkę.

Przez chwilę Brooks stał nieruchomo, po prostu stał, a w końcu wskazał w głąb korytarza.

– W gabinecie. Książeczkę czekową mam w gabinecie.

– No to chodźmy tam – Doran mówił nie swoim głosem. Był odprężony, niemal rozbawiony, jakby rozmawiał na jakimś poziomie abstrakcji, za którym nie nadążali-

śmy. Ten głos mnie niepokoił.

Brooks ruszył korytarzem, a Doran obejrzał się na mnie i machnął rewolwerem.

– No dalej, Perry.

– Wyjdź – powiedziałem.

– Co?

– Wyjdź stąd, Doran. Bierz furgonetkę i jedź.

Uśmiechnął się do mnie. Krew na wardze już mu zaschła.

– Wykluczone.

Podążyłem za Brooksem, a Doran za nami. Nikt nie odezwał się słowem do Gaglioniego. Zostawiliśmy go krwawiącego na podłodze, skutego kajdankami. Brooks nie włączył światła, więc w korytarzu panował półmrok. Przy ścianie stał zbytkow-ny stojak na wino, na jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt butelek. Białe wina odbijały mdłe światło, a czerwone stapiały się z cieniem. Brooks szedł szybko z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Skręcił w pierwsze drzwi po prawej stronie i wcisnął włącznik.

Staliśmy teraz w jego gabinecie, przestronnym pomieszczeniu z oknami wychodzą-

cymi na pomost. W dzień pewnie widać stąd było drzewa i jezioro, a nocą w szybach odbijało się tylko wnętrze pokoju.

Doran minął mnie i stanął przed biurkiem, a Brooks usiadł w fotelu. Nie spuszczać oczu z Dorana, wziął z drugiego końca blatu czarną książeczkę czekową i poło-

żył przed sobą. Otworzył ją, znalazł czysty czek i poklepał się po piersi od strony serca, jakby szukał pióra. Zamarłem, kiedy to zrobił. Nie był to naturalny gest, ale jakiś toporny, fałszywy.

– Muszę wziąć pióro – powiedział i otworzył szufladę po prawej stronie biurka.

– Nie – warknął Doran, ale Brooks już sięgnął ręką do szuflady. Doran strzelił i trafił.

Pocisk strzaskał Brooksowi mostek, przebił ciało i fotel. Jednak Brooks zdążył

chwycić pistolet w szufladzie i pociągnąć za spust. Poleciały wióry, kula przeszła biurko i utkwiała w brzuchu Dorana.

Doran strzelił znowu, tym razem trafił Brooksa prosto w gardło i w szyi rozwar-

ła się krwawa dziura. Brooks uderzył głową o oparcie fotela. Krew pieniała się w otwartej ranie, kiedy bezskutecznie próbował zaczerpnąć powietrza.

Ruszyłem w stronę Dorana, ale machnął chwiejnie rewolwerem, żebym się zatrzymał. Stałem więc i wyciągnąłem przed siebie ręce. Przez sekundę patrzył mi prosto w oczy. Jego twarz zdradzała wielki niepokój. Z brzucha buchała krew, przesia-

kając przez koszulę. Opuścił rewolwer, usiadł na podłodze i po raz pierwszy spojrzał na ranę.

– Chciałem go zabić z tą książeczką. Chciałem go zabić, kiedy wypisywał czek – powiedział.

Po chwili nie żył.

Rozdział 44

Znów zaczęło padać. Deszcz bębnił o wielkie okno za plecami Brooksa, dotrzymując mi towarzystwa, kiedy siedziałem w gabinecie z dwoma denatami. Patrzy-

łem na Dorana długo po tym, kiedy umarł. Początkowo słychać było tylko deszcz i kapanie krwi z fotela Brooksa, ale potem zaczęły mnie dochodzić jakieś dźwięki z głównej części domu. Przypomniałem sobie o Gaglioncim, że lepiej nie zostawiać go samemu sobie.

Wstałem i wyszedłem z gabinetu. Pograżonym w półmroku korytarzem dotar-

łem za róg i zobaczyłem otwarte drzwi frontowe. Po Gaglioncim został tylko krwawy ślad prowadzący w ciemną deszczową noc.

Iść za nim czy czekać tu i dzwonić na policję? Taką decyzję powinienem podjąć błyskawicznie, ale umysł miałem otępiały, rozproszony, jakbym się wypalił. Tak to by-wa, kiedy człowiek za długo siedzi w pokoju z dwoma trupami.

Stałem na werandzie. Patrzyłem, jak krople deszczu pluskają w kałużach na podjeździe i bębnią w duch pordzewiałej furgonetki Dorana. Nagle usłyszałem kroki od strony drogi i pojawiła się na niej jakaś postać. Pomyślałem o broni Dorana i Brooksa – nie wrócić po pistolet? Ale wtedy zorientowałem się, że to Thor.

Położył sobie przez ramię nieprzytomnego Gaglionciego i ciągnął go stopami po mokrej drodze. Zawlókł go na werandę i rzucił u moich stóp.

– Pomyślałem, że może się jeszcze przydać.

– Tak. Tak, bardzo dobrze.

Zajrzał do środka. Zobaczył krew na wypolerowanej podłodze i usłyszał ciszę.

– Po wszystkim – powiedział. To było coś między pytaniem a stwierdzeniem faktu, ale chciał się upewnić.

– Nie żyją – odparłem.

Milczał. Uświadomiłem sobie, że właśnie to miał na myśli.

– Nie zabiłem żadnego z nich. Zastrzelili się nawzajem.

Nadal cisza, jakby było mu obojętne, co naprawdę się stało.

– Gdzie Amy i Joe? – zapytałem.

– Pojechali po pomoc. Na policję. Pomyślałem, że lepiej będzie, jak przyjdę tu do ciebie. Ale wygląda na to, że nie było to konieczne.

– Muszę zadzwonić na policję – oświadczyłem. – Chyba nie powinno cię tu być, kiedy przyjadą.

– Racja.

– Będę się starał o tobie nie wspominać, Thor. Spróbuję.

Nic nie powiedział.

– Odzyskałeś ją. Sam bym sobie nie poradził. Dziękuję.

Skłonił się lekko. To był ruch zawodowego artysty dziękującego publiczności za docenienie talentu. I ten gest wydał mi się zdecydowanie na miejscu.

– Nie powinieneś pojechać do szpitala? – Spojrzałem na jego bok, wciąż krwawił.

– Znam jednego takiego, co na to poradzi.

– Nie wątpię.

– Pójdę już sobie. A ty dzwoń.

– Jak wrócisz do miasta?

– To żaden problem. – Odwrócił się, zszedł z werandy i zniknął między drzewami.

Dałem mu pięć minut i dopiero wtedy zadzwoniłem na policję. Gagliocci zaczął

odzyskiwać przytomność. Darowałem sobie numer alarmowy policji i zadzwoniłem prosto do Targenta. Odebrał po pierwszym dzwonku, bo rozpoznał mój numer.

– Perry, sukinsynu, spóźniłeś się o dwanaście godzin z tym telefonem. Lepiej zrobisz, jak zaraz się zgłosisz.

– Chcesz zamknąć to śledztwo?

– Wątpię, żeby to była oferta przyznania się do winy.

– I słusznie wątpisz.

– To co masz dla mnie?

– Dwa trupy w domu pod Genewą. Kobietę, którą dziś porwano, a teraz jest już w bezpiecznym miejscu i chciałyby wyjaśnić ci parę rzeczy. No i w kajdankach faceta, który zabił Aleksa Jeffersona i Donny'ego Warda.

– Mów, gdzie jesteś – powiedział tylko.

Rozdział 45

Trzymali mnie trzy dni. Kiedy policja przyjechała do wytwórni wina, nakaz za-trzymania w sprawie morderstwa Donny'ego Warda był wciąż ważny i nikt nie został

porażony moimi wyjaśnieniami na tyle, by porwać na strzepy ten świstek i puścić mnie wolno. Tommy Gaglionci też nie palił się do zeznań. Aresztowano mnie w piątek wieczorem, co dało gliniarzom – a może i mnie – chwilę odpoczynku, bo wszelkie formalności musiały poczekać do poniedziałku. Mieli więc czterdzieści osiem godzin, że-by chłonać opowieści moje, Amy i Joego. W poniedziałek rano mój adwokat dowiedział się, że nie będą mi stawiane żadne zarzuty.

Do tego czasu pojawiło się już trochę dowodów na moje słowa: relacja Amy, jak Gaglionci włamał się do jej mieszkania i porwał ją, zakrywając jej usta śmierdzącą słodko szmatą i odkrycie ekipy kryminalistycznej – dopasowała ślady znalezione przed domem Donny'ego Warda do butów, które miał na sobie Gaglionci.

W końcu tuż po południu w poniedziałek dali mi spokój. Targent przyszedł

osobiście zwolnić mnie z aresztu. Joe czekał, żeby zawieźć mnie do domu, ale Targent otworzył drzwi małej salki przesłuchań i poprosił, żebym poświęcił mu minutkę.

Wszedłem i usiadłem za stołem, ciesząc się, że nie mam już kajdanek na rękach.

– No cóż – powiedział Targent. – Pewnie chcesz usłyszeć ode mnie jakieś przeprosiny.

– Chcę pójść do domu. Nic więcej.

– Może ci się należą – ciągnął, jakby tego nie usłyszał. – Dużo o tym myślałem w nocy. Nadal nie znamy szczegółów, jak to wszystko się rozegrało, ale jeśli potwierdzi się ostatecznie taki przebieg wypadków... Chodzi mi o to, że pewnie ci się wydaje, że się uwzięłem. Ale to nieprawda, Perry. Ja sobie nie wymyślałem tego wszystkiego, co wzbudzało we mnie coraz większą podejrzliwość. Chyba nie byłoby dobrze, gdybym nie próbował tego wyjaśniać, co? A tylko to właśnie robiłem. Próbowałem wyja-

śnić...

– Rozumiem, Targent. Rozumiem. Wcale sobie tego nie wymyślałeś. Nie musia-

łeś w to wszystko wierzyć tak mocno albo tak mocno mi nie wierzyć. Ale wiem, że wykonywałeś swoje obowiązki i że próbowałeś rozwiązać tę sprawę.

– Takie sprawy. . kiedy ktoś tak bardzo próbuje kogoś wrobić. . To nie zdarza się zbyt często. Trudno w to uwierzyć nawet teraz.

– Twoje podejście, choć bez polotu, wcale nie było gorsze od tego, co ja sam robiłem.

Przechylił głowę i spojrział na mnie z ciekawością.

– Naprawdę?

W areszcie miałem sporo czasu, żeby się nad tym zastanowić. I z każdym mijającym dniem mniej mi się to podobało.

– Kiedy tylko zwąchałeś jakiś dowód przeciw mnie, od razu zamykałeś się na inne możliwości – powiedziałem. – Bo chciałeś, żebym okazał się winny. Nie lubiłeś mnie. Chciałeś mnie przyskrzynić. Ale wiesz co? Ja to samo robiłem z Alekssem Jeffersonem. Od razu upatrzyłem go sobie jako podejrzanego. Jego i jego syna. Uznałem ich za winnych, bo ich nie lubiłem. Nie chciałem szukać prawdy, postanowiłem udowodnić, że są winni. Chociaż wściekałem się na ciebie, tak samo podchodziłem do Jeffersonów. Ty przynajmniej miałaś dość taktu, żeby uwziąć się na kogoś żyjącego.

Targent, kiedy mówił, wodził wzrokiem po salce, ale teraz nie spuszczał ze mnie oka. Przez chwilę obaj milczeliśmy. W końcu wstał.

– Idź do domu, Perry. Idź już do domu.

Amy i Joe powitali mnie przed aresztem. Amy wysiadła z samochodu, kiedy tylko mnie zobaczyła. Rzuciła się ku mnie, a ja wzięłem ją w ramiona i mocno przytuli-

łem. Po raz pierwszy poczułem, że już po wszystkim. Że najgorsze za nami. Była tu, nic jej nie groziło, a ja byłem z nią. Do diabła z Tommym Gagliancim, Paulem Brooksem i całą resztą. Nie nabruździli nam tak bardzo, jak by mogli.

Amy odsunęła się o krok; oczy błyszczały jej od łez.

– Nareszcie – powiedziała.

– O tak. To był długi weekend. Warunki tutaj nawet nie umywają się do tego, czego zastałem w Indianie.

– Napisz przewodnik – wtrącił się Joe. – Środkowy Zachód w pięćdziesiąt cel.

Ścisnął mnie za rękę i otworzył drzwi od strony pasażera, jakbym był Bóg wie jak wielką osobistością.

– I tak bez czerwonego dywanu? – Skrzywiłem się.

– Po co wkurzać gliniarzy? Czerwony mógłby na nich podziałać jak płachta na byka. – Wsiadł do auta i włączył silnik.

Wciąż stałem na chodniku.

– Wszystko w porządku? – spytałem Amy. – Czy coś...

– Nic mi nie jest. Mogło być gorzej.

– Kiedy cię zobaczyłem w tej przyczepie... zobaczyłem, że żyjesz ...

Przerwałem, a ona odwróciła wzrok. Oboje pomyśleliśmy o Andym Doranie: to on strzelił do Gaglioniego, kiedy ten otworzył kopniakiem drzwi przyczepy i celował

ze strzelby do Amy.

– To co, jedziemy? Im dłużej Lincoln będzie stał przed aresztem, tym większe prawdopodobieństwo, że ktoś weźmie go za zbiega i znów go wsadzi – zażartował

Joe.

Wsiedliśmy do auta. Joe prowadził i wraz z Amy opowiedzieli mi o tym, czego nie przekazała mi policja.

– Thor nie dał znaku życia – powiedziałem.

Joe spojrzął na Amy w lusterku wstecznym.

– I miejmy nadzieję, że tak zostanie. Postanowiliśmy nic o nim nie wspominać.

Ty chyba zrobiłeś to samo.

– A Gaglionci i Reed?

– Gaglionci w ogóle nic nie mówił. Przynajmniej na razie. Zobaczymy, co z nim będzie. Co do Reeda, policja przesłuchiwała go chyba z dziesięć razy, ale nie pisał

słowa o Thorze. Zznał, że my dwaj wtargnęliśmy do jego mieszkania i że go zastrażyliśmy.

– To dobrze.

– Reed sypie teraz Gaglioniego, mówi, że pomagał mu tylko dlatego, że Gaglionci groził, że go zabije.

– Nic dziwnego. Reed wygląda na gościa, któremu rozwiązuje się język, kiedy wiszą nad nim jakieś zarzuty.

– Ale powinien ci pomóc. Zwali trochę rzeczy na Gaglioniego, a on został dziś rano oskarżony po pierwsze, o porwanie, po drugie, o morderstwo. Jedna z ekip sprawdza też historię Paula Brooksa. Okazuje się, że kiedy studiował na Wschodnim Wybrzeżu, aresztowano go za gwałt. Dziewczyna wycofała zarzuty i nie wniesiono oskarżenia. I tak się jakoś złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie zaczęła jeździć nowym lexusem, a Brooks wrócił do Cleveland.

– Hojna ręka papy Fentona.

– Właśnie. Kiedy zginęła Monica Heath, rozpoznano już u niego raka. Wiedział, że umiera.

– I robił, co mógł, żeby chronić rodzinną fortunę.

– Zastanawiam się, ile razy syn Jeffersona zadawał sobie pytanie, co by było, gdyby po prostu zadzwonił na policję, a nie do tatuśka – wtrąciła się Amy. – Gdyby powiedział im prawdę.

– Jestem niemal pewien, że myślał o tym tego wieczoru, kiedy się z nim spotkałem – odparłem. – Zostawiłem mu na drzwiach tę cholerną kartkę, a on stwierdził, że Gaglionci albo Doran przyjechali, żeby dokończyć robotę. Tak, jestem pewien, że wtedy o tym myślał.

Obudziłem się następnego ranka w mieszkaniu Amy. Na ramieniu miałem jej miękkie włosy. Patrzyłem na nią długo, przyglądałem się, jak jej piersi wznoszą się i opadają, kiedy oddycha. Dobrze, że zasnęła. Siedzieliśmy do późna w nocy i opowiadała mi o rzeczach, o których nie mówiła policji, o tym, co czuła, jak bała się, kiedy ocknęła się w furgonietce, o tym, co myślała, kiedy Doran podkradł się do przyczepy, a słyszała strzały. Opowiedziała mi, że Gaglionci nucił pod nosem, gdy czyścił broń, czekając na Dorana. Że pachniał wodą kolońską i uśmiechał się do niej tak, że ciarki przechodziły jej po plecach. Wyznała, że nawet kiedy wpadłem do przyczepy, bardzo się bała, bo był tam Doran, ale kiedy Thor schował broń, wiedziała, że już po wszystkim.

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy. A w końcu zmorzył nas sen. Teraz dochodziła dziewiąta. Zmusiłem się, żeby wstać z łóżka. Amy się nie obudziła, kiedy się poruszy-

łem. Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic i zaparzyłem dzbanek kawy.

Minęło pół godziny, a Amy wciąż spała. Miałem nadzieję, że się obudzi i przyjdzie do kuchni, że przegadamy cały poranek i będę mógł opóźnić wizytę, która mnie czekała. Ale tak się nie stało. Amy potrzebowała snu, a ja musiałem odbyć rozmowę, której kiedyś bardzo pragnąłem, a teraz nie miałem na nią żadnej ochoty.

Dzień po deszczu był jasny i rześki. Chłodne słońce wciąż z trudem przedziera-

ło się przez chmury i konary drzew rosnących wokół domu Aleksa Jeffersona. Kiedy zajechałem na podjazd, Karen wybiegła przed dom. Zaczekała, aż wysiądę, podeszła do mnie, położyła mi ręce na ramionach i spojrzała w oczy.

– Przepraszam.

– Nie ma za co, Karen.

– Rozmawiałam z policją. Sporo usłyszałam, ale na pewno nie znam i nie rozumiem tysięcy szczegółów. Ale wiem, że to już koniec, i to dzięki tobie. Tak mi przykro, Lincoln. Nie wierzyłam w to, co o tobie mówiono, jednak z każdym dniem pojawiała się coś nowego i po prostu...

– Po prostu zareagowałaś tak, jak się spodziewali. Chcieli grać na twoich emocjach. I Targent, i Gaglionci. Chcieli, żebyś zwróciła się przeciwko mnie, i chyba im się udało. Nie musisz za to przepraszać. W najważniejszej chwili, kiedy przyjechał ten gliniarz, zaufałaś mi. Przynajmniej na tyle, żeby pozwolić mi wyjść. Bez tego...

– Opowiadali mi o twojej przyjaciółce – przerwała mi. – O Amy Ambrose. Tak się cieszę, że nic się jej nie stało.

– Jest cała i zdrowa. I to dzięki twojej pomocy.

– Uhm.

Zdjęła ręce z moich ramion i odsunęła się o krok. Podmuch wiatru zwał jej włosy na twarz, przysłaniając wyryty na niej strach, zmęczenie i ból. Przez tę krótką chwilę zatęskniłem za nią przywołując wspomnienie tego dnia, kiedy wynajęliśmy łódź

na wyspach Bass, i jej promiennego uśmiechu. Czy po tym wszystkim potrafi się tak uśmiechać? Nie będzie to takie łatwe.

– Kiedy to wszystko się zaczęło, kiedy Alex zginął, a policja nie umiała wyjaśnić mi dlaczego, zadzwoniłam do ciebie.

– Tak.

– Zadzwoniłam, bo w tej rodzinie było za dużo tajemnic. A przynajmniej tak mi się wydawało. To milczenie między Alekssem i jego synem... zawsze chciałam to zrozumieć. Kiedy Alex został zamordowany, to się zmieniło. Musiałam to zrozumieć.

Unikałem jej wzroku, bo widziałem, że znów wystawia się na ból.

– Teraz wiem, że możesz to zrobić, że możesz pomóc mi zrozumieć. Tyle że już tego nie chcę. Nie chcę.

Parsknęła wymuszonym śmiechem gdzieś na granicy łez i pokręciła głową

– Ale dowiedzieć się muszę. Trochę usłyszałam od policji, jednak nie wszystko.

Rozmawialiśmy na dworze. Usiedliśmy obok siebie na schodkach przed domem.

– Jeśli policja się nie myli – powiedziała – to Alex cały czas wiedział, że Andy Doran jest niewinny.

Przez chwilę patrzyłem jej w oczy, po czym wbiłem wzrok na ziemię.

– Karen, mogę ci powiedzieć tyle: Monicę Heath zabił Paul Brooks. Przyznał się do tego przy mnie. Andy Doran sądził, że zabił ją syn twojego męża. Ja też przez jakiś czas byłem o tym przekonany. Obaj się myliliśmy.

– Ale oni wiedzieli. Alex i Matthew wiedzieli, co się naprawdę stało – wydusiła.

– Tak – odparłem i ogarnął mnie żal, kiedy zobaczyłem jej minę.

– Alex pomógł. – To nie było pytanie. – Pomógł wsadzić Dorana do więzienia, chociaż wiedział, kto zabił dziewczynę.

– Dużo go to kosztowało. Karen, on stracił syna. Ocalił syna klienta od słusznej kary, ale stracił własnego.

– Stracił własnego syna – powtórzyła. – Tak. A kiedy syn popełnił samobójstwo... kiedy strzelił sobie w głowę, bo uważał, że ktoś inny może zrobić mu coś gor-szego, winił za to Aleksa. Prawda? Uważał, że to wszystko wina Aleksa.

– Myślę, że winił też samego siebie. Karen, on nie był dzieckiem. Owszem, za-chęcano go, żeby zidentyfikował Dorana, ale przecież to on podjął decyzję.

Długo milczała. W końcu się odezwała:

– Twoim zdaniem Alex był złem wcielonym, co? No przyznaj. Pomógł wsadzić do więzienia niewinnego człowieka, skorzystał na tym. Myślisz, że był złym człowiekiem.

Pokręciłem głową.

– Nie, Karen. Wcale tak nie myślę. Myślę, że tamtej nocy uległ sile pieniądza i władzy, a kiedy raz to zrobił, wpadł w pułapkę. I pewnie nie zastanawiał się, co będzie dalej, ale kiedy już się wplątał, nie wiedział, jak się z tego wyplątać. I zapłacił wysoką cenę. Wyższą, niż powinien, wyższą niż ktokolwiek inny.

Siedziała w milczeniu ze zwieszoną głową.

– Powiedzieli ci, dlaczego zginął? – zapytałem.

– Paul Brooks się go bał. Bał się, że powie komuś, co wie.

– Karen, on i tak zamierzał to zrobić. Powiedział Gaglionciemu, że jest gotów zgłosić się na policję, i próbował go namówić do tego samego. Chciał znów wysłać Gaglionciego do Dorana, dać mu pieniądze i zapewnić go, że zostanie oczyszczony.

Chyba potrzebował kilku dni, żeby to zorganizować. Pewnie żeby z tobą pogadać.

Mógł pójść do więzienia. I pewnie by poszedł. W najlepszym przypadku jego kariera by się skończyła i okropnie zszargałby sobie reputację. Chciał to zrobić, żeby odzyskać honor, Karen. Żeby chronić syna i naprawić krzywdę.

Rozpłakała się.

– Myślę, że ty mu pomogłaś. Byłaś czymś w rodzaju ucieczki. Byłaś młoda i dobra, a przy tym zupełnie nie z jego świata. Jestem pewien, że chciał związać się z kimś takim jak ty.

Znów przypomniałem sobie ten dzień na łódce, uśmiech, którego nigdy nie zapomnę. Promieniowała wówczas radością, młodością i energią. Wyobraziłem sobie, jak Alex Jefferson poznaje ją po tym, kiedy popełnił swój największy grzech, i zrozumiałem, ile dla niego znaczyła. Zrozumiałem to doskonale.

Palcami otarła łzy. Pogłaskałem ją po plecach i przytulałem, dopóki nie przestała płakać. Wtedy położyłem jej rękę na karku i obróciłem głowę w moją stronę.

– Alex mówił ci, że działasz na niego leczniczo. A kiedy to mówił, czułaś, że cię potrzebuje, tyle że nie bardzo wiedziałaś, co miał na myśli.

Kiwnęła głową.

– Prawdopodobnie było to najszczerze w życiu wyznanie, Karen. I tylko to się powinno dla ciebie liczyć.

Zapadła cisza.

Wstałem, a ona wstała ze mną. Przytuliłem ją i trzymałem w uścisku przez chwilę. Długą chwilę. I tyle. Wróciłem do samochodu i odjechałem, zostawiając ją samą z jej żalem. Czasami nic więcej nie da się zrobić.

Rozdział 46

W ciągu następnych paru tygodni nie rozmawiałem z nią, ale widziałem ją wiele razy. W końcu wyłączyłem telewizor, żeby nie natknąć się na jej kolejne zdjęcie na ekranie, żeby nie słuchać publicystów rozprawiających o tym, co zrobił jej mąż, i opowiadających smutną historię Andy'ego Dorana.

Jakiś czas później przeczytałem w gazecie, że wyjechała do rodziny. Dwa tygodnie po śmierci

Dorana i Paula Brooks firma przeprowadzkowa zaczęła wynosić meble z jej domu i ładować na ciężarówkę. Rezydencją zajęła się agencja nieruchomości, ale mówiło się, że odczeka kilka miesięcy, nim wystawi ją na sprzedaż. Niełatwo sprzedać posiadłość, w której urządzono miasteczko medialne.

Zdarzało mi się zastanawiać, czy do niej nie zadzwonić. Na przykład tego dnia, kiedy aresztowano Cole'a Hamiltona pod zarzutem spisku. Albo wtedy, kiedy w furgonetce Tommy'ego Gaglioniego znaleziono ślady krwi Aleksa Jeffersona. Gaglionci umył samochód środkiem wybielającym i wodą, ale krew ma to do siebie, że potrafi znaleźć sobie różne zakamarki. Kiedy człowiekowi wydaje się, że już ją zmył, nagle, nieoczekiwanie się pojawia.

W końcu nie zadzwoniłem ani razu. Brakowało mi słów, a bez nich rozmowa telefoniczna jakoś się nie klei. Może zadzwonię przed świętami, pomyślałem. Może napiszę kartkę. Może ona zadzwoni. A może w ogóle nie mamy o czym mówić.

Media wciąż huczały o tej sprawie. Musiałem zmienić mój zastrzeżony numer domowy, a potem numer komórki. Bardziej przedsiębiorczy dziennikarze wystawali nawet na parkingu pod moim domem, ale nawet oni nie doczekali się wywiadu. Nikt się nie doczekał. Mój udział w sprawie był przedmiotem niekończących się pytań, mojemu związkowi z Karen poświęcono piętnastominutowy materiał w jednym z poranków telewizyjnych, wielokrotnie wspomniano też o nakazie aresztowania za morderstwo, nawet bez postawienia mi zarzutów. Mój prawnik zadzwonił z propozycją, by wytoczyć proces Targentowi i policji za aresztowanie niewinnej osoby. Odrzuciłem ją, powiedziałem, że sam go znajdę, jeśli będę potrzebował jego usług.

Ponieważ nie odpowiadałem na telefony, dziennikarze zaczęli wysyłać listy z prośbami o wywiady. Przekopując się pewnego dnia przez kolejną stertę korespondencji, trafiłem na pocztówkę z Indiany – fotografia mostu jesienią, karmazynowe drzewa, a na odwrocie kilka słów:

„Panie Perry,

Wygląda na to, że myliłem się co do pana. Proszę przyjąć to przyznanie się do błędu i przeprosiny. Proszę też więcej nie pojawiać się w moim hrabstwie.

Z najlepszymi życzeniami

Porucznik Roger Brewer“

Odwróciłem kartkę i zakryłem ręką most, tak żeby widzieć tylko drzewa. Wyobraziłem je sobie nad stawem i wokół altany, a w pobliżu sad. Liście już pewnie po-spadały, nad chłodną wodą zwisały tylko nagie konary.

Pojechałem do Indiany dla pieniędzy. Tak powiedziałem Joemu i Amy. A jeśli nie dla pieniędzy, to po prostu dlatego, że chciałem pomóc. To takie szlachetne. Po-móc. Kiedyś, w chwilach nieszczerości, na tym bym poprzestał, ale nie teraz, nie po wyjeździe Karen, śmierci Matta Jeffersona i Andy'ego Dorana.

Do Indiany zaprowadziła mnie tajemnica rodziny Jeffersonów. Chciałem ją odkryć, nim odkryje ją

Karen, dowiedzieć się, dlaczego Matthew zerwał kontakty z Alekssem Jeffersonem, co takiego złego zobaczył w ojcu. Miał mi to powiedzieć, a ja –

przekazać to jej, wyjaśnić, jakim draniem był jej mąż. Znaleźć uzasadnienie, co za piękny zwrot. Zemsta, tak wyglądała prawda.

Chciałem, żeby Matt Jefferson powiedział mi, co złego zrobił jego ojciec. Teraz obaj nie żyli, a ja żałowałem, że nie mam dziesięciu sekund, by uświadomić mu, że ojciec zamierzał postąpić słusznie.

Znalazłem magnes i przyczepiłem kartkę do lodówki. To przecież idealne miejsce na rzeczy, o których trzeba pamiętać, prawda?

Biuro było zamknięte przez trzy tygodnie, a ja spędzałem je z Amy, ukrywając się przed mediami. Amy, jako członek tej nieznośnej grupki wojowników, wiedziała, jak ich unikać. Pod moją nieobecność klienci mogli odsłuchiwać tylko nagranie na automatycznej sekretarce: firma nieczynna do odwołania. Joe przyjechał do mnie w trzeci poniedziałek po zamknięciu biura, aby przekonać mnie, że muszę się ruszyć i otworzyć firmę.

– Jeśli będziesz się tak kisił jeszcze z tydzień, to nigdy się nie pozbierasz, LP. A kiedy klienci zaczną korzystać z usług kogoś innego, to ich stracisz.

Kiwnąłem głową.

– Racja. Ale ostatnich kilka tygodni to było prawdziwe piekło, Joe. I tak nie mógłbym pracować, dobrze o tym wiesz.

– Wiem. A teraz mówię ci, że czas wrócić do pracy.

Stał w moim salonie i palcem wskazującym poprawiał abażur, niby przekrzywiony. Nie patrzył na mnie.

– Czas wrócić do pracy – powtórzyłem. – Ano, chyba czas. Ciebie też to dotyczy?

Przestał bawić się abażurem.

– Nie, LP, obawiam się, że nie.

Usiadłem i mu się przyglądałem. Wyglądał na smutnego, lecz zdecydowanego.

Zaczął krążyć po pokoju.

– Zamierzam wziąć sobie wolne. Wyjechać z miasta w jakieś cieplejsze okolice.

Nie dam rady spędzić tu kolejnej zimy. Nie teraz. Wiesz, że nigdy w zimie nie wyjeź-

dzałem z Cleveland? Na wycieczki zawsze wybieraliśmy się z Ruth latem albo jesienią.

Może raz zdarzyło nam się na wiosnę. Ale zimę spędzałem tutaj. I mówię ci, mam dość. Zastanawiałem się nad Florydą, może Teksasem, gdzieś nad zatoką.

Przez chwilę nie potrafiłem nic z siebie wykrztusić. Ale kiedy się już odezwałem, było to tylko:

– W porządku.

Joe przestał w końcu chodzić; usiadł na fotelu naprzeciwko mnie, potarł ręką brodę i wbił oczy w dywan.

– Lincoln, potrzebuję przerwy. Nie wiem dokładnie, jak długiej, ale wiem, że muszę się stąd wyrwać. Dasz sobie radę beze mnie.

– Tak, ale już nie będzie tak wesoło.

Prychnął.

– Cholera, zupełnie jak w normalnej robocie. Wiesz, wielu ludzi nie miało przyjemności pracować z kimś takim jak ja. Powinieneś to wreszcie docenić.

Zdobyłem się na uśmiech.

– Okej, Joe. Ale nie zapodziej się gdzieś daleko. Na wiosnę tutaj robi się znowu ciepło. Mam nadzieję, że wtedy ruszysz w drogę na północ.

– Ruszę.

Wyjechał w pierwszą niedzielę grudnia. Z ręką było coraz lepiej, ale i tak potrzebował pomocy przy pakowaniu – załadowałem taurusa najlepiej jak umiałem. Joe, poirytowany, pomrukiwał mi nad ramieniem, gdzie i jak to i to położyć. W końcu zamknąłem bagażnik i się odsunąłem. Podał mi klucze od domu.

– Nie zapomnij podlewać kwiatów. I pamiętaj, żadnych imprez.

– Oczywiście.

Amy podeszła do nas.

– Już? Naprawdę już jedziesz?

– Tak, kochana. I owszem, wiem, że będziesz za mną tęsknić.

Uściskała go i pocałowała w policzek. Wiał silny wiatr, na niebie widać było szare chmury. Zapowiadało się na śnieg. Według prognozy spadnie go dużo. Joe za-piął kurtkę i się uśmiechnął.

– Za kilka godzin zmienię ją na koszulkę polo i usiądę nad basenem.

– Dołuj nas dalej, dołuj – odparłem. – Fajnie ci.

Długie milczenie; w końcu je przerwałem:

– Będziemy w kontakcie, Joe.

– Jasne. – Wyciągnął rękę.

Uścisnąłem ją i wsiadł do samochodu. Zanim dojedzie do Tennessee, pewnie dwa razy zwiększy przebieg licznika w swoim cholernym taurusie. Uruchomił silnik.

Klepnąłem w bagażnik, odsunąłem się i pomachałem mu. Wyjechał z podjazdu i ruszył wzdłuż Chatfield, po czym skręcił na autostradę przy West 150. Odprowadzałem go wzrokiem i nagle zabrzmiał mi w głowie głos Andy'ego Dorana: Musiałem przetrwać zimę. Tylko przetrwać zimę.

Amy podeszła i objęła mnie w pasie.

– Będę za nim tęsknić.

– Ja też.

Uściskała mnie i cofnęła się o krok.

– Ale po co się smucić. Już coś dla nas zaplanowałam.

– Mecz Brownsów? Okej, możemy obejrzeć.

– Świąteczne dekoracje w moim mieszkaniu same się nie powieszą.

Popatrzyłem na nią z przerażeniem. A potem znów na Chatfield.

– Myślisz, że jakbym się sprężył, tobym go dogonił?

Zamknęliśmy dom Joego, wsiedliśmy do mojego trucka i odjechaliśmy. Zaczął

próżyć śnieg. Płatki osiadały na ciepłej szybie, krystalizowały się i topiły. W radiu spiker zapowiadał intensywne opady. Joe będzie musiał przebijać się przez śnieżycę w drodze na południe; cieszyłem się, że tam jedzie. Amy i ja zostaliśmy tu na dobre, ale to też było piękne. A śnieg stopnieje. Zawsze topnieje.